

Olga Gromyko

Zawód wiedźma 03

Wiedźma strażniczka (opiekunka)

Rozdział 1

Nadzieje pesymistów na chłodną, deszczową wiosnę rozwiały się już w połowie kwietnia. Ledwo odtajały rzeki – powiały gorące, południowe wiatry, ogrzewając pączki na drzewach , a na ziemi – soczyste młode trawy. Odrobinę zdziwione pojawiającym się ciepłem ptaki wily gniazda, zwierzęta liniały, a ludzie wyciągali z kufrów buty i kurtki, na wszelki wypadek nie chowając futer i walonek. Jeszcze trzy tygodnie temu po rzece ciągnęły karawany kry, a już dzisiaj kwitły śliwy i łąki pokryły się żółtymi dymkami dmuchawców. Leśne jezioro, które jeszcze nie zdążyło zarosnąć trzcinami, oblamowane było kręgami kamieni i przyprószone baziemi wierzby. Po marszczącej się wodzie pląsały słoneczne

błyski, nad rozgrzanym piaskiem leniwie kołysała się morwa,
perkozy ze świstem przecinały powietrze, goniąc za muszkami.
Pełne słońca i wiosennych soków młode liście zielonymi
płomyczkami trzepotały na gałązkach, ptasia orkiestra
wykonywała dziękczynną symfonię, w głębi lasu z rozmarzeniem
kukała kukułka.

Wszystko było tak piękne i upajające, że przy spojrzeniu na góry
konspektów, pożółkłych świstków, porozkładanych gremuarów i
innego drobiazgu ciemniało mi w oczach i pojawiała się
niepohamowana chęć utopienia się w jeziorze.

- Zestaw 127, pytanie 3, - nieubłaganie kontynuował Len. –

„Samoczynny rozpad zaklęć i jego przyczyny”.

- A...E... No, na przykład...

- Doskonale, pamiętasz. Idziemy dalej.

Z wdzięcznością spojrzałam na wampira. Gdyby go nie było, już
dawno skołowaciałby mi język i omdlały ręce, przy udowadnianiu,
że w zakamarkach mojej pamięci jeszcze nie obrosły pyłem cenne
informacje o samoczynnym rozpadzie.

- Zestaw 128, pytanie 1. Historia rozwoju magii.

- Może, ominiemy?

- Na egzaminie też będziesz omijać?

- Y-y-y – Lepiej siedemnaście reakcji kondensacji energii napiszę.

No, jaka różnica, w którym roku Rion Kopylski przedstawił

multipolarną transgresję?

- Nie Rion Kopylski, a Połowia Biełorska, twoja, między innymi, krajanka.

- Chodź, powtórzmy najważniejsze, a potem wrócimy do historii.

- Porzuć nadzieję, ograniczona umysłowo smarkulo. Nie ma dla ciebie ani litości, ani dyplomu.

- Ach ty, wampirze! – rzuciłam się na Lena i szepiwszy się, poturlaliśmy się po plaży.

Próba odzyskania mojego dobrego imienia okazała się daremna.

Wampir bardzo szybko wziął górę i, zadowolony, przygładził potargane włosy prawą ręką, lewą bez widocznego wysiłku przyciskając mnie do piasku.

- No, Len – zajęczałam, odczekawszy trochę i straciwszy nadzieję na wyrwanie się.

- Proś o litość.

- Za nic!

- W takim razie leż – wielkodusznie pozwolił wampir.

- Len! Ja muszę powtarzać! Mam egzamin za trzy dni!

Wampir demonstracyjnie ziewnął, nie zabierając ręki.

- Powtarzaj. Zestaw 128, pytanie 1. Historia rozwoju magii.

- Nie umiem! – Szarpnęłam się ostatkiem sił, ale stalowa ręka nawet nie drgnęła.

- Aha! Chodź się uczyć.

- Nie będę! Nie wyciągnę tego!
- Czyli co, wygląda na to, że niepotrzebnie posłałem do Szkoły zamówienie na młodego specjalistę?
- Zrobiłeś to?
- Tak, i już żałuję. Magiczka z ciebie, jak z kozła - dojna krowa!
- Len, jesteś cudny! – zapiszczałam zachwycona.
- Wiem – ponuro zgodził się wampir. – I jeszcze idiota, jakiego ze świecą szukać. Wydawałoby się, że znam cię dostatecznie długo i dobrze, żeby nie popełniać podobnej omyłki.
- No, puść, będę grzeczna!
- Jakoś wierzyć mi się nie chce – westchnął podnosząc się Len. Uskrzydłona świetlaną perspektywą otworzyłam konspekt, ale długi słupek dat i nazwisk szybko przywrócił mi przytomność. Zbuntowałam się znowu:
- Dlaczego mam zaśmieczać umysł tymi bzdurami? Można pomyśleć, że cmentarne upiory i stepowe strzygi będą domagać się ode mnie nazwiska odkrywcy lewitacji albo zdechną ze strachu przy przypomnieniu daty założenia Międzyrasowego Konwentu Magów!
- Nie zaśmieczać, a ćwiczyć. Ucz się, ucz, nie odkładaj. I narzuć bluzkę, już ci się ramiona opaliły.
- Poważnie? Na razie nie czuję. Poczekaj, poopalam się jeszcze parę minut, niech mnie trochę mocniej złapie. Mało które lato jest

takie, w zeszłym roku dobrego słońca wcale nie było i chodziłam blada, jak wampir ... to znaczy jak chora.

Bładym nie ośmieliłby się nazwać Lena najgorszy wróg.

Opalenizna równo kładła się na jego skórze, wampir nie musiał w tym celu podejmować jakichkolwiek wysiłków w rodzaju wielogodzinnego leżenia na plaży i nacierania się specjalnymi kremami.

- A więc, zaczynamy. Będę podawać datę, a ty- wszechstronnie ją objaśniać – zaproponował Len, z książką w rękach, przewracając się na plecy i przeciągnął się rozkosznie, szeleszcząc skrzydłami po piasku. – 147 rok naszej ery.

-M-m-m... Teoria spełniania życzeń?

-Tak. Podglądasz. Zamknij konspekt. O, leszy by go wziął!

Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby leszy wziął nie tylko konspekt, ale i fiszki, gremuary, egzaminy, Szkołę, i Lena na dokładkę.

- Kajel idzie – wyjaśnił wampir, zrywając się na równe nogi i pospiesznie otrząsając piasek z piersi i spodni. – Mnie tu nie ma! Nie było i nie będzie.

- Dobrze – warknęłam, w cichości ducha ciesząc się z nieoczekiwanego oddechu. Kajel był naszą wspólną bolączką. Po pierwsze, uważał Lena za coś w rodzaju swojego notatnika i konsultanta w życiowych nieważnych pytaniach, prześladując

władcę, jak głodny sęp. Po drugie, święcie wierzył, że umiera na straszną chorobę, tylko nijak nie mógł zdecydować się na jaką. Rozczarowawszy się do Kelli (zielarka, przywiedziona przez profesjonalnego chorego do białej gorączki, nie wytrzymała i powiedziała symulantowi, co o nim myśli, śmiertelnie obrażając nieszczęsnego cierpiętника), Kajel przerzucił się na mnie.

Wszystkie swoje wakacje i praktykę przed dyplomem przesiedziałam w Dogewie, zbierając materiał o właściwościach unikalnego przyrodniczo- magicznego zjawiska, zwanego „efektem brudnopisu”, przy okazji doskonaląc się w leczeniu cierpiących ochotników (z wiedzą Lena i Kelli; ta ostatnia chętnie powierzała mi proste zabiegi w rodzaju zamawiania pryszczycy i z jeszcze większą radością zwała na mnie Kajela). Ten stosunkowo młody wampir, mający około stu osiemdziesięciu – dwustu lat wyglądał na trzydziestkę i według naszego z Kellą zdania był zdrow jak byk. Tym niemniej oglądałam go z różnych powodów, uczciwie próbując znaleźć w krzepkim, dobrze odżywionym ciele złowieszcze oznaki końca, ale daremnie. Dur brzuszny, zawał serca, tężec i gangrena momentalnie ustępowały, wystarczyło mi utwierdzić Kajela w mniemaniu, iż przejawiają się one całkiem inaczej. Wierzył, ale niedługo. Już za dwa-trzy dni wynajdywał u siebie nowe symptomy i biegł do mnie, twardo wierząc, że tylko ja jedna mogę uratować go od mającej nastąpić zguby.

Len miał jeszcze gorzej. Jediną oficjalnie uznaną chorobą Kajela była skleroza. Co najdziwniejsze, Kajel ignorował diagnozę i stanowczo odżegnywał się od eliksirów Kelli, poprawiających pamięć.

Pierwsza wzmianka o Kajelu zdarzyła się jesienią dwa lata temu, kiedy Len, z daleka poczuwszy kolejnego petenta, idącego do Domu Narad, zerwał się z fotela i - zupełnie nie w stylu władcy - wyskoczył przez uchylone okno.

- Dokuczył mi ten typ bardziej niż gorzka rzodkiewka – skarżył się potem Len. – Dnia bez władcy przeżyć nie może. Wczoraj też przychodził... całkiem rozstrojony. Chomąt mu przepadł. Pewnie zahulał chłopak wieczorkiem i nie pamięta, gdzie rozprzągł konia. A ja mam się przekopywać przez jego podświadomość, przerzucać brudną bieliznę, szarpać się z rozmaitym śmieciem. Zamiast tego lepiej by poszukał – dodał rozdrażniony.

-Znalazł się chomąt?

- Znalazł. Wsadził go pod piec.

-No proszę, nie pomyślałabym, żeby tam szukać. Nie marudź, trzeba prościej brać życie, inaczej zanim przekroczysz dwie setki będzie z ciebie prawdziwy upiór – zjadliwy, zły, nudny i szkodliwy. Jeśli ten mężczyzna ...to jest wampir... nabrał odwagi i przyszedł do ciebie, znaczy, dla niego ten chomąt jak syn rodzony. Może to weselny podarunek od teściowej. Daruj biedakowi, niech

znajdzie swój chomąt i się ucieszy!

- To następnym razem każe mi swojego topora szukać – uniósł się Len.

- Może się zawstydzi?

- Daj kurze grzędę!

Och, nie wiedziałam, kogo bronię! Topór, portki, dziwne dźwięki na strychu, nocne strachy starszej córki, kose spojrzenie sąsiada, nieurodzaj zeszłorocznych odmian ogórków, wyśniony grób, utopiona w studni donica, krakanie wrony pod oknem – wszystko to musieliśmy z Lenem obejrzeć, sprawdzić, poradzić i tak dalej i tym podobnie. Nic dziwnego, że władcę odrzucało od gorliwego poddanego, jak od morowej zarazy.

Ukryć się przed Kajelem w Dogewie, jak i przed jakimkolwiek wampirem było niemożliwe. Czuł mnie na wiorstę, jak sęp padłą krowę. Jeśli Len czy Kella, po zauważeniu Kajela, mogli – i to robili - czmychnąć w krzaki i ukryć się, to mnie pozostawało tylko zgrzytać zębami i na siłę zachowywać się uprzejmie.

- Dzień dobry, Kajel – rzuciłam najbardziej niedbale, jak tylko można, sprawiając wrażenie całkowicie pochłoniętej nauką.

- Dla kogo dobry, a dla kogo – być może – ostatni – ponuro, zgodnie ze swoim repertuarem, przeciągnął Kajel, zatrzymując się obok mnie i zasłaniając słońce – Nie widziałaś władcy?

- Nie, nie było go i nie będzie –odbębniłam wyuczenie,

przewracając stronę. Smutne doświadczenie podpowiadało mi – tak prosto się Kajela nie pozbędę. Smutne doświadczenie miało rację. Kajel nie odchodził, wyraziście sapiąc nad moim ramieniem. W żadnym wypadku nie należało zadawać mu żadnych pytań, a zwłaszcza interesować się zdrowiem. W przeciwnym wypadku już nie można było uchylić się od szczegółowego opisu wypełnionego cierpieniem dnia i takiejże nocy.

- Coś się niedobrze czuję- zaczął Kajel, nie doczekawszy się ode mnie wznowienia rozmowy.

Wcale się nie zdziwiłam. To był jego dyżurny tekst. Wewnętrznie spięta i przeczuwając nieuniknione, milczałam, jak krasnolud na przesłuchaniu. Ile krwi mi napsuł ten „umierający” wampir, nie da się opowiedzieć.

- W głowie mi się kręci... Serce głośno stuka. I w oczach ciemnieje ... - ciągnął Kajel, zauważalnie i dokonując niezmiennego logicznego wyводу: - Widać, śmierć moja przyszła.

- Według mnie, od ubiegłego lata ona się nie oddalała.

- Jak ci nie wstyd żartować z takich rzeczy – Bez serca, wy ludzie, bez litości . Nie ma w was współczucia dla bliźniego. Umrę na twoich oczach –a ty nie zapłaczesz.

- Nie zapłacę – potwierdziłam. - Kajel, pan mnie jeszcze przeżyje. Co pan znów wymyślił? Jak długo w głowie się panu kręci? Około

dziesięciu minut?

- Godzinę – dumnie poprawił mnie wampir. – Rano czułem się normalnie, do obiadu – też, a jak zakończyłem sadzić ziemniaki, rozgrzałem się i zaczęło się...

Prawie zajęczałam ze złości.

- Kajel, pan po prostu przegrzał się na słońcu. Proszę posiedzieć w cieniu, wypić szklankę wody, a śmierć odejdzie.

- Gorącej czy chłodnej? – starannie doprecyzował wampir.

- Ciepłej, wrzącej !

-A to na pewno pomoże?

- Na pewno, na pewno, tylko proszę stąd odejść, nie stać na słońcu, bo będzie gorzej.

Tylko bezpośrednie zagrożenie zdrowia mogło przegnać Kajela z plaży. Oddalił się krokiem całkowicie zdrowego wampira.

Len wyszedł z krzaków i wznowiliśmy katorżnicze prace w granitowych kopalniach nauki. Nauczyć się to jest logicznie ułożyć w pamięci, historii rozwoju magii i tak nie dałam rady – zakułam jak dzięcioł, nie wnikając w sens słów. Z żalem upewniwszy się, że na więcej mnie nie stać, Len zapowiedział dziesięciominutową przerwę.

Plecy w końcu mi się opaliły: według opinii Lena, ich radykalny czerwony kolor świadczył raczej o kolorze ugotowanego raka niż opaleniznie. Jakby nie pociągał mnie ciepły piaseczek, należało

narzucić bluzkę i schować się w cień pod wierzby. Marcowy huragan powalił jedno z drzew, wyrwawszy je z korzeniami, a ono powoli, męczeńsko umierało na ziemi, powiewając ledwo co rozwiniętymi listkami.

- Len, pomógłbyś, co?

Wampir, wydawałoby się, drzemał, wyciągnięty w ciepłym piasku, ale chętnie podniósł się i podszedł do drzewa. Jeszcze raz pomyślałam, jak to wygodnie obcować z telepatą – nie zadawszy nawet jednego pytania, Len szarpnięciem podniósł wierzbę i ustawił korzeniem w jamie.

- Trochę bardziej w lewo... teraz do mnie ... dobrze, tak trzymaj. -

Kucnąwszy na czworaki, z entuzjazmem podgarniałam i uklepywałam ziemię wokół pnia.

Roboty leśne zbliżały się ku końcowi, gdy w krzakach znów zaszurały kroki i wynurzyła się stamtąd Kella z bukietem młodej pokrzywy, od której żelaznych ukłuc broniły zielarkę grube rękawiczki.

Zobaczywszy Lena, wampirzyca westchnęła ze zdziwienia.

- Władco! Co wy tu robicie?!

- Trzymam drzewo – uprzejmie, choć mało zrozumiale wyjaśnił

Len, unikając oczu zielarki, miotających błyskawice.

- Szukają was w całej Dogewie!

-Dlaczego?

- I wy jeszcze pytacie?! Za pół godziny przybywa poselstwo z Arlissu!

- Kella, wczoraj jasno dałem do zrozumienia: nie chcę i nie będę go przyjmować. Poradźcie sobie sami.

- „Nie chcę” i „nie będę” – dwie różne rzeczy. Zbierajcie się szybko i idziemy do Domu Narad!

- Kella, z kim ty rozmawiasz? – przesadnie miłym tonem zainteresował się władca.

Zielarka odrobinę zniżyła ton:

- Władco, jesteś zobowiązany tam być.

- Nic podobnego.

- Będzie skandal!

- Będzie – prostodusznie zgodził się Len.

- Władco!

- Zielarko?

- Błagam, przyjmijcie ich.

- Nie.

- Len!

- Nie.

- Wasz niezrozumiały upór poraża mnie w samo serce!

- Jeśli miałabyś serce, to byś mnie zrozumiała.

Kella jakoś dziwnie zamilkła i rzuciła kose spojrzenie w moją stronę.

- Len, ja cię od czegoś odrywam? –zapytałam nieśmiało, poczuwszy się nieładnie. – Idź, sama powtórzę, już mi niewiele zostało.

- Od niczego mnie nie odrywasz. Idź, Kella. Nie ma sensu przedłużanie tej bezmyślnej rozmowy.

Na blednącej twarzy Zielarki wyraźnie pojawiła się chęć wychłostania Lena pokrzywą.

- Ty, parszywy chłopaku! – wybuchnęła, odrzucając zasady etykiety. – Wystarczy mi twoich błazeńskich wybryków i bez tego okryłeś się złą sławą. Nigdy w Dogewie nie było gorzej! Władac lekko, nastąpić na gardło twojej dumie, narwany szczeniaku!

Nastąpiła niema pauza, w czasie której Kella, zrozumiawszy na kogo podniosła głos, powoli pokrywała się łzami. Jej rozszerzone źrenice podrygiwały, zupełnie jak w przedśmiernej agonii.

-Aekvill kress – cicho i ostro powiedział Władca, przerywając naprężoną, straszna ciszę. – Kere-ell. Kie-Lanna.

Zabrzmiało to jak policzek.

Zielarka szarpnęła się. Rzuciwszy pokrzywę Lenowi pod nogi, Kella zakryła twarz rękami i potykając się jak postrzelona, uciekła, nie szukając nie sprawdzając drogi.

- Len... zaczęłam ostrożnie.

- Nic nie mów, dobrze?

- Może...

- Wiem. Uniosłem się. Ona też - Wampir odstał na krok, krytycznym wzrokiem obrzucając wkopane drzewo. – I wystarczy o tym. Chodź przygotowywać się do egzaminu.

Wzruszywszy ramionami, podniosłam z ziemi konspekt, ale proces uczenia zatrzymał się i stopniowo zaczął obracać się wniwecz. Lena zauważalnie ochłódł w stosunku do magii praktycznej, stał się roztargniony i prawie nie słuchał moich odpowiedzi.

Szybko dokuczyło mi słuchanie swojego głosu i prostoduszne potakiwanie wampira. Dźwięcznie zatrzasnęłam konspekt i tym sposobem wyrwawszy Lena ze stanu czarnej melancholii wyjawiałam, że na dzisiaj dosyć, a tak w ogóle to ja chcę jeść, a Kryna obiecała upiec na kolację placek z podrobami. Uczyni nam Władca zaszczyt, towarzysząc nam przy stole? Nie, nie uczyni – po części z powodu braku czasu, po części z powodu niechęci do podrobów. Jeśli to będzie możliwe, zajrzy później, bliżej nocy ... nie zabrałabym ze sobą jego spodni? W wilczej paszczy mogą stracić swój nienaganny wygląd. Upewniłam Lena, że zajęcie się spodniami Władcy sprawi mi ogromną, z niczym nie porównaną radość.

Tym razem mój sarkazm nie osiągnął celu. Władca zarządził „Odwróć się!”, a gdy pozwolił mi się obejrzeć, starannie złożone spodnie leżały na piasku. Obok nich otrząsał się, doprowadzając

do porządku potargane futro, biały wilk.

Tak się rozstaliśmy. Wilk zniknął w gęstwinie w ślad za Kellą, zaś ja, przerzuciwszy spodnie przez ramię, poszłam do najbliższej przecinki – w czasie pracy nad dyplomem doskonale nauczyłam się siatki tuneli „brudnopisu”.

Jak należało oczekiwać, prawie od razu natknęłam się na Kellę, starannie polewającą łzami krzak jaśminu. Krzak nie przejawiał oczekiwanego współczucia. Dogewska Zielarka miała wprost fenomenalny talent objawiania się tym mieszkańcom Dogewy, którzy pragnęli samotności i znikania, gdy potrzebna była jej pomoc. Usiadłam obok szlochającej dziewczyny. Prawdę mówiąc, „dziewczyna” była starsza ode mnie około dziesięć razy, ale z wyglądu wydawała się moją rówieśnicą. Kella często stawiała przed tym problemem, protekcyjnie nazywając mnie „małą”, ale czy to moja wina, że wampiry żyją pięć razy dłużej? Biorąc pod uwagę moje chęci, dożyję w końcu takiego wieku, że różnica w latach nie będzie miała znaczenia. Dlatego dawno machnęłam ręką na etykietę i uparcie mówiłam Kelli na „ty”. Nie należy uważać, że to jej się podobało, ale otwarcie nigdy nie wyraziła niezadowolenia.

- Ej – leciutko dotknęłam jej łokcia. – Co się stało?

Zamiast odpowiedzi wampirzyca porywczo rzuciła mi się na ramię, objawszy rękoma za szyję. Pocieszać nigdy nie umiałam i

nie lubiłam.

- Nie ma co rozpaczać... Pomyśl, pokłóciłaś się Władcą ...

Przecież dziesięć razy dziennie skaczecie sobie do oczu...

- On ...on wyzwał mnie od... zwodnic – gorąco chlipnęła Kella w moje i bez tego na wylot przemoczone ramię.

- Za co ?

- Ale wampirzyca zapłakała silniej niż poprzednio, wyraźnie nie chcąc odpowiadać na pytanie i ja pośpiesznie zmieniłam temat:

- W jakim języku rozmawialiście?

- W ałladarskim – niewyraźnie burknęła Zielarka . – To nasz dawny rodzimy język...

- Naprawdę? Myślałam, że wampiry mówią we wspólnym – wyraziłam głębokie zainteresowanie.

Zaskoczyło. Zielarka oderwała się od mojego ramienia, wyjęła z kieszeni chusteczkę i dźwięcznie wydmuchała nos.

- W ałladarskim porozumiewamy się tylko między sobą, a i to nie zawsze. Ten wspólny to jak leśny pożar –ogarnia jedna rasę za drugą. Za dwa - trzy stulecia nikt nawet nie będzie domyślał się obecności innych języków. Po co siedem lat uczyć się ałladarskiego, jeśli już za pół roku mnożna swobodnie gadać we wspólnym – Kella dźwięcznie pociągnęła nosem.

Podrapałam się po głowie. Wszystkie rasy rozumne, rozumie się z wyjątkiem ludzkiej, znajdowały we wspólnym swoje niedostatki.

Krasnoludom nie podobały się, elfom – głębokie dźwięki, trolli nie urządziła ograniczona leksyka, a teraz jeszcze wampiry. Dla mnie wszystkie języki nadawały się tylko na zaklęcia - były tak samo skomplikowane i pokręcone. Podzielić się tym niepocholebny dla wampirki spostrzeżeniem nie zdążyłam - na polanę wskoczył biały wilk. Zobaczył mnie, cofnął się, ale potem, głośno kichając i potrząsając głową, przeobraził się, machając skrzydłami i rozciągając mięśnie, zbliżył się do nas. Oba ponure spojrzenia rzucone na niego z dołu trochę zachwiało jego zdecydowaniem. Wampir zawahał się, kaszląc zakłopotanie.

- Wolha, tam na ciebie placek czeka - wspomniał.

Włożyłam w sceptyczne pochrząkiwanie swoje odczucia co do jego umiejętności dyplomatycznej i taktu.

- Faktycznie, to idiotyczna wymówka. Proszę cię, idź. Musimy poważnie porozmawiać.

Spojrzałam na Kellę.

- Idź - przytaknęła Zielarka - Musimy porozmawiać w cztery oczy.

- Ale jeśli się pozabijacie, to mogę wziąć wasze czaszki do muzeum? - zapytałam z nadzieją - Zrozumiałam wszystko! Już znikam!

- Oddaj spodnie! - wreszcie przypomniał sobie Len, a ja mściwie cisnęłam w niego zmiętymi spodniami.

Podsluchiwanie wampirów było bez sensu. Po pierwsze, Len natychmiast przejrzał mnie na wylot, po drugie - od razu przeszli na swój ghyrowski język. Musiałam pójść naprawdę.

Placek Kryna zrobiła, jak obiecała, ale go nie upiekła. Z resztą od czasu gdy w jej domu zamieszkał niejaki - trzeba zauważyć bardzo miły i sympatyczny w kontaktach - wampir męskiej płci o imieniu Orojen, moja gospodyni poświęcała skandalicznie mało czasu gotowaniu, całymi dniami znikając gdzieś ze swoim wybranym.

Można było myśleć, że żywią się powietrzem. W zeszłym miesiącu chodziłam zła i głodna, dożywiając się u swoich pacjentów, a niekiedy na bankietach u Lena. Nie, żeby Władca rzadko mnie zapraszał - po prostu nie znosił oficjalnych przyjęć, wybiegał stamtąd pod byle pretekstem i głodowaliśmy razem.

Tak samo teraz - zamiast dobrze usmażonego placka z chrupiącą skórką, zastałam gotowane ziemniaki, kwaśne mleko Kryny i kromkę suchego chleba. Westchnąwszy ciężko, nabrałam zsiadłe mleko łyżką, potrzymałam przy ustach i z grymasem cierpienia wlałam z powrotem do garnka. Wcześniej kupowała przynajmniej dla wilka mięso. Wilk odszedł tuż przed wiosną w czasie mojej nieobecności - widocznie zdechł z głodu, pomyślałam pochmurnie odrzucając łyżkę.

Z okna widoczny był Dom Narad - przed nim przestępowały z nogi na nogę gniade konie w niebieskich i złotych derkach.

Poselstwo z Arlissu właśnie wchodziło do budynku po skończonym ceremoniale powitania. Ostatni do Domu Narad wszedł Starszy dogewski. Przełknęłam ślinę, widząc długi stół nakryty długim obrusem i ustawionymi na nim wykwintnymi potrawami. Oczywiście, wystarczyło poskarżyć się Lenowi na tą wegetariańską dietę i znalazłby mi bardziej gościnną i przyjazną gospodynię, ale nie chciałam obrażać Kryny, i co tu ukrywać, miałam nadzieję schudnąć odrobinę przed balem na zakończenie szkoły.

Jeden z koni zarżał, czym ponownie przykuł moją uwagę. W zasięgu wzroku pojawili się Len i Kella - oboje w pełnej gali, on w bieli, ona w czerni. Ręka Zielarki opierała się na szarmancko nadstawianym łokciu Władcy. Słodka para usilnie się ignorowała, osiągnąwszy czasowy rozejm na określonych warunkach. Len przepuścił Kelly pierwszą, poszedł jej śladem i zamknął drzwi. Koń ponownie zarżał odpędzając łbem natrętną muchę. Ładny, wysoki ogier, ale nie tej rasy co hodowane w Dogewie - tutejsze konie były nieco masywniejsze, z gęstszymi i krótszymi grzywami-szczotkami i długimi, falującymi ogonami. Wampiry nazywają je "kjardy", twierdząc, że lepszych biegaczy trudno jest znaleźć. W Arlissie, zdaje się, znaleźli...

Odwróciłam się od okna. Wygląd zsiadłego mleka i konspektów wypełniły moją duszę ogromnym bólem.

Rozdział 2

Przed wyjazdem nie udało mi się zobaczyć z Lenem. Z jakiegoś powodu wydawało mi się to złym znakiem. Nie ze względu na egzamin. Po dziesiątym kursie zaczynasz rozumieć, że absolutnej wiedzy nie ma, za ogólne wiadomości nie postawią ci mniej niż trzy, a brakujące wiadomości zawsze można wymyślić. Wtedy miałam wrażenie, że wszystkie oceny przydzielone były zawczasu, podpisane dyplomy już od dawna leżały na stole u nauczycieli, a zdanie egzaminu było tylko formalnością - czyżby w ciągu dziesięciu lat nasi nauczyciele nie dowiedzieli się, do czego każdy z nas jest zdolny? Oczywiście, rzucać obelgi w twarz nie chciałam nikomu, ale niepotrzebnie przeżywać tego nie chciałam.

Nie śpiesząc się zbytnio, ale i nie ociągając się, wepchnęłam do torby książki, streszczenia, rolki, arkusze i skrawki papieru z uwagami, ubrałam się po drodze i pożegnawszy się z Kryną i Kellą (tradycyjnie życzyły mi "ani puchu, ani pióra"), wyjechałam z Dogewy.

Len nawet nie wyszedł na ganek Domu.

Im dalej jechałam, tym miałam większą chęć zawrócić konia i pomknąć z powrotem. Przeczucie, że porzucam przyjaciela w potrzebie, wzmogło się. Jednocześnie byłam w pełni świadoma postawy Lena, gdybym zawróciła w połowie drogi, by sprawdzić jego samopoczucie.

Ale przecież wcześniej wszystkie dogewskie wampiry padłyby by trupem, gdyby ich drogocennemu Władcy coś zagrażało!

Gdy tylko Dogewa zniknęła mi z oczu, niepokój przeszedł, ale i tak nie rozwiązał się do końca. Jednak bardzo szybko zapomniałam o nim - zbliżający się egzamin wyparł z głowy wszystkie inne myśli. Jak zawsze, niektórzy wynajmowali Pytie (inaczej z nich nie było żadnego pożytku; zmuszani byli męczyć się do ostatnich dni i zapowiadali iść na całość i zrobić kolegom jakieś paskudztwo jakoby w porządku "za powtarzanie materiału"), następnie egzaminatorzy nękali magów praktyków, a na ostatni ogień szli ci najbardziej cierpliwi - Zielarze.

Liczyłam na to, że przybędę do Starminu wieczorem, dzień przed egzaminem, ale zbliżająca się burza poplątała moje plany, należało więc przeczekać ją w przydrożnej karczmie, tak że do Szkoły przyjechałam w środku zamieszania - obecni absolwenci, wyczerpani bezsennymi nocami, bezcelowo włóczyli się wzdłuż korytarzy, pochowani za konspektami i mrużący pod nosem zaklęcia. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Na drugim

piętrze wprost z sufitu spadł śnieg, na trzecim laboranci z działu przyrodoznawstwa ganiłi z siatkami za pięciopalcowym krysołakiem, nad głową raz za razem latały błyskawice, raz wpadłam na niewidzialną ścianę zbudowaną w miejscu otwartych drzwi, później ledwie zdążyłam cofnąć nogę z wyczarowanego na podłodze pentagramu, który natychmiast zamienił się w słup ognia, zostawiwszy po sobie czarny dymiący kontur. Dwóch absolwentów, sapiąc, nieśli do sali egzaminacyjnej długi stół, pokryty aksamitnym obrusem. Stół sprytnie zginał się na zakrętach, obrus z obrzydzeniem chował się po kątach, unikając unoszących się w powietrzu pulsarów.

W sypialnym skrzydle było ciszej; przez wszystkich zapomniany zombi, metodycznie i z żalem skubiący liście z kiedyś rozłożystego fiskusa, zobaczywszy mnie szybko schował się za wysoką donicę.

- Dzień dobry, czerwona panno! - powitała mnie Welka, odrywając się od podniszczonego foliału "Właściwości i zastosowanie ziół" - Och, jak można być tak czerwonym!

- No tak, przesadziłam trochę - przyznałam - Nie masz jakiegoś nawilżającego balsamu? Ramiona mnie parzą.

Oprócz dobroczynnego działania słońca, piekąca skóra pokryła się szkarłatnymi plamami, a pobyt nad jeziorem skończył się dla mnie sto razy gorzej niż ukąszenia plagi komarów. Welka pogrzebała w

szafce ściiennej, wybrała dużą pękatą butelkę, zatkaną winnym korkiem, odkorkowała, powąchała podejrzliwie i skrzywiła się. Sądząc po wyrazie jej twarzy, Zielarka z bólem usiłowała sobie przypomnieć, co tam nalano i czy nie będzie miała jednej przyjaciółki mniej. Po namyśle, Welka zdecydowała się zaryzykować, podała mi butelkę i wróciła do konspektów.

- Jak wiedza? - zainteresowałam się, starając się zobaczyć zawartość butelki pod światło. Dokładnie nie powiem, ale pływało tam coś podobne do zdechłego szczura, nie wiadomo jak dodane przez wąską szyjkę.

- Kasza w głowie - uczciwie przyznała się Zielarka, przekręcając stronę, spod której wyslizgnęła się na łóżko suszona gałąź kolei. - Takie uczucie, jakbym po raz pierwszy widziała własne notatki. A u ciebie?

- Nie pytaj - wylałam na rękę trochę balsamu, który okazał się gęsty i przejrzyste szarym, z dodatkiem jakiś drobnych płatków. Jak na ironię, swędzenie znikło natychmiast, a na ramionach poczułam przyjemny chłodek.

- Szczęściara. Ty masz egzamin za pół godziny, a ja jutro. - zrzędziła Welka.

Takie szczęście wydawało mi się nader wątpliwe. Ledwie zdążyłam wetrzeć w ramiona ostatnią porcję balsamu, do pokoju, wbrew przyzwoitości, zmaterializowali się Ważek, Temar i Enka.

Ten ostatni trzymał pod pachą wiszącego potulnie Barsika. Chlebowe stanowisko szkolnej maskotki i naturalna chciwość skłoniły go do spałaszowania wszystkich prezentów przyniesionych przez adeptów przeddzień egzaminu i teraz czarny kot wisiał na rękach Enka, przewracając oczami i od czasu do czasu poruszając ogonem, by go przez pomyłkę nie wyrzucili na śmietnik. U pozostałych był taki zaszczuty zwyczaj, kogoś zabić i podrzucić nam trupa na przechowanie.

- No nareszcie!

- Przyjechała!

- Gdzie cię nosiło, ruda?!

- Nie jestem ruda! - bardziej z przyzwyczajenia odgryzłam się. Jak na złość z wiekiem moje jasnobrązowe włosy zlewały się z miedzią. - Jestem zło-to-wło-sa!

- Oj - oj - oj! - przedrzeźniał Temar - Lepiej powiedz, czy jesteś gotowa do bohaterskich czynów i wielkich osiągnięć? Uwiecznić dla potomności szlachetne ziarna doskonałej wiedzy, gotowa do pomocy cierpiącym, albo ogarnięta pychą, do jej odmowy poszkodowanym i kalekom?

- Masz na myśli - jak u mnie z przygotowaniem do egzaminu, czy napisałam ściągę i czy ci będę podpowiadała, kiedy zaczniesz tonąć?

- Jasnowidz... - z powagą westchnął Temar

- Podpowiem, oczywiście, co innego mogę zrobić? Jeśli sama coś sobie przypomnę...
- Kto by pomyślał! - sprawnie wyciągnął kolegów z pokoju - Przygotuj się, ruda panno, na walkę ze złośliwymi starcami!
- Połamania pióra - pożegnała nas Welka
- Do leszy - z przyzwyczajenia odparłam, zamykając za sobą drzwi.

"Złośliwi starcy" w osobach byłego absolwenta szkoły, a teraz bakałarza 3-ego stopnia Almita (Przedmiotowa Magia), bakałarza 2-ego stopnia Krieniana (Zielarstwo) i bakałarza 4-ego stopnia Rodomira (Elementarna Magia) przywitali nas bardzo serdecznie, po raz kolejny potwierdzając moje spekulacje na temat podpisanych dyplomów. Egzamin jeszcze się nie zaczął, czekano na rektora (znanego również jako Ksana Diejanir Perłowy, bakałarza Magii Praktycznej 1-ego stopnia albo po prostu dyrektora Ksandra). Stłoczeni w audytorium adepci najpierw rzucili się do stołu z zestawami. Odwracali się, jęczeli, chwyтали się za serce, przewracali oczami, starali się zaznaczyć wyuczone tematy lub zapamiętać przynajmniej ich położenie. Bakałarze tylko śmiali się, nie upominając nikogo.

Lecz nagle, postukując grubym jesionowym kijem, do audytorium wszedł mistrz. Kije pozostałych członków komisji stały spokojnie za ich krzesłami - nie były niczym więcej niż symbolami, takimi samymi jak togi i wysokie czapki, noszone na specjalne okazje. Wszędzie ciągnięto za sobą ciężki, inkrustowany srebrem i kamieniem kij, nie mający nawet magicznej siły, po który nie stanąłby najodważniejszy mag. Jeśli już praktycy korzystali z dodatkowych źródeł siły, to preferowali bransolety, medaliki i pierścienie.

Rozmowy i szумы natychmiast ucichły, gdy z przerażeniem przypomnieliśmy sobie, że przyszliśmy na Państwowy Egzamin Magii, a Komisja niechętnie rozsiadła się po miejscach, gotowa wysłuchać i ocenić naszą skąpą wiedzę.

Najpierw mistrz zabrał Ważkowi ściągę. Później mnie upomniał: - Wolha, przestań kłapać zębami! Boję się z tobą przebywać w audytorium.

Posłusznie ścisnęłam szczęki. Ledwo zęby przestały kłapać, zadrżały nogi.

Mistrz popatrzył na stół z zestawami, marszcząc brwi. Wszystkie notatki, znaczenia, zagięte kąty znikły, jak fałdy na ubraniach pod rozgrzanym żelazkiem. Enka, i bez tego blady, pokrył się plamami, upodabniając się do prawdziwego trupa. Westchnęłam zorientowawszy się, że pod drugim z lewej strony zestawem w

trzecim rzędzie już nie ma trzech praw nekromancji, teorematu Łupina-Babkina i cele dematerializacji. Z zadowoleniem pogłaskawszy brodę, mistrz szerokim gestem polecił nam ciągnąć zestawy.

Tak jak myślałam! Trzynasty! Mam szczęście do tej liczby, przez dziesięć lat i czterdzieści egzaminów wyciągnęłam równo tuzin trzynastych biletów! Podawszy sekretarce numer, nie patrząc na zestaw, usiadłam w drugiej ławce w środkowym rzędzie. Wzięłam kilka czystych kartek z urzędową pieczęcią po rogach, zdjęłam wieko z kałamarza, sprawdziłam na paznokciu pióro. I dopiero wtedy przeczytałam pytania. Hura! Na pierwsze pytanie znałam na blachę, drugie poddałam przypomnieniu, a trzecim okazała się owa przeklęta historia rozwoju magii. Oczywiście, połowę dat zdążyłam zapomnieć całkowicie, ale pierwsze w spisie, dzięki Lenowi, stały mi jeszcze przed oczami. Szybko przeniosłam je na papier, by nie zgubić ich do momentu odpowiedzi.

Mistrz wstał i przeszedł się między rzędami, bezceremonialnie patrząc na ławki w poszukiwaniu konspektów. Zabrał u Ważka kopię ściąg. Postał nade mną, wpatrując się w bezładne kulfony. Odruchowo zakryłam swoje pismo ręką - choć tyle razy mistrz zwracał mi uwagę, nie mogłam pozbyć się tego machinalnego gestu. Nie lubię, kiedy mi patrzą przez ramię. Tym razem mistrz przemilczał i poszedł dalej.

Rozejrzałam się. Enka, sapiąc, kreślił na arkuszu schemat samolatającej miotły. Ważek entuzjazmem zabrał się do ściągania z kopii zabranej mu kopii ściagi.

Patologiczna namiętność Ważka do ściągania nie dała się wyjaśnić. Nauczywszy się konspektu na pamięć, przeczytawszy jeszcze raz kupę podstawowej literatury i przejrzawszy górę dodatkowej, nie mógł oprzeć się pokusie zapisania maciupeńkich strzępów papieru zrozumiałymi tylko przez niego piktogramami. Prawie zawsze go łapali, zmuszali ciągnąć drugi zestaw i odpowiadać bez przygotowania. Ważek niezmiennie odpowiadał z blaskiem, zaskakując egzaminatorów.

Pół godziny później czyjeś nerwy nie wytrzymały i potykająca się figura błędnymi krokami podeszła do katedry, gniotąc w spoconych dłoniach zapisany po dwóch stronach arkusz.

- Z-z-zestaw 7. T-teoretyczne i pra... praktyczne podstawy telekinezy. - jękając się i oblizując zeschnięte wargi, adept przeczytał pierwsze pytanie i utkwiał oczy pełne straszliwej męki gdzieś w suficie.

Mistrz zachęcająco kiwnął Wanderowi, przeniósł spojrzenie z odpowiadającego na audytorium i ze zrozumiałym oburzeniem ujrzał tylko porzucane arkusza i pióra. Wszyscy adepci zgodnie zanurkowali pod ławki.

- C-c-co to jest?! - zadudnił gniewnie, uderzając kijem -

Natychmiast wyjść! Rodomir, Krienian, spójrzcie na to
bezeczeństwo!

Mistrz rozejrzał się i wzdrygnął się ze zdziwieniem. Przed stołami komisji sędziwi starcy kiwali głowniami magisterskich lasek. Niezdolność Wandera do praktycznej magii była plotką. Cała grupa spisywała od niego prace domowe, ale kiedy profesorowie wymagali odpowiedzi przy tablicy, adept gubił się, denerwował i mylił najprostsze zaklęcia, stanowiąc poważne zagrożenie dla społeczeństwa.

Mistrz pokręcił głową z niezadowoleniem, ale zauważyłam, że niepostrzeżenie poruszył końcem kija, stwarzając niewidoczny ekran Griundiela - obiektyw zaklęć.

- Można trochę wody? - żałośnie poprosił adept, docierając do części praktycznej pytania.

- Wlej wodę do szklanki za pomocą telekinezy. Niech to będzie twoją odpowiedzią. - stwierdził mistrz, mocniej ściskając dłońmi kij.

Wander skinął głową, zmarszczył brwi i spojrzał na dzban.

Najpierw woda zagotowała się.

Adept skupił się. Wrzenie ustało, wokół karafki zamarznął oskard lodu. Niemal natychmiast kryształowe naczynie pękło, lodowa kopia nadal stała na stole, a dookoła jej w bezdźwięcznym walcu zaczęła kręcić się chmara szklanych odłamków.

- Dosyć - natychmiast zainterweniował mistrz - Następne pytanie! Odłamki spadły z hukiem na podłogę. Niewzruszona sekretarka podniosła lodową karafkę i wytarła kałużę, która z niej powstała. Na szczęście, więcej pytań praktycznych Wanderowi się nie trafiło i on, ogromnie zadowolony z zakończenia koszmarnego egzaminu, szybko wybiegł z audytorium, trzaskając drzwiami.

Z zazdrością westchnęliśmy. Postanowiłam nie opóźniać wyroku i zajęłam puste krzesło przed katedrą. Mistrz zerknął na zestaw, kiwnął głową i wyczekująco spojrzął na mnie surowym wzrokiem spod groźnie zmarszczonych brwi. Na pierwszym roku zapomniałabym języka w gębie, na piątym - zadrżałby mi głos, ale na dziesiątym odpowiedziałam mu tym samym. Komisja, źle kryjąc napad śmiechu, zirytowała mistrza, który postukał kosteczką wskazującego palca po stole, wzywając do porządku. Dopóki odpowiadałam na pierwsze pytanie, arcymag mi nie przerywał i, zdaje się, całkowicie nie słuchał, studiując rozłożone przed nim wiadomości, i tylko z rzadka kiwał, bym nie pomyślała, że niby o mnie zapomniał.

- No dobrze - powiedział w końcu - Widzę, że w teorii lewitacji się orientujesz. Co masz na drugie pytanie? Psychosomatyczna blokada? Bardzo dobrze. Opuścimy zasady i charakterystykę, już trzecioroczni je znają, przejdziemy od razu do praktyki. Na mnie. Na nim?! Zostawić sztywnego jak trupa arcymaga, który na pewno

rzucił jakieś zaklęcia, a nawet urok odzwierciedla się na samym zaklęciu.

Obliziałam wyschnięte wargi, barwnie wyobrażając sobie, jak moje zdrętwiałe ciało będą wynosić z audytorium razem z krzesłem i położą pod fiskusem. Komisja, zainteresowawszy się, wynurzyła się z lekkiego czujnego uśpienia, w którym zwykle przeczekiwali egzamin. Mówiono, że podobno bakałarz Wierogor z katedry Ziellarzy przyzwyczał się nawet sypiać z otwartymi oczami, pochrapując z aprobatą w czasie szczególnie długich i nudnych odpowiedzi.

Najłatwiej wykorzystać do blokady powszechne zaklęcie Mirtona i nie wymaga ono zbyt dużej pracy. Można skorzystać z tworzywa sztucznego wzoru siedmiu zmiennych, w oparciu o elementy magii, ale zaklęcie to jest najbardziej kapryśne, nieprzewidywalne i wymaga gruntownej znajomości przeciwnika. Spojrzałam badawczo na mistrza, zastanawiając się, jakie słabe miejsca mogę wykorzystać w obronie. Najprościej wyczarować ciężki łom i zejść z tyłu...

Jest jeszcze jeden bardzo dobry i potężny czar... zbyt silny, nawet dla doświadczonego maga. Zaklęcie długie i dokładne, ale trzeba dokładać siły w częściach, a nie jednym impulsem na końcu.

Bardzo wygodna rzecz, kiedy masz czas odbudować magiczną rezerwę: spleść pierwszą część, odpocząć, spleść drugą -

aktywować i uruchomić. Ale jest mało prawdopodobne, że komisja będzie czekać dzień, gdy ja będę biec do najbliższego źródła siły... A jeśli przyjąć, że "lustro" mistrz już przygotował i wisi między nami, czekając na moją odpowiedź? Najprawdopodobniej jest skonfigurowane tak, aby odbić bezpośredni wpływ i niepełne zaklęcie przepuści. A później po przejściu przez "lustro", utknie za nim i tym samym zniknie.

Ale jeśli "lustra" nie ma... nie, nie da się uniknąć jesiennego egzaminu poprawkowego...

Połączyłam koniuszki wyraźnie drżących palców klasyczną sferą, udając, że zatrzymałam się na Mirtonie - ogromna pokusa dla przeciwnika umieścić "lustro", sama zaś mrocznie, absolutnie nie wierząc w sukces, wymówiłam po cichu zupełnie inne słowa i na wszelki wypadek zamknęłam oczy, by nie widzieć swojej hańby. Zaklęcie poszło, ale odbicia nie poczułam - albo spracowało, albo i tak nie dobudowało się. Do mnie przynajmniej nie wróciło. Minęła jedna męcząco-nieskończona sekunda. Potem druga. Odważyłam się otworzyć jedno oko. Mistrz z uwagą patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, lekko pochyliwszy się do przodu. Siedzący obok Almit nieufnie wyciągnął rękę i pomachał nią mistrzowi przed nosem.

Czułam się jakoś nieswojo. Adeptci, łowiąc chwilę, rzucili się ścigać rozpaczliwie. Wążek uroczyście wyjął zza ucha małe kulki

papieru, które natychmiast rozwinął się w konspekt "Teoria i praktyka pracy z przestrzenią", rozłożył go na kolanach i przerzucił stronami, koncentrując się na rozdziale "Manipulacja rozmiarami".

Bakalarze poczekali dla przyzwoitości parę minut, ale nic się nie zmieniło, poza tym, że hałas w audytorium zrobił się jeszcze większy - adepci pospiesznie wymieniali się wiedzą.

- Wolha, dodatkowe pytanie - odkaszlawszy, powiedział Krienian - Co wiesz na temat zniesienia blokad psychosomatycznych?

Żałośnie spojrzałam na bakalarza, z opóźnieniem przypominając sobie, że rozwiąć rzucone przeze mnie przekleństwo może tylko egzorcysta lub jego ofiara, przy czym całkiem opadałam z sił, a mistrzowi z jakiejś przyczyny nie spieszyło się pokazać swoich umiejętności.

- No, biegnij do sali źródła, tylko szybko - zdecydował przenikliwy Almit

W pośpiechu przewróciwszy krzesło, zerwałam się z miejsca i jak strzała wyleciałam za drzwi. Odbudowanie rezerwy zajęło mi około piętnaście minut, a po powrocie do audytorium egzamin bardziej przypominał bibliotekę - na wszystkich ławkach leżały stosy luźnej pomocniczej literatury, z wiszącego przed Temarem kryształowego sześcianu dochodził czyjś nosowy głos, dyktujący osiemnaście różnic pomiędzy upiorem a wampirem. Komisji nie

było wśród adeptów - otoczyli mistrza, ale bez powodzenia starali się ustalić, co i jak z nim zrobiłam. Na mój widok bakałarze pospiesznie zajęli swoje miejsca, ze zmieszaniem szacunkiem kaszłąc w pięści.

Po usunięciu blokady, skuliłam się w kłębek, czekając na grzmoty i błyskawice, ale mistrz, jak gdyby nic się nie stało zaśmiał się z aprobatą, niedbale pokreślił w oświadczeniach, i pozwolił sobie na krótką przerwę, wychodząc na chwilę z audytorium. Pytanie na temat historii rozwoju magii przejął na siebie Almit, inni bakałarze zgodnie zasnęli.

- W którym roku przed naszą erą zmarł szanowany arcymag Kaputsy? - przymilnie zapytał się absolwent Szkoły, uśmiechając się pod brodą.

Doskonale wiedząc, że na trójkę już zapracowałam i nic niżej Almit i tak mi nie postawi - zbyt świeże miał wspomnienia swoich własnych problemów na egzaminie państwowym, zgubiłam resztę strachu i nawet nie spróbowałam przypomnieć sobie, bezczelnie zaproponowałam:

- W 341 roku.

- A dlaczego tak nieszczęśliwie? - zainteresował się bakałarz

- Z czego tu się cieszyć...

- Owszem. W 341 roku arcymag nie żył od niespełna dwóch stuleci - szczerze współczując powiedział bakałarz

- Więc spoczął przed czasem... Skąd wiecie, ile by on jeszcze przeżył?

Almit tylko westchnął tęsknie wyglądając przez okno, przed którym wypuszczał pędy stary kasztan. Na ulicy kwiliły ptaki, słońce świeciło jasno, a historii rozwoju magii Almit i tak sam nie pamiętał.

Mistrz zniesmaczony wrócił na egzamin.

- Wolha, ostatnie pytanie... skup się, od niego zależy twoja ocena. Nieufnie spojrzałam na wykładowcę, oczekując jakiegokolwiek podstępu.

- Więc pytanie... co ci postawić?

- Piątkę! - radośnie wypaliłam

Almit westchnął i podpisał oświadczenie. Wszystkich oświadczeń było cztery, po liczbie członków komisji, a co postawili mi inni bakałarze pozostało tajemnicą do początku balu maturalnego.

Ale nikt nie wątpił, że zdałam egzamin.

Rozdział 3

Do wieczora cała szkoła wiedziała, że zaczarowałam mistrza.

Wersji było trzy: albo się poddał, albo udawał, by podciągnąć

ocenę ulubionej uczennicy, albo mi się rzeczywiście poszczęściło. Zresztą, były już kawały mniejszego formatu - rok wcześniej ktoś wyhodował egzaminatorowi rogi, tak dobrze, że trzeba było je spiłować ręcznie. W pamięci Almita, miłośnika mrocznych historyjek z życia, dotąd nie było wiadomo, gdzie zniknęła Komisja, która pojawiła się tydzień później, ale gdzie ją nosiło, nie chciała się przyznać; ale jeszcze nikomu nie udało się zrobić tego z Mistrzem.

Po kolacji nigdzie nie wychodziłam - wróciwszy do pokoju, natychmiast padłam na łóżko i zasnęłam kamiennym snem. Welka próbowała mnie obudzić, ale, według niej, łatwiej było wskrzesić nieboszczyka i tylko ona wiedziała w jakim sensie. Po szkole natychmiast zaczęły krążyć gorsze pogłoski; nikt nie wątpił, że padłam ofiarą zemsty Mistrza. Kolejne opinie były podzielone: ktoś wysłał mnie na długoterminowe zwolnienie, ktoś usunął bez prawa przywrócenia; najserdeczniejsi zamknęli w karczerze z kuchennym nożem i workiem ziemniaków. Zwłaszcza wyróżniała się jedna z Pytii (jak się później okazało, zawałiła całkowicie egzamin) - mówiła, że wewnętrzne oko pomogło jej zobaczyć moje martwe ciało, potajemnie zakopane pod kasztanem. Następnego ranka obudziłam się z ciężką i jakże pustą głową, jakby w pośpiechu zawarte w niej informacje z czystym sumieniem opuściły niewygodne miejsce zaraz po egzaminie.

Welki w pokoju nie było, a ze szczeliny pod drzwiami wiało zapachem gotowanej pokrzywy i trupiego jadu, więc od razu poczułam głód. Oczywiście, ani jednego, ani drugiego nie wzięła bym do ust, ale tak zwykle pachniało z naszej lodówki, gdzie oprócz produktów spożywczych przechowywane były mikstury Welki i moje zadania domowe z nekromancji.

Niestety, lodówka nie spełniła moich oczekiwań - czy to Welka przerzuciła się na kolejną dietę, korzystając na braku mojego zdrowego apetytu, czy też przeciwnie, była tak zajęta gromadzeniem sił, że zjadła wszystko do ostatniej okruszyny. Po posiłku szkolna stołówka została zamknięta aż do wieczora, by przygotować ją do końcowego bankietu. Nikt, oprócz mnie, z tego powodu nie przeżywał, Szkoła pogrążona była w niezwykłej ciszy: młodszy adepci rozjechali się na wakacje, Pytie i praktycy od poprzedniego wieczora świętowali zdany egzamin. Zielarzy zaś jeszcze nie było - z audytorium żaden dotychczas nie wyszedł. Porzuciłam czerne myśli i postanowiłam zjeść śniadanie w "Wesołym Bysiu". Zaczepnąwszy otuchy po lodowatej wodzie, ubrałam się, nabazgrałam w prawym dolnym rogu drzwi runa do Welki i gwizdząc pod nosem, zbiegłam po schodach. Ale tam czekała na mnie pułapka. Mistrz wyszedł zza rogu, tak niespodziewanie i bezszelestnie, że ledwo powstrzymałam się od egzorcyzmów. Wymknąć się prostym "dzień dobry" nie udało mi

się, Mistrz z właściwą sobie prostolinijnością złapał mnie za rękę, nie dając mi prześlizgnąć się obok:

- Wolha! Właśnie ciebie mi potrzeba! Idziemy do mojego gabinetu.

Nie zdążywszy zaproponować, potulnie powlokłam się jego śladem - a dokładniej, za swoją wyciągniętą ręką. Amulet Lena, chroniący przed niechcianym czytaniem w myślach, wisiał mi na szyi, ale biegly w telepatii Mistrz takiego nie potrzebował, a ja nadal usychałam z ciekawości - po co było mu to potrzebne?! Jak ja mogłam to zrobić?!

Ale, o dziwo, nie chodziło o egzamin. Przynajmniej na początku. Zatrzasnąwszy drzwi gabinetu, mag wskazał mi krzesło, sam zaś stanął za stołem, nie siadając. Stał obok, opierając się rękami o wytarty dębowy blat i przenikliwym, ojcowskim głosem, od którego po plecach przeszły mnie ciarki, powiedział:

- Czy myślałaś już o swojej przyszłości?

Z wysiłkiem zwiększyłam obroty pracy mózgu, ale wyszedł mi tylko potworny grymas na twarzy.

- Nie błaznuj - upomniał mnie Mistrz, jak zwykle marszcząc przy tym brwi. - Skończyłaś już naukę. Teraz czas na praktykę. Gdzie zamierzasz ją odbyć?

- W Dogewie, oczywiście! - zdziwiłam się, bo znał prawdę.

- Nawet nie marz - uciał mag.

- Niby dlaczego? - z oburzeniem zerwałam się z krzesła i oparłam dłoń na biurku po przeciwnej stronie. - Czy nie otrzymaliście jeszcze zamówienia na młodego specjalistę?

Mistrz wyraźnie się zmieszał, ale odparł bez mrugnięcia okiem:

- Zgłoszenia od innych państw, Szkoła rozpatruje w ostatniej kolejności i tylko w przypadku braku wewnętrznych miejsc.

- Ale dla mnie ma to ogromne znaczenie! - nie poddałam się, w zapomnieniu wałam pięścią w biurko. - Bo co? Znaleźli się inni chętni na moje specyficzne usługi?

- Na dworze pojawiło się wolne miejsce. - krótko powiedział

Mistrz

- Na jakim dworze?

- Na królewskim, oczywiście - Mag zdjął ręce ze stołu, obawiając się, by następny cios nie trafił w jego dłoń - Dorost przeszedł na emeryturę, król potrzebuje nowego maga.

- No i co?

- Rekomendowałem cię.

- Dlaczego? - powiedziałam tęsknie pomyślawszy, że rekomendacje Mistrza były wyłącznie przeciw mnie.

- Nie zadawaj głupich pytań. Jesteś najlepszą absolwentką, jedyną kobietą na wydziale Magii Praktycznej... i bardzo atrakcyjną - nieśmiało zakaszłał, ale zaraz spoważniał Mistrz - Według mnie, po prostu idealna kandydatura.

- Nie mniej idealna i dla Dogewy. Ponadto, w odróżnieniu od króla, Lena moja "atrakcyjność" interesuje w ostatniej kolejności.

- Jesteś taka pewna? - ironicznie zapytał Mistrz i w tym samym momencie dał wyraz słusznemu gniewu - Idiotyczne brednie!

Normalnych bab chlebem nie karm, daj posadę na dworze, a jeszcze nosem kręci! A jakie są u ciebie perspektywy w Dogewie?

Najważniejsze w naszym rzemiośle - stworzyć pewną reputację.

Jeśli magiczka, najmując się do pracy, niedbale rzuci: "Kiedy praktykowałam na dworze...", pracodawca podskoczy z zachwytem.

Z związku z tym, poskoczy i honorarium. A teraz wyobraź sobie,

że w twoim CV na pierwszym miejscu stoi Dogewa. Powiedz

dziękuję, jeśli wykręcisz się od kopniaka w tyłek, bo to i kołkiem mogą zrobić!

- A dlaczego niby, mam szukać pracy, skoro w Dogewie czeka na mnie stałe miejsce?

Nauczyciel spojrział na mnie zdziwiony i zapytał z przerażeniem:

- I ty byłąbyś zdecydowana zamieszkać na całe życie w wampirzym kraju?

- Lepiej w ich kraju, niż na waszym królewskim dworze! -

zdenerwowałam się - Plotki, intrygi, tanie sztuczki i trucizny bez recepty na każde zawołanie króla! Gdzie przygody, które wejdą do

legend, wierni przyjaciele, znajomością z którymi można się

chwalić, wyczyny, o których bez wstydu można opowiadać

dzieciom?! Lepiej po tym układzie będę machać mieczem!

- Tam będziesz miała wyczynów ile tylko zapragniesz! - zawołał Mistrz, gwałtownym ruchem popychając biurko. Ledwo zdążyłam uskoczyć do tyłu. - Wystarczy przejść przez praktykę, stworzyć sobie odpowiednie warunki, jakieś oparcie w życiu, gdy wracając z kwitkiem, mieć gdzie wracać! By nie znaleźć się obok pustego koryta, rzucając się na oślep w wir! Popracuj jako nadworna magiczka, zdobądź imię, zachowaj monetę, która z domu wyniosłaś, a później dokonuj sobie wyczynów na zdrowie! Trzeba przyznać, że w jego słowach było trochę gorzkiej prawdy. Ukończywszy Szkołę, miałam dyplom, dwadzieścia polecających listów i konia, którego spłacałam w ratach.

- Konia bez praktyki nie otrzymasz - mściwie rzucił Mistrz, trafnie odgadując mój tok myślenia - Jest spłacany z państwowych pieniędzy. Lataj sobie na miotle, jak ostatnia wiedźma!

- Ale to mój koń! - zaprotestowałam. Nowego konia dostałam rok temu, by zastąpić go za Stokrotkę, co zginęła w bagnach. Szara Smółka specjalnych atutów nie miała, ale lepszy rydz niż nic.

- Koń należy do Szkoły i został ci pożyczony, zauważ, czasowo! Ale pomyśl, co jest takiego złego w życiu na dworze? Szacunek, lekka praca, wysoka pensja, dwupokojowy apartament obok królewskiej komnaty. Przechodzisz przez niektóre szkolenia i dwa lata później wykupisz swoją Smółkę, a tymczasem póki możesz...

- Dwa lata sypiać w sąsiedztwie z królem?! A jeśli on przyzwyczai się pukać do moich drzwi co noc?

- To ty nie otwieraj - poradził poważnie Mistrz - Popuka, popuka i sobie pójdzie.

- Pójdzie sobie, jasne! Najwyżej wróci ze strażą!

Oburzyłam się z całkowicie zrozumianej przyczyny. Trzecim królem Belorii po tradycyjnych durniach i głupcach został książę Nahum, który objął tron około siedem lat temu i do tego czasu zdążył już zniechęcić do siebie wszystkich obywateli Belorii. Lud Nahuma, na jego szczęście, okazał się zaskakująco cierpliwy i pobłażliwy, traktując wszystkie intrygi monarchy, jako zło konieczne. W każdym innym królestwie dawno już zostałyby otruty lub, co gorsza, z hańbą wyrzucony z pałacu. Ledwo objąwszy tron, Nahum rozpoczął swoje panowanie od ataków na sąsiednie królestwo - Vinessu. Był pewny siebie, ale dał przykład niepowodzenia. Wykupiwszy się solidnym kawałkiem ziem przygranicznych, Nahum zaniepokoił się i zwiększył podatki, byle tylko zrekompensować stratę dochodów z kopalni miedzi (przekazana Vinessu wraz z ziemią). Prosty lud, któremu obojętnie było dla kogo pracuje, porównał koszty utrzymania w Belorii i Vinessu, przechylił szalę na korzyść tej ostatniej, zapakował na wozy wszystkie manatki i zaczął po cichu emigrować do Vinessu, zajmując wolne ziemie.

Król pospiesznie obniżył podatki, ale zrobiło się jeszcze gorzej - nie wiedząc czego spodziewać się od nieprzewidywalnego monarchy i z przyzwyczajenia czekając na gorsze, chłopcy porzucali Vinessu całymi tłumami. Gospodarka zmniejszyła się, ale na szczęście dla Nahuma, Starmin zalali uchodźcy z Atrii, niewielkiego północnego królestwa, gdzie na tronie zasiadał nie mniej nedorzeczny król. Nie zdążyli jeszcze zadomowić się w nowym miejscu, gdy pewny siebie Nahum, ponownie podniósł podatki i uchodźcy niezwłocznie udali się za rdzenną ludnością. Oprócz tego Nahum wprowadził reformę walutową (dwukrotnie, pozbawiając wartości belorskiego kładnienia), przyjął ustawę na ziemiach kościelnych (z błogosławieństwem Vseradetelya, głównego duchownego, Nahum ogłosił ogólną klątwę, proklamowaną trzy razy dziennie we wszystkich świątyniach), wprowadził i od razu zlikwidował prawo pierwszej poślubnej nocy (ze względu na katastrofalny wzrost chorób przenoszonych drogą płciową), wymyślił dodatkowy podatek na konie (nieszczęśliwe zwierzęta ogarnęła epidemia), a także dokonał dużo innych, nie mniej sławnych czynów, które pogrzyły wybitne umysły Starminu w głębokiej depresji.

Uczciwie wyłożyłam Mistrzowi opinie o pracodawcy, wypróbując na sobie wszystkie uroki psychosomatycznej blokady. Nie mogłam kiwnąć nawet palcem, bo Mistrz biegał po

pokoju, z oburzeniem rozwiewając brodą i podnosił ręce do sufitu, jakby zachęcając Najwyższy Umysł by podziwiali mojej głupoty - znaczy, nie może być dla magiczki większego szczęścia, niż możliwe do uzyskania na dworze i spełnianie królewskich kaprysów.

- Kiedy będziesz w moim wieku, to pojmiesz, że chciałem dla ciebie jak najlepiej!

- A jeśli nie dożyję? - Było mi potrzebne w sumie kilka sekund na zlikwidowanie zaklęcia, którego Mistrz w żaden sposób się się nie spodziewał: urwał w połowie zdania i spojrzał na mnie oszołomiony.

- Tak szybko poradziłaś sobie z neutralizacją?!
Zawstydzona kiwnęłam głową.

- Ale to... wspaniale!

Spojrzałam ponuro na Mistrza, nie dzielając jego entuzjazmu. Żeby tak wpaść, dyplom z wyróżnieniem. Gdybym była trójkową magiczką, już jechałabym do Dogewy, to cała kadra pedagogiczna płakałby z radości - chwała Bogu, uwolnili się wreszcie! Ale nie, naszemu jaśnie wielmożnemu królowi dawano towar pierwszego gatunku!

- Całe dwa lata! - nie mogłam się uspokoić. - Najlepsze lata - królowi pod ogon!

- Dlatego że lepsze, bo zabezpieczone - z fałszywym optymizmem

zapewnił mnie arcymag. - Nie będzie praktyki - nie będzie zapisu w dyplomie. Nie będzie zapisu - nie będziesz mogła zostać oficjalnie magiczką. Z dogewskim zapisem - tym bardziej.

- A czy nie można skrócić termin? Chociażby przed jeden rok?

- Za późno. Szkoła zawarła przez moją osobę kontrakt z królem.

Nie może być zerwany przez ciebie.

- A nas?

Wyznał wysokość kary. Z podziwem gwizdnęłam. Wątpliwe, czy udało by mi się zbierać taką sumę i przy pięciu latach podobnej służby. Tym bardziej, że dużo słyszałam, że uczciwa praca jest w pałacu opłacana bardzo źle, a od brania łapówek i przymykania na to oczy, czułam wstręt.

- Kiedy miałabym przystąpić do tej, pożałuj Boże, pracy?

- Od jutrzejszego dnia.

- Co?! - poczułam się jeszcze gorzej - A uroczystość ukończenia szkoły?!

- Przecież jest dzisiaj wieczorem - ze zdumieniem poruszył brwiami Mistrz.

- No właśnie! A jutro rano będzie koniec!

Stary mag potrząsnął głową z dezaprobatą:

- Co jest ważniejsze - zabawa czy pierwsza prawdziwa praca?

- Ja na tą zabawę czekałam dziesięć lat! Ze względu na nią do Szkoły wstąpiłam!

- Posłuchaj, głupia dziewczyno, idź ty stąd, póki ciebie w pierwszoklasistę nie zmienilem, co gorzej dla kogoś - ze zmęczeniem powiedział Mistrz - Było trzeba wcześniej myśleć. Wykłady opuszczaj, uczyć się na dwójkach. A teraz bądź tak dobra odpowiadać tytułowi dyplomowanego specjalisty. Ze złością odwróciłam się na pięcie i prawie podbiegłam do drzwi. Jeszcze nie wiadomo, kto kogo zmieni! Oj, pośpieszyłam się z odejściem; Mistrz stał przy rzędach wypchanych kukieł z musem, do których przyprawiano wycieczki.

- Chwila, jeszcze jedno...

Zatrzymałam się w drzwiach, zbyt wściekła, by obejrzeć się za siebie.

- Co do egzaminu - postawiłem ci "celujący". Świetnie. Nie spodziewałem się... odrzuciłaś kilka prostych sposobów i oczywistych rozwiązań! - Mistrz zaśmiał się z aprobatą. - Byłem pewny, że nie skorzystasz z Mirtona. Nawet lustra nie podniosłem. A niepotrzebnie, jak się okazało.

Zanim zdążyłam zastanowić się nad tymi słowami, zatrzasnęły się drzwi, uderzając mnie w tyłek.

Bal maturalny był beznadziejnie zepsuty. Nie cieszyłam się na

widok jedzenia, ani na po raz pierwszy dozwolony chmiel, ani na nową srebrzysto-ciemnoniebieską jedwabną suknię, uszytą przez dogewskie krawcowe - pożegnalny prezent od Lena, który wzbudził mściwą zazdrość w dobrej połowie absolwentek (być może, ta połowa nie była wcale taka dobra). Inspirujące i wzniosłe słowa Mistrza, opisujące uroki oczekującej nas pracowitej drogi, nie wzbudziły we mnie oczekiwanego entuzjazmu.

Powstrzymałam się od oklasków - sufit balowej sali i tak mógł runąć - i po cichu wymknęłam się na zewnątrz. Zdjęłam uciskające mi stopy pantofle, przeszłam się gołymi nogami po ciepłej ziemi, przystanąłam przy ogrodzeniu, wpatrywałam się w gwiazdy i ruszyłam w głąb ulicy, słabo widocznej nawet przy świetle księżyca.

- Melanchhholia, kochhhanie? - współczująco syknęło za mną. Nade mną wisiała czarna góra z lśniącoymi oczami węża. Smok poruszył końcem ogona, podninając mi nogi. Roześmiawszy się, klapnęłam na śliską łuskę i chwyciłam wygięte płaty z jednej strony grzbietu.

- Melancholia?! Owszem, płonę słusznym gniewem! Patrz, żeby tobie nie stopił się ogon!

Ognioodporny smok tylko prychnął, kładąc głowę obok mnie. Wyciągnęłam rękę i podrapałam myakenkuyu, drobną ligaturę srebrzystych łuseczek na brodzie smoka. Lewark z zadowoleniem

zmrużył oczy.

- Wszystko posztanowione, maleńńka... Co to dwa lata?

Bzsssdury, zwałsszcza dla wampirów i magów. Wrócissz do ssswojej Dogewy, nie ucieknie ci...

- Gdyby to było takie proste! - Westchnąłam, bezwstydnie wykorzystując ogon smoka jako kanapę. - Po pobycie w Dogewie coś się we mnie zmieniło, Lewark. Zimą siedzę w pokoju i myślę: jak tu dobrze, przy ognisku, jak przyjemnie spędzić kilka dni pod kołdrą, porozmawiać z przyjaciółmi, przespacerować się po rynku, kupić coś smacznego... A latem chcąc uciec z domu, gdzie oczy poniosą - przejść się kilkanaście mil po pustynnej drodze, posiedzieć nad brzegiem jeziora, posłuchać szumu fal, zdrzemnąć się na skraju lasu... I absolutnie nie robią mi wyrzutów, ani na temat mojej reputacji, ani przyszłości czy posady na dworze. Chcę iść do przodu. wszystko jedno - dokąd. Wszystko jedno - po co. Tylko do przodu. Wracać z Dogewy? Tak! Ale jeszcze bardziej chcę tam wracać. Wracać i znów odchodzić. Z resztą, sama tak naprawdę nie wiem, czego chcę. Z pewnością, to ja i moje kłopoty...

- Wiesssz - smok zasyczał cicho, bez otwierania paszczy - Sssama wszysstko sssobie wyjaśśniłaś. Po prosstu jesszcie się nie pogodziłaśś.

- Z czym? - zapytałam ostrożnie.

Smok uśmiechnął się. W ciemności zamigotały jego ślepia.

- Masz pięęękkne oczy - zawarczał - zbyt pięęękkne... Nie martw się, dziewczynko, wszysstko będzie dobrze. Będiesz śliccczną magiczką-praktyczką...

- Praktyk, jasne... - powtórzyłam rozdrażniona - W ciągu dwóch lat stracę wszystkie nawyki, nie odróżnię wampira od zombi, komu ja taka potrzebna będę?! Większość wiedźm zlekceważyłaby taką "świetną" robotę... Wiedźma... Wiedźma!!! Żyjemy, Lewark!

Rozdział 4

Od tej próby będzie zależała moja przyszła kariera. Nic dziwnego, że przygotowywałam się do niej od wieczora. Zmoczyłam włosy piwem, ale ani nie rozczesywałam ich, ani nie zaplatałam w warkoczyki. Rano miałam na głowie wielki kołtun skierowany w lewo – najbardziej pracowity krowi jęzor nie doprowadziłby ich do takiego stanu. Na makijaż (żółtoszary puder, czarna pomadka i fioletowe cienie) straciłam chyba z godzinę, ale opłaciło się – moja skóra miała niezdrowy, trupi odcień.

Poszukiwania odpowiedniego stroju trwały długo. Na szczęście Welka nie wyrzuciła starej, szarej bluzki wypačkanej sadzą (owinęłyśmy nią miotłę i czyściłyśmy komin). Zamiast spódnicy założyłam ścierkę do podłogi i omotałam się sznurkiem. Na szyję

powiesiłam korale z suszonych chrabąszczów (wyproszonych u dzieciaków z wydziału Brodźców), z braku bransolety nawlekłam na nitkę mysie czaszki, a na szyi powięzałam zalotnie wypchane cielsko żmii.

Przejrzałam się w lustrze. Czarodziejki oburzają się o nazywanie ich wiedźmami, ale ja z moim obecnym wyglądem uznałabym to za komplement. Do tego wyszła ze mnie tak obrzydliwa wiedźma, że kot drzemiący na fotelu, nastroszył się i zwiął pod łóżko.

Musiałam, dosłownie, na kolanach prosić go, by raczył zostać moim asystentem. Bo co to za wiedźma bez kota?! Kot widać godził się, że żadna ze mnie wiedźma i moje towarzystwo może zgubnie wpłynąć na jego reputację przyzwoitego myszołapa. Nie namyślając się długo, chwyciłam Mruczeka za kiwający ogon.

Zachęcając gestem i mruczeniem, byłam niezdolna do kompromisu ze zwierzakiem. Złowiłam wędką ze skrzyni chłodzącej wczorajszy kotlet schabowy i pomachałam nim kotu przed nosem. Mruczek zachłannie oblizał mordkę, ale z kryjówki nie wylazł. W zamyśleniu odrzuciłam kotlet, przypominając sobie o telekinezie i po kilku sekundach kot znalazł się w moich rękach. Powiedzenie, że poddał się bez boju, byłoby niemałą obrazą dla tak sławnego bojownika, jakim był nasz Mruczek.

Moje triumfalne wyjście ze szkoły nie zostało niezauważone – u wrót stał Almit, który objaśniał luksusowo ubranej damie z

wrzeszczącym dzieckiem, że jej dziecię, niewątpliwie posiada wszystkie możliwe i niemożliwe do wyobrażenia talenty, prócz magicznego, dlatego nie może być przyjęte do Szkoły. Nawet odpłatnie.

Na widok wiedźmy spór momentalnie ucichł.

- Kto to? – spytała wstrząśnięta dama, na wszelki wypadek przyciskając do siebie genialne dziecię.

- Nasza najlepsza absolwentka – spokojnie odrzekł Almit.

Uśmiechnęłam się szeroko, odsłaniając poczernione węglem zęby. Nie tracąc czasu na pożegnanie, dama chwyciła dziecko za fraki i rzuciła się do ucieczki przed wątpliwymi urokami magicznego wykształcenia.

Do pałacu szłam pieszo i boso, niezbyt starannie obchodząc kałuże. Ściskany pod pachą kot beznadziejnie wył na jednej nucie. Nieliczni poranni przechodnie wskakiwali w zaułki, wołąc nie ryzykować spotkania z wiedźmą na wąskiej drodze.

Na mój widok nie ucieszyli się także strażnicy. Skrzyżowali cienkie kopie i uprzejmie zainteresowali się celem mojej wizyty. Pokazałam im zabazgrany przez nauczyciela pergamin i wcielając się w rolę, złowrogo szemrałam pod nosem coś niezrozumiałego, pocierając przy tym dłonie. Kopie nie rozstały się, a wręcz rzuciły w przeciwne strony. Pod opuszczonymi hełmami donośnie szczękały zęby.

Trafiłam akurat na śniadanie – w drodze do sali tronowej minęłam tylko dwie służące - jedna zemdląła, a druga pospiesznie ukryła się za gobelinem. Wyszyte na nim morze realistycznie zafalowało, ryba nieruchomo pływała do góry brzuchem na grzbiecie fali. Przed drzwiami prowadzącymi do sali też czekała straż, lecz ja, nie zatrzymując się otworzyłam drzwi na oścież spojrzeniem i przeszłam obok osłupiałych strażników.

Jego wysokość siedział przy końcu stołu na połączeniu krzesła z tronem – wysokie, luksusowe oparcie ozdobione szafirami i dość proste siedzenie, nawet bez podłokietników. Małe naumowe oczka były tłusto zmrużone, wysoka korona z powodzeniem maskowała łysinę. Obręby purpurowej, haftowanej w złote lilie togi, leżały na podłodze. Ciężka, na pewno aksamitna. Z tyłu, po obu stronach królewskiego siedzenia stały faworyty – blondynka i brunetka, które czule uśmiechały się do pleców Nauma. Najpierw pomyślałam, że obrabowano je na dużym trakcie, lecz po chwili dostrzegłam, że ten brak materiału na kuszących ciałach to zupełnie normalne zjawisko. Materiału zwyczajnie nie było za mało. Widocznie tkanina spelzła, przykrywając absolutnie nieciekawe części ciała, bo to, co przykrywa się na plaży, było wystawione na powszechny widok prócz pary kłaczków i trzech wiewiórek.* Po lewej stronie króla, z wydatnymi usteczkami, nieprawdopodobnie prosto, jakby połknęła kij, siedziała lalkowato

piękna królowa Weronika – prawowita małżonka króla. Jasną kędzierzawą perukę zdobił szafirowy diadem. Zamglone, niebieskie oczy ślizgały się po chytrych dwórkach, które podierały ściany czekając na sygnał do rozpoczęcia uczy. Na rękach jej wysokości drzemał srebrzysty mopsik ze zmarszczonym pyszczkiem. Musiał drzemać zanim weszłam. Jednak mój widok nie był snem. Zerwawszy się spiesznie przerażony piesek zeskokczył na podłogę i ukrył się pod królewskim krzesłem, za zasłoną zwisającej togi.

Brwi króla podnosiły się, jak most zwodzony, zanim przyjęły ostateczne pionowe położenie. Ucichły szepty i rozmowy.

Dygłęłam koślawo. Kot instynktownie wbił pazury w moje ramię i wiele mnie kosztowało powstrzymanie się od niecenzuralnego okrzyku. Gorzko pożałowałam, że nie wybrałam mniej kłopotliwego towarzysza niedoli – powiedzmy, gawrona. Gawrony też robią niezłe wrażenie jako dodatek do wiedźm, często są brane za kruki - zwiastuny śmierci, a ochryple, ponure krakanie dodaje aury złowrogiej tajemniczości. Niestety, przez mój wygląd nie tylko gawrony, lecz również o wiele bardziej moralne kawki, rozlatywały się z krzykiem, nie oglądając się.

Kot postanowił się zrehabilitować. Rozdziawił mocno uzębioną paszczę i mrocznie zamiauczał przez nos. Dworzanie odsunęli się z jękiem, królowa Weronika zasłoniła się wachlarzem. (Taki kot też

niczego sobie! – pomyślałam mściwie). Kończąc wypowiedź, Mruczek zeskoczył na podłogę i dumnie przedefilował do stołu. Ludzie spieszenie rozstępowali się schodząc mu z drogi. Spod krzesła zapiszczał bojaźliwie mopsik. Kot powstał chwilę przed tronem świecąc na króla oczyma, po czym lekko wzbił się na stół i wbił łapczywie zęby w skrzydło ogromnej pieczonej gęsi.

- Wasze zdrowie, wasza wysokość – powiedziałam, drapiąc się w tył głowy po czym uważnie obejrzałam żółte przyklejane paznokcie. Pokazałam, że coś tam utkwilo i zrzuciłam to na podłogę (nawet kulista błyskawica nie dałaby lepszego efektu), odważnie odsunęłam krzesło (z którego spieszenie zszedł pierwszy minister), zajęłam miejsce obok króla, zarzuciłam nogę na nogę i zajęłam się podszczyptywaniem faworyty. Zahartowana dworskim życiem blondynka mocno przygryzła usteczka i nawet nie pisnęła.

- Ja tu... ten... z szabatu... Mości panie – wyjaśniłam.

Otworzyłam najbliższe stojące wino uderzając pięścią w dno.

Okazało się słodkie i mocne. Czknęłam, nachyliłam się do króla i szczerze napełniłam jego puchar z upitej butelki. – Może, wasza królewska mość, wypijemy za owocną współpracę? W

dzisiejszych czasach król musi mieć maga – wszędzie wrogowie!

Zamaszyście potraçałam puchar butelką – wino chlupnęło na stół i cienką strużką popłynęło królowi na kolana. Upiłam jeszcze odrobinę demonstracyjnie bulgocząc płynem w gardle. Kot dławiał

się gęsią, wydając przy tym rżące i chrupiące dźwięki.

- No, kto tu nas nie szanuje?! – zmierzyłam dworzan okrutnym spojrzeniem i stanęłam przed królem patrząc mu prosto w oczy. Władca nie omieszkał uczciwie zaświadczyć o bezgranicznym szacunku i wyrazić szczerą radość z mojej obecności przy tronie. Przyszło mi do głowy, żeby potargać królową za perukę, ale zdecydowałam się nie przeginać. Z kobietami lepiej nie zaczynać – jej nie wzburzę, ale dziesięciu królewskich strażników weźmie na piki bezczelną wiedźmę, zanim ta zdąży zmienić ich w robaki. Wiedziałam, na co ich stać. Strusiołaty król nie chciał ryzykować swojej cennej główki, jak i psuć stosunków z Konwentem Magów. Zauważyłam, że za wachlarzem królowej podryguje uśmiech. Jej wysokość doskonale zorientowała się w sytuacji. Kątem oka mrugnęła do mnie porozumiewawczo i jeszcze głębiej ukryła się za wachlarzem. Z trudem powstrzymując czułe mrugnięcie jako dyplomowana wiedźma postarałam się zrobić możliwie bardziej „przychylnie” wrażenie:

- Posiadam dziwne trucizny, – wyszeptałam złowieszczo monarsze do ucha – o natychmiastowym i opóźnionym działaniu. Jedna kropla – i po miesiącu wasz nic nie podejrzewający wróg skona w męczarniach...

Dworzanie ożywili się. Wyraźnie porozumiewali się z sąsiadami po czym, blednąc, odsuwali puchary.

Król zbladł. Z pomocą przyszedł mu minister obrony, który wprost palił się do zapisania maga-praktyka w rzędy prawych obrońców królestwa.

- Powiedzcie, Wolha, macie jakieś doświadczenie w zawodzie?
Spuściłam skromnie głowę:

- Tak, ale to takie drobnostki: wykończyłam dwóch arcymagów, rozerwałam na kawałki z pół setki zombi, zniszczyłam waldacze miasto i przez kilka miesięcy odbywałam staż w Dogewie.

- D-d-Dogewie?! – zakrztusił się król – A wampiry? Nie pogryzły was?

- Że co?! – udałam oburzenie – Toć wampiry sama dobroć! Nie przywiązujcie wagi do głupiej plotki, że niby czasem łażę po nocach z zakrwawioną siekierą w rękach. Osobiście nic takiego nie pamiętam.

Minister zbladł i chyba stracił ochotę na dalsze przesłuchanie. Nie można dopuścić bym wspomogła prawdopodobnego przeciwnika.

- A umiecie przygotować glamarię? – nieśmiało zagadnęło ładne dziewczę siedzące przy końcu stołu. Ot już kto nie potrzebował stymulatorów piękna, chyba, że ona zdążyła posmarować się nimi przed kolacją.

- Oczywiście. – odpowiedziałam, kokietliwie poprawiając "lok" – Sama smaruję się nią regularnie.

- A przepowiadać przyszłość? – zapytała piskliwie chuda dama z

haczykowanym nosem.

- Ze zdechłych szczurów [ciepłemu drakonjemu uwagę i ludzkim wnętrzom], w obecności zamawiającego – wyliczałam. – Mogę także połączyć różne zioła w eliksir młodości z osiemdziesięcioprocentową gwarancją.

Podstarzali lubieżnicy ożywili się.

- Dwadzieścia procent na wynik śmiertelny. – dodałam mściwie.

Nie otrzymałam żadnych zamówień na medykamenty. O nic mnie już nie pytano. Szybko zakończywszy i tak nie zaczęte śniadanie, ze wszystkimi honorami odprawiono mnie z pałacu.

Kota wynieśli na aksamitnej poduszce. Musiałam wziąć go na ręce – posadzony na ziemi nieczemnik żałośnie miauczał za mną nie ruszając się z miejsca. Sądząc po rozmiarach jego brzucha, Mruczek zżarł całą gęś i z trudem sięgał łapami do ziemi.

Po raz kolejny płosząc przechodniów, wróciliśmy do Szkoły.

Zaniepokojony Smok bacznie przyglądał nam się zza płotu, by po chwili z rykiem zsunąć się po ścianie. Przechodząc obok, mściwie pogroziłam mu pięścią, lecz bezwstydnym paskudnikiem dalej dusił się ze śmiechu, turlając po ziemi.

Rzucony na fotel kot momentalnie zasnął, chrapiąc i podrygując zadartymi do góry łapami. Zerwałam z siebie szmaty i wrzuciłam je do kominka, w którym radośnie trzaskał ogień. Z rozkoszą zanurzyłam głowę w wiadrze z wodą – sparzyło chłodem, ale

przeklęty kołtun przestał swędzieć, a puder – szczypać skórę. Ledwie zdążyłam wyschnąć i ułożyć włosy, a już wołano mnie do wrót. Królewski goniec wręczył mi oplątaną sznurkami paczkę z jeszcze ciepłą pieczęcią. Na ganku cisnęły się świeżo przyjęte do szkoły maluchy, które z otwartymi ustami wlepiały we mnie ślepia.

Rozdział 5

Wyjechawszy z miasta, wstrzymałam konia, wyjęłam z torby mapę Belorii i w zamyśleniu pochyliłam się nad cienkim wykresem dróg, rzek i osiedli. Śpieszenie się do Dogewy nie miało szczególnego sensu. Rokowania z arlijskimi ambasadorami mogły wlec się przez tydzień, tak że Len nie będzie miał dla mnie czasu. Zwinąwszy mapę, powoli powlokłam się wzdłuż miejskiego wału, zdecydowawszy się wyjechać ze Starminu przez trakt, prosto do Kozich Skoczuszek. Zdecydowałam się odwiedzić dobrodusznego Zielarza, nieokrzesanego Kuźmę i naszą ogólną ulubienicę, rudą mantykorę Tyśkę, a i spróbować złapać Stokrotkę. Sprzedawszy konia, rozporządziłam się pieniędzmi.

Ostatni raz obróciłam się do Starminu i poddałam się nagłemu porywowi, pomachałam ręką dachom domów, iglicy pałacu i basztom Szkoły.

Miałam przeczucie, że zobaczę je jeszcze bardzo, ale to bardzo nieprędko.

Droga do Puszczy wydawała się zaczarowana. Tak jak wtedy, pogoda raptownie zepsuła się, niebo zaciągnęło się szarą kosmatą mgłą, z której najpierw rzadko i drobno, a potem obficie i pewnie posypały się duże krople. Deszcz lał cały dzień i dużą część nocy, do świtu niedużo wycieńczywszy chmury - utworzyły się mdłe białe przerwania z czarnymi garbami. Nauczona przez gorzki los, zabrałam ze sobą tyle jedzenia ze stołu z okazji zakończenia balu, że starczyłoby trojgu na tydzień. Ale o paszę nie zadbałam.

Wiewiórka z jawnym niezadowoleniem żuła mokrą trawę, rezygnując ze jedzenia moich chlebowych skórek. Siodło tarło jej plecy, nieprzyzwyczajona do dalekich podróży kobyła wciąż potykała się na nierównej bocznej drodze, gdzieś zdążywszy stracić lewą przednią podkowę. Na dodatek przemokła na wylot, a gdy pochyliła się, koń wydawał się żalostną zagłodzoną szkapą. Zdecydowałam uwolnić się od niej przy pierwszej możliwości. Stokrotka, przy wszystkich niedostatkach jej charakteru, bardziej nadawała się do roli słusznej towarzyski wędrownej wiedźmy. W nocy Wiewiórka zrobiła mi najgorsze i ostatnie świństwo w swoim życiu.

Zjadły ją wilki.

Zorientowawszy się po śladach, byłam po prostu wstrząśnięta głupotą kobyły. Wystarczyło żebym zasnęła, jak głupia, niewiadoma niczego, polazła w leśną gęstwinę i długo błądziła bez określonego celu, zanim spadła do parowu, gdzie czy to skręciła szyję, czy to cierpliwie doczekała się dwa chudych, obmierzłych i zgnębionych surową zimą wilków, ktyre na mój widok zawstydzone uciekły w krzaki. Biedne zwierzęta zostawiły łup dla mnie. Dziękując bogom, oni szybko rozbebeszyli kobyłę, odgryźli nogi i rozciągnęli podroby po krzakach i norach.

Naturalnie, taka bezmyślna śmierć nie zasługiwała na ani jedno dobre słowo. Tęskne żółte ukryte oczy śledziły mnie zza gęstego krzaka malin, paląc się, by przedłużyć ucztę. Zmoruszone głodem, wilki pogryzły nawet siodło, tak że na pamiątkę od kobyły została mi tylko uzda.

Na szczęście, do Kozich Skoczuszek zostało mniej niż godzina jazdy; pokonałam tę odległość za dnia, zginając się pod ciężarem dwu toreb - z jedzeniem i rzeczami. Do obiadu udało mi się odszukać domek zielarza – na dobrym pagórku wyłożonym wewnątrz grubymi kłocami, z rurę i parą okrągłych okienek. Na pagórku rósł rozłożysty jesion, którego srebrzyste listowie raptownie kontrastowało się z ciemną zielenią okolicznych dębów.

Starszy Magister rozłożył się na fotelu na biegunach u wejścia ,

napełniwszy długą fajkę z pachnącym trawiastym zieleń, które nie miało nic szczególnego z tytoniem gnomów. Fotel na biegunach miarowo poskrzypywał, Kuźma, w pocie czoła pieliał lebiode na małym ogrodzonym terenie z równymi rzędkami grządek, z rzadka rozprostowywał się, przerzucal pęczki chwastów przez płot i z pełnym wyrzutem spoglądał na Nauczyciela, wyraziście pocierając narzekające lędźwie. Magister dobrodusznie uśmiechał się i kiwał pilnemu uczniowi, całą swoją postawą ukazując obraz pełnego samozadowolenia i satysfakcji życiem.

Pierwszej moją mroczną, zgarbioną figurę zauważyła Tyśka, która drzemała w łopianach u płotu. Radośnie pisnąwszy, zerwała się z miejsca, przeskoczyła przez fotel na biegunach, zmusiwszy speszzonego Magistra upuścić rurkę, w trzech skokach dopadła mnie i przewróciła na ziemię, merdając i wtykając się w twarz chłodnym nosem. W porywie uczuć nawet liznęła mnie w ucho, rozmazując drogowy pył, zmieszany z potem.

Kuźma chętnie skorzystał z mojego powodu na przerwanie dłubania w grządkach. Dokładnie przyknąwszy za sobą kurnik (ku ich ogromnego rozczarowaniu, które łąziły po polance i które rzucały zachłanne spojrzenia na ogródek), uczeń Zielarza z przyzwyczajenia odepchnął nogą łaszącą się mantykore i zabrał ode mnie ciężkie torby. Westchnęłam z ulgą, przeciągając się i prostując ramiona.

Przywitawszy się i w paru słowach objaśniewszy cel swojej wizyty, zmieszana przyjęłam powinszowania Magistra Zielarza w związku z zakończeniem Szkoły i automatycznym wstąpieniem w Konwent Magów. Kuźma zawistnie pociągnął nosem. Musiał czekać na egzaminy końcowe w następującym roku, niestety, i nauczyciel niemiłosiernie zmuszał go do studiowania i powtarzania obowiązkowego szkolnego materiału.

- Jak tam Stokrotka? - zapytałam, niedużo nabrawszy tchu. - Nie przestała szerzyć sławy w postaci białej zjawy?

- Jakże tam! – zachichotał Kuźma. - Jesienią baby za żurawiną na błoto chodziły, tak ona co umyślała - stoi na ścieżce i nikogo obok nie przepuszcza, póki kromka chleba lub słodczy jakiej nie przyniosą. Prawda, jeżeli która baba zabłądzi i akurat ją spotka, koń podchodzi i na ścieżkę wyprowadza. Niektórzy nawet dla niej dobre i pieszczotliwe rzeczy gadają, bo to nie są wcale cudne bajki - niby to, jak nieżonatego chłopca spostrzeże, tak z zarumienioną twarzą odwraca się i żałośnie tak patrzy, że po prostu nie można ustać bez oddania moczu.

Kuźma pomyślał, podrapał w tył głowy i dodał:

- Prawdę mówiąc, ci bohaterowie i od dziewiczego głosu nie szybko na nogach stali.

- Kuźma, zaprzestań swoich idiotycznych opowieści - przerwał Zielarz. - Czy ty nie widzisz: nasz gość zmęczył się i na pewno

zgodniał. Idź, nakrywaj do stołu.

Uczeń niechętnie posłuchał. Tyśka wyczuwszy jedzenie pobiegła za nim, uniżenie spoglądając mu prosto w oczy.

- Tylko wodę daj - dni całe będę flanele prać. - Magister potępiając, lecz niezłośliwie pokołysał siwą głową. - Przysiadajcie się, Wolha. Dokąd was przydzielili?

- Do Dogewy, jako główny mag-konsultant- skłamałam.

Oczywiście, z takim prawdopodobieństwem mogłam powiedzieć o nekromackiej melinie. Oczy Zielarza wyszły z orbit.

- No tak - zmieszany wykaszał - w mojej młodości do terenów położonych przy Dogewie i Arlissie nimi wysyłano urwisów i największych głupków.

- Wyjdzie mi na dobre - roześmiałam się. – Przy czym, po dwóch latach obcowania z wampirami nikt nie ma szans nastraszyć mnie. Tak, że nie wiadomo, komu nie poszczęściło się bardziej.

- Nie powiedzcie - uśmiechnął się stary mag, straceńczo chowając niepokój w kącikach oczu - w takim wypadku, jak sądzę, was zawiadomili co do... e-e-e... obrzędu?

- Jakiego? - stałam się czujnym.

- Tego samego. - Zielarz tak starannie poruszał brwiami i mrugał porozumiewawczo, że mi się zrobiło głupio. - No, którego tego... tego...

- Rytualnego rozpicia etatowego maga w pierwszą noc drugiego

jesiennego nowiu?

Nie zobaczywszy w mojej osobie cienia zrozumienia, mag zaprzestał aluzji i westchnął:

- W takim wypadku czeka ciebie poważna rozmowa z Władcą. Tak wysoka posada zobowiąże ciebie do towarzyszenia mu... wszędzie, a to nie kto wytrzyma. Człowiek, przynajmniej.

Ja i istotnie nie wytrzymałam:

- Jeżeli ja i tak szybko się dowiem, to co wam szkodzi powiedzieć troszkę więcej?

- Nie mogę - błagalnie rozłożył ręce mag. - Po pierwsze, przysięgałem razem z twoim Nauczycielem, a po drugie, my sami niczego do rzeczy nie wiemy.

Nasza rozmowa była przerwana nagłym pojawieniem się Kuźmy. Chłopak ciągnął wielki dębowy stół.

- W pokoju jest strasznie duszno - wysapał z rozmachem brzęknąwszy przed nami stołem. - I trawami tam śmierdzi, aż kręci się w głowie, a jedna mordą ruda z mojego minutowego zaćmienia skorzystała i ser nadgryzła, tfu!

Kuźma z oburzeniem zaprezentował wygryziony półksiężyc sera.

Mantykora, cicho zamiauczawszy, podbiegła do fotela i wtuliła się mordą w kolana Brodźca. Staruszek pieszczotliwie podrapał ją za uchem.

- Ty, zanim na Tyśkę naskarzyłeś, mogłeś umyć usta – całe są w

okruszynach.

Uczeń oblizwał się, pokrywając się purpurą.

- No, ten ja tego... po drodze spróbowałem samej kanapki - wy zaś wszystko jedno przebaczacie tej kreaturze. Nie przepadać za takim dobrem!

- Mam nadzieję, że bardziej nie podpadłeś? - z uśmiechem zainteresował się stary mag.

- Ani-ani! - potwierdził przysięgą uczeń, dla większej ważności pogroziwszy Tyście pięścią. Mantykora zasyczała na niego przez puszyste wąsy.

- Co za parka - cichym szeptem zakomunikował mag, kiedy Kuźma znów skrył się w domu. – Gdzie Kuźma - tam i Tyśka. Na polowanie razem chodzą, Kuźma do kaczek z kuszy strzela, a ona przynosi... czasem. To jak wszystkie dobre psy – jak spadnie ptak w trzęsawisko, i szukaj wiatru w polu, a Tyśka w lot łowi.

Mantykora tymczasem umościła sobie legowisko na kolanach Zielarza, zwiesiwszy łapy po obu stronach fotela. Przygrzała się i basiście zamruczała, efektownie wypuszczając i wciągając czarne pazury. Mag żartobliwie poszarpał ją za frędzelki na uszach, kaszlnął i zmienił temat:

- Wolha, chcę poprosić was o przysługę. Z pieniędzmi, niestety, u mnie nie krucho...

- O czym wy mówicie - z oburzeniem skrzywiłam się - a co się

stało?

Przede mną dźwięcznie opadł półmisek ze smażoną kurą, która poszła do nieba. W mruczeniu Tyśki pojawiły się zachłanne nutki, i Brodziec musiał zepchnąć ją na ziemię.

- Na bagnach znów zaczęli przepadać ludzie. Po jednym, dwóch...

- W dzień czy w nocy? - trzeźwo przejrzałam w pamięci mieszkańców bagien. Nocnych wśród nich było więcej, a nie chciałam się z nimi zadawać.

- Znikali zazwyczaj późnym wieczorem... lub wczesnym rankiem, kiedy wszyscy dobrzy i przyzwoici wieśniacy wychodzą z krzaków przy karczmie.

Kuźma wręczył mi gruby, nierówno odcięty kęs chleba i siadł na siedzisku. Nie zdążyliśmy przystąpić do jedzenia, jak chmury oprzytomniały i lunęła ulewa. Jesionowej korony, umocnionej zakłęciami, on nie przebijał, częstymi kroplami obsypując się z skrajów liściastego namiotu.

- Jeżeli żywogłot dniem szaleje, dzisiaj nic nie stoi na przeszkodzie by wylazł - warczał Kuźma z zapchanymi ustami - patrzcie no nabiło. Chociażby trzęsawisko z brzegów nie wyszło i bez jej przyborem wody się podniosły.

- Kto jak kto? - ze zdziwieniem spytałam ponownie.

- Żywogłot - bez cienia uśmiechu powtórzył Zielarz - przynajmniej, tak go przezwali miejscowi.

- Sądę, z przyzwyczajenia połyka na żywca?
- Właśnie.
- Tak u was nie błoto, a jedna zwarta flanela! - nie utrzymałam się.
- Jeżeli wszyscy świadkowie połknięci, skąd oni wiedzą o tym cudactwie? Zima była śnieżna i mroźna, po wiosnie trzęsawisko zmyło ścieżki, proszę i żywogłot... Sami w niego nie wierzycie? Zielarz milcząco kiwnął na dębowy komin. Kuźma zsiekał i porąbał na drzewo gałęzie, a nie ruszony pień mantykora upatrzyła sobie do codziennego piłowania pazurów. Lecz niedawno z niego skorzystał ktoś jeszcze, trzykrotnie głębiej zaorawszy mocne dębowe drewno.
- Ja nie wiem, co za gość odwiedził nas zeszłej w nocy, lecz Tyśka wywietrzyła go przez ściany i schowała się pod ławkę, podwywając ze strachu. Niestety, okazaliśmy niedostateczną odwagę dla tak bliskiej znajomości...
- Ja też nie odczułam przyływu pracowniczego entuzjazmu. Lecz przyznawać się nie zaczęłam.
- W dom ono nie polazło?
- Poskrobało w drzwi, lecz zapaliłem gałązkę zwierzobója i wszystko ścichło.
- No chyba! - burknął Kuźma, który rozstawiał po stole miski. - Nie gałązkę, a pęk, już tak zaśmierdziało, że przez wszystkie szczeliny dym wylatywał, ledwie wykaszaliśmy się!

- Ty sam mówiłeś, że dzięki temu nie wejdzie! - wzburzał się Magister. - Połowę zapasów przez ciebie, durniu, straciłem!

- To znaczy, że był niejeden zwierzobój? Wy nie mogliście przypomnieć sobie? - przerwałam. Zwierzobój nieźle odstraszał szyszymory, wrotycz - drobne błotne nietoperze i komary, a czemierycę nie lubiły wampiry. Lecz szyszymora i inne nieczyste we wzroście gnoma, były groźne tylko dla psów i małych dzieci, ponadto nie jadły ofiar, a perfumowały i zostawiały w miejscu. Jowcze stada szyszymór widziano rzadko, tylko w czasie surowych zim, kiedy bagna przemarzały do dna.

Zacinając się i potakując sobie, zielarze zaczęli wymieniać. Czego tam nie było! Rumianek, krucze oko, żuczkojad błotny, wrzos, dwukwietnik, ptasi jęczmień, skalnica... Prawdopodobnie to dzięki temu wprawili w zgrozę okoliczną siłę nieczystą, jak również ptaki, zwierzęta i pełzających łajdaków.

- I dużo ludzi przepadło?

- Przez dwa miesiące - sześcioro.

- Pięcioro - poprawił Kuźma - Łamonía u szwagra zanocował, wrócił do obiadu. Och, i odchodziła jego żona pogrzebaczem, puszczy żywogłota! Briechał, idź, że u szwagra, ten wagurc nie pomarł...

Nieco za mało dla mięsożernych umarłaków, zwłaszcza jeżeli człowiek starcza na jednego kęsa. Strekotun? Mały tinnik? Ci

zdolni zachować ciało w trzęsawisku i ogryzać jego parę tygodni, lecz oni w zasadzie padlinożercy, siedzą na terenie cmentarza. Ja w zamyśleniu obgryzłam kurze skrzydełko i rzuciłam cierpiącej Tyśce. A jeżeli on niejeden? Jakikolwiek stwór porywa ludzi ze względu na krew i skrobie w drzwi po nocach, a ciała przypadają sile nieczystej w najmniejszym stopniu...

- Zgoda - zdecydowałam się - urządzimy na niego zasadzkę obok chatki. Dobrze by prosię do drzewa przywiązać, jako zachętę. Będziecie się o nie postarać? Kuźma w zamyśleniu poskrobał głowę, zasmucił się i kiwnął.

- Chodzi o kupno - wiele mówiąco uściślił stary mag. Uczeń posmutniał.

- Dobra – warknął – wezmę jedzenie i pójdę na wieś.

- Ja jednak pragnęłabym złapać swojego konika - dodałam. - Jak myślisz, uda nam się zastać ją znienacka na noclegu?

- Lepiej przy wodopoju - pomyślawszy, odpowiedział Kuźma. - Błotnej płynnej masy ona nie pije, biega do źródła. Tu jest krynica nieopodal, z bierwion domem odgradzona. Dom z bierwion przez te lata na pół w ziemię wrósł, a w dzień wieśniacy wodę wybierają, a pod wieczór ono wysoko stoi, w sam raz dla kobyły. Ot ze wsi wrócę i pójdziemy.

Deszcz ucichł tak nagle, jak się zaczął, a szukać żywogłota po

kolanach w błocie mi się nie chciało. Zostałam w domu z Brodźcem czekając na obiecanego prosiaka, z nudy oglądając książki na półkach. Na samym widocznym miejscu, ma się rozumieć, stały zasłużone foliały o zielarstwie, dolne półki były przeznaczone dla innych działów magii, na górnych gorliwie gromadzono pył i zwitki. Kucnęłam i przebiegłam się palcem po grzbietach. Niektóre z nich krótko zapalały się, dając do zrozumienia, że książka da się w ręce nie każdemu - obcemu zdolna plunąć w twarz ogniem lub się wcale nie otworzyć. W samym kącie stał zniszczony poradnik po nieprzyrodoznawstwie, z którego, z pewnością, uczył się sam Brodziec i do tej pory odtąd nie otwierał. Rysunki były naiwne, schematyczne, bojowe zaklęcia poprzedzono przesądnymi wskazówkami takimi jak "popluć przez lewe ramię". Parsknęłam, wyobraziwszy sobie mordę upióra, kiedy ja, zamiast by uderzyć jego mieczem, zaczęłam starannie go opluwać.

Poczuwszy badawcze spojrzenie, zatrzasnęłam książkę i odwróciłam się. Magister w zamyśleniu odrzucił się na oparcie fotela, sapiąc w fajkę. Dymek, jak żywy, jednolicie wpływał do pieca i wyślizgiwał się przez komin, nie zostawiając zapachu.

- Wolha, powiedz - pomilczawszy, zapytał - wy nie traciliście w Dogewie świadomości? Nie było utraty przytomności, mdłości, uczucia, jakbyś przespała dobę?

- Nie, i ukąszeń na szyi też nie zauważyłam - zjadliwie dodałam.
 - Ja nie miałem tego na myśli, że oni was gryźli - miękko powiedział arcymag - lecz istnieją inne... sposoby działania.
 - Powtarzam: nie!
 - Jak mówisz – ale pewności w jego głosie nie było. - A kiedy wy ostatni raz chorowaliście?
 - Magister, albo opowiadacie wszystko bez tajemnic, albo przestajecie zadawać głupie pytania.
- Zielarz zmartwiony rozłożył ręce: dobra, milczę. Przegryzłam wargę, ale wypytywać go nie zaczęłam.

O powrocie Kuźmy dowiedzieliśmy się długo przed jego ukazaniem na skraju lasu, po głośnych wymysłach i niewyraźnych beczących dźwiękach. Uczeń ciągnął na lince srokatego kozła z obłamanym lewym rogiem, kudłatego i z wyłupiastymi oczyma. Kozioł opierał się, Kuźma nalegał.

- Ach - ponuro burknął on – ledwie przywlokłem go. Dawaj go teraz do żywogłota!
- Ja powąchałam i pośpiesznie ścisnęłam nos. Lekko mówiąc, od kozła razilo. Mocno – śmierdziało, że mimo woli stanęły mi w oczach łzy.
- A co - ostrożnie przemówiłam przez nos - prosiaki się skończyły?

Kuźma sam nie pewny równowartości wymiany, zaczął się usprawiedliwiać:

- Mlecznych nikt nie miał, a za świniaka taką cenę zaśpiewali, że kozioł taniej wyszedł!

- A może, tobie jeszcze i dopłacili, byś ty go zabrał? - przymilnie zainteresował się Zielarz.

Kuźma obraził się:

- Dwa kładnie oddał, i to bita godzinę się targował! Prosię - tfu, nie będzie żywogłot go nawet zauważał, a kozioł - duży, go z daleka zobaczy...

- Co do niego to i ślepy się nie omyli - potaknęłam. Kozioł pochylił głowę i mściwie bodnął go poniższy pasa. -- Teraz przywiąż go u chatki. Musimy wierzyć, że żywogłot ma katar...

Rozdział 6

Jak nauczyło doświadczenie, kozła należało przywiązać nieco dalej. Najlepiej - na innym końcu bagna. W ciągu dnia zdążył pobóc mnie, Zielarza i dwóch chłopów, którzy zajrzeli do pustelnika po lekarstwo na czyraki. Tyśka omijała go szerokim łukiem, prychając z niezadowoleniem. Beczał regularnie, głośno i przez nos, tak że wszystkie okoliczne żywogłoty z niecierpliwością oczekiwali nocy, by z rozkoszą zabić obrzydliwą kreaturę. Ze

smrodem się pogodziliśmy, lecz kiedy kozioł ze wszystkich swoich głupstw z braku innego przeciwnika zaczął ubijać pień, od hałasu puchły uszy. Nie mogłam doczekać się wieczoru, by pójść z Kuźmą do źródła.

Chłopak nie kłamał, wieczorem Stokrotka przygalopowała do wodopoju. Machając grzywą w czasie galopu, płynęła nad trzęsawiskiem jak zjawa. Za nią bezszelestnie leciał czarny cień, raz obok, raz wyprzedzając czy zostając z tyłu.

Przetarłam oczy.

Dwa konie, biały i czarny, pędziły po otwartej przestrzeni bagna wzdłuż horyzontu.

Nic nie rozumiałam. Zgoda, Stokrotka korzysta jeszcze z nowoczesnych osiągnięć magii, ale jak płynie nad trzęsawiskiem ta druga? I skąd ona się tam wzięła? Zdrowa, prawdopodobnie ogier?

- Kobyłka. - Kuźma, nie wiedząc, odpowiedział na dręczące mnie pytanie. - Bardzo młoda, roczna, lecz wysoka, nie inaczej jak w ojca poszła. Zeszłej wiosny zauważyłem ją po raz pierwszy, gdy jeszcze źrebakiem była, lecz zupełnie od matki nie odstawała.

Myślałem - kobyłka niedawno się oźrebiła, źrebię małą, dogonię. A gdzie tam! Zadarły ogony, jak dzikie koty, i pognały w poprzek trzęsawiska! Biała prosto po bagnie, a źrebię z kepy na kępę. Na koźle jeszcze bym dogonił, ale tak...

Chłopak ze zrezygnowaniem machnął ręką. Konie, jakby na ten znak, zatrzymały się o zwróciły w naszą stronę.

- Stokrotka! - zawołałam. - Chodź tutaj, dziewczynko!

Zabawnie! Na dźwięk smutnie znajomego głosu biała kobyłka podskoczyła jak oparzona i pobiegła w dal, nie oglądając się za siebie.

Czarna została w miejscu, z zainteresowaniem spoglądając na obcych.

- Dalej, spróbujemy do niej podejść - zaproponowałam.

Kuźma tylko się roześmiał:

- Myślisz, że dopuści cię na odległość wyciągniętej ręki?

- Choć przyjrzę jej się z bliższej odległości. - Powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, wyszłam naprzeciw kobyle.

Kuźma, przeciwnie, przysiadł na pieńku i skrzyżował ręce na piersi - widocznie chciał się nacieszyć zabawnym widowiskiem pogoni człowieka za koniem.

Jak na ironię, nie okazywała najmniejszych oznak strachu.

Wykwintne uosobienie ciekawości - od koniuszków nastrożonych uszu do wyciągniętego ogona - kobyłka zmieniła się w posąg, gotowy w każdej chwili zrewać się uciec. Trochę skośne oczy z pionowymi źrenicami przelewające się w odcień żółtego, jak kamyczki bursztynu na zalanej słońcem plaży. Pełna zachwytu zatrzymałam się w odległości dziesięciu łokci, bojąc się spłoszyć

konia i zastanawiając się, co robić dalej. Dla Stokrotki wzięłam garść krakersów i mechanicznie przebierałam je w kieszeni, nie śmiąc zaproponować ich dzikiej kobyle. Było mało prawdopodobne, że poprawnie zinterpretuje mój gest i nie odsunie się na większą odległość.

Martwiłam się niepotrzebnie. Krakеры chrupały, kobyłka nasłuchiwała-poniuchała, parsknęła: "A, co do stracenia!" - i podbiegła do mnie. Wyjęłam pełną garść krakersów, złożyłam dłonie w "łódeczkę" i w tym samym momencie wtuliły się w nie miękkie jedwabiste usta. Miękkie jak miękkie, ale stanowcze i nad podziw zwinne. Krakеры zniknęły jakby zdmuchnięte przez wiatr, nawet okruszki nie zostały. Należało z powrotem sprawdzić kieszenie, przetrząsnąć do ostatniego ziarenka.

ROZDZIAŁ 7

Błade poranne słońeczko zajrzało w okienko i chłodnymi jeszcze promieniami drażniło po zamkniętych oczach. Wstawać nie chciało się, lecz sen gdzieś przepadł, a tu jeszcze Mańka, niewiadomo jak domyśliwszy się o moim przebudzeniu, wskoczyła na leżak i zaczęła lizać się. Odepchnąwszy kiciusia, usiadłam, ziewając i przeciągając się. Czyżby nad Kuszczęj zaprowadziła się

piękna pogoda? Podobnie na to - w olśniewająco błękitnym niebie nie pluskało się ani jednej chmurki.

Słoneczny kwadrat pola znikł. Czarna morda obwąchała parapet, stanowczo odsłoniła kotary i wsunęła się w okiennego przejem.

Ja nawet nie zdziwiłam się:

- No, co ty jeszcze musisz?

“Jak ten - co? - z oburzeniem parsknęła morda. -- Ja ciebie wczoraj tak ładnie przewiozłam, gdzie zaś moja nagroda?”

Kobyła z zainteresowaniem obejrzała zwieloryb, priniuchałaś i zaczęła żuć wiązkę palącego pieprzu, która zwisała z sufitu nad samym oknem.

- Co, smacznie? - zjadliwie spytałam.

“Bardzo nieźle, - kobyła oblizwała się, gorąco pochuchała wypaloną paszczą. -- Że tu u nas jeszcze? O, jaki przepiękny bukiet precz tam, jak najdalej, na stienoczkie!”

- Zgiń, nieczist'! - oprzytomniałam, rzucając poduszką w nachałku. Jeszcze nie wystarczało, by ta wszystkożerna bestia zżarła wszystkie lecznicze zielniki moich gościnnych gospodarzy!

Od poduszki kobyła zręcznie uchyliła się, zdążywszy-jednak schwycić i zerwać z gwoździa wiązkę jakichś trawek z drobnymi kształtu igły listikami i grozdjami modrych kwiatków.

Kuźmaj, przeciągając się, wyszedł na ganek i zakrztusił się

ziewnięciem. Zza rogu zwieloryba sunął lśniący się koński zad, z przejściem powiewając ogonem. Ujrzawszy wylatującą z okna poduszkę i usłyszawszy mój gniewny okrzyk, uczeń pośpieszył na pomoc swoim nieocenionym trawkom, postarawszy się odciągnąć kobyłę za najbardziej, z jego stanowiska, odpowiednią część ciała.

Wzskowyt przerażonego konia, uderzenie, krzyk, świszczący dźwięk wlotu i donośny - upadku, a następnie - niecenzuralne przekleństwa i stukot kopyt. Ja podskoczyłam do okienka. Kuźmaj siedział na ziemi, jedną ręką pocierając stłuczoną pierś, a pięścią drugi groźnie potrząsając w ślad kobyły. Odbiegłszy na bezpieczną odległość, kobyła odwróciła się, stanęła i dotknięcie zarżała.

Na hałas ze zwieloryba wyskoczył Brodziec - imponujące i a zarazem komiczne widowisko: dlinnoborodny starzec z wypolerowanym do błysku posochom nanadwaga, w nocnej czapce i białą długopołą rubachie. Kobyła zasyczała na niego, jak rozgniewany kot, dając do zrozumienia, że czarodziejskie laski nią nie działają. Sam Brodziec czarował z rąk na zewnątrz kiepsko, lecz, uzbrojony posochom, prezentował niemałe zagrożenie dla nieświadomych w magii przeciwników.

- Sprzątnijcie posechł! - krzyknęłam, ostrożnie wydostając się z okna - pod nim bujnie kłosiła się pokrzywa. - Wy ją straszycie!

Kobyła, chrapiąc, zatańczyła w miejscu, wysadzając ziemię kopytami.

“Straszy? Mnie?! Ha! A no, żywo rzucaj swoją żalną chorostiną, dopóki ja nie rozgniewałam się porządnie!”

Brodziec pośpiesznie ukrył posechł za plecy.

- wolcha, wy jesteście przekonani, że zdołacie z nią dać sobie radę? - taktownie zainteresował się on.

Wzruszyłam ramionami:

- Według mnie, ona jest nastawiona przyjacielsko.

Kuźmaj tak nie myślał. Pocierając stłuczony tyłek i sycząc od bólu, on kostierzył kobyłę najgorszymi słowami. Chciałam zapytać, czy nie potrzebna mu odsiecz, lecz rozmyśliłam się. Chyba człowiek, stojący jedną nogą w grobie, nie jest zdolny do tak długotrwałych i wymyślnych przekleństw.

- Żebro całe?

- Niby całe, lecz siniaki-i to jake! Patrz'! - Kuźmaj obrócił się do mnie, demonstracyjnie zadzierając koszulę. No-tak... Jeżeli sędzić po kształcie siniaków, go kopnął nie koń, a kogut-przekiełek: na szeroką Kuzynką piersi czerwienieli, napętniając się mrokiem, dwa jasne trichpałych ślady. –

- wolcha, przepędzaj ty ją w moczary od grzechu jak najdalej!

Dokładnie tobie mówię: bies to, diabelskie nasienie! U niej, spróbuj, i rogi są!

Kobyła parsknęła. Spoglądając z ukosa na Brodźca z posochom, ona bokiem podeszła do mnie, szturchnęła w ramię i

zaczęła obwąchiwać odzież, opuszczając się poniżej, jak obowiązkowy celnik. Niczego jedzenie w kieszeniach nie zaponiewierało się, i ten godny pożałowania fakt wyraźnie zasmucił konika. Pochyliwszy łeb, ona przestudiowała moje bose nogi i rozczarowana westchnęła, owionawszy kolana ciepłem. Pogłaskać siebie, poza tym, pozwoliła, i od nowa zdumiałam się lśniąca, idealnie gładką skórą - szorstinka do szorstinkie, zgrzeblem tak nie ułożysz. Odrodząc się nie czesanyj ogon rozkładał się po wołosinkam, nie mówiąc o twardej szczotce grzywy bez jednego kołtuna.

Ostatecznie wywalczyć zjednanie “doprowadzaj do szału” pomogła pełna miska jęczmienia, za którym ja, nie poleniwszy, zbiegałam w sarajczik. Czernula dźwięcznie schrupała wszystko do ostatniego ziarenka, z nadzieją nadkusiła brzeg miski, omal nie rzuciwszy na skorupki glinianą posudinu, i łaskawie obróciła się do mnie lewym bokiem: niby to, tak już i być, włącz, będę powozić.

Lecz wczorajszy wyścig z przeszkodami czegoś mnie nauczył. Nim skorzystałam z uprzejmej oferty, poszłam w dom, przyniosłam Bielkinu uzdę i, na siłę rozsunawszy barchatystyje wargi, wepchnęłam kobyle w pysk żelazną listwę, przeciągnawszy rozciągacz w pętlę na uździe.

Koń zdziwił się. Obmacawszy wędzidła językiem, ona zacisnęła zęby i zamyślona poruszała zuchwą. Przeszywający

dźwięk przypominał zgrzyt do ostrzenia koła, z kącików warg sypały iskry.

Ja spiesznie rozluźniłam końskie szczęki, lecz było za późno. Od wędzideł zostali tylko pokorieżennyje obrączki na uździe. Kobyła parskała i wyrywała łeb, bryzgają śliną, lecz zdążyłam dostrzec ją szczękę górną i przerazić się: za rząd nieskazitelnie białych zębów przytulali się do podniebienia do pary gadiuczji kły. Koń wyprostowywał ich z konieczności - na przykład, spróbowałszy chwycić mnie za palec w czasie oględzin. W konnej sszybkie nią by ceny nie było. Ciekawie, ona choć nie jadowita? Co zaś, szybko rozpoznam. Wytarłam obślinioną dłoń o spodnie, podczas gdy koń próbował złapać i zażuć który kołysał się powód.

- Nie, kochana, ten rzemyk nam jeszcze przyda się. - Ja leciutko przytknęłam kobyłę po nosie, i ona znieruchomiała, skrzywdzenie patrząc żółtymi oczyma. N-tak, z tą biesiej trzeba trzymać ucho jest wcięcie. Niejako ona i mnie na dokładkę nie słopała. - Tłumaczę. Ot to - uzda. Ciągnę za lewy pasek - skręcasz w lewo, za prawy - w prawo. Kiedy mówię: "Leć!" - biegniesz, "prrry!" - zatrzymujesz się. Wszystko jasno?

Kobyłka otrząsnęła się, zadzwoniwszy resztkami uzdy.

- Ot i ładuszki,- wymamrotałam, wskakując nią na grzbiet z trzeciej próby. -- Leć!

Koń sceptycznie parsknął, dość podobnie wypróbując
“prrry!”

- Coś jest niezrozumiale? - przechyliłam się przez grzywastu
szyję, zaglądając koniowi w lewe oko.

Kobyła spojrzała z ukosa na mnie, lecz z miejsce i tak nie
ruszyła: “Też mi, amazonka - całkiem dobrze nie zaprzęła, a w to
samo miejsce - nukajet”.

Popędzać ją obcasami ja nie ośmieliłam się, najedzona po
szyjkę kozlinym skokom po moczarach. Koń stał, leżałam, i my
obie z wysiłkiem udawaliśmy, że utrzymujemy sytuację pod
kontrolą.

- A daj-koś ja ją krapiwinoj pod ogon! - wniósł konstruktywną
propozycję niewychowany uczeń Brodźca.

Kobyła drgnęła i poszła drobnej ryscoj - na bok Kuźmaja.
Chłopak spróbował ukryć się za zwielorybem, lecz koń już zmienił
kierunek i celowo uganiał się za solidnie swystraszonego uczniem
niecałe trzy rundy, tymczasem ten nie domyślił się, by dać nurka w
okno i zatrzasać okiennice. Kiedy zasługujący odwetu obiekt
znikł z pola widzenia, kobyła w końcu zwróciła uwagę na
amazonkę. Nie za jednym razem, lecz mi udało się z nią wyjaśnić,
że szarpnięcia powodują coś określają. Bez rozcinających wargi
wędzideł od uzdy było mało pożytku, pozostawało ufać w dobrą
wolę kobyły.

- Kto ciebie nauczał tak zatrzymywać się? - przewarczałam, pocierając stłuczony bok, lecz w tym samym czasie zadowolona, że koń poprawnie zrozumiał i wykonała moją ostatnią komendę. - Przerwywaj te sztuczki “stań przede mną, jak liść przed trawą”! Nadawaj tak: najpierw troszeczkę zwalniasz bieg, potem jeszcze trochę, potem przechodzisz na krok i tylko potem stajesz. Mi już sprzykrzyło się z ciebie spadać!

Kobyłe, sądząc po jej chytrej mordzie, to nie tylko nie znudziło się, lecz także sprawiało spora przyjemność. No, raz ja mimo wszystko znalazłam się na ziemi, można zrobić przerwę, zwłaszcza że ze zwieloryba smacznie ciągnęło szkawkami, a Kuźmaj rozstawiał talerze dokoła pletienoj dnuszki dla patelni.

Z apetytem pochłaniając smażoną kiełbasę, wypytałam Brodźca o okoliczne osady i boczne drogi. Starmin i Kuszczą znajdowali się w podstawie trójkąta, ostrym kątem rozciągniętego na bok Dogiewy. Wracać przez Starmin mi nie chciało się, a na mapie figurowały tylko napodróżowane gościńce. Raczej, nie znajdowali się: między Kuszczą i Dogiewą zielenił się “Głuch les z wszelki czudiszcz”. Oprócz “czudiszcz” w głuchomani gnieździli się luźni dierewieńki, których mag z pamięci połączył linią kropkowaną.

Koń wiercił się w pobliżu, próbując na ząb wszystko po kolei: makowki pokrzywy, dębową korę, jaskrawe cwiety z tykwiennoj

pleć na zaborczikie i Mańki ogon - na szczęście, w porę odsunięty. Nawet wyraźne niedobre rzeczy ona nie wypluwała, a starannie żuła i połykała. Prawdopodobnie, by nie pomylić się następnym razem.

Brodziec poszeptał nad dłonią i ofiarował kobyle bursztynowy kawałek klonowego cukru. Na iluzji kobyła pozała się: pokocich zmarszczyła mordę, odwróciła się i odeszła. Mag w zamyśleniu wrzucił cukier w swój kubek; on rozpuścił się tam całkiem jak prawdziwy i na pewno nadał herbaty potrzebny smak. - Kocham słodkie, - z uśmiechem objaśnił staruszek, - tylko gdzie zaś tu, w głuszy, cukier zdobędziesz? I drogi on, ot iluzjami i rozpieszczam się. Lecz konia waszego przeprowadzić nie udało się. Sądzę, od posocha ona też nie na próżno odskoczyła.

- Myślicie, dostrzegła jego magiczny aure?

- Być może. Niektóre zwierzęta, na przykład myszy, wyczuwają czary, nie rozumiejąc jego sedna, psy widzą prawdziwy wygląd przez czary, rozpoznając zaczarowanych panów i obłaiwają odwrotniejszo, a koty zdolne niszczyć czary jedną swoją obecnością.

- A konie?

Brodziec przyznał się, że na temat koni nic podobnego nie słyszał.

- Lecz, - dodał on, - koniem ją nazwać trudno. Jeżeli nie myłę

się, to potomek czarnego ogiera Władcy Dogewy?

- Tak, Wolta.

W tamtym roku porzuciliśmy koni w sąsiedniej wsi, nieumyślnie teleportowawszy na dziesiątki wiorst. Sielanie żywo przywłaszczyli bezpańskiego siwy, lecz Wolt nie życzył tiagać bronę dla dobra rolnictwa i po upływie dwóch tygodnie ogłosił się w Dogiewie - chudy, októry dziczał, donielzia obrażony na zdrajcę-pana, lecz nikogo inny do siebie nie który podpuszczał. Len potem opowiadał, że mu wypadło cały miesiąc podlizywać się do ogiera, by tego zastąpił gniew na łaskę i przestał odgrywać z siebie posłuszny, lecz tępe bydlę.

Od Rumianku kobyle przypadła w udziale wąska biała strzałka wzdłuż mordy tak nagłowataja chitrinka w spojrzeniu. Łudzić się co do charakteru ja bym także nie zaczęła.

- Jak wasza noga?

- Jaka? - nie zrozumiałam. -- A, bzdura, od rana nie boli - ja i zapomniałam.

- Wy ją nie zaczynaliście mówić?

- Po co? W miejscu wprawiała. Za pierwszym razem podworacziwaju, że?

Brodziec zmarkotniał - widocznie, miał nadzieję wypróbować na mnie jakiegokolwiek zwłaszcza mdlący snadobje.

- Co zaś,- z niezrozumiałym żalem powiedział on,- będziemy

mieć nadzieję, zdobyliście więcej, czym możecie stracić.

- Przymierzacie na mnie prastare groźne proroctwo lub ojcowsko ostrzegacie?

- Nie, zaledwie postarczo gderam,- uśmiechnął się mag, wstając zza stołu.

Podziękowawszy za gościnność i obiecawszy ponownie skorzystać z niej w odpowiednim dla mnie czasie, ja z grzechem na pół wdrapałam się na konia. Kuźmaj podał mi torby i długo machał na pożegnanie, a Mańka odprowadziła do skraju lasu Kuszczci, płynnie pierietiekajuszczcej w skraj lasu bezimiennego boru. Tam zatrzymała się, zamiauczała w ślad i z uczuciem spełnionego obowiązku pobiegła z powrotem, dumnie zadarłszy ogon.

Odludnym las wydawał się tylko autorom mapy. W rzeczywistości go przecinała chmara ścieżek, prostych i dwutorowych. Czastienko wpadała w oczy która suszyła się na słońcu skoszona trawa, gdzieś tam ciemniały krowie placki. Pary raz, wyjeżdżając na polanki, zauważałam mgły nad świerkowymi szczytami i słyszałam odległe beczenie owiec i psie szczekanie. Jak Brodziec i mówił, ludzie w lesie osiedlali się powoli, lecz często, zaimkam i storożkam nie było końca. Tymczasem, zresztą, ja nie widziałam ani jednej, omijając ich bokiem.

Kobyła nie to by nie była posłuszna uzdzie - raczej nie dawała powodu by ją wykorzystać, nie skręcając ze szlaku i nie myląc powolnego kłusu. Nas oboje to całkowicie zadowalało. Słońce umocniło się w szczycie, kiedy koń po raz pierwszy zatrzymał się i cofnął się, raczej zdziwiony, niż przestraszony. Ścieżkę powoli przechodził zdrowiennyj zając. Nawet nie przechodził - kroczył z takim królewskim wyglądem, że za idącymi w przeciwnym kierunku wilkami wynikało znieruchomieć w ukłonie. Gwizdnęłam w dwa palce, zając wzdybił uszy, lecz przyśpieszyć ani myślał.

- Kuszę bym mi,- z przykrością powiedziałam,- ale nie sezon. Łysina na łysinie.

Zając obrócił się, uważnie obejrzał moją podniszczoną kurtkę i z nie mniejszą pogardą zmarszczył nos.

- Duch leśny zabrał, - zmartwiona powiedziałam, kiedy skośny ukrył się w krzakach, - tak jest nade mną już zające zaśmiewają się! Trzeba natychmiastowo zarobić na przyzwoitą odzież i siodło. Dawaj, kochana, tu niedaleko należyta być dierewieńka.

Wkrótce ścieżka przeszła w udeptaną, a następnie prawdziwą drogę, zbitą tieleźnymi kołami. Dziury zapełniała woda deszczowa, która ustała się nad warstwą błota. Przy okolicy ona rozlała się niezmiernie dłużej, po której czy to chodziły, czy to pływały tłuste gęsie. Nazywało się osiedle odpowiednio - Gnilec.

Dziesięć obszarpanych domików pod słomianymi dachami, rzadkie pokręcone żerdzie, poborowe przedstawiać płoty, i wspólna studnia na środku ulicy. W najbliższym dworku pomału i smutnie rąbał drzewo mizerny chłop. Szaroniebieski nos rubszczyka świadczył o drżącej miłości do chmielnego napoju domowego wyrobu, a częste chybienia - o porannych następstwach. Z okna kosobokoj chatki raz po raz wyglądała tęga baba, której kwaśna fizjonomia nie na długo nadawała chłopu twórczych sił.

Czym małe osiedle, tym lubopytnieje jego mieszkańcy. Przejechałabym wieś bez zatrzymania się, mało kto przypomniałby sobie o mnie. Lecz u studni zatrzymałam się, pokręciłem skrzypiący kołowrót i napełniłam manierkę wodą, zaskoczywszy miejscowych na dobry miesiąc. Chłopina-myzyk odłożył siekiere, baba wysunęła się z okna.

- Sprawny u dziewczęcia konik! Ewa, smołka jaka,- pierieszepnuliś u mnie za grzbiet.

- Smołka tak Smołka,- półgłosem zgodziła się. -- Ty nie sprzeciwiasz się?

Świeżo ochrzczone kobyła nie oponowała.

Do studni podszedł dawiesznij chłop. Kosmatego, nieogolonego, z wytwornym raspisnym nosidłami na ramionach, on przeglądał się długo, lecz lepszego pretekstu dla zapoznania się

nie wymyślił.

- Wy, pani, chyba i kobyłku napoić chcecie? To naleję w kłodę, puszczaj chlebajet.

- Będę bardzo wam wdzięczna,- uśmiechnęłam się.

Chłop z entuzjazmem rozkręcił kołowrot. Szybko podniesione wiadro z rozmachem stuknęło się o wałek, zerwało się z łańcucha i smutno bulknuło we wnętrze studni.

- Zaraz hak przyniosę, wyłowimy,- obiecał sielanin, oglądając kręgi na odległej ciemnej wodzie.

- Nie warto kłopotać się. -- przechyliwszy się po drugiej stronie studni z bierwion, zwabiłam wiadro, i ono posłusznie podetknęło w dłoń mokrą rączkę. Chłop, który ściągnął do studni baby i nawet najbliższe krzaki ze zdziwieniem stęknęły. Ja niewzruszenie przewróciłam wiadro ponad kłodą i postawiłam na krajeszek domu z bierwion.

- I kto zaś wy taka jesteście? - ostrożnie zainteresował się sielanin.

- Mag-praktyk.

- Co?

- Czaruję za pieniądze,- cierpliwie wyjaśniłam.

- A! - skumiekał chłop. -- Wiedźma, że tak?

Wzruszyłam ramionami. Wiedźma, tak wiedźma. Po trochu zaczynasz przyzwyczajać się.

- Prace dla mnie nie znajdzie się?

Chłop poważnie przemyślał moją ofertę:

- Tak u nas niby i bez czarnoksięstwa wszystko dobrze.

Deszczów starcza, rzepa tak i priet, kury niosą się, pomirat' nikt nie zbiera się, a pomierszyje nie niepokoją.

- Podejrzenie spokojny zakątek,- z lekkim rozczarowaniem pożartowałam. -- Zające i tym samym w garnek pchają się, jeźdźcom drogi nie ustępują.

Tłum stęknął i odsunął się, szybko żegnając się. Chłop z nosidłami trzykrotnie popluł przez lewe ramię i żarliwie oświadczył:

- Ochti, pani wiedźma, to zaś wam omen było - zające-to ludziom nie na próżno pojawiają się, o nich nawet w zwojach proroczych pisane: "Aszcze jadący w przeciwnym kierunku zwierzę, droga przekształcający się - uboiś i pokajaj się, ponieważ oto grzech wielki wietrzy i smuci się"! I wam teraz, znaczy, koniecznie jego umiłostiwit' nadot', bo puszczy dawnego osierczajet i biedę naposyła, szkoda czyż chor' jaką.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. "Prorocze zwoje", podstawa białorskiej religii, były odkryte trzysta lat temu, przy wykopach jakiejś świątyni, sądząc po wszystkim - pierwotnie podziemnego. Odszyfrować ich do końca tak i nie potrafili, lecz na wszelki wypadek zaczęły czić, wyczytując między wierszami przeróżne

proroctwa i wskazówki co do poprawnego trybu życia. Kowien Magów liczył osławione zwoje pierwszą próbą systematyzować wiedze o magii - tak, cztery czczonych boga podejrzanie przypominały cztery żywioły, a pewne modlitwy okazały się zgodne z zaklęciami. Lecz ludowi tak spodobało się wierzyć w bardziej zrozumiałych bogów, którzy ponadto mieli pod opieką wszystkich wiernych, nie patrząc na magiczny dar, że świątynie w niedługim czasie zrównały się z Kowienom po działaniu.

Zazwyczaj dwa te czcigodne instytucje współpracowały, uzupełniając siebie; powiadali, niby bieżący Wsieradietiel czaruje nie gorzej Naczelnym Archimaga, lecz uznaje ten dar za boski.

Innych "utalentowanych" swiaszczennosłużycieli ze wszech miar potępiali i w razie potrzeby próbowali skierować na drogę prawdziwą, to jest przeciągnąć konkurentów na swoją stronę.

- I jak właśnie powinnam była pocieszać smucącego się zająca? - ostrożnie uściśliłam.

- A u nas tutaj pieniek na skraju lasu znajduje się: jeżeli włożyć na niego chleba troszkę, z połkowrigi, czyż jajek pięć, zajac pocieszy się i z powrotem drogę przebiegnie. Tym i ratujemy się.

- I często on tak biega? - zainteresowałam się.

- Grzechy nasze ciężkie... - niewyraźnie westchnął chłop. Jego odnosielczanie jeden przez drugiego zaczęła żywopisać mi intryga złokozniennego rusaka, czyja ciężka łapa bezwzględnie karała

grzeszników, odbierając mleko u krów i nasyłaja skrofuły ze świerzbiczką. Kary nie uniknął nawet przejeżdżający kupiec - jego konie nagle poniosły, rozmaity różnego dobra wóz po kałużach wzdłuż drogi.

Do świerzbiczki ustosunkowałam się nadzwyczaj sceptycznie, a przewozu u mnie nie było, jak i przyczyn zjednywać zupełnie nieznanego zająca, przeprowadzając na niego dietetyczny wyrób. Podziękowawszy za informację i uprzejmie pożegnawszy się, jakoś wdrapałam się na konia, lecz od razu odjechać nie udało się - u okolicy do mnie przyczepiła się zgrzybiała babka w czarnej chustce i z początku błagać o polubowną umowie z zającem, "żeby mnie, taki pannę młodą i ładną, nie wypadło chować kosztem wieś". Ona nawet spróbowała wcisnąć mi ofiarnie pięć jajek, sądząc, co to będzie kosztować ją mniej. Lecz wówczas mojej cierpliwości nadszedł koniec, i ja objaśniłam staruszce, że nie wierzę ani w bogów, ani w zające, i jeżeli co do pierwszych jeszcze mogę rozmyślić się po jakimś specjalnie robiącym duże wrażenie omenie, to u drugich nie ma najmniejszej szansy. Nawet z bezpłatnymi jajkami. I ze złością kopnęłam konia obcasami.

Zajac, naturalnie, też nie myślał biegać za darmo. Lecz w półwiorście od wsi Smółka raptownie zatrzymała się, z podejrzeniem oglądając pustą tropkę. Długo rozmyślała, nastorożywszy uszy i powiewając ogonem, następnie stanowczo

skręciła do pobocza, wykonała niedużą drogę okrężną i wyszła na drogę dwudziestoma łokciami dalej.

Mi zrobiło się ciekawie. Śpieszyłam się, nawinęłam powód na rękę i poszłam z powrotem. Smółka niechętnie przestawiała nogi, lecz w centrum nieco nie który dogodził nią ryjka rozczarowanie chrapnęła i uspokoiła się. Kucnąwszy, poprzewracałam kurz i od razu natknęłam się na suchońkij ziołowego stiebielek, wyrwanego z korzeniem i dokładnie położonego przez szczyt do wsi.

- Chyba, Smółka, my i istotnie nie doceniliśmy zajączka,- w zamyśleniu powiedziałam podnosząc się. -- dawaj no powrócimy na wieś i naprawimy to przykre zaniedbanie.

Smółka bystro nadstawiła bok, jak zwykle nie doskoczyłam i, cicho przeklinając, poprowadziłam kobyłę do najbliższego konopie.

Od razu za zakrętem nam napotkał wiejski pjanczuga, dręczonego przez okrutne przepicie. Na widok mnie on rozczarowanie zgniótl pusty worek i powlókł się z powrotem, nie chcąc odpowiadać na prowokacyonnyje pytania: co z mojego dobra przigłanułoś mu najbardziej i jaką część zażąda sobie zając. Przejechawszy obok, odkryłam, że wszystka wieś z łakomym zainteresowaniem oczekuje wyniku pojedynku “zając-wiedźma”, nie myśląc wracać do codziennych starań. Zobaczywszy mnie całą i nieuszkodzoną, sielanie zmartwienie zawzdychały, lecz w tym

samym miejscu wsprędzi migiem: zainteresowałam się, nie sprzeda kto z pół tuzina jajek.

Postarawszy się o odpowiednie delikatesy, ja uroczyście złożyłam go na pieniek u skraju lasu, kilka szyderczo powiniłaś wobec zając za małowieriję i wróciłam na wieś. Odczekałam trochę dla pewności, jednocześnie kupiłam kurę sobie na kolację i ponownie wyjechałam z okolicy.

Jak tylko wieś skryła się za drzewami, z krzaków ukazał się zając - drugiego takiego bezczelnego świat nie widział. Ja ostrożnie przytrzymałam konia. Długouchy szantażysta niespiesznie, jakby wyświadczając mi łaskę, przeciął drogę, obejrzał się i, zdaje się, z trudem powstrzymał się od obraźliwego gestu w naszą stronę

- Smółka... - Ja mściwie wytrzymałam chwilę, potem raptownie potrząsnęłam cugłami. -- Bierz go!!!

Zając przyległ do ziemi, lecz szybko oprzytomniał i zebrał całą zwinność, wysoko podrzucając krótki tyłek. Wokoło rozpościerało się koczkwatoje riedkolesje, kompletnie nieprzydatne do konnej pogoni - jeżeli, oczywiście, pani koń nie wyrósł na moczarach i nie boi się złamać nogę w borsyczej norze. Spod kopyt poleciały strzępy trawy, w uszach zagwizdał wiatr. Kobyła skakała zamaszyście i miękko, jak kot, bez trudu omijając drzewa. Zadanie ona pojęła dokładnie, mi zostało tylko chwytać się za jej szyję i

uchylać od gałęzi.

Solidnie przerażony zając zaczął miotać się z boku na bok, lecz Smółka dotrzymywała styl i z łatwością powtarzała jego łamańce. Zwierzak przemykał to z lewej strony, to z prawej strony, bezskutecznie próbując przedrzeć się do zawalonego burielomom wąwozowi. Wreszcie kobyle udało się dźgnąć kopytem, zając koziółkując potoczył się po trawie, i tak został leżąc, zasłoniwszy mordę łapkami. Smółka usłużnie przysiadła, nachyliłam się i podniosłam zająca za ciepłe jędrne uszy. On wierzgnął się i ucichł, sapiąc ruchliwym końcem nosa.

- O kamień i na kapuśniak,- żarliwie powiedziałam. -
Wiedźmom drogę przechodzimy? Morokami psocimy się?
Trawku-grajun pośrodku drogi rozkładamy, a koniom potem wilki mierieszczatsia? Lub niedźwiedzie?

Zając zadrżał, wychudły i zmienił kolor na zielonkawy z siwego. Spod które wyostrzyło się znamienia blesnuli drobnego kształtu igły ząbki.

- rozbierzesz was tu, że ani baba - to wiedźma,- dudniącym basem przebrzęczał duch leśny. -- uszyte wypuść, nie służbowych!

Rozluźniłam palce. "Zając" poleciał i usiadł, nie utrzymawszy się na nogach.

- Sierotce ubogiemu jajek pożałowała, - burknął on, obmacując uszy, które skróciły się. -- I nieświeże one u ciebie, nawiasem

mówiąc. Takie po dwa za jedno liczyć trzeba by!

- Sierotki nie przebierają,- odcięłam się.

W imieniu ducha leśnego przeklinali od Winiessy do Wołmienii. Ten element jakoby wiedział wszystko na świecie i regularnie przyjmował przesłanych do niego gości; odwiedzać ducha leśnego na ochotnika nikt nie chciał, dlatego posłani przeważnie obrażali się i proponowali pójść zamiast ich. Na rzeczy duchy leśne kochały poizmywat'sia nad zaktóry błędził człowiekiem, kręgami wodząc po czaszczobie, lecz także nie brzydzili się napić się z nim miodu, podjechać na wozie, albo i skłonić do grzechu dziewczę, udawszy pocziwego zucha (nad czym inni kurki wcale nie żałowały, biegając w las po pięć razy na dzień). Na te drobne chuligaństwa magowie patrzeli przez palce, tym bardziej duchy leśne chude-skapo hamowały inną dziatwę i rozglądały się za lasem.

- Powiedz dziękuję, że konik u mnie nie z bojaźliwych, gdyby poniósł lub zrzucił, ja bym z tobą gadać nie zaczęła - od razu za kołnierz, ubogiego. Z czego to, przy okazji, ubogiego? Oto las taki, za tydzień nie ominie się.

- Nie mój on,- niechętnie przyznał się duch leśny,- u niego swój gospodarz istnieje, mnie dalej na skraje lasu nie wpuszcza. Dobrze chociaż, że w ogóle toleruje, mógłby i przecież wypchnąć.

- Co zaś tobie w drogim lesie nie pasowało? Tamtejszy lud

rozczarował się w zajaczkami? - zjadliwie założyłam.

Duch leśny oburzenie parsknął:

- Żeby nie bieda, zacząłbym ja w dziesiątkach jajek płowić się!

W tym lesie wszystkie ptaki mi daninę płaciły, bym ja drzewa z gniazdami nie trząsał i koty szkodliwe ganiał. Wyżyli mnie, nawlokła się z gór nieczystość wszelka, samemu - trudno powiedzieć! - nieomal zjadła. Wypadło ustąpić, wiedźmie nim w wątróbki...

- No dziękuję,- mruknęłam, choć nie spodziewałam się, że duch leśny będzie przeklinać samego siebie. -- Zresztą, od drapieżnej nieżyty w ostatnich czasach i istotnie plunąć nie ma gdzie. Z jakiej góry pełźnie-to?

- Bo wiem, jak ona według was nazywa się? Góra i góra. Do sieriedki las, a wyżej kamień. Słońce zza niej prześwituje, maki i tak płoną.

Na południu Białej górze starczało, Elgarskiej łańcuch górski ciągnął się wzdłuż wybrzeża. Lecz słońce wschodzi na wschodzie, tak że mowa najprawdopodobniej szła o Grzebieniastych górach, na styku Białej, Ursinii i jasnowego Gradu, kraju elfów. Znowu oni, to ostatnia ostoja żmyriej! Och, coś jest tam śmierdząco...

Pogrzebałam w torbie, oderwałam kawałek pergaminu i nabazgrałam kilka linijek.

- Odniesiesz ten list w Czernotrawnuju Kuszczu, oddasz

staremu magowi lub jego uczniowi, powiesz - od wolhy Rednoj. Na ich moczarach akurat wakat żywogłota zwolnił się. Ponieważ dobrą posadę łatwo nie jest znaleźć, niech dobre jajka nie marnują się. Zgodnie i za porządkiem prigladiusz, trochę że niedobre - zrelacjonujesz Brodźcowi.

- Po moczarach my nie spiecy,- speszenie przyznał się duch leśny, drapiąc w karku. -- A no jak z kikumorami nie srobotajuś? Wyśmieją - gdzie tobie, pieniek leśny, na stare lata zawód zmieniać... i reumatyzm u mnie...

- Nic, przystosujesz się. Kikumory tam ciche, męską uwagą nie zepsute, będziesz u nich pierwszym chłopakiem na moczarach. Żywo od reumatyzmu wyleczą.

- Ach, co mi tam! - zdecydował się duch leśny, machnąwszy łapą. -- Dawaj swoją kartkę, odniosę. A za jajka-to nie sierczaj, zagospodaruję się - orłom oddam!

- Wszyscy wy tak mówicie,- westchnęłam,- a potem i żabiej łydki nie doprosisz się. Dobre żurawiny takie jakie zbierzesz.

- Całą beczkę przytoczę! - uroczyście obiecał duch leśny, i żywo poznałam chmary niezadowolonych kikumor, które otrzymały raznariadku na żurawiny, święcie przerażonych mijanych w drodze bab.

Pozegnaliśmy się. Zając pokicał w las, pojechałam dalej i po upływie dwóch godzin odkryłam jeszcze jedną osadę. Tam nawet

znajdowała się miejscowa wiedźma, zdatna “krew zagadać, dziewczę za mąż wydać, mruna otwadit”. Dzielić się doświadczeniem w dziedzinie dziewczek ona nie zapragnęła i do domu mnie nie wpuściła, skrzypiąc i przeklinając zza drzwi. Sądząc po naiwności pogrózek, o terażniejszej magii ona miała nader mgliste wyobrażenie i bała się, że wyciągnę ją na manowce.

Jakaś praca jednakże znalazła się -uzdrowić krowę od mastita. Nie ufając napływowej wiedźmie, właścicielka majaczyła w drzwiach chlewu, bezskutecznie kołysząc dwoje przewiniętych niemowląt, które darły się po kolei, nie dając ani minuty spokoju. Nerwowe “baju-bajuszki-baju” czasami przybierało złowrogi odcień, przerażający nawet mnie. Krowa stroniła i wierzgała się, nie dając tknąć rozpalonego wymienia, a w podziękowaniu tak przyłożyła mi ogonem po oczach, że zaryczeliśmy wszyscy czworo: ja, niemowlęta i bydło, w gniewie ogrietaja po krzyżu.

Przenocować przypadło w lesie: następną dierewieńku ja na mapie nie znalazłam, a wracać było za daleko i za późno. Rozpaliwszy ognisko, resztę wieczora do pierwszej gwiazdy gotowałam kurę. Wypadło zadowalać się bulionem. Ugotowana kura obróciła się żółtym kościstym kuprem, nie ulegającym ani rozrywaniu, ani podpiłowaniu nożem w przegubach. Uszczęśliwiona Smółka żuła ją dobrą godzinę, jak dziecko - śmietankową tianuczku.

Noc była ciepła i gwiazdzista. Pachniało mchem i igliwiem, nad głową, na tle bezbarwnego nieba, z gudieniem przelatywały tłuste brązowe żuki.

Już zasypiając, pomyślałam, że życie wolnego zawodu ma swoje uroki.

ROZDZIAŁ 8

Przez trzy kolejne dni odwiedziłam jeszcze cztery wioseczki. Na kurtkę uzbierać nie udało się, lecz monety w kieszeni

podzwaniały, tak że śmierć głodowa nam ze Smółką nie groziła.

Praca wiedźmy podobała się mi coraz bardziej i bardziej. Pochlebiał autentyczny szacunek w oczach sielan i zachwyty dzieciąt. Śmieszył bojaźliwy szepot za plecy, zapewniający rozmówców w mojej bezkresnej potędze. Nikomu i do głowy nie przyszło obrabować mnie, beztrąsko śpiącą u samej drogi, co więcej: banda leśnych rabusi cierpliwie doczekała się mojego przebudzenia i bardzo uprzejmie poprosiła uzdrowić ich herszta od bardzo rozpowszechnionej wśród tutejszych choroby - strzały w tyłku, za wyciąganie której ja bezczelnie domagałam się pięciu kładni, obiecawszy zniżki przy ponownym i hurtowym obrocie.

Na szeroki trakt wyjechałam nie opodal Kamniedierzca, minąwszy jego północne wrota zaraz po południu. W mieście, na kocich łbach, za późno zreflektowałam się, że konik nie jest podkuty. Smółce to ani trochę nie przeszkadzało, ona sobie tupiała po kamieniach, twardo i pewnie. Namówiwszy konia, aby podniósł nogę, obejrzałam kopyto i najpierw przestraszyłam się - rogową podeszwę na trzy części rozcinały dwie głębokie szczeliny. Lecz tu Smółka niecierpliwie poruszyła nogą i kopyto rozłożyło się na trzy długie haczykowate pazury, które koń wielce nieczule pstryknął mi przed nosem. Pytanie o podkowy odpadło samo. Przypomniałam sobie, jak Wolt tajemniczym sposobem przedostawał się z boku do boku... nieźle ukrytego, on by i na dach bez trudu wdrapał się,

spodziewając się tam jego uroczej siwej kobyłki.

Odszukawszy najwspanialszy budynek, pewnie przesłamał obok warty, w biegu odchyliwszy kołnierz, pod którym była odznaka magów-praktyków - stalowa blacha w postaci tarczy z mieczem ostrzem wwyż. Środek ostrza zamykał ośmioramienny pulsar, połyskując na słońcu i fosforyzując w cieniu.

Ja nie pomyliłam się - budynek należał do miejskiej administracji. Na marmurowej podłodze leżały wytarte dywany, spod zamkniętych drzwi z beznadziejnymi osobami pierieminaliś z nogi na nogę suplikanci, od nie niechcenia czytając ponownie swoje żałosne i klauzynyje gryzmoły. Prosty lud tu nie był wpuszczany, tylko zaczynając od przywódców miejskiej straży, kupców i zwierzchników rzemieślniczych gildii. Pierwsze piętro chroniło się jeszcze bardziej, wypadło przedstawić się, wymienić cel wizyty i parę minut poczekać, póki mnie podejmą.

Miejski mag mi nie spodobał się. Kamniedierzcu w ogóle nie powodziło się z dyplomowanymi specjalistami, bliskość Dogiewy wyraźnie ostudzała ich pracowniczy entuzjizm. Oni zamieniali się co dwa lata, po zakończeniu stażu. Dawnej tak i całkiem zagryźli – po prawdzie, nie wampiry, a swój zaś kolega-mag, lecz popularności wakatowi to nie dodało.

Do niedawnego absolwenta obecny mag nie był podobny, najwyżej tkwił na każdym kursie po trzy lata.

Najprawdopodobniej, zdążył zmienić kilka miejsc pracy, sukcesu nigdzie nie odniósł i wolał stać się dużą rybą w małym stawie, niech i niezbyt czystym.

Z kolegą on kontaktował się zaznaczone uprzejmie, lecz bez najmniejszej przyjaźni. “Co ty, dziewczyno, możesz wiedzieć takiego, czego nie wiem sam?” - pytał wzrok maga. Ja także nie chciałam jego zasłużonej sympatii - swietłogłazyj, nijaki, niejasnego wieku, z szarymi przerzedzającymi się włosami barwy brudnej myszy. Bezcenne znalezisko dla tajnej służby króla, a on, najprawdopodobniej, na nią był otwartym.

Krótko zakomunikowałam o podejrzanym rozpasaniu nieżyti obok Grzebieniastych gór i zaproponowałam koledze porozumieć się z Kowienom Magów, lecz on wysłuchał mnie ze znudzoną miną.

- spóźniliście się, Kowien od dawna zawiadomiony. Dwa miesiąca temu w jednej z górskich jaskiń był znaleziony i zainteresowany ze względu na aktywowany Wiedźmini Krąg. Niestety, młody niedoświadczony mag,- on ledwie powstrzymał się, by nie dodać: “Tak jak ty”,- zapłacił za swoją ciekawość i zginął, a kilka kreatur wyrwało się na wolność. Nie kłóć się, one stanowią pewne niebezpieczeństwo dla miejscowych mieszkańców, i ja powinienem okazać wam wdzięczność za likwidację żmyria, ale powodu do niepokoju nie widzę. Krąg

opanowany, a dziesięciu-innych nieżyti nie wyrze zauważalnego wpływu na miejscową ekologię.

Mag wstał i oficjalnie uścisnął dłoń mi, lecz siadać nie śpieszył, czyniąc aluzje na szybkie pożegnanie.

- Miło było poznać,- przymusowo burknęłam.

Interesująco, nazwałby mag wpływ zmyria “niedostrzegalnym”, gdy pokaże się u niego za krzesłem? Zgoda, zakomunikowałam i wyrzuciłam z głowy.

Na korytarzu mnie złapał gradoprawiciel, tołstieńkij, dobroduszny i który zdążył utrwalić dobry nastrój buteleczką wina, albo i dwóch. Powołując się na polecenie miejskiego maga, on podrzucił mi niedużą fuchę - upiora średniej klasy, który gnieździł się w ruinach starego lochu. Dogadawszy się z gradoprawicielem o wynagrodzenie, zostawiłam kobyłę na dziedzińcu, wypytałam miejscowych mieszkańców i udałam się z wizytą do ofiary.

Loch był zrujnowana znacznie bardziej, niż mi opisywali. Ponadto ona to przewsie - najwidoczniej, zza licznych podkopow postojalcew. Jeszcze trzy lata temu w niej utrzymywali się rozbójnicy i mordercy. Czasami upiór żywił się więźniami, potem doszedł do wniosku, że dozorczy więzienni dokąd nieżniwiarce na smak, i więzienie przypadło pieriebazirowat'. Upiór wyraził swoje

oburzenie akcją sprzeciwu, w wyniku której był pokaźne pogryziony wójt, który nocną porą wracał ze ślubu bratanicy. Następnym okazał się gradoprawiciel, poprzednik mojego pracodawcy. Mimo bezgranicznej wdzięczności, ispytywajemuju ostatecznym w stosunku do upiora, obiecana mi suma znacznie przekraczała zwyczajne honorarium maga-praktyka.

Urządziwszy się na opołowiniennoj figurze bogini sprawiedliwości, której szary biust intrygująco wyglądał z kuszczii łopianów i lebiody, rozwinęłam zwój z planem. Więc, upiór wywalczył na własność piętro więzienia, które składało się z korytarza i szeregu pobocznych cel. Tamtędy prowadziły trzy wejścia - z jednego korzystali kaci i dozorczy więzienni, drugi przeznaczano dla więźniów, a trzecim wnosili się ciała - on był pęknięty na ścianie z widokiem na ponury cmentarz, porośnięty łubinami. Trzecie wejście z czasem stało się dla upiora odświętnym wyjściem - pierwsze dwa były zawałone przez ustępy ścian i stropów: trzy lata temu pewien alchemik-samouk spróbował zlikwidować upiora, likwidując więzienie. Szarpnęło tak, że ściany rozsypały się. Upiór przesiedział eksperyment w lochu, a okoliczni sielanie jeszcze miesiąc zbierali szczątki cegieł z uprawionych pól i łatali słomiane dachy, besztając alchemika najgorszymi słowami. Teraz do ruin było nie zbliżano się. W jednym miejscu mi nawet pasowało otworzyć nieduży teleport, by przedostać się przez

spiętrzenie gładów z wmurowanymi przez żelaznych kriuczjami, w których przekształcił się pręty okiennych krat.

Zdecydowałam nie przeciągać. Jak mówi się, im wcześniej wejdiesz – tym wcześniej wyjdiesz, a jeżeli upiór z śpi dnia, to jego problem.

Drzwi, prowadzące w podziemiu, były priotkryta i troskliwie podparta przez cegłę.

“Jaki gościnny upiór” - pomyślałam, z obawą schodząc po wilgotnych kamiennych stopniach. Dwóch dolnych nie wystarczało, je jakby wydłubali i dokądś wynieśli, nie zostawiwszy ani trochę. Ściszywszy kroki zakłębem, zeskoczyłam na usypaną przez gruz podłogę. Mi prosto w oczy patrzył szkielec, ukrzyżowany na dybie. We wspaniałym kominku który, przetrwał znajdowały się na obruszcie kleszcze, duży i mały, haczyki mierzopakostnego gatunku i pogiętego żelaznego but. Na ścianie wisiał przyprószony wapnem gobelin - grzesznicy w prieispodniej, z entuzjazmem liżący rozżarzeni skoworodki. Zdziwiwszy się wyobraźnią tkacza, zbadałam komnatę, lecz nie odkryłam niczego atrakcyjnego, i na palcach wyszłam na korytarz. Gruz chrzęścił, pomimo zakłębca. Cicho zatrzymałam się, z braku miotły zdjęłam z pleców miecz w pochwie, wyjęłam go, chwyciwszy się rękoma za kriestowinu, podskoczyłam i zawisałam w powietrzu (naturalnie, lewitować' można i bez podręcznego sprzętu, lecz to

psychologicznie nie pomaga, a tak rodzi się chociażby złudzenie podpory).

Bezdźwięcznie raschochotawszyś, jak i umieszczone zuchwałej wiedźmie, popędziłam wzdłuż korytarza. Ciemne izby przemykały z prawej i z lewej strony. Ja obserwowałam je z odległości, wysyłając impulsy za pomocą amuletu, zaściskanego w pięści. Upiór nie pojawił się, natomiast zauważyłam precyzyjny rząd śladów, wiodących w jedną stronę od wejścia. O ile wiedziałam, rozpieszczać nie uznawałam obuwia, bądź to łapti lub kozaczki na riflonej podeszwie. Bardzo, trafnie, znajomo riflonej...

Wzbiwszy się do sufitu, obejrzałam ciemny korytarz i zauważyłam mijany w drodze ruch w jego przeciwległym końcu. Po upływie minuty gość szewca ustąpił przede mną, ostrożnie oglądając się i obracając długim wąskim mieczem. Kilkadziesiąt łokci bezdźwięcznie mknęłam za śladem, obniżywszy się do poziomu jego karku, dopóki światło z priotworiennoj drzwi nie pomogło rozpoznać czarną zwichrzoną czuprynę z długą propleszynoj-blizną w obszarze tiemieczka. No że zaś, raz on wraca, znaczy, upiór poczył na świecie. Bo inaczej wracałby. Oblegczenno wzdochnuw, pozwoliłam złowrogiemu wiedźmiemu śmiechu roztoczyć się w całej krasie.

Szkwał które rzucili się na mnie wymysły mógł zestrzelić kruka w lot, lecz na dyplomowaną wiedźmę nie podziałał.

- Idiotka! - Wal wreszcie schował miecz w pochwę - po niefortunnej próbie ja pod łyżeczkę. -- Mnie trochę mamyr (Prim.awtora: bardzo nieprzyzwoite trolskie przekleństwo) nie chwycił!

- Ty też szukasz upiora? Wizerunek zmienił czy jak?

- Ale jak,- chmurnie burknął troll. -- Ty go znalazłaś?

- Nie. A ty?

- Też. Leżbiszczę doszedł do wniosku - ostatnie drzwi przez korytarz, stos szmat, kości i wypłowiałej wełny. Co za łabarr (Prim.awtora: jeszcze bardziej nieprzyzwoite trolskie przekleństwo), za dnia upiory na ulicę nie wychodzą!

- Może, pojechał z wizytą i zanocował?

- Gchyr (Prim.awtora: to przekleństwo liczy się jako nieprzyzwoite nawet wśród samych troli) go wie. Ciebie kto opłaca, cypa?

- Gradoprawiciel.

- A mnie kupiec Bobrykin, któremu córeczkę upiór niedawno zszamał. Słuchaj, nie mów swojemu, Łada?

- Jeszcze Czego. Tobie graba i mi graba, pieniądze po fakcie zgłoszenia.

- Ugu. No, we dwoje my jego żywo złapiemy!

- A on jeden?

- Tak jest chyba. Tylko gdzie? Może, ty, wiedźma gchyrowa (Prim.awtora: no, myślę, tu wy i sami domyślicie się), go spłoszyła?

- W początku korytarza go nie było.

- W końcu także. Później anegdota trawic - patrzysz, zarzy poganiec.

- Jeżeli on tu jest.

- Tu. Węchem wietrzę.

- Mnie chyba nie wywietrzyłeś.

- Ale ty zaś z powietrza podkradłaś się!

Jedna i ta sama zaś myśl poraziła nas równocześnie, zadarliśmy głowy, i tu upiór skoczył. Wał zawodowo fiknął koziołka w bok, pisnęłam i spadłam z miecza. Upiór zwinnie wywinął się, wylądowawszy na wszystkich czterech łapach prosto przede mną, i spadający miecz trafnie trzasnął go po czubku. Tymczasem potwór zakłopotanie motał głową, trol wyrwał swoją klingę i wskoczył zwierzęciu na plecy, ścisnąwszy kolanami bok. Upiór gniewnie zaryczał i wbił w Wała rozdziawioną paszczę, i tak zastygł, obezwładniony przez moje zakłęcie. Wszystkiego przez pięć sekund, lecz w naszym rzemiośle wystarcza i jedna.

Przeczekawszy drgawki, Wał wyrwał wsadzonego po samą rękojeść miecz, podniósł się i pogardliwie splunął na podłogę obok bezwładnej tuszy.

- W porę dostrzeżliśmy. Precz on, łajdak, gdzie tkwił. -- Trol pchnął mieczem w sufit, pod którym w jednej ze ścian powstała spora wnęka. -- Weź, popatrz - a nuż tam u niego łęg został?

- Nie został. -- wolno odwróciłam się na brzuch, namacałam miecz i stanęłam na czworakach. -- Czar, mi przedni wyszedł. Ile tobie obiecali?

- Czterdzieści.

- Za takie pieniądze możesz wypatroszyć łajdaka i zwrócić kupcowi odpadki. A propos, o pieniądzech...

Wał krzywo i przeprasząco uśmiechnął się, rozłożył ręce.

- Przepraszam, foczka, rozminęliśmy się. Ja bym odniósł Ci te parszywe sto monet w tym samym dniu, lecz mi wypadło pilnie wyjechać z miasta.

- Niczego sobie, parszywe! - z oburzeniem zachichotałam. -- jestem Dobrym ogrem lub stielnaja krowa! Jeżeli to takie drobne, to, sądzę, że dla ciebie nie sprawi kłopotu oddać mi stary dług?

- Oczywiście, parszywe,- bezczelnie potwierdził najemnik,- byłoby nieźle, u mnie by chociaż cokolwiek z nich zostało, a tak - mogę zaproponować Tobie tylko swój stary mierina.

- Ten który przeżywa ostatnie dni w pierwszym boksie z lewej strony od drzwi stajni postojałogo podwórka? Na co on mi? Jego cena - dziesięć monet, i to jeżeli oprawca szczodry.

- No, mogę i nie proponować,- chętnie zgodził się Wał.

- Ot teraz zmienię ciebie samego w mierina i sprzedam oba na żywodzierniu! - zagroziłam.

- Próbuj,- wzruszył ramionami trol.

Oczywiście, czarować nie zaczęłam, i Wal doskonale to wiedział. Pożegnałam się ze swoją połową naszego wspólnego zarobku jeszcze półtora roku temu, zwłaszcza że Len zrekompensował mi tą stratę. Mścić się na trołu było głupie, spróbować wytrzepać pieniądze na siłę - jeszcze głupsze.

- Nie denerwuj się, foczka! - Najemnik pokrzepiająco poklepał mnie po ramieniu. -- Przede wszystkim nie pieniądze, a układy. Jeżeli ja tobie będę potrzebny - tylko gwizdnij, ze mną nie przepadniesz!

- Masz Ci los: zrozumiałam, że tak łatwo nie odczepisz się,- warknęłam.

Do dziedzińca poszliśmy razem. Po drodze nadaremnie próbowałam zbadać troła o Arlissie w ogóle i niechęci Lena do tej doliny w szczególności, lecz Wal tylko zagadkowo i jakoś nadzwyczajnie nikczemnie uśmiechał się, rozpalając moją ciekawość.

W stajni panowało podejrzanе ożywienie - sługi z postojalcami gromadzili się u Smółkowego boksu, głośno komentując coś interesujące.

Rozepchnąwszy lud, zajrzałam przez drzwi i osłupiałam -

Smółka z zamkniętymi oczyma leżała na plecach, zadarłszy do góry cztery podkulone nogi i czasem podrygiwała lewą tylną.

Szybko gwizdnęłam. Kobyła z sennym westchnieniem przewróciła się na brzuch i wstała, słodko przeciągając się, jak kot. Zanim zdążyłam podnieść hak, ona zebrała się w sobie i skoczyła, z łatwością przeskoczywszy niewysokie drzwiczki. Ciekawskich ze stajni jak wiatrem wywiało.

Wal, nie zwracając uwagi na Smółki dziwactwa, spokojnie siodłał swojego dochodiagu - wyraźnie poszatywajuszczegosia mierina u której zapadł ze starości grzbiet. Podprowadziłam Smółkę do progu, by wskoczyć z niego na koński grzbiet, lecz spojrzała na trola i rozmyśliła się:

- A no, zdejmuj siodło, kanciarzu!

Najemnik skrzywił się. Siodło, w odróżnieniu od mierina, nie zdążyło zmienić się przez pierwsze dziesięć lat i, niech nie błyszczące ozdobą, prezentowało się w dobrze i wygodnie. To, że trzeba.

- Dawaj-dawaj,- przynagliłam,- złożysz sprawozdanie za upiora - kupisz sobie coś innego.

- Może, poczekaj trochę - jak tylko mi kupiec wypłatę będzie odsypywać, ja z tobą rozliczę się, a, foczka? - błagał Wal. -- Mi to siodło drogie jak pamięć, ja zaś w nim całą Biełoriju objechałam! Pod nim trzy konie zdechnęły, a ono w ogóle nie zdarło się!

- Nie, najemnik, ze mną tę sztukę dwa razy nie powtórzy.
Zdejmuj siodło - i żywo, a nie to ja wezmę je łącznie z koniem, jak ty na początku proponowałeś!

Barwnie wspominając moją rodzinę, trol rozpiął popręg i rzucił siodło mi prosto w pierś. Zachwiałam się, lecz wytrzymałam, i, zadowolona, zwróciłam się do Smółki. Niestety, koń nie podzielał mojego entuzjazmu - z przestraczem chrapnąwszy, ona przycisnęła uszy i cofnęła się, nie życząc sobie siodłać się.

- Wal, przytrzymaj ją, ok?

Trol demonstracyjnie skrzyżował ręce na piersi.

Objechaliśmy po stajni trzy pełne okrążenia. Koń uprzejmie, lecz nieugięcie dawał do zrozumienia: ona nie życzy sobie nosić pamiątkę po trzech zdechłych koniach. Ostatecznie udało się zapędzić parszywka w kąt i z rozmachem narzuciłam siodło. Smółka przysiadła od niespodzianki, ja zaś szybko zaciągnęłam popręg i wytarłam pot z czoła.

Kobyła niezadowolenie otrząsnęła się i, bez trudu sięgnąwszy zębami do przedniego łuki, nadgryzła, zostawiwszy wyraźny odcisk zębów. Ja mściwie przytknęłam ją po nosie.

- Ja ot co kumiekaju,-w zamyśleniu powiedziałem Walowi,-
łapy-to cztery, i łeb niemały. Może, pochodzić po grodzie, popytać
- a nuż jeszcze odnajdą się niepokieszeni krewni?

- Ugu, ty z nimi jeszcze na rynku potarguj, - zjadliwie

przytaknęłam.

- A co? Dobra myśl! - ożywił się trol.

Ja znacząco pokręciłam palcem u skroni i wskoczyłam na siodło. Pochwała striemienam, mi więcej nie przypadnie dochodzić poręcznego pieniek lub zaborczik. Zresztą, ja nie zamierzałam śpieszyć się do samej Dogewy.

ROZDZIAŁ 9

Smółka niczym strzała pędziła po udeptanej drodze, potajemnie mając nadzieję wyskoczyć z siodła. Czasem ona oglądała się na mnie, oburzenie wschrapywała. Dzienną drogę pokonaliśmy w trzy godziny, przy czym mi do bólu nadmuchało uszy wiatrem, a kobyła nawet nie zadyszała się. Jeszcze nie zaczynało zmierzchać się, kiedy przekroczyłam granicę Dogewy, niedbale ukłoniwszy się Strażom.

Pierwszym znajomym obliczem, jak też należało się spodziewać, okazała się Kella, która rozmawiała z jednym ze Starszych. Obaj patrzyli się na mnie z taką autentyczną zgrozą i

z dumieniem, jakby krewni zmarłego, którego w najbardziej wzruszającym momencie trup siadł w trumnie i zażądał kieliszek “na pososzok”. Jeszcze i małosolnym ogórkiem przegryzł.

- Oj! - wyrwało się u Kelli. -- Heur-rreniat, Verr- kuaard-głasswa!

- Dzień dobry,- niepewnie odezwałam się. -- A co się stało?

- Gdzie wzięłaś tego konia? - zamiast pozdrowienia surowo zapytał Starszy.

- Kupiłam,- na wszelki wypadek skłamałam, nadstawiając ucha.

Wampiry wymieniły spojrzenia jeszcze straszniejsze.

- Ale to niemożliwie! - krzyknęli oni jednym głosem. -- Ani kupić, ani ukraść, ani wymienić! Kjaardy same wybierają sobie panów, a ludzie nimi być żadnym sposobem nie mogą!

Smółka dotknięcie chrapnęła, dając do zrozumienia, że jakieś tam wampiry nie będą jej rozkazywać.

- Jeśli Tylko nie... - rozpoczęła Kella i od razu zamilkła, porażona własną myślą. -- O nie... on nie mógł tego zrobić!

Niespokojne zainteresowanie, z którym wampiry przewiercały mnie oczyma, wydało się mi trochę niezdrowe. Starszy nawet stanął na palcach, próbując zajrzeć mi za kołnierz, lecz tu Smółce sprzykrzyła się baczna uwaga nieznajomych, i ona dźwięcznie kłapnęła kłami koło samego nosa wampira.

- A gdzie Len? - zapytałam, odganiając konia - raczej powiedziec, przeciągając z niej powód, który szkodliwa kobyła wykorzystwała dobry moment zaczepić zębami.

- Władca wyjechał do Arliss,- niechętnie odpowiedział Starszy, trzymając się z daleka mnie, - będzie znajdować się tam przez trzy-cztery tygodnie, może, miesiąc.

Ja jestem zawiedziona posmutniałam. Miesiąc w kompanii beznadziejnie zdrowego Kajieła i nieufnie oblizującej się Kelli? Na pewno nie!

- A dawno pojechał?

Zielarka wzruszyła ramionami:

- Dwie godziny temu.

- Będzie wycjeżdżać, jeszcze zdążę go dogonić? - ucieszyłam się.

Smółka z oburzeniem parsknęła. Doganiać wypadało jej, i ona nie pojmowała, dlaczego przypisuję sobie cudzą chwałę. Kelli mój pomysł też nie przypadł do gustu. Naczelną Dogiewską Zielarka przyjęła należnego jej godności widok, majestatyczny do pełnej czci czkawki, i władczo ogłosiła:

- wolha, Władcy teraz nie ma dla ciebie. Zostaw go w spokoju, proszę.

Naczelną Dogiewską Wiedźmą z trudem powstrzymała się od pokusy, by szczegółowo wyjaśnić Zielarce, gdzie żyje duch leśny i

jak on za nią stęsknił się. No, duch nie będę znosić “osób życzliwych”, “z lepszych pobudek” wtrącających się w cudze stosunki. Przyjaciele to przyjaciele, powinni obchodzić się bez pośredników.

- Niech on sam mi to powie.

- Już powiedział.

- Coś nie przypominam sobie.

- A ci koniecznie potrzebne słowa? - nie wytrzymała Kella. --

Władca nie życzył sobie oglądać ciebie na swoim ślubie, dlatego też przełożył ją do twojego odjazdu! Kto zaś wiedział, że ty tak prędko wrócisz?

Zapanowała napięta cisza. U mnie opadła szczeka. Starszy pełen wyrzutu spojrzął z ukosa na Zielarkę. Kella zmieszana kaszlnęła i odwróciła się. Wzruszyła ramionami:

- Wcześniej czy później ona by i tak dowiedziała się.

- To prawda? - chłodno uściśliłam u Starszego. Ten, kiwnął. Z niedostateczną, jak wydało mi się, szybkością.

- Tak,- cicho powiedziałam,- mi koniecznie potrzebne słowa. Ponieważ znam Lena lepiej od was wszystkich, razem wziętych, a on zna mnie i nigdy by nie poniżył się do “insynuacji”.

“A więc, coś tu śmierdzi”,- powiedziałam sobie, ledwie zaszczywszy wampiry pożegnalnym kiwnięciem.

Coś było i chciałam dogonić Lena przed zmrokiem. Smółka pewnie nie czuła różnicy między nocą i dniem, lecz zmęczyłam się i zgłodniałam. Nie myśląc, że posłowie z Władcą będą mknąć jak ogień, na pewno też zatrzymają się na nocleg, zwłaszcza że konie u nich najzwyczajniejsze. Och, jak wymyślałam sobie za okrężną drogę przez Kuszczu! Przeczuwało moje serce, nie na próżno mi tak nie chciało się jechać do Starminu. Gdyby nie ten przeklęty egzamin, za nic bym nie odjechała, nawet gdyby Len własnoręcznie wypychał mnie za granicę. Idiotka, po egzaminie trzeba było pędzić do Dogewy, nie patrząc na błoto i dorywcze zarobki. Z innej strony, wtedy u mnie nie byłoby konia, beczki żurawiny i usiekanego żywogłota na koncie. Może, i dobrze, że zatrzymałam się: Len mimo wszystko nie wziąłby mnie z sobą, jeszcze i zmusiłby przyrzec, że nie pojedę za nim. A tak ja jego “przypadkowo” dogonię i wproszę się w weselną kolumnę. On zaś nie będzie kłócić się ze mną przy posłach!

Kryna powitała mnie jak zawsze serdecznie. Jej przyjaciel taktownie oddalił się z powodu niespodziewanie ważnych spraw, zostawiwszy nas raczących się zsiadłym mlekiem ze świeżymi drożdżówkami.

- Kryna, opowiedz mi o ślubie,- bez dwuznaczników poprosiłam. Dobra wampirzyca przejmująco westchnęła, napełniając mój kubek.

- O ślubie, o ile wiem, będą rozmowy zanim dojdzie,- ostrożnie rozpoczęła,- raczej, o smutkach. Lecz, ponieważ smotriny nie pierwsze i, zdaniem Lena, oglądać tam nie ma na co, o czymkolwiek poważnym mówić nie wypada.

- Po co zaś on tam pojechał?

Kryna rozłożyła ręce:

- Nie mogę pojąć. Kella, oczywiście, ma nadzieję na uczucie, które nagle rozbłysło, lecz, o ile wiem na Lena, tu nie podziwiają i priworotnoje zioła. On bardzo podobny do ojca, a tego pokochał od pierwszego spojrzenia i na całe życie. Ponadto niedawny skandal chyba nie sprzyjał wzmacnianiu kontaktów.

W końcu poczułam smak drożdżówki, trzeciej licząc. Bardzo, do rzeczy, niezły smak. Trzeba odjechać z pierwszymi promieniami słońca. Byłam pewna, że dzieje się coś niedobrego, i, niewątpliwie, poważne, Len nawet nie zawiadomił mnie. Gdybym mu i spieszyło żenić się, dowiedziałabym się pierwsza, mimo wszystko i tak wyszło sztydło z worka. On zaś ewidentnie miał nadzieję rozwiązać ten problem podczas mojej nieobecności, nie wspominając o niej ani przedtem, ani potem.

- A co to za skandal?

Kryna zachichotała:

- Dość interesująca historia. Akurat z tych, co opowiadają szeptem wieczornymi dyżurującymi pielęgniarkami z

drożdżówkami. Być może, ona i ujęła Lenowi autorytetu, za to komuś też pogorszyła reputację. Trzy lata temu Władca pojechał do Arliss jakoby poznać narzeczoną, lecz po drodze go porwano.

- Porwali? Lena?! A komu on jest potrzebny? - wyrwało się mni.

- Porwali i zażądali okupu,- niewzruszenie kontynuowała Kryna,- przy czym z Arlissa. Worek złota, ciężaru Władcy.

- Bzdura jakaś,- wymamrotałam,- i oni zapłacili?

- W tym jest cała sprawa. Wszczęto długie negocjacje z porywaczami, błagano, by opuścić cenę, powołując się na szczupłość skarbu państwa i nieurodzaj rzepy. Niejaki trol-najemnik służył pośrednikiem w pertraktacjach, nosząc gramotki i z powodzeniem uciekając przed śledzeniem. Złodzieje koczewriażyliś, grozili wydać młodzika częściami, na dowód oddając strzępy płaszcza, lecz stopniowo szedli na ustępstwa, i po upływie dwóch tygodni u krzywej sosny na pagórku odbyło się uroczyste przekazanie czterech złotych monet.

- I oni puścili go?

- Tak jakby. On sam przyszedł z okupem. I we wsiach usłudnie oświadczył, że tak tani narzeczoną będzie uważany za niegodny bezcennej Arlisskiej Powielitielnicy, pośrednik i ten obszedł się mu w czterdzieści kładni, nie licząc pociętego płaszcza i moralnego uszczerbku od przeceny. Skandal był straszny, narzeczoną rwała i

miotła się, Kella nie rozmawiała z Lenem trzy miesiące, on sam chował się przed Starszymi po krzakach, a obie doliny pokładały się ze śmiechu.

- Dlaczego zaś oni nie zerwali zaręczyn, jeżeli znosić się nie mogą? - Ja z przykrością spojrzałam z ukosa na pustą do połowy półmisek. Jednolite drożdżówki we mnie nie mieściły się już, a skołupywat' z nich podżaristuju tworóżnuju nadzienie było brzydkie.

- Dziecino, jasnowłosych zostało tak mało, że ich nawet nie pytają, podobają się oni sobie lub nie. Polityka zastępuje miłość. Kiedyś Len się z tym pogodzi.

- Dla mnie, dobrze umrzeć starą panną.

- No, tobie to nie grozi,- roześmiała się Kryna,- z każdym rokiem stajesz się bardziej ładniejsza, dziecinko. Strach pomyśleć, jakie szczęście spotka twój wybrańca przez parę dobrych lat.

- Nie zamierzam nikogo wybierać,- przewarczałam,- dotkliwie -trzeba codziennie gotować i corocznie rodzić! Ja, między innymi dlatego, dziesięć lat na naukę zużyłam, by przeżyć pozostałe dla swojej przyjemności.

- Wybierać i nie wypadnie. Ani tobie, ani mu. Tym zajmie się los,- poważnie i smutno powiedziała ona, i mi wskutek tego zachciało się żartować. Zamiast tego zadałam dawno interesujące, które jakoś nie wypadało od razu zadać pytanie:

- Kryna, a gdzie wasz wilk?

- Odszedł,- z tą zaś smutną intonacją odpowiedziała ona,- przekonał się, że oddał mnie w dobre łapy, i odszedł. Wcześniej lub później tak powinno być. Życie trwa, i nawet starszkom podobnym do mnie czasem chce się dostać od niego przyjemność... Rozumem ja to pojmuję, lecz mimo wszystko czuję się priedatielnicej. I oddana. Zapamiętaj, dziewczynko: nie ważne jak przepiękne byłyby wspomnienia, nie można żyć samemu. Po prostu zapamiętaj. A wytłumaczy to samo życie.

I ostatecznie przekonałam się, że w Dogewie znikło z rozumu WSZYSTKO. Nawet wilki.

Ja długo nie mogłam zasnąć, kręcąc się i czestia Lena na drobne kawałki. Patrzcie no, wymyślił kolejną Wielką Indywidualną Tajemnicę Władca... Jakby Naczelna Dogewska Wiedźma nie pomogłaby mu raz na zawsze pozbyć się rasowej narzeczonej! A przy tym z jaką ogromną przyjemnością!

A z innej strony... może, on i nie przysyłał żadnego zgłoszenia? Pożartował, oszukał, zmusiwszy nauczyć się historii magii. A sam, z drugiej strony, umówił się z Nauczycielem, i ten załatwił mi o niezakurzoną robotkę, bym pod nogami nie plątała się. I z Arlisskoj Powielitielnicej u niego rada tak miłość... a wkrótce jeszcze i mały Lenik zjawi się.

Ja szarpnięciem przewróciłam się na brzuch i z głuchym jękiem nakryłam głowę poduszką. Naczelna Wiedźma, jakże! Idiotka naiwna. Wydała się mi ta Dogewa... widocznie zaś, że nikomu ja tu nie jestem potrzebna, nikt na mnie nie czeka, wykorzystali i porzucili ze względu na pewnego... stop. Ja niby, jestem zazdrosna? O siedemdziesięcioletniego wampira, bliskiego przyjaciela i niedosięgalnego Władcę Dogewy, pewnego siebie pięknego mężczyzny-blondyna, z równą łatwością czytającego cudze myśli i ukrywającego swoje? Ja?!

Tak!

Uuuu...

Łóżko protestująco zaskrzypiało. Teraz na poduszce leżały moje nogi, lecz pozbyć się psychicznych cierpień to nie pomogło: one obiegły łóżko i walnęły w nie z podwójną siłą.

Nie, tak nie jest! No, podoba się mi Len. Tak on wszystkim podoba się! Wampirze czary wyższego szczebla, priworotnoje zioła nimi i w zelówki nie godzi się. Tylko chłodny trzeźwy rozum doświadczonej wiedźmy zdolny jest prawidłowo oszacować sytuację... kiedy zaś to on zdążył ogrzać się i rozkręcić?! Nie wolno o przyjaciół być zazdrosnym, nieładnie. Nawet jeżeli to mężczyzna. Nawet jeżeli to idealny, najlepszy na świecie mu... Tfu! Żeby przepadł! No dlaczego to wszystko tak skomplikowane?! Propadi ona propadom, ta Dogewa, odejdę na

wolne ziemie, będę stosować praktykę na traktach, nigdzie nie zatrzymując się, wolna, jak wiatr, nie skrępowana ani uczuciami, ani grzecznościami -tylko ulatniającej się w odległości drogi...

Lecz jak on mógł! Dogonię i zabiję...

Nie wytrzymawszy, na palcach zakradłam się do stojącej w kącie torbie, pogrzebałam w szczelnie brzękających flakonach i złowiłam wędką jednego, mocno pachnącego walerianą spod obficie wytartego korka. Zmrużywszy oczy, psychicznie otchlebnuła i wytrzeszczyła oczy: piąty wyciąg, najmniej. rozpiję się niedługo! Zresztą, teraz najważniejsze było zasnąć, a rano wszystko ustawi na miejsca.

Snadobrze podziałało szybko, nawet za szybko.

...po tę stronę też są drogi - czarne i chwiejne, prowadzące w jedną stronę i niknące za plecy. Po ich brzegach kołyszą się bieżliwymi cieniami, grudkami ciemności ślizgają się nietoperze, wynurzając się z wiecznej mgły, w którym bieżgłose płaczą która zboczyła z drogi duszy.

“Zamkni Krąg, dziewczynka”.

I idziesz naprzód, jakby rozciągając napiętą sprężynę, kiedy każdy krok przychodzi cięższe poprzedniego; najpierw biegiesz, potem ledwie przestawiasz nogi, wściekle, uparcie, a kiedy ból w

kolanach staje się nieznośnej, padasz i krzyczysz od bezsilnej rozpacz, nie w siłach poruszyć się.

Dlatego że to nie twoja droga. I ta jedyna, kto bez przeszkód przechodzi po niej w obie strony, już będzie śpieszyć się na spotkanie, rozlewając mrok za plecy...

Na mój straszny krzyk zbiegli się domocządcy i, dla mojej ogromnej ulgi, nareszcie mnie obudzili. Jak okazało się, siedziałam na podłodze obok łóżka, zgarbiwszy się i przycisnąwszy ręce do piersi, mimo, że bolała głowa - prosto trzymała się, pokój płynął przed oczyma. W ustach utrzymywał się obrzydliwy smak waleriany na pół z krwią. Orojen domyślnie zanurzył kubek w wiadro z kołodziejną wodą, podał mi. Chciwie wypiałam, szcękając zębami po brzegu. Policzyłam oddechy - pomogło.

- O bogowie,- cicho powiedziała Kryna, opuszczając swietilnik. Żółta drżąca plama przepelzła na moją pierś, amulet Lena, który wybił się spod nocnego rubachi, zareagował mglistym błyskiem. -- Gvi'harr, Orroen- ve jett Ar'rakktur gjeagg. Hellet genna...

- Ja nie jestem biedną dziewczynką, - machinalnie odburknęłam, oddając kubek. - Ja jestem dorosłą groźną wiedźmą... że co powiedzieliście?

- Ta dorosła groźna wiedźma obudziła swoim krzykiem wszystkie wilki w Dogewie, - niewzruszenie odezwał się Orojen,

zabierając od Kryny świetlik i wieszając jego hak pod sufitem.

- Paskudztwo pewne przyśniło się. – Z naciskiem pomasowałam skronie. Z pewnością, to samo czują oborotni po powrotnej transformacji: nabiegał się w nieprzytomności, kogoś zagryzł, zażuł pachnącym grzbietem, a teraz wróż, kto z odnosielczan okazał się taki niesmaczny. Wspominało się kiepsko: jakaś droga, prosta i kamienista... coś czarne i pewnie nieprzychylne, psem łańcuchowym wyskoczyło naprzeciw... i on, obcy i odległy, bez zastanowienia przechodzi obok, oblewając grobowym chłodem...

“Zamknij Krąg, dziewczynka” - te słowa usłyszałam od młodzieńkoj Pifii dwa lata temu.

Lecz w uszach był nadal głos Lena.

Zebrawszy się z podłogi, ja zaczęłam gorączkowo ubierać się, nie zwracając uwagi na Orojena. Zresztą, on sam odwrócił się i wyszedł na ulicę, lazgnuw zasuwą. Kryna milcząco krzątała się u skrzyni, zsypując w woreczek to co zostało z kolacji-drożdżówki. “Spóźniasz się, beznadziejnie, niepoprawnie spóźniasz się, ty potrzebna jesteś tam teraz, natychmiast, w tej sekundzie...” - naglił wewnętrzny głos. Gdzie, po co, kogo? Duch leśny wie, jeżeli spotkam - zapytam.

Na ulicy okazało się już nie tak ciemno, między wilkiem i psem: w szarym niebie nikł blady księżyc, gwiazdy, z wyjątkiem

dwóch-trzech, zdążyły zgasnąć. Szelest żółcień chromowa tylko podkreślał ciszę, rodząc się i istniejąc jakby z własnej woli daleko w górze.

Orojen podprowadził osiodłaną Smólkę, pieśczeniwie potargał ją po karku. Senna kobyła obrzydliwie drgnęła, lecz gryźć nie zaczęła. Wskoczywszy do siodła, wyrwałam od Kryny torbę, krótko kiwnęłam zamiast podziękowania i bez litości kopnęłam Smólkę obcasami.

Trzeba było widzieć jej wzrok! Pookrywanego wstydem wasilisk ulotniłby się w miejscu. Wierzgnąwszy się, kobyła z miejsce zerwała się, sama wybrawszy drogę. Czystym przypadkiem, tamtędy to mi trzeba było, także ja nie myślałam jej zatrzymać. Sosnowe pobocza zwały się w brązową smugę, która przemykała szarymi światłami ulic, potem zamieniła się w zielone płachty łąk we mgle.

Bystra, bystra... Gdybym sama drogą leciała z prędkością kjaarda, ja to popędziłabym po niej ze wszystkich sił, w daremnej próbie chcąc wyprzedzić nieubłagane zbliżający się moment, po którym już nie ma po co śpieszyć się.

Lecz to załedwie mgnienie. Chrustnuwszaja pod kopytem gałąź, odłamki nie podchwyconej na czas filizanki, wilgotnego klekot

stały się, wktóra gryzła się po rukojał'. Go nie powstrzymać i nie zapobiec.

Zbyt późno.

Słońce wzeszło, las ożył - szelestem listowia, ptasimi trelami, głodnymi oczyma. Koszmar zaczął zacierać się, odchodzić w niepamięć, tracąc jasność i siłę przekonywania. Kobyle sprzykrzyło złościć się, ona zmniejszyła pęd i zaczęła elokwentnie oglądać się na torbę z prowiantem, czyniąc aluzje, że biednemu małemu konikowi nie zaszkodzi skromne śniadanie. Zupełnie podzielałam jej zdanie, z tą różnicą, że biedna byłam ja, lecz las nijak nie kończył się, polankami też nie rozpieszczał, a czyhające na świerkach kleszcze odprowadzały nas krwiożerczymi spojrzeniami.

Sen i sen. Byłoby o co niepokoić się. Królowi oto w zeszłym roku przyśniło się, niby jego pałac leży w ruinach, a nad nim z szyderczym krakaniem kłębią się kruki. Dwa dziesiątki etatowych pytii natychmiast przedłożyli jego majestatowi dziewiętnaście różnych interpretacji i tradycyjny koniec świata (jeden uparty emeryt przyrzekał go za każdym razem), a potem umówili się między sobą i głównym architektem i ogłosili sen przepowiednią. Natychmiast król przeniósł się w podmiejską rezydencję, a oni pomyślnie przepili wydane na remont pieniądze, a przy tym

podczas jednej szczególnie rozwiązłej hulance znaleźli sposób, by wyłamać zewnętrzną ścianę, dowodząc jeden drugiemu, że zamek utrzyma się jeszcze tysiąc lat. Zalana przez cement dziura dotychczas przypomina, jakiej okropnej doli on uniknął dzięki osiągnięciom nowoczesnej technologii.

Na przedzie zaświtało światło, i zanurzyliśmy się w złociste ciepło łąki. Na jej przeciwnym końcu zadal ciemniał las. Napięłam cugle, i Smółka przeszła na spokojny trucht. Bzdurę, która była w głowę przed snem, wspominać ją było wstyd. Drożdżówkami objadłam się, nie inaczej. I głowa od Wielkinogo snadobja jak żelazny. Co ona tam namieszała? Spojrzawszy na etykietkę, zakląłam i ostatecznie uspokoiłam się: “Diekokt “Marzenie”, trzy krople na czarkę. Uspokaja, osłabia, powoduje malownicze sny”. Domieczyłaś! Trzeba Lenowi opowiedzieć - to uśmieje się.

Pośrodku łąki śpieszyłam się i z błogim westchnieniem rozciągnęłam się na trawie, słodko przeciągając się. Uspokojona nasyciłam wzrok czule-bławatka niebem z rzadkimi kosmykami białych obłoków, potem usiadłam, rozwiązałam torbę i przygotowała się by jeść drożdżówki, lecz w porę wstrzymałam się i nie ugryzłam. Drożdżówka jakoś podejrzenie pachniała. Obwąchałam ją z wszystkich stron i perfidnie zaproponowałam kobyle. Ta wzięła i z przyjemnością zżuła, lecz to jeszcze ani o niczym nie mówiło. Zapach, zresztą, nie miał nic wspólnego z

twarogiem, który skwaśniał i spleśniałym ciastem. Tak mógł pachnieć bardzo nieżywy kot, który otruł się bardzo nieświeżą rybą. Mieszanka dziwnych aromatów nalatywała falami, wraz z porywami wiatru, i była zdolna odebrać apetyt u samego zagłodzonego wampira, nie mówiąc już o mnie.

Najpierw, rozejrzałam się i za późno odkryłam końskie zwłoki, półskryte wysoką trawą. Przedtem one z powodzeniem udawały kamień, nawet chciałam na nim poopalać się, brrr... Sierść ściemniła się od rosy i zlepiała kosmykami, siodła nie było, lecz został wytarty poprzęciem pasek. Pociągnęłam nosem. Biło nie od konia, nieszczęśliwa zwierzyna ledwie zdążyła zeszywnieć. Może, padła pod toropygoj-jeźdźcem? Obeszłam dookoła zwłoki, i mnie znowu przeraziło: morda nieżywego konia była rozkrojona wzdłuż, równo po białej mietinkie-strzelcowi. Tu ewidentnie popracowali mieczem, i chyba uderzenie nie było przeznaczone biednemu konikowi.

A potem zobaczyłam nogę w wysokim sapogię. Przestraszyć mnie nogą, niech nawet nogą trupa, dość trudno. Bieda w tym, że noga i trup leżały osobno, a pod rozrąbanym na ukos ciałem czerniła się kałuża skrzepłej krwi. Biezglazoje osoba szczyrzyła się wampirzymi kłami.

Mi pociemniało w oczach.

To był jeden z arlisskich ambasadorów.

Len!!! Potykając się ze zgrozy, ja zygzakiem obiegłam łąkę. Gorączkowe szukanie ujawniło pięć trupów, dosłownie posiekanych na kawałki. Lena wśród nich nie było. Natomiast znalazło się źródło smrodu - kilka plam żółtawego śluzu, w których już kłębiły się żuki i musze larwy. Nic podobnego ja wcześniej nie widziałam i widzieć nie chciałam, Smółka zaś była tego samego zdania. Konik drżał, jak osikowy liść, raz po raz szturchając mnie mordą w plecy - niby to, wynosimy się stąd zanim za późno.

Ja nie zwracałam na nią uwagi. Co tu zdarzyło się? Ot plama od ogniska, przewrócony kociołek i rozbity łapnik leżanki - widocznie, tu wampiry zrobiły postój, na skraju lasu. Jak tylko lewieje tego miejsce, gdzie odjechałam. Wszystko wokoło stratowane, zalane przez krew i zaplute przez śluz. Z kim oni spięli się? Dalej walka rozwinęła się po całej łące, aż do odległego lasu - jasnego, liściastego, płynnie przechodzącego w krzaki, skąd dochodziły niewyraźne strzępki rozmowy. Wstrzymawszy oddech, wpatrzyłam się przez rzadkie, lecz natrętnie mieltieszaszczije ulistnieniem osinki, rozpraszające uwagę. Na skraju lasu stali dwaj mężczyźni, którzy częściowo byli podobni do wampirów ciemnymi włosami i biezborodymi, mimo wieku, osobami. Oni o czymś dyskutowali, patrząc pod nogi i zacięcie gestykułując. Jeden, podobnie, beształ drugiego, a ten nieprzekonywająco

usprawiedliwiał się. Wysoka trawa skrywała przedmiot waśni. Wnioski prowadziłam przeważnie na czworakach, tak że mnie oni na razie nie dostrzegli. Ja nie zamierzałam naprawiać to przeoczenie delikatnym pokaszliwaniem a już tym bardziej biec na spotkanie z radosnym krzykiem: “Bracia!!! A co tu stało się?” Wpierw nie zaszkodzi przekonać się, że porwani koledzy - rzeczywiście bracia. Obejrzałam się i wzdrygnęłam się od niespodzianki - Smółka zginęła. Dopiero co żałośliwie wschrapywała obok mnie, obwąchując trawę, i nagle jak pod ziemię zapadła się. “Może, domyśliła się i uciekła”, - z nadzieją pomyślałam i powlokłam się przed siebie.

Pole obfitowało wysokim mleczem, kolczastym, lecz bardzo odpowiednim do maskowania. Mi udało się podkraść do sporszcikam praktycznie bardzo blisko i dojrzeć kozaki z wysoką sznurowką, rozpięte z okazji upału kurtki, szare obfite spodnie do konnej jazdy i miecze przy pasach. Tak odiewajetsia połowa ludzi i wampirów. Lecz wampiry od dawna by mnie wyczuły. I oni rozmawiali na Ogólnym:

- Idiota! Tak spartaczyć prostą operację! Wydawałoby się, proste - niepostrzeżenie dla niego podmienić straż?!

- Kto zaś wiedział, że on pojedzie na kjaardie? - głosem bełkotał drugi. -- myśleliśmy, oni jego ostrzegą...

- Oni, oni... nie dość że wzbrnęło mu w głowę w najgorszy

moment! Ty powinieneś sprawdzić! Nie podjeżdżać blisko, dojrzeć z krzaków! Dmuchać otrutą szpilką! Ja ciebie mam uczyć?!

- Aha, obejrzeć... A strażnicy?

- Dwóch śpiących wampirów i pięcioro śpiących! Dwudziestu was! Podejść, przywitać się, odprowadzić w storonku i...

- Trzech! On siedział razem z nimi! I bydlę to przeklęte opodał, jak zawyje - nie tylko śpiących, martwych by poderwał!

- No i co?! Nie dość jaka woźna nią pod ogon wpadła? Kleszcz ugryzł, niedźwiedzia poczuł? Dogadali się: komitet po przyjęciu dostojnego gościa, nie powstrzymał, wyjechali na spotkanie, w intencji zwiększenia bezpieczeństwa. Oni zaś was wszystkich w twarz wiedzieli, że nim jakiś który wściekł się kjaard? Posudaczili i zasnęliby znowu.

- Ty byś widział jego oczy! On nawet pytać nie zaczął, od razu za gword chwycił się!

- Gospodarz oszukuje tę głupią drugi miesiąc, a on zrozumiał od pierwszego spojrzenia? Nie, on po prostu nadstawił ucha, a u ciebie nie wystarczyło inteligencji wymyślić jakiegoś subtelnego sygnału do ataku! I co teraz zlecisz z nim robić? Jeżeli teraz wyrwę miecz, my nie będziemy mogli nimi kierować, a bez riera od trupa za mało pożytkowi.

- Sznurek mógł porwać się podczas bitwy. Jeżeli poszukać w trawie...

- Łatwiej odnaleźć dobry pomysł w twoim pustym łbie! Nie, ten pasożyt zdążył zaopatrzyć się stróżami... trzeba zaś, a w Arlissie go będą brać pod uwagę beztroskim obormotom.

- możemy przekopać trupy. Nim powiedzmy, że pomyślnie dotarli, a nią - co on, jak zawsze, zrezygnował. Ona nawet nie zdziwi się.

- A ogier?! Wcześniej lub później on powróci do Dogewy bez jeźdźca, cały we krwi i z klejmienymi nasadkami w bokach!

- Myślisz, oni go nie dogonią?

- Pewnie! Ta kreatura gnała niczym wiatr, stworzenie jej tylko podstiegnuli. Minęło nie więcej niż trzy godziny, a ich dotąd nie ma.

- Może, on niedaleko uciekł? - z nadzieją przypuścił drugi.

- On uciekł, kretynie,- ze złością odburknął pierwszy. -- Jak nam teraz składać sprawozdanie przed hersztem? Siedmiu z dwadziestu zginęło, a żywego udało się wziąć tylko jednego. Sześciu ludzi szkoda!

Nie, te typy na pewno nie były moimi "bratkami". I wampirami - też. Kogo oni ujęli żywcem? Czyżby Lena?! Podobnie to, nie było pomiędzy zabitymi. Po ich słowach zrozumiałam, że oni mieli zamiar zamienić straż, lecz dlaczego? By w samej bitwie porwać Władcę? Kryna mówiła, że historia z "wykupem narzeczonego"

rozbrzmiewała na obie doliny, możliwe, komuś ona wydała się nie taka już idiotyczna. Oczywiście, rozbójnikom przypadnie pomęczyć się, udowadniając, co to jest nie kolejna rozgrywka, lecz po pierwszym zaś ucho Dogewa wyłoży za Lena dowolną sumę, choćby po wadze wszystkiej bandy.

Trwać w miejscu było niebezpieczne, fałszywe wampiry z minuty na minutę oczekiwały kolegów, i ja gorączkowo rozmyślałam, dokąd by mi udać się - czy to, zacisnąwszy zęby, obczołgać rozbójników bokiem, przez pokrzywę, i ukryć się w tym zaś lesie, czy to cofnąć się wstecznym biegiem - odwracać się do nich tyłem mi bardzo nie chciało się.

I tu drugiego, który zawinił, utkwiał się prosto we mnie wzrok i zaczął krzyczeć:

- Ty spójrz, jaka bezczelna kreatura! Znowu ona! I kiedy zdążyła podkraść się?!

Pierwszą moją intencją było wyskoczyć i rzucić się do ucieczki, drugą - znów-jednak zerwać się i atakować pierwszym zaklęciem, które przyszło do głowy. Póki wybierałam, rozciągnąwszy się na brzuchu i ze strachu, a jednocześnie i dla konspiracji, wtuliwszy twarz w ziemię, pierwszy urywanie wydał rozkaz:

- Po koniach!

Ziemia zahuczała od narastającego tętentu.

- Wchodź z lewej strony! Strzelaj! Ucieka, zaraza!

“Tak?!” - ze zdziwieniem pomyślałam, i wtenczas oni przemknęli obok, z dwóch stron, w jakichś dziesięciu łokciach ode mnie. Ja nieufnie podniosłam głowę, obejrzałam się...

Pseudowampiry że są mocze nachlestywali koni, a na czele na złamanie karku mknęła Smółka, powoli, lecz dobrze mijając przeszkody. Sworznia tymczasem nadbiegały, lecz przeładowywać kuszę na galopującym koniu - czyn ciężki, a dostać się jeszcze cięższy, tym bardziej Smółka przypomniała sobie zajęczą taktykę i zaczął pietlat' i podskakiwać. Odgradzona przez drzewa łąka ciasną furtką przemieniała się w bieskrajniuju pagórkowatą równinę, jak zalew w ocean. Dowolny inny koń instynktownie ybrałby właśnie tę drogę ucieczki, lecz bagienna źrebica nie ufała dolinnym stepom, ojczyźnie przodków, i nagle, jakoś bokiem, skaknęła w las, w mig zniknąwszy wśród drzew.

Bandyci otoczyli konie, uświadomiwszy sobie bezowocność dalszej pogoni. Na pewno dobrze zaklęli, chociaż stąd nie było słychać, i powoli potchórzyli z powrotem.

Popełzłam naprzód, śpiesząc się ukryć w lesie do ich powrotu. Przesiedzę w krzakach, jednocześnie podsłucham, dokąd i po co oni porwali niewolnika, a tam, powróci kobyła i rzucimy się za nimi. Wracać w Dogewy nie ma czasu, najprzód wytropię rozbójnicze gniazdo, a potem po meblach rozchwytny. Może,

prostszy dostroi ucieczka...

Lecz tu zagłębiłam się ręką w coś twardego i chłodnego i z oszałamiającą jasnością zrozumiałam, że spóźniłam się z głupią nocną obietnicą zabić Lena.

On i tak był martwy.

To było tak straszne i niespodziewane, że najpierw pozbawiło wszystkich uczuć. Ja nie mogłam ani zacząć krzyczeć, ani zapłakać, ani stracić przytomność. Po prostu klęczałam i głupio dotykałam rozerwanego kołnierza jego mocnej szarej koszuli, próbując połączyć brzegi, jakbym bała się, że inaczej on zamarznie i przezięb się.

Pomylić się nie mogłam. Woskowa bladość która zastygła na opadłym obliczu nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Nawet włosy wydawały się nienaturalnie jasne, jakby spaliły się lub posiwiały. Zgrabiałe palce zwały się na rękojeści miecza, przygważdżając ciało do ziemi. Dobre cięcie, prosto w sercu.

Dobre?!

Mało rozumiejąc, bo i po co to robię, ostrożnie rozwarłam martwe ręce i sama chwyciłam się za rękojeść. Pociągnęłam, lecz siła, z jaką to zrobiłam okazała się trochę za mała, miecz nawet nie drgnął. Zrozumiałam, że trzeba wstać, a jeszcze lepiej - zaprzeć się nogą o pierś trupa.

Mnie opanował histeryczny śmiech. Mój najlepszy przyjaciel zabity, a ja stoję nad jego ciałem i myślę, jak rozluźnić miecz, który w nim utkwiał!

Podniosłam się, zmrużyłam oczy i nadepnęłam. Trzeba było jednak rozchwiać, a następnie miecz poddał się i szarpnięciami

poszedł do góry, lżej i łatwiej. Zdaje się, wyjęłam. Otwierać oczu absolutnie nie chciało mi się; po pierwsze, dokładnie wiedziałam, że zobaczę, po drugie, i tak jeszcze pozostawała szansa, że śpię i to tylko kolejny nocny koszmar.

I tu poczułam pod nogą jakieś poruszenie.

Mi do głowy nie przyszło, że Len może zmartwychwstać; triumfować ja także nie myślałam, wręcz przeciwnie, trzymałam miecz, by ewentualnie wsadzić go z powrotem. Od grzechu jak najdalej, na praktykach nekromancji zdążyłam przekonać się: przyjaciel, który ożył, jeszcze gorszy niż zmarły, i lepiej szlochać nad trupem, niż uciekać od tego. Niepocieszeni krewni, którzy pochopnie uciekli się do pomocy nekromantów, potem jeszcze bardziej błagali by uspokoić upiorny przedmiot bóleści na zawsze.

Zresztą, nie zanosilo się na ozywianie i robienie z Lena zombi. Mięśnie nie kurczyły się, a poruszały się, jakby próbując przyjąć bardziej wygodne położenie, z licznych ran popłynęła ciemna krew, która natychmiast ścięła się. Powietrze nad ciałem zmaciło się, jakby go spowił blady płomień. Ja szybko zdjęłam nogę, w porę: odzież zadymila się.

Słyszałam, że wampir, trafiony przez osikowy kołek w serce, natychmiast spala się. Na ścianie jednego z dawnych belorskich świątyń jest nawet okopcona plama odpowiedniej formy, dla efektu obramowana przez żółtą farbę (którą, zresztą, z tym samym

powodzeniem mógł zostawić rycerz, który trochę nie dogodził miotającemu ogniem smokowi). A może, plamę narysowali kapłani w charakterze reklamy dla ściągnięcia wiernych. W jakimś wypadku, miecz w sercu zadziałał inaczej: samo ciało nie paliło się, lecz zarys ciała pomału przemieniał się, jego części płynnie przekształcały przyjaciela w coś innego, zostawiając na ziemi “zbyteczne” skrzepy krwi i resztki odzieży.

Na zwyczajną transformację przy pomocy skrzydeł to nie wyglądało, lecz rezultat był ten sam.

Biały wilk z trudem podniósł się na rozczapierzonych łapach, pokręcił łbem i spode łba skierował się na mnie. Wyraźnie ledwo żył, wyliniała skóra mocno opinała wampirze żebra, z pysku kapiała ślina, jak przy ostatnim stadium wścieklizny.

Ot i teraz- ja przestraszyłam się nagle!

U niego były żółte, zwierzęce oczy bez najmniejszych oznak rozumu.

-Len?

W kosmatym gardle okrutnie zabulgotało, spod pomarszczonych warg błysnęły kły, jakby - cztery sztylety i dziesięć noży mniejszych, bardzo wygodnych do rozszatkowania wiedźm na kiełbasiane mięso mielone.

-Len!

Zwierzę skoczyło. Wyrzuciłam rękę, osłaniając gardło, i wilk,

nie namyślając się, wpił się trochę poniżej łokcia. Przerażliwy, niespodzianie mocny i jakiś krzywdzący ból szybko zajął się do samego ramienia. Wydawało mi się, że on przegryzł rękę na pół i dłoń teraz wypadnie z rękawa. Bez pośpiechu chwytając i ogryzając zdobycz, wilk z jawnym obrzydzeniem wypluł skrawek, który wbił się w pysk, mając zamiar najpierw doprowadzić sprawę do końca. Ledwie zdążyłam cofnąć głowę, zęby zamknęły się na kołnierzu, lekko rwąc kurtkę razem z koszulą. Wilk w zamyśleniu pozuł skórzany kołnierz, kapiąc mi ciepłą śliną na szyję, nie zaaprobował i spróbował zająć się czymś bardziej odżywczym, na wszelki wypadek nie wypuszczając kawałka.

Wówczas mojej cierpliwości, raczej, odrętwieniu, nadszedł kres, oburzyłam się i kopnęłam wilka nogą w brzuch. Zwierzę ze zdziwieniem stęknęło i cofnęło się, nie rozluźniając zębów. Kołnierz pęknął, sznurówka wyleciała z mięsem.

- Len, ty oszalałeś?!

“I naprawdę, to jest do mnie?” - zakłopotanie zastanowił się wilk. Zaniechawszy ryczeć i patroszyć kurtkę, jak kiełbasiane opakowanie, on poufale zajrzał w podarty kołnierz. Widok go pewnie natchnął. W podnieceniu zaskomlał i zamerdawszy ogonem, wilk spróbował wleźć jeszcze głębiej, łaskocząc pierś

chłodnym nosem, lecz pisnęłam i kopnęłam go zdrowym łokciem, zmusiwszy by odskoczył.

On powstał przede mną, zdumiony i zmartwiony jednocześnie, potem zawrócił i niepewnie uciekł precz, raz po raz oglądając się. Z takim rozżalonym wyglądem, jakbym zrobiła mu jakieś świństwo, na przykład, posmarowała kołnierz palącym pieprzem.

- Len!

Może, on by i wrócił, lecz tu straciłam świadomość.

Szlachetne dziewice, skłonne do częstego omdleń, przezornie noszą z sobą sole orzeźwiające-pożądanie we flakonikach na piersi, by sprawić jak najwięcej pikantnego zamieszania wokół swojego nieczułego ciała. Zwłaszcza dobrze ta metoda sprawdza się sam na sam z niezdecydowanym zalotnikiem, który, jako szlachetny człowiek, po wszystkim jest zwyczajnie zobowiązany zenić się z symulantką.

Mi zaś bardzo przydałby się rycerski hełm - lepszego środka od uderzenia polanem po głowie medycyna jeszcze nie wymyśliła.

Ocknęłam się skrępowana, w przewróconym i zawieszonym stanie, delikatnie mówiąc, pod pełnymi wyrzutu spojrzeniami dwóch poznanych "wampirów" i jednego nieznanego, kudłatego, który podkraść się do mnie od tyłu. Z wyżej wspomnianym polanem, które on lekko poklepywał po dłoni.

- M-myje yenii? - z niewinną miną zainteresowałam się przez knebel.

Niewychowani rozbójnicy nawet nie przywitali się w odpowiedzi.

- złapałem tę parszywą obok ciała,- kudłaty obrzydliwie szturchnął mnie palcem w pierś. Na znak protestu mi pozostawało tylko kołysać się na przerzuconej przez gałąź lince i gniewnie błyskać oczyma. -- Ona wyciągnęła miecz

- Co?!

- Jak?!

- On transformował się i czmychnął,- zgubnie skończył rozbójnik.

Zdaje się, ta wiadomość ich nie bardzo zmartwiła. Dobrze, że oni nie zatkali mi uszu.

Czarować ze skrępowanymi rękoma prawie nie mogłam. Pewne zaklęcia, oczywiście, nie potrzebują tego, lecz za słabe, po prostu zbić przeciwnika z nóg, to on podniesie się jeszcze bardziej rozłoszczony. W skroniach zaczynała pulsować krew. Czym dłużej będę wisieć w dół głową, tym większe prawdopodobieństwo na wylew krwi do mózgu, a dla maga to gorsze od śmierci - kompletna i nieodwracalna strata zdolności.

Po długim i barwnym wyliczeniu wypaczeń, jakim oddawali się moi krewni, przyjaciele z innym i przeróżnymi przedmiotami,

rozbójnicy w końcu-to przypomnieli sobie o samym obrzydliwym potomku tej nikczemnej rodziny. Wyjąwszy knebel i dla ożywienia rozmowy włożywszy mi pod nos szeroki krzywy nóż, kudłaty posępnie zainteresował się:

- Ty kto jesteś?

- Tak, tak, obok przepęłzałam,- odburknęłam, zerknąwszy oczyma na nóż.

- Przepęłzałaś, mówisz? - w zamyśleniu powtórzył bandyta i bez uprzedzenia uderzył mnie pięścią w brzuch.

Wygięłam się łukiem, chwytając ustami powietrze. W płucach ono wytrwale nie tłoczyło się. Tymczasem mnie szybko i fachowo przeszukano. Znak wydziału zmusił kudłatego zmartwienie skrzywić się.

- Wiedzma, matka jej,- nie powstrzymawszy się, rugnął. -- Pusta, nie podmienisz...

Wytrząśnięte z koszuli pieniądze niewiele poprawiły mu nastrój. Dokładnie przeliczywszy monetki, rozbójnik wsypywał je w kieszeń, ignorując zawistne spojrzenia podleśnych świerkowych. Ja z trudem powstrzymałam się od wrogiego zwrotu - przed wjazdem w Kamniedierzec, który słynął z ulicznych kradzieży, zaczarowałam kieszeń, by ci którzy porwali się na niego, świerzbili nie na cudze mienie, a na samych siebie.

Następnie nadeszła kolej dokumentów. Kudłaty biegle obejrzał

papierki, zmiął i wyrzucił w trawę.

- Licho podrzyj, ta złoźnica - to był królewski mag!

Gdyby, wiedział Nauczyciel, komu mi przypadnie okazywać pracowniczy zwój...

- Kiedy stosowałam praktykę na dworze,- wyniośle oświadczyłam,- sam król rano podawał mi kapcie. I jeżeli z mojej głowy spadnie chociażby włos, tajne służby znajdą i oskubią was żywcem, a trupy oddadzą Kowentowi Magów, do pośmiertnych ekshumacji!

- Może, tobie jeszcze i Władca buty z cholewami czyścił?- wyszczerzył się rozbójnik, lecz nóż zabrał.

- Nie, spodnie prał,- poprawiłam, nie uściślając, że wypraniem Len zajmował się pierwszy i ostatni raz w życiu, z przekory, a spodnie w rezultacie zatopił. -- Ja, nawiasem mówiąc, jestem Naczelną Dogewska Wiedźma, mi wszystkie wampiry w pas kłaniają się, a Starsi przed sobą w drzwiach przepuszczają!

- Krótszy, cicho prikopat' ty pod krzakiem nie wyjdzie,- rozczarowanie zamknął kudłaty.

Ja z tego powodu wcale nie przeżywałam, nawet na odwrót.

Rozbójnicy odeszli na stronę i konferencyjnie zaszeptali

między sobą, nie zwracając uwagi na moje donośne żądania, by dopuścić mnie do udziału w dyskusji jako jak najbardziej zainteresowaną stronę. Kudłaty zacięcie drapał się, na niego już zaczęli podejrzenie zerkać, starając się trzymać nieco dalej.

Po kolei wskazawszy na gardło, ziemię, niebo i dokądś w bok lasu, rozbójnicy doszli do wspólnego orzeczenia. Sądząc po ich zadowolonych pyskach, mnie to powinno było zmartwić.

- Chyba, my ciebie puścimy,- ogłosił kudłaty.

- I nawet będziemy odprowadzać,- przytaknął drugi. -- Tak ważnej osobistości po prostu niezbędna ochrona, inaczej jacyś źli ludzie mogą przeszkodzić wrócić jej do Dogewy i to zasmuci Starszych.

- Ja wszystko im opowiem,- mrocznie obiecałam. -- Prosto z progu. Z granicy, to jest.

- Och, jak przestraszyliśmy się! - malowniczo roześmiał się trzeci. -- A kto tobie uwierzy? Słowo ludzkiej wiedzy przeciwko słowie dziesięciu wampirów. Ot niech ona i wymyśla w okolicznych katowniach, w jaki sposób jej udało się wykończyć Władcę Dogewy. A przyczynę, dla której ona to zrobiła, Rada wymyśli sama. Za tobą przecież były jakieś grzeszki, z pewnością?

Gorzej być już nie mogło, lecz niemniej stało się.

“Z zazdrości” - na pewno założy Kella. Trzy lata chodziłam za Lenem krok w krok, a dowiedziawszy się o ślubie, popędziłam z

Dogiewy z taka wykrzywioną twarzą, że zupełnie mogłam udusić posłów gołymi rękoma.

Zmarkotniałam, rozbójnicy rozpromienili się. Oni już odwiązywali linkę od pnia, kiedy u mnie zza kołnierza spóźniono wyśliznęła się kiść amuletów i zwiśla poniżej wierzchołka, kołysząc się na sznurowadłach i łańcuszkach. Był tutaj i Welki korzonek, i awanturyn Lena, i kocie oko, chyba od niestrawności, drobne kamyki obsydianów, które należało przebierać po paciorku by bardzo szybko odzyskać magiczną rezerwę, listek który zastygł w bursztynie (po prostu ładny) i inne wiedźmowe graty.

Kudłaty obojętnie prześliznął się spojrzeniem po brzęczącym pęku, zaczął podejrzanie badać rozdrapaną do krwi rękę, lecz nagle drgnął, raptownie obrócił się, całą kiść, w tym samym miejscu upuścił i z krzykiem pogalopował po polanie, dmuchając na dymiącą się dłoń. Czujny korzonek kopcił śmierząc. Welka sama całkiem dobrze nie wiedziała, w jaki sposób on powinien oczyścić; widocznie, zakładało się nabrać odwagi i wetknąć amuletem bezpośrednio w usta, po kolei.

Rozbójnicy ze zdumieniem wytrzeszczali oczy na kolegę, nie zdążywszy zauważyć, co zaszło. Korzystając z okazji, naprężałam i wykręcałam ręce, próbując rozluźnić ściskającą je linkę. Sprawnie pomagała prawa ręka, którą nasączyła krew, włókna nabriakli i osklizli, która chyba była odgryziona, niczego nie

czułam, lecz jakoś była posłuszna. “Nie wytaszczę, to oderwę, wszystko jedno potem odciąć”, - gniewnie myślałam, bez litości wyrywając ją z więzadeł.

- Świeżutkie buły! - Dźwięczny paniński gołosik zastał wszystkich zniecka, nawet kudłaty przestał przedstawiać trola, który objadł się muchomorami i nieufnie ustawił się na kolejną wozmutitielnicu spokoju, zaczynając podejrzewać, że przechodnie specjalnie nakładają drogi przez las, żeby popatrzeć na rozbójników, i gdzieś na rozwidleniu przybili stosowny znak. W dziesięciu krokach ode mnie stała obca dziewczyna lat dwadzieścia. Osamotniona krucha figurka, nad prawym ramieniem której wznosiła się opleciona rękojeść a przez lewe opadał wzdłuż wzniosłej piersi gruby jasnowłosy warkocz. Ręce dziewczyna bezczelnie wsparła pod boki, z zainteresowaniem badając naszą malowniczą ekipę. Gałęzie, pod które podeszła nieznajoma, jeszcze nie zdążyły znieruchomieć.

- O, jaki garny chłopcy! - oświadczyła ona na soczystym winiesskom dialekcie. -- Wy tylko podywytiesia, jak po żanoczoj łascy znud'guwałysia - na jedną diwczinu w trzech narzucili się! No to idźcie i do mne, ja was też dobra uważu, bo majowa godzina i natchniennia!

Czasu i natchnienia rozbójnikom też było nie trzeba. Wypuściwszy odwiązaną linkę (ja nieomal uszkodziłam szyję i

niecenzuralnie o tym zakomunikowałam), oni obnażyli miecze i w złowrogim milczeniu ruszyli na nieproszoną orędowniczkę. Dziewczyna zmartwienie poświstała i cofnęła się, wyciągając własną klingę.

- Ty spójrz, druhu, kogo my zaraz rąbać będziemy!

Nie wiem, zdążył miecz spojrzeć, lecz ja bym na jego miejscu zadrżała, dała nurka z powrotem w pochwę i prędko zaciągnęła pasek: broń przeciwników była w półtora razy dłuższa i masywniejsza, z drogiej ciemnej stali, znanej jako "gnomi aspid". Rany, pokryte przez tę świnię, bez magii nie tylko nie goiły się, lecz również rozrastały się w głąb i wszere. Także chodziły pogłoski, jakoby aspidny miecz słucha tylko tej ręki, z której pierwszy raz spił krwi. Go nie polecało się nawet przerzucać z ręki do ręki, chociaż naukowo-magicznego wyjaśnienia tego faktu nie było, jak i dowodów.

Tym niemniej przestraszyć nieznajomą nie udało się. Wybuchła bitwa. Rozbójnicy walczyli milcząco, dziewczyna zapalczywie komentowała:

- Majcie śmieciami, przychodzie pa czerzi! To kudy zaś ty jesteś ucieczką, kochany mój? A no wiertajsia, coś ciekawie pokażę! Nie uchodziło się? Bo zaś - pięść w oko! O, to dobre uderzenie! Lecz szkoda, nie mój... Ty co robisz? Co robisz, ja ciebie torturuję?! Sami niedobrzy, czy nastawnik poganyj

znalazłszy się? Kto zaś tak dziwacznie bije? W jak trzeba! Pojął?
No, ockniesz się - dojde. Hej, a mnie-to za co?!

Mieczem winieczanka w zasadzie odparła, okładając przeciwników rękami i nogami. Pierwsze tnące uderzenie przypadło po wrogiej skroni - cięcie, na płask. Czy to rozbójnik obecnie poszedł twierdогоłowyj, czy to miecz znał lepsze czasy, lecz ostrze nie zwyczajnie złamało się - odłamkami prysło w boki. "Wampir" odsunął się, smętnie kiwając głową. Dziewczyna, nie zmieszawszy się, ogrzała jego rękojeścią po szczęcie i bez litości dodała nogą poniżej pasa. Przeciwnik zgiął się w ziemskim ukłonie, na pomoc już spieszyło dwoje innych. Dziewczyna, jakby bawiąc się w galimatias, uchwyciła "wampira" za barki i przeskoczyła przez jego plecy. Zielone Świątki ułożyły się w barwną masę miału, rześko rzucającą się rękami i nogami.

Niniejsze wampiry od dawna skrępowwałyby dziewczynę w barani róg, lecz ganiali ją po łączce dobrych dziesięć minut, zanim narzucili się wszyscy razem i przewrócili na ziemię.

- Aha, ta nam nada się! - triumfalnie posapał kudłaty, wczepiwszy się dziewczynie w warkocz, jakby miał zamiar oderwać nim głowę.

Dla czego nada się, ja tak i nie dowiedziałam się, dlatego że rozpaczliwym szarpnięciem wyrwałam-jednak prawą rękę (czy to z uwięzi, czy to z ciała). Zaklinać nie było czasu, ponadto bałam

się zahaczyć dziewczynę, tak że ograniczyłam się prostą energetyczną falą, która rozrzuciła przeciwników po krzakach. Póki oni tam tarzali się i przeklinali, zebrałam odłamek rzucając i zajęłam się ściskającą nogi linką. Łatwiej, oczywiście, rozplatać osłabiony czarami węzeł, lecz do tego potrzebne obydwie ręce, i wskazanie całej. Prawa wyglądała okropnie - zakrwawiona, nabrzmiała, z nieugiętymi palcami i głęboko wrzynającymi się śladami po kłach. Lewa też ledwie poruszała się, lecz mały gruczoł mizernie-biednie utrzymywała.

Rozbójnicy wydostali się z krzaków i rzucili się do mnie, ignorując dziewczynę. A niepotrzebnie - ona sprawiedliwie doszła do wniosku, że ten wróg nie zasługuje na uczciwy bój. W powietrzu gwizdnął ciężki badył, najbliższy "wampir" dostał nim po karku, wykonał wytworny piruet i na długo wypadł z boju.

Spostrzegłszy to, rozbójnicy rozdzielili się. Mi przypadł w udziale kudłaty, drapiący się nawet w pędzie. Odrzuciwszy miecz, on niczym stęskniona za wnuczką babcia, rozwarł ręce mi na spotkanie, postanowiwszy brać żywcem. Ja dopiero co zdążyłam rozplatać nogi i wstać, lecz nie mogłam zrobić ani kroku - one tak ścierpły, że mi wypadło oprzeć się plecami o drzewo.

Kudłatego powalić nie zdążyłam, objęcia u "babci" okazały się żelazne, dostało się i kościom, i pniowi. Ospałe, raczej na znak protestu, niż mając nadzieję obronić się, stuknęłam kudłatego

pięścią po czole. Pękło coś, błysnęło, i przeciwnik, nie zdążywszy stęknąć, rozsypywał się niczym drobny czarny pył, a wiatr rozwiewał go. Ja ze zdziwieniem popatrzyłam na pięść. Wokoło palca prześliznęło się, łuski jadowite; prześliznęło się i ponownie zastygło srebrem pierścienia. Jednakże artefakt, nie znikł i nie stracił siły po aktywacji.

Nogi ugięły się, spełzłam po pniu, czując się niewiele lepiej od zabitego. Obojętnie, zdaje się nie obarczonym przez świecką krzątanicę nieboszczykom, obejrzałam się, machinalnie zebrałam i wepchnęłam w kieszeń zmięty dyplom, pobrudziwszy zwitek krwią. Na polanie panowała podejrzana cisza, z krzaków wystawały nogi trzeciego rozbójnika. Dziewczyna odrzuciła zbyteczny już kamień, z przykrością popatrzyła na rozrzuconą po polance broń, lecz rozsądnie powstrzymała się od zbioru łupów.

- Czmychamy! - wydała rozkaz, machnąwszy ręką na las.

-Co?

Dziewczyna od razu przeszła na białoskij mowę z rzadkim wkropleniem winiesskich słów:

- Biegniemy, każę! Oto, na horyzoncie punkty jakieś poruszają się – na pewno, jeźdźcy.

- Ja nie mogę.

- A to dlaczego? - Dziewczyna nie rozumiejąc zmarszczyła brwi, szybko nachyliła się i, chwyciwszy mnie pod pachy, jednym

szarpnięciem postawiła na nogi. -- Na tamten świat zawsze zdążysz, a ten leżących nie kocha. Czy myślisz –że jak ręce na piersi skrzyżujesz, tak oni czapki zdejmą, poplączą i rozplyną się?

Wyobraziłam sobie tę przeraźliwą scenę i zadrżałam. Punkty rozrastały się i mnożyli się, naliczyłam osiem i pomyliłam się. Konie rozbójników w czasie bójki odbiegły na środek łąki, łowić ich było nie ma kiedy, a nogi w krzakach poruszyły się, przyciągając uwagę głuchymi jękami ich posiadaczy. Dziewczyna nie czekała na moją zgodę. Zręcznie podpierając mnie ramieniem i objąwszy za talię, ona z energią szalonego dzika rzuciła się w gęstwinię.

Nogi jakoś przestawiałam, potem one rozprostowały się od chodzenia, i przestałam wisieć na dziewczynie martwym ciężarem. Ona odsunęła się, na wszelki wypadek nie wypuszczając mojej ręki. Pogoni nie było słyhać. Na razie jeszcze oni doskoczą, rozchwyatają, przesłuchają ogłuszonego - i to, jeżeli on przyjdzie do siebie, a nie zdechnie. On chyba nie zauważył, dokąd pobiegliśmy, trzeba będzie szukać śladów, i jeżeli wśród nich nie ma prawdziwego wampira, to sprawa skończy się.

Ukąszona ręka paliła, jakby na niej wisiał głodny wasilisk, czasem poruszając wyszczerbionymi szczękami. Strzepnąć go nie dawało się, zaklęcia rozbijały się o ścianę bólu, nie dającą skupić

się. Ona zaostrzała się w odpowiedzi na jakiekolwiek pchnięcie, dźwięk, który przemknął obraz.

Gdyby proponowała towarzyszka odrąbać mi rękę, zgodziłabym się bez wahania. Lecz ona bez litości ciągnęła mnie przed siebie, wybierając najniewygodniejszą drogę przez gęsto zwarte jełoczki, chwytne malinnik lub buriełom. Koniec końców stoczyliśmy się w zarośniętym trzcina wąwozie, na co dziewczyna niebywale ucieszyła się - niby to, teraz-to oni nas istotnie nie dogonią, a jeżeli pójda po korycie strumienia, to i nie wysledzą.

Strumień okazał się nie tylko głęboki, powyżej kolan, lecz również bagnisty. Mlaskaliśmy po nim, jak dwóch upartych myśliwych w pogoni za podstrzeloną kaczką, rozpuszczając w dół rzeki czarne obłoki błota. Woda początkowo wydała się chłodna, potem lodowata, a następnie nogi zeszywniały i im zrobiło się wszystko jedno. Dodatkowo strumień roił się od węzów, czy żmij, chociaż oni nie przedstawiali się i, z oburzeniem sycząc, odpełzali, nie pragnąc zadawać się z obłąkanymi dziewczętami. Sucha zesłoroczna trzcina z zieloną obecną niemiłosiernie drapała ręce, zza niej nic nie było widać, i ja z trudem powstrzymywałam się od żalosego krzyku: “Au, rozbójnicy! Poddajemy się! Wyniesiecie nas stąd!”

Nareszcie natknęliśmy się na przewróconą sosnę i po niej wybrnęliśmy na brzeg. Jak okazało się, wąwóz niepostrzeżenie

znikł, został szeroki rów, po obu stronach wylaniał się rzadki las. Gdzieś w oddali wrzeszczały koguty, i dziewczyna bez wahania skręciła do miasteczka.

Lecz nie zdążyliśmy przebyć stu kroków, jak w moich i bez tego mętnych oczach ostatecznie pociemniało, i jeżeli sam upadek jeszcze pamiętałam, to uderzenia o ziemię już nie poczułam.

Ocknęłam się głęboką nocą, na miękkim świerkowym leżaku przy wesoło palącym się ognisku, troskliwie otulona w dwie kurtki - moją i cudzą, z mdłym zapachem bzu. Z prawej strony ciemniał las, z lewej strony migotały gwiazdy, na horyzoncie widniały płomyki mieszkań.

- Czołem, umierająca! - Dziewczyna bezdźwięcznie wynurzyła się z ciemności i chlustnęła na węgle kociołek z wodą, przerobiony z rycerskiego hełmu. Otóż że brzękało u niej w zaplecionym worku, który dziewczyna zdjęła przed walką i nie zapomniała przechwycić przy wycofaniu się. Jak mawiał jeden z wielkich wodzów starożytności, "tchórz, uciekający z pola bitwy, rzuci wszystko, człowiek odważny trwa przy swoim, a bohater śpiewająco ściga za tchórzem". U mnie zbierać szczególnie nie było co, cały dorobek został na Smółki siodle, a pieniądze wyparowały razem z kudłatym. -- No co, idziemy w wieś po domach, czy jak?

- Z domami poczekamy... - ze zdziwieniem wyznałam,

zorientowawszy się w odczuciach. Głowa była ciężka, szalenie chciało się spać, lecz chory ja się nie czułam, jak i ukąszona, zamarznięta czy pobita.

- Ty nie odzyskiwałaś przytomności od obiadu. Spojrzałam - ty jakby nie jesteś ranna, i gorączki nie ma. Zatrzymałaś się? - przypuściła dziewczyna. -- Czy na zmię w tej przeklętej krynicy nadepnęłaś?

- Jak to - nie ranna? - oburzyłam się, siadając i wyplątując się z kurtek. -- A odgryziona ręka? Myślisz, co to jest?

Podwinęłam zabrudzony przez krew rękaw i ze zdumieniem wgapiłam się na gładką skórę. Ani szramy, ani zadrapania. Tylko po cztery małe dziurki na kurtce i na koszuli. Na wszelki wypadek obejrzałam i lewą rękę. Nic. Nawet siniaków od zbójników.

- Licho wie co,- wymamrotałam, z westchnieniem odchylając się na gałęzi.

Nieznajoma ze współczuciem pokiwała głową, spalonym sękiem podgrabiła węgle pod hełm z zaczynającą kipieć wodą.

- Mało co po uderzeniu łbem o ziemię przyśni się? Wyśpij się porządnie, a jutro rozbierzemy się.

Ja wcale nie uważałam się za wariata, chociaż mojej głowie dzisiaj dostało się dwa razy. Lecz cokolwiek dowodzić nie było sił, oczy kleiły się, a chciało się je zamknąć, jak pojawiające się odczucie powolnego stopu po rzece na kołyszącej się w takt falom tratwie.

Pokruszywszy i rzuciwszy w kociołek łądygę dzikiej mięty, dziewczyna ułożyła się po innej stronie ogniska, okrywszy się szarym wełnianym kawałkiem, szorstko okrojonym po brzegu. Takie przykrycia wydają wojownikom na wyprawie: cienkie i lekkie, przy potrzebie one zwijają się w ciasny zagęszczony rulon, wygodny do przenoszenia, na postoju broniąc śpiącego od deszczu i wiatru, lecz prawie nie grzeją. A dziewczyna na dodatek oddała mi kurtkę z ciepłą futrzaną podszewką.

- Ty nie zmarzniesz?

- Ja nie,- sennie odezwałam się ona,- ja przyzwyczajona. Ty, może, pić chcesz? Trawkę zaraz nastawię, mogę w puchar nasączyć...

Lecz już spałam.

ROZDZIAŁ 11

Obudziła mnie Smółka. Mi akurat śnił się ogromny, czarny wilk, od którego długo uciekałam po gęstych, górzystych lasach, ledwie włokąc napełnione ołowiem nogi... koniec końców zwierzę dogoniło mnie, wskoczyło na plecy, przewróciło i zaczęło połykać całkowicie, zaczynając z głowy. Naturalnie, kształt czarnej wąsatej mordy, obwąchującej moją osobę, nie wprowadził mnie w zachwyty.

Obudzona przez pisk, dziewczyna zaplątała się w kocu, a, wygramoliwszy się, znów padła na leżak, zanosząc się wesołym śmiechem.

Zakławszy, odepchnęłam mordę i usiadłam, przecierając zaspane oczy. Wcale nie przygnębiona Smółka powitalnie machnęła nieznamomej ogonem, obwąchała węgle i, zanim zdążyłam wtrącić się, włożyła mordę w kociołek. Za noc u mnie zaschło w ustach, i chłodniusieńki miętowy wyciąg byłby bardzo w porę, lecz Smółka wychlupała go w kilka chwil, przyjąwszy za specjalny koński kompocik. Donośnie czknąwszy w hełm, kobyła ze zdziwieniem nastorożyła uszka i cofnęła się, nie spuszczać oka z podejrzanego posudiny. Ja bez trudu złapałam ją za uzdę. W jednym strzemieniu wisiał, zahaczywszy się noskiem, podniszczony męski but; ile wiorst jego posiadacz haniebnie ciągnął się za galopującą kobyłą, wiedziała jedna Smółka.

- Od biesa konik,- przychylnie wtrąciła dziewczyna. Tylko więcej łamadzy na targach zaglądały koniom w zęby, by wyrzeć wrażenie doświadczonych kupców i obniżyć cenę, obecnemu zaś fachowcowi wystarczył rzut oka. Właśnie takim spojrzeniem dziewczyna prześliznęła się po żylastych nogach, sprężystym brzuchu i plastycznej muskulaturze pod połyskującą skórą. --
Twoja?

Kiwnęłam. But okazał się prostacki, ewidentnie nie

rozbójniczy; widocznie, na pozbawionym opieki koniku zdecydował przejechać się jakiś sielanin. Do toreb dotrzeć on nie zdążył, wszystko było na miejscu, nawet miecz. Pomacając but w rękach, już zbierałam się wyrzucić go jak najdalej w krzaki, lecz w porę usłyszałam ściszone brzęknięcie, i wytrzęsłam z noska trzy złote monety, które poprawiły mi trochę nastrój.

Tymczasem głaskałam i chwaliłam konia, dziewczyna zwinęła koc, opłukała i napełniła kociołek wodą z manierki.

- Masz jakieś jedzenie? U mnie tylko chleb ze smalcem, i tego na jedno ugryzienie.

Pogrzebałam w torbie i zdecydowałam puścić w obchód podejrzaną owsianą kaszę, póki ona nie stała się jednoznacznie robaczywą. Rzuciwszy woreczek obok ogniska, ja zwykłym gestem dotknęłam drzewo na kupce, żadnym sposobem nie chętnie zajmować się od zwiędle żarzących się węgli. Wilgotnawe polana niezadowolone zatrzeszczały i sypały iskrami, lecz zapaliły się. Dziewczyna drgnęła od rzeczy niespodziewanej i na wszelki wypadek odsunęła się od ogniska, a zarazem i ode mnie.

- A kto ty jesteś? - opóźniona zreflektowałam się.

Ona zatrzymała się, czy to dobierając słowa, czy to zyskując czas na kłamstwa:

- Jakby to tobie powiedzieć... Tak, obok przechodziłam...

Gdzieś ja to już słyszałam. Dziewczyna zauważyła moją

sceptyczną minę i pośpiesznie poprawiła się:

- Ja żołnierz-najemnik, chciałam drogę do traktu ściąć.

Myślałam, że ochraniając kupiecki obóz urządzę się. Nawiasem mówiąc, mnie Orsana nazywają.

Po raz pierwszy do rzeczy obejrzałam swoją ratowniczkę.

Typowa winieczanka: jasnowłosa, kariegłazaja i czernobrowaja, z oczywistymi cechami człowieka; mojego wzrostu, zgrabna, lecz szeroka w kości. Winniesskije kobiety słyną pysznie z bycia okazałą, i żywo oceniłam Orsanę na latek dwadzieścia, rumianej babiszczej w półtora obejmowania, z półmiskiem warienikow w rękach, - jeżeli, oczywiście, do tego czasu ona wyjdzie za mąż, narodzi gromadę dzieciątek i rzuci codzienne treningi. Zresztą, spokojne życie jej chyba nie groziło, z takim upartym podbródkiem i aroganckim, kpiącym spojrzeniem.

- Wolha. A gdzie wszystko?

- Co - wszystko? - zmieszała się dziewczyna.

- No, miecz, łuk, pęk metalowych noży, kolczuga, nakolanniki, para kastetów, bojowy koń? Co jeszcze wchodzi w ekwipunek najemnika?

- A... ty o tym,- posmutniała Orsana. -- Niestety... Wyrosłam w biednej sielanskoj rodzinie, matka ledwie naskrobała mi na drogę dwa dziesiątki złotych, a ojciec oddał swój stary miecz, który złamał się o łeb tego razbojniczka. I tygodnia nie przesłużył,

zaraza...

- To jest ty taki sam nowicjusz na trakcie jesteś, jak i ja, - zakończyłam.

- Jak i ty? Myślałam, rozbójnicy powlekli cię z jakiejś rozgrabionej osady i mieli zamiar... -dziewczyna poczerwieniała i szeptem podpowiedziała: - ...sponiewierać...

Zatrzymałam się dłużej, jak dawniej Orsana. Naturalnie, całą prawdę o sobie wyłuszczać nie było warto. Lecz również otwarcie kłamać mi nie chciało się - zapłaczę się, wzbudzę głupie podejrzenia, potem na mnie krzywo będzie patrzeć i zadawać podstępne pytania.

- Ja - magiczka, tydzień temu otrzymałam dyplom z wolnym przydziałem. Także szukam pracy, lecz ze wskazaniem bez walk wręcz i sponiewierań.

- Magiczka? - Orsana poważnie gwizdnęła. -- A nie zalewasz? Widziałam magów - ciągle chłopci, starzy w czapkach i bałachonach z gwiazdami. I więdźmy jak umieszczone w chatkach zioła mieszają, czy to kurzymi łapami, czy to sękami drzew, i chorym ludziom świństwa dostrajając.

- Paskudztwa - to zawsze proszę,- roześmiałam się. -- Do twojej wiadomości, w chatkach siedzą tylko samozwanki, zwodzące ludziom głowę przy pomocy tych zaś łap. Zioła, trafnie,

efektywnie, u mnie gdzieś pakiecik jest... Możemy dosypywać do kaszy, dla zapachu.

- Nie, i tak zniknie,- szybko wycofała się Orsana. -- A możesz zmienić patyk w miecz?

Tylko rozłożyłam ręce:

- Niestety... stworzeniem mieczy nie zajmuję się. Zwróć się do kowala.

- Szkoda,- westchnęła dziewczyna. -- U mnie pozostało szesnaście kładni, a mi nagląco potrzebny miecz, kolczugę i konia w pełnej uprzęży. Koń kosztuje najmniej pięćdziesiąt, tak że pieniędzy wystarczy najwyżej na ogon i kopyta.

- Kup na razie miecz, a z nim i na resztę zarobisz,- zaproponowałam.

- W Ciągu Miesiąca? Chyba nie.- Orsana o kolano złamała cienki konar i dorzuciła odłamki w ognisko. U mnie by złamało się kolano.

- Terminy cisną? - życzliwie zainteresowałam się.

- miałam zamiar wstępować do Belorskiego Legion. Za miesiąc jest doroczna letnia rekrutacja, każdy wojownik, który wytrzyma egzamin, będzie przyjęty w jego szeregi - jeżeli, oczywiście, on w pełni jest wyekwipowany. A tak trzeba będzie czekać do następnego roku.

Nad kociołkiem podniosła się gęsta piana z podejrzanymi

kropelkami, lecz ja nie marnowałam apetytu skrupulatnym badaniem, a po prostu zdmuchnęłam w ognisko, pomagając łyżką.

- A co za egzamin?

- No tak, drobiazg. Pojedynek na miecze, kopie i kusze,- niedbale opędziła się dziewczyna, krojąc chleb i smalec.

- Niczego sobie, drobiazg! - wiedziałam te pojedynki. Po nich z ristaliszcza cicho i niepostrzeżenie wywlekali za nogi niedostatecznie rozsądnych pretendentów. -- Mi wydaje się, dodatkowy rok życia tobie nic a nic nie zaszkodzi.

- Wojownik żyje w bitwie! - Dziewczyna dumnie zadarła nosek.

- I w niej też umiera, przy czym dość prędko,- zgodziłam się. -- W każdym razie ja twoja dłużniczka jestem. Pieniądzy u mnie nie ma prawie nic, lecz, jeżeli chcesz, możemy podróżować razem, zanim zbieramy tobie na konia.

- Świetna myśl! - Orsana rozpromieniła się, lecz od razu, zreflektowawszy się, pośpieszyła uściślić: - A ty naprawdę tego chcesz? Mi istotnie nie przeszkodzi towarzystwo - tylko weselej, lecz przecież Ty, zapewne, miałaś jakieś plany?

Plan u mnie był jeden: wynieść się stąd, a przy tym im szybciej i dalej, tym lepiej, a w wolnej chwili porządnie przemyśleć sytuację, która powstała. Do Dogewy jechać nie mogę, to oczywiste. Tym bardziej, że tam mnie będą spodziewać się. Jeżeli

zaś ja jak gdyby nigdy nic wrócić do Starminu, wampiry ostatecznie przekonają się, że Władcę zabiłam, i zażądają wydania przekupnicy. A naszemu królowi tylko daj powód do bitwy z wampirami, ich dolina u niego jak bielmo na oku, nie pozwala granicy objąć. Ponadto uważać się nad Lenem jest za wcześnie, może, wilk pobiega, przewietrzy się i oprzytomnieje. Niejako ja o niego nie martwiłam się, szukać jego samego bez sensu, rozumniej wszystko przeczekać i cichcem wywiedzieć się o podszywających się pod wampiry rozbójników. Taka duża banda naturalnie nie mogła pozostać nie zauważona, na nią ciężą pewnie i inne zbrodnie.

- Nie, żadnych,- stanowczo powiedziałam,- trakt jak trakt.

Gdzie on, a propos?

Dziewczyna machnęła ręką w bok:

- Powinien był być tam, jeżeli wierzyć mapie.

Słońce oślepiało wzrok, dostrzec cokolwiek na horyzoncie było ciężko, jak i oszacować odległość na bezkresnej równinie.

- Uwierzymy,- krótko powiedziałam, mieszając mozolącą się owsiankę. Orsana pobożnie ucichła: nadchodził najodpowiedniejszy moment, do którego kasza jeszcze nie zagotowała się, potem - przypalała się do ścianek.

Kasza udała się wspaniale. Parząc się i dmuchając w pełne łyżki, my złopałyśmy ją prosto z kociołka, a resztkami zajęła się

Smółka. Zaabsorbowana przez jedzenie, kobyła pozwoliła Orsanie poufale poklepać się po łbie, lecz tak mrocznie spojrzała na nią nad hełmie, że pośpieszyłam wepchnąć się między damami, pokazowo dźwigając wylizany do czysta kociołek. Najemniczka, niczego nie zauważywszy, już zmierzała do strumienia.

- Dwoje udźwignie, czy po kolei pojedziemy? Ty pierwsza, jeżeli chcesz.

- Tu niedaleko, to może, pieszo przejdziemy się? - zaproponowałam, łamiąc głowę, jak wyjaśnić Orsanie, że mój koń to w ogóle nie koń i jest bardzo zaczepny w wyborze rzeczy do niesienia.

Lecz dziewczyna tylko uśmiechnęła się:

- Siadaj!

Ja jeszcze nie zdążyłam wyprostować się w siodle, a ona już lekko wskoczyła z tyłu, ledwie dotknawszy ręką zadu. Smółka zazdrośnie obejrzała się, lecz, zobaczywszy cugle w moich rękach, policzyła Orsanu za jeszcze jedną pakę i uspokoiła się.

- Zmęczy się - zeskoczę. A mnie nie przeszkodzi, jak i obok pobiegnę, mnie na treningach uczyli. Byle za strzemię chwycić się, a potem chociażby w galop.

Ukradkiem nabrałam tchu. Nie widziała ona Smółkińskiego galopu, zostałyby w strzemieniu jedna ręka.

Podwójny ciężar bynajmniej nie podzielał na kobyłę, ona z niezawodnym wigorem rwała się naprzód, raz po raz wypadło zwalniać. Gdyby dawni rozbójnicy zastali nas we wsi, to czy zmęczony koń nie zdoła dostatecznie szybko od nich uciec? Ja nie wątpiłam, że koniec końców my mimo wszystko ich spotkamy, lecz im mniejszy po nas wypuszczą sztab, tym lepiej.

Orsany myśl poruszała się w tym samym kierunku.

- Co oni do ciebie przyczepili się?

- Zwyczajni rabusie, - skłamałam, ciesząc się, że najemniczka siedzi z tyłu i nie widzi moich oczu, - pieniądze odebrali, potem sponiewieraliby i zabili...

- Wiedźmę? Powiesiwszy na drzewie głowę w dół? Coś wierzyć się nie chce. Bardziej podobne, że na przesłuchanie lub nakłonić do niedobrowolnej współpracy chcieli.

- Licho ich wie, przez ciebie ja nie zdążyłam należycie z nimi pogawędzić, - wymigałam się. -- A kto ciebie trenował? Dobrze bijesz się.

Orsana za to zatuszowała się:

- A tak... ojciec, wuj trochę. Oni całe życie w Legionie przeszłużyli, z dziada pradziada wojaki, w domu tyle rozmów było, jak i kogo oni w kapustę siekali.

- I tobie spodobało się?

- A kto mnie pytał? Uczyli mieczem machać, dlatego że sami

niczego innego nie umieli,- w złości odpowiedziała dziewczyna. Pewnie, pożegnanie z ojczystymi stronami nie było takie już serdeczne.

- Dlaczego zaś oni nie umieścili ciebie w Winieskim Legion? Oczywiście, ostatnia wojna między Belorią i Winiesą bardziej przypominała idiotyczne rozgrywki: armie wyszły na pole, spojrzały z ukosa jedna na drugą, po czym nasza wycofała się bez walki, a wasza, zdumiona, nawet nie poszła mordować po wsiach. Lecz kto może poręczyć, że następnym razem wy z ojcem nie zetkniecie się twarzą w twarz?

- Po pierwsze, po tej wojnie u nas traktat pokojowy na pięćdziesiąt lat jest, na moje życie wystarczy, a po drugie, w Winieskim Legion dziewczuszek nie przyjmują. Do rzeczy, tata opowiadał, że po wsiach oni jednakże jeżdżą, lecz bardzo uprzejmie i za swoje pieniądze, dlatego że wracać z wyprawy z pustymi rękoma wstyd, trzeba choć lalkę słomianą w stroju ludowym teściowej w prezencie przywieźć. No i smalec u was tani. Długo ich potem interesowało - to jednakże wojna była czy belorska narodowa zabawa: cisnąć sąsiadom wezwanie, zebrać armię, efektownie przedefilować przez pół kraju, a potem przeprosić i powiedzieć, że zażartowali? Dla rzemiosła ludowego i pozbyć się zleżałego smalcu?

- Tak, nasz król spec po ludowych uciechach,- westchnęłam,-

uparł się na jedno oblężenie zamkowego pagórka! Z pewnością, to on wobec “wojy” ćwiczył.

- Jakiego pagórka? - zainteresowała się najemniczka.

Pasowało opowiedzieć Orsanie tę smutną i pouczającą historię. Jednocześnie i drogę umilić.

...W ubiegłym roku minęło sto lat od dnia zdobycia królewskimi wojskami wyżej wymienionej fortecy na pagórku za miastem. Nikt należycie nie pamiętał, przeciwko jakiemu wrogowi walczył nasz odważny lud i skąd ten właśnie wróg w fortecy zebrał się, ważne, że wygrał ten, kto trzeba, mianowicie my. Ot król i zdecydował odznaczyć tę sławną datę pociesznego ujęcia ruin. W kraju ogłoszono święto, chciwy na imprezy lud radośnie popłynął w stolicę, a narum ze względu na taką okazję kazał wypolerować swoją paradną zbroję, która przerdzewiała za niekoniecznością, i

straciła twardość przynajmniej z przodu. Sumienni budowniczo wie w ustalonym terminie wzniesli kamienną ścianę na zębatych pozostałościach starego muru - wprawdzie, jak i upraszał król, tylko przed pańszczyźnianymi wrotami. Sądząc po wszystkim, to wzmocnienie było przewidziane na bezgraniczne ograniczonego i upartego wroga, ponad miarę obciążonego przez rycerski honor.

Obrońcami fortecy zostali opaleni nadwornicy, wystrojeni zagadkowymi wzorami, to jest w czarną skórzaną zbroję bez rozpoznawczych znaków. Sam król zapragnął stanąć na czele elitarnego rycerskiego oddziału, na wszelki wypadek naczepiwszy na hełmie największą i najbardziej błyszczącą koronę, by jakiegokolwiek ponad miarę rietiwemu obrońcy nie przyszło do głowy, by zadać szkody jego delikatnemu majestatowi. Wokoło fortecznego pagórka rozstawiano stragany ze słodyczami i piwem, dziesiątki mieniestrielej, przekrzykując się, ogłaszały okolice nadrywnymi piesnopeniejami - i dlatego-też na cześć narumu, a nie prawdziwego zwycięzcy, wędrowni sztukmistrzowie krztusili się ogniem, a złodzieje bez przeszkód odciążali kieszenie ludzi, gapiących się na zmierzające do biedy woinstwo. Wrogowie tęsknie obserwowali to z murów ściany, utrzymując w pogotowiu długie kije, drewniane miecze i wiadra z chłodną wodą, zastępującą gotującą się smołę.

Zalamentowały bojowe trąby, król uroczyście śpieszył się do stóp pagórka, oddając honory przeciwnikowi mieczem i nim zaś barwnie wskazał armie na fortecy.

Rycerze chętnie zerwali się na atak.

Niestety, król nie wziął w rachubę jednej przykrej drobnostki - jego odległy poprzednik zdobywał zamek podczas suchego lata, a terażniejsze wyróżniło się nadzwyczajnie deszczowym, wskutek czego gliniasta ziemia na łysych zboczach pagórka przekształciła się w śliskie błoto, wspiąć się po którym sprawiłby kłopot samej kozie, nie mówiąc już o setce zakutych w zbroję rycerzy.

Pierwszej dziesiątce przewodniczących przez narozum entuzjastów udało się jakimś sposobem zwieść prawa przyrody i wbiec dość wysoko, na łokci czterdzieści, lecz obrońcy nawet nie zdążyli chlusnąć w impertynentów wodą, jak i bez tego wilgotna ziemia zwała ich z nóg.

Zritelnicy przezornie zatkały uszy swoim małoletnim dzieciaczkom - przesmarowana przez błoto gromada na równi z hukiem wydawała liczne obelżywe dźwięki, składające się w poszczególne słowa i nawet zakowyrystyje propozycje.

Pomału gromada rozpełzła się, pokazawszy na samym dole trochę zmęczonego króla w pogiętej koronie. Trochę nabrawszy tchu, rozzłoszczony narum wydał rozkaz powtórnego natarcia, lecz tym razem nie inspirując rycerzy osobistym przykładem, a

urzeczywistniając czujne kierownictwo za pomocą szerokiej trąby.

Rycerze uparcie podkradali się do fortecy na karaczkach, podciągali się na wetkniętych w ziemię mieczach i nawet czołgali się, opierając się ostrymi nosami żelaznych butów i szypastymi nakolannikami. Gdy jednemu z nich zerwały się, jak dojrzała winogronowa kiść zrywali się z miejsca i z narastającą prędkością ślizgali się w dół. Niektórzy, machnąwszy ręką, spróbowali dobrać się do zamku z tylnej, praktycznie zburzonej ściany, lecz waleczni obrońcy, obrażeni w przednich odczuciach, stanowczo zrezygnowali wojować z takim nierzetelnym wrogiem i z hańbą odprawili go z powrotem. Zresztą, niektórzy napadający kategorycznie zrezygnowali zarówno odchodzić, jak i walczyć dalej - oni zmieszali się z wrogiem, rozsiedli się u murów i, odpakowawszy nagromadzone przez troskliwe żony tobołki, mrocznie zachrzęścili świeżymi ogórkami z chlebem.

Lud gwałtownie triumfował, narozum zgrzytał.

Zachichotawszy się do syta, otoczeni zlitowali się i zaczęli rzucać wrogom linki. Z ogromnym trudem przeładowawszy przez grzbiet, rycerze przeważnie dziękowali swoim wybawcom, z jękami padali w tienieczek, ścigali hełmy i żarłocznie wychleptali z kubłów "smołę". Niestety, niektórzy oblegający wykazali rzadką podstępność i spróbowali zerwać powiewającą nad fortecą flagę, co znaczyłoby ją zachwat, lecz obrońcy natychmiast

oprzytomnieli, oburzyli się i nie bez pomocy szlachetnych rycerzy zaczęli spychać zdrajców w dół. Ci non stop spływali z pagórka pod ululukanje widzów.

Uciecha trwała dobre dwie godziny, dopóki doszczętnie osłabieni od śmiechu wrogowie sami nie zdjęli niefortunnej flagi. Historyczna sprawiedliwość była przywrócona...

A my tymczasem zajechałyśmy do wsi - nieoczekiwanie dużej, od miasta ją odróżniała tylko nieobecność kamiennych domów i jezdni. Nazywała się ona Rozdrożem, stała na Witiagskom trakcie, przecinającym Bellorię z zachodu na wschód, trochę na ukos, od Winiessy do jasniewego Gradu; trakt zaś był centralną wiejską drogą. Po niej prawie bez ustanku wlekli się podróżnicy - handlowcy, brodiagi, gońcy, najemnicy, występujący gościnnie artyści i złodziejaszki (często jeden i to za dużo), mieniestrieli i inny niespokojny lud. Naturalnie zaś, we wsi było postojowe podwórze, a przy nim - karczma "Dębowy pień", zawsze pełna ludu i nowin.

Orsana rozglądała się po bokach z takim zainteresowaniem, jakby po raz pierwszy ujrzała karczmę od wewnątrz. Jej spojrzenie po kolei zatrzymywało się na czosnkowych plecionkach, chroniących karczmę od nieczystości, ogromnych kuflach piwa,

zwisających z sufitu świecznikach, które ledwo co paliły się, mimo, że od rana napełniono je olejem, masywnych, niepodnoszonych stołach i sklepach, zbitych z dębowych brusjew - by, jeżeli kto urządzi bójkę, nie potrafił złamać lub oderwać od ziemi.

Za kilka srebrnych monet najęliśmy pokój na noc, małą zamykającą się klitkę na drugim piętrze, odniosłyśmy tam rzeczy i porozumiałyśmy się w sprawie kolacji i śniadania dla siebie i konika. Na nas karczmarz patrzył sennie i obojętnie, ale ot Smółka wprawiła go w zachwyt, on długo cmokał językiem, zachwycając się nią z okna, potem rzewnie sprecyzował:

- A ja czym pożywić rozkażecie - jęczmieniem, owsem, sianem z łąki? Może, wysłać chłopaka koniczyny nakosić?

- Wszystko Jedno, rąk tylko nie wtykajcie,- westchnęłam.

Smółkę akurat jakoś nie zadowoliła wytrzeszczający na nią oczy włóczęga, ona bez uprzedzenia odwróciła się do niego tyłem i wymachnęła kopytami, odepchnąwszy w nawozową kałużę - pod gromki rechot otaczających. Karczmarz rozpląnął się do reszty; wypadło, że przenikliwa kobyła wierzgnęła znanego złodziejaska i koniokrada, od dawna znanego z torzyszczach, lecz wszystko bynajmniej nie złapanego za rękę.

Pośpieszyłam odwieść Smółkę do stajni, tymczasem karczmarzowi nie przyszło do głowy zapoznać się z cud-konikiem

trochę bliżej. Wróciwszy, naradziłam się z Orsaną, i zdecydowałyśmy poszukać pracy najpierw we wsi, a jeżeli i istotnie nadarzy się jakikolwiek potrzebujący straży obóz, przyłączyć się do niego. Na dłuższy czas zatrzymywać się w Rozdrożach my w każdym wypadku nie mieliśmy zamiaru - mnie alarmowały blakający się w pobliżu rozbójnicy, a Orsana marzyła zwiedzić Witiag, duże miasto dwa dniach drogi dalej położone, słynne z ruin elfickiego zamku i bardzo smacznych w Belorii słodczy.

Byśmy mogły lepiej obejrzeć wieś, przyciągając pomniejsze względy, rozdzieliliśmy się. Wątpliwe czy ktokolwiek zechce wynająć nas obie, a jeżeli i tak, wieczorem spotkamy się w karczmie i wymienimy się nowinami. Odeszłam pierwsza - Orsana o czymś rozmówiła się z roslym dzieciakiem u drzwi: on prezentował jej swój miecz, a ona z mądrym wyrazem twarzy przytykała po ostrzu paznokciem. Potem, dla ogólnego zachwytu, przy pomocy jednej lewej ręki ze świstem rozokręcała klingę nad głową, zręcznie przebierając palcami po rękojeści, i nagle rzuciła przez całą karczmę, do środka wbiwszy w szczelinę między balami. Gnom, który siedział przy najbliższym ścianie stołem, popatrzył w górę, poszarzał, odłożył nakruszony chleb i na wszelki wypadek pomacał nos.

Na centralnej ulicy było gwarnie i licznie, prawie jak w stolicy.

W centrum niedużego placu rozłożył się obóz koczowników, który wytwarzał dużą część wrzawy: skowytała dzieciarnia, przeraźliwym recytatywem zachęcali, by powróżyć smagłe kobiety w pstrych sukienkach z odsłoniętymi stanikami, głośno klócili się mężczyźni, rżały konie i szczekały psy. Wokoło pędziły handlarki z pierogami i nasionkami; siedzieli na przewróconych koszach ludowi mistrzowie, rozstawiając na ziemi gliniane garnki i okrzyczane słomiane baby; statecznie przechadzali się przejezdni kupcy, rozmawiając jeden z drugim i z miejscowymi mieszkańcami.

Krańcem obiegając plac, skręciłam w uliczkę między domami. Tu było zacisznie, chaty przeplatały się z ogrodami i ogrodami warzywnymi, gdzieniegdzie suszyły się na rozciągaczach połowowe sieci - w sąsiedztwie z Rozdrożem było nieduże jezioro.

Prawdę mówiąc, do poszukiwania pracy ja specjalnie nie paliłam się. Lecz to była dobra przyczyna do rozpoczęcia rozmowy. Otrzymawszy kolejną odmowę, ja nie śpieszyłam się wychodzić, a rzucałam niewinną uwagę dotyczącą zadziwiająco wczesnej wiosny. W większości przypadków na pół godziny rozmowa była zapewniona. Mnie sekretnie informowano, co to jest nie dobra: wybiegi znów ścisną mrozy, a trwalsze zimowych, stoki pomarzną, załążki będą obsypywać się, a sąsiadka Głabka po nocach ogląda się kobyłą i w takim niepotrzebnym gatunku skacze

nad dachami, ciskając w trąby porczun-trawę, wskutek czego u gospodyń przypała się kasza i kiśnie kapuśniak, a co z chłopami dzieje się, powiedziec-to wstyd. Rzetelne, współczujące potakiwanie nie nadawało potokowi nowin i plotek wyschnąć, tak że przed wieczorem dowiedziałam się wszystkiego, co mi było potrzebne.

Ani o jakiejś rozbójnickiej bandzie tu słyszeć nie słyszeli, jeżeli nie liczyć karczmarza i gospodyni postojowego podwórza, którzy dostarczają sobie klientów i zdzierają z nich po potrójnej cenie. Wampirowi nieznajomi na gniadych koniach we wsi także nie pojawiali się. Zmęczyłam się, zgłodniałam, upadłam na duchu wśród bezpłodnych poszukiwań i koniec końców po prostu usiadłam na poboczu drogi, by troszeczkę odetchnąć i doprowadzić myśli do ładu.

Mnie nie opuszczało wstrętne, złowieszcze wrażenie, że czas działa przeciwko mnie. Co, jeżeli Len teraz na nowo kona gdzieś w lesie, i tak nie zmieniwszy postaci? On kiepsko wyglądał, i te oczy... Żyjąc w Dogewie, ja tylko po nich odróżniałam wampiry od oswojonych wilków, których tam całkowicie pełno. Stop, a co, jeżeli w dolinie w ogóle nie było prawdziwych wilków?! Co tam mówiła Kryna - "przekonał się, że przekazał mnie w dobre ręce, i odszedł"? Czyżby wcześniej on też był wampirem, a potem umarł i

pozostał z nią po śmierci – jako ciche oddane zwierzę,
wspomnienie, “którym nie można żyć, nieważne jakim by pięknym
ono ani było”?

W takim razie nie mam na co liczyć.

Wyraz twarzy u mnie w tej chwili był taki zamęczony i
nieszczęśliwy, że jakiś dobrotliwy przechodzień rzucił mi na
kolana miedzianą monetkę. Podniosłam oczy i zobaczyłam
karczmarza z wypatroszoną gęsią pod pachą - widocznie, wszyscy
pomocnicy okazali się zajęci, i wypadło osobiście zajrzeć do
rzeźnika. Zreflektowawszy się, on zaczął przeproszać - nie poznał
niby.

Tylko machnęłam ręką, zwracając jałmużnę.

- zatrzęśło się co? - ze współczuciem zainteresował się on,
chowając pieniądze.

- Po prostu zmęczyłam się.

- Szkoda, a ja wam akurat robotkę chciałem zaproponować... -
zmartwił się, przekładając gęś w drugą rękę. -- Ale tak to nie ma
pośpiechu, tak, oborotnia pristrunit'...

Nieznacznie speszywszy się, ostrożnie uściśliłam: co właśnie
powinnam była zrobić z oborotniem?

- A wszystko, byleby uspokoił się,- dosadnie cisnął karczmarz.
-- Zupełnie, pies, wstyd zgubił - nocami po wsi biega i w okna
zagląda, uratował nie. Dobrze, jeżeli ze swoją żoną tieszyszsia:

popatrzy i odklei się, a jak tylko sąsiadkę z wizytą zapraszasz - sowsieci' zaczyna, tak żarliwie tak, niby po-piskiwać, aż włosy dęba stają. I rzeki ogniste wspomina, i obskurantów z uchwytami rozpalonymi, i że one tymi uchwytami wytworają... Lepiej by zadręczył kogo, przeklęty, akurat na miesiąc uspokoił się, jak wszystek sporo rozpieszczą. My już i dajnu skarżyliśmy się, a on tylko oczy do nieba wznosi i palcem w to samo miejsce podtyka: że, niby to, boża kara, za grzechy nasze w dół nadana! módlcie się i ofiarujcie częściej. Tylko my dobry jeden raz wam opuścimy się, czym niepotrzebna każda noc wysłuchiwać, a z rana w świątynię z czopkiem lecieć.

- Tak już i każdą? - wyraziłam wątpliwość.

Karczmarz zmieszał się i zamruczał, co to jest-dla tak, dla pięknej słowca, lecz wilkołak i istotnie znudził się niczym podła gorzka rzodkiew, i puszczaj ja z nim co chcę mogę zrobić, byleby przyzwoitym ludziom odpoczynek nie zatruwał.

Obiecałam zastanowić się, a tymczasem wróciłam na główną ulicę, kupiłam pieroga z kapustą i siekanymi jajkami, przekąsiłam i trochę uspokoiłam się. Nie warto wpadać w rozpacz najpierw, przecież rozbójnicy niby czemu-to strzegli ciała Lena, nie spalili i nie zakopali. Wilk w klatce im niepotrzebny, trup też. Tak, oni rozważali i takie warianty, lecz nie śpieszyli się. Będzie wychodzić, że mimo to mieli nadzieję wskrzesić i wykorzystać,

licząc na jakimś reiar. Co by to mogło być? Wampiry z pewnością powinny były wiedzieć. Och, jakże mi brakowało Lena - z jego błazeńskim przyzwyczajeniem przemilczać o rzeczach, których ja, z jego punktu widzenia, wiedzieć nie powinnam, lecz uczciwie odpowie na proste pytanie... Nieraz i nie dwa u mnie włosy stawały dęba, kiedy kompletnie przypadkiem dowiadywałam się, na przykład, że najkrótsza dróżka pomiędzy stolicą Dogewy i jednego z dużych osiedli, z której dlatego nikt nie korzysta, że prowadzi poprzez opuszczony cmentarz, i chodzą słuchy, że tam czartowsko... To następnie, ja kursowałam po niej dobry miesiąc i nawet siadałam odpocząć na takim wygodnym małym wzgórzu! Sam Lena, jeżeli i dotrzymywał mi towarzystwa, niezmiennie był obok, zapewniając, że nie zmęczył się, i czujnie oglądał się po bokach. "Jaka różnica,- później usprawiedliwiał się on,- po cmentarzach chodzić nie zaprzestano, i jeżeli tobie tak podoba się, po co mi psuć człowiekowi humor?.."

Licho pozabieraj, ja bym wszystko oddała za kolejną jego sztuczkę lub chociażby za możliwość trafienia na tą polane, nawet gdyby mi odejść z niej nie udało się...

Nie, po prostu trzeba mi oderwać się. Ja stanowczo wytarłam mokre oczy, zapchałam w usta skórkę od pierożka i udałam się "strunit" oborotnia.

Nie mądrząc się, podstępnie, urządziłam zasadzkę obok karczmy, przysiadłszy na kłodzie za polennicą. Stąd doskonale oglądało się tylne podwórze, gdzie wychodziła większość okien. Ja szczególnie nie ukrywałam się, po prostu milczałam i nie ruszałam się, a ciemna odzież pomagała zagać w nocnym mroku.

Koło północy razem zawyły wszystkie wiejskie psy, i z krzaków porzeczek zjawił się wilkołak - wyglądająca na wilka kreatura bez mała trzech łokci w chołkie, z krótkim ogonem i rudą bujną brodą, odznaczającą się na tle szarej sierści. On widocznie bał się, oglądając się na strony, a kiedy ja wyszłam na spotkanie, uprzejmie przywitałam się i przedstawiłam się, podawszy cel wizyty, zwierzę do reszty spieszyło się, rozpoczęło kwieciście przepraszać za swoje nieładne zachowanie się, obiecując poprawić się i nawiązać do nocnych kazań, ot tylko “szczupły dach zamknę, pobory pozłocę i malarzowi każę twarze odnowić, bo samych już świętych od obskurantów nie odróżniam”, dla czego i “wziął grzech na siebie, zgodziwszy się być owładniętym zgubą, jaką dawniej utrzymywał w uździe modlitw i błaganiach”, ponieważ “nie pójdzie otara drogą prawdziwemu bez psa niedrzemanego, i okropnie ten w błogosławieństwo”.

Z trudem powstrzymując się od śmiechu, wyjęłam miecz i obiecałam oddać połowę honorarium na świątynię.

Błogosławiony wilkołak jęknął i rzucił się do ucieczki, krzycząc w pędzie: “Święty-święty, izydi! Ocalcie, ludzi dobrych! Tak cóż to dzieje się! Za wiarę prawdziwą od więdmy pogańskiej męki śmiertelne zażywam!”

Głóśno potupałam w miejscu i włożyłam miecz w pochwę, policzywszy zadanie jako wykonane.

- Jutro we wsi będzie jarmark,- radośnie zawiadomiła Orsana, kiedy już rozebrałam się, na palcach podeszłam do szerokiego wspólnego łóźka i ostrożnie wlażłam pod koc, myśląc, że najemniczka śpi. -- Trzeba pójsć popatrzeć, tutejsze ceny powinny być poniżej miejskich. A zarobiłam jednego kładnia, powymieniałam wyszybału przed drzwiami - ten rozciągnął nogę i postanowił dzieńek otleżat’sia.

- I duźo wybiła?

- Tylko jeden, on wziął mnie za rozpustne dziewczę. A u ciebie jak sprawy?

- Bzdury. Jeden wilkołak, i to prawdziwy. Zamordować ręka nie zerwała się, tak że chyba nie zapłacą.

- To jak?

- No, prawdziwi oborotni zmieniają postać na własne życzenie, na wszelki wypadek, zachowując rozsądek i mowę. A jeżeli ta zdolność nie wrodzona, a, powiedzmy, pojawiła się w rezultacie

zaprowadzonego psucia się lub ukąszenia wampira, to oni zamieniają się w straszliwe kreatury tylko po nocach lub w ciemności, rzucają się na wszystkich bez znaczenia, a potem niczego nie pamiętają... Oczywiście, wśród prawdziwych także trafiają się krwiożercze monstra, jak i wśród ludzi.

- A oni to straszne? - z zamarciem zainteresowała się Orsana, kurcząc się pod ciepłym kocem.

- Zwyczajne,- ziewnęłam. -- Na wilki wyglądają, włochaci, krugłouchije, nos pokryty sierścią, paszcza krótsza od wilczej, natomiast szersza. Podstawowa różnica - ślady piatipałyje, kogtistyje, po briewienchatym ścianach po prostu wdrapują się. Zresztą, ten w okna tylko zaglądał... No tak lichy z nim, dobranoc!

Już poprzez sen usłyszałam, jak Orsana podkraśla się do okna i zamknęła okiennice na hak.

ROZDZIAŁ 12

Obudziło nas priedrasswietnoje, istosznoje kukariekanye. Raspachnuw okiennicy, Orsana sennie przyjrzała się w bezbarwną mętną mgłę i ponuro założyła, że przyjęliśmy za pierwszy koguci okrzyk najgorsze wilcze wycie. Tym niemniej pasowało wstawać. Kupcy zazwyczaj zjeżdżają się na jarmarocznuju pole głębokiej nocą, zaczynając handel, jak tylko robi się możliwym odróżnić

złoto od srebra, i ten najlepszy czas dla opłacalnych zakupów. Potem rynek zalewa się tłumem, a najprzedniejsze i tanie rozrzucą najpierw.

Z okna ujawniał się pospolity widok na oborę, usypywaną przez obornik i zkopanego przez kopyta. Obok ściany skosobociła stóg zeszłorocznej słomy dla wystiłki chlewów. Zamkniętego w kurniku kogut jeszcze raz przewydierał gardło, i gospodyni, niezamknięte ziewają, z wiadrem jęczmienia w ręce wyszła przez tylne drzwi wysypała ziarno w długie koryto i otworzyła ptaszarnie. Podwórze napełniło się kudachtaniem, kriakanjem, gogotaniem, w chlewach niecierpliwie zapiszczały głodne świnię. Rozbudzeni postojalcy zaczęli pomaleńku ścigać się w dół, do aromatycznych zapachów, raspołzawszysia od ogniska; słyszałam, jak oni wymieniają pozdrowienia i topoczut po schodach.

My z Orsanój zdecydowaliśmy nie tracić czas na śniadanie. Szybko ubrawszy się, po kolei zeskoczyli z okna w stóg, zjechali po jego szeleszczącym boku i, otrzepawszy inny kompanie pleców, wkroczył na plac targowy.

Niestety, torzyszcze nie potwierdziło naszych oczekiwań. Tak, miecze, łuki, sztylety, kolczugi i inne narzędzia napadu i obrony były zaprezentowani w dużej ilości, lecz, niestety, zaliczali się do z

grubsza zużytych tandet, zupełnie przydatnym dla trienirowok, lecz prawie nieprzydatnym w walce. Najemnicie udało się-jednak wygrzebać w kupie gratów nienajgorszego gnomij miecz, nawet ze znakiem, lecz kupiec zażądał za niego piętnaście kładniej, prawie wszystkie Orsaniny oszczędności. Zmartwiona dziewczyna pokręciła się dokoła lady, zważyła miecz w ręce, opróbowwała w robocie, rozciąwszy usłużnie podstawione poleszko. Miecz był dobry, że i mówić. Pewnie, on był wartym tych pieniędzy. Nawet widziałam różnicę między zwykłym pasem zaostrzonego żelaza i tym tuskłowatym, lecz groźną klingą z dwu różnych gatunków stali się, kiedy metalowe pręty wpierw splatają się gwintem, a potem już skuwają się.

- Wy, dziewczyna, nie miejcie wątpliwości,- namawiał kupiec pochmurną najemnicu,- towariec pierwszy gatunek, innego nie trzymamy. Z nim wy przeciwko jednolitej bandy tatiej wytrwacie, tak że potem - starą Gieriedu na ten świat wyprawicie.

- Kogo-kogo? - zainteresowałam się.

- Drakonichu,- chętnie wyjaśnił kupiec.

- U was są smoki?

- Są, gdzie zaś nimi podziwiać się? Oto tam, daleko w górach, żył stary smok, tak jakoś dawno ja jego nie widziałem, czy to odleciałem, czy to zdechnąłem od starości, kto jego wie. A tu, poblizszy,- ewon pod tą górką! - jaskinia drakonichi. Także

starszy, ostatniego jej wylęg już lat trzydzieści jak po świecie rozleciał się. W jaskini u niej, podobno, skarby niezliczone - złoto, kamienie drogocenne. No, samo sobą, i szkieletów sporo. Głupców-to dużo, że drakonju głowę za zaszczytny łup poczytają, byłaby u drakonichi chęć - nimi by jednymi i odżywiała się, patrzysz, i bydlę przestałaby kraść. Zresztą, trzy-czterem owcom miesięcznie sielanie nią wybaczą: podobno, z czyjego stada stara Gierieda odje, u tego jakoby wszybkości córka za mąż wyjdzie. No że, dziewczyna, chwytaście miecz? Lub, chie-chie, owcę wam zaoferować - drakonichu umasliwat'?

- Biera! - zapaliła się Orsana, łapiąc się za koszel.

- Nie, nie biorę,- spokojnie sprzeciwiłam się, zabierając u woitielnicy miecz i dokładnie oddając go na stojak-wachlarz. -- Odeślij.

- Ty że? Dokąd?! - oburzyła się dziewczyna, próbując znów zawładnąć mieczem, lecz otoczyłam ją za ramiona i zawróciłam tyłem do lady. -- Dziękuję, szanownego, wy nam bardzo pomogliście.

Kupiec zakłopotanie patrzył nam w ślad.

- wolcha, że postanowiłaś?

- Umaslit' starą drakonichu.

- Z rozumu zesła?!

- Odwrotnie.

“Górami” kupiec zasługująco na uwzględnienie nazywał lesiste pagórki, a “jaskinią” - zaniedbana granitowa kopalnia, gdzie prowadziła długie wąskie przejście, kiedyś umocnionego przez pale. Drakonichie zawalenia się były za żadne skarby; przeciskając się w jamę, ona bokami zmiotła drewniane belki, i ich szczątki poniewierały się na ziemi w środku tunelu, który ciągnął się w ciemności.

Na podeście przed wejściem wznosiła się góra kości. Gierieda nie pożałowała sił i czasu, wykańczając “przedpokój” - co wymagała przynajmniej wesoła kompozycja z trzech szkieletów, riadkom którzy siedzieli wokoło które dopaliło się ogniska, nad którym wisiał kociołek.

- wolcha, a ty jesteś przekonany, że ona zechce z nami mówić?

- Orsana niepewnie zajrzała w czarną dziurę. -- Szczurami będzie pachnieć...

- No, nie będzie tak nie będzie. Co tracimy? - przyłączyłam się do najemnice. -- Tak, zapaszok jako tako. Egie-hej!

- ...hej!! Hej!!! - uczynnie podchwyciło echo.

- Jest kto w domu?!

- ...oma... oma...

- Daj spróbuję. -- Orsana zrobiła krok naprzód. -- Drako-o-on!

Wychodź na śmiertelny bój!

- Oj! Oj!!! - przestraszyło się echo. W głębokości tonniela coś zasyczało, zabulgotało, a następnie rozbłysło i poniosło się nam na spotkanie. Zgodnie wrzasnąwszy, zawalił się na ziemię, nakrywając rękoma głowy, i nad nami z rykiem zadrżał jęzor drakonjego płomienia. Go wystarczyło sekund na dziesięć, plecy już zaczynało odczuwalnie przypiekać. Potem jęzor znikł, jak wciągnął się z powrotem, i w powietrzu rozlał się ostry zapach spalenizny. Ja ostrożnie przykryłam oka. Kamień, za którego my tak trafnie padliśmy, szerniał i otopił się.

- No, kto tu znowu wrzeszczy?! - dudniąc zagrzmiał mnogażydy wzmocnionego echem głos. Ze zmroku wynurzyła się głowa na długiej szyi, potem pierś, przednie łapy, skrzydła...

- Jaka ładna! - wyrwało się u Orsany.

Poprzychlebiana się drakonicha wygięła szyję, zapraszając popatrzeć z upodobaniem wąską foremną głową, szerokim złotym grzebieniem i błyszczącej antracytowej łuską, wśród której nie-nie, i przemykała zielonkawa ssówka.

- Dzień dobry! - uprzejmie powiedziałam, unosząc głowę zza kamienia. -- Przepraszam, nie moglibyście wy poświęcić nam chwileczkę uwagi?

- A popóźniej nie można, a? - nieoczekiwanie cienkim, kłótliwym i drżącym staruszczejm głosem błagała drakonicha. -- Może, najpierw polecę zjem śniadanie, a tu poczekacie? To tak

nie wypada -- walczyć na pusty żołądek...

- No my w ogóle-to po prostu porozmawiać chcieliśmy...

- A co zaś w takim razie krzyczeli: “Wychodź! Śmiertelny bój!”? - oburzyła się drakonicha. -- myślałam, tu i istotnie rycerze zadeklarowali się, tej, jak ją... sto... scy... scacysfakcyi!.. żądają. Tak ja nim i uwierzyłam!.. Scacysfakcyja nim potrzebna, jakże! Za moimi skarbami polują, drakonjery przekłęci!

- Ten ja zażartowała... - przyznała się zaczerwieniona Orsana. -- myśleliśmy, wy śpicie i nie słyszycie.

- Tak, spałam,- z godność otwierała drakonicha. -- A ponieważ śmiertelny bój odwołuje się, to tym bardziej możecie poczekać, tymczasem zjem śniadanie!

Z tymi słowami ona niedbale przekroczyła przez nasze ciała, rozprostowała czarnożłote skrzydła, ciężki podskoczyła i wzbijała się w powietrze, podniósłszy chmurę pyłu.

Raskaszlawszyś, my długo nie mogliśmy wyrzec ani słowa.

- Zadawniona karga! - z oburzeniem splunęła Orsana, podnosząc się i sięgając mi..-Myślisz, rzeczywiście poleciała?

- Najprawdopodobniej, lecz chyba nie daleko i na długo. Ma nadzieję, tu ucieszymy się i popędzimy w jaskinię za złotym i brylantami,- sarkastycznie przewidziałam.

- A my nie popędzimy? - zdziwiła się dziewczyna, bojaźliwie i w tym samym czasie chciwie zaglądając w tunel. Na zewnątrz

niczego widać nie było, a pójść do wnętrza Orsana nie odważyła się. A ja bym nią i nie dała.

- Ty że, z rozumu wysiadła? Ona zapamiętała nasz zapach, a fruwa bystrieje pocztowego gołębia, my nie zdążymy odejść i na wiorstę! Tak jeżeli i zdążymy...

Ryczarg (smok, niegdyś który żył w Ełgarskich górach, a po to który sprowadził się na Szkolne podwórze, nieco dalej od rietiwych drakonjerow), opowiadał, że w dni jego bujnej młodości jednemu magowi udało się-jednak niepostrzeżenie wykraść z jego jaskini złoty berło z rubinu nawierszyjem, artefakt powodzenia i szczęścia. Z autentycznym zachwytem wymieniwszy zaklęcia, do którego użył przytomny złodziej, smok pokazał mi tę laskę, wyraźnie otopionego. Szczęścia magowi wystarczyło dokładnie na dwa tygodnie.

Orsana zawiedzenie odwróciła się od jaskini:

- To wytłumacz wreszcie, po co przywlokłaś mnie w to cuchnące legowisko?

- Wynajmować się do pracy. My zaś najemnicy, dokładnie? - mrugnęłam porozumiewawczo.

- Pracował' - na smoka?! - od emocji Orsana znów przeszła na język ojczysty.

- A co tutaj takiego? Przynajmniej, smoki zawsze podtrzymują swoje słowo.

- wolcha, lecz ce zaś SMOK! Wieliczezna, wogniedyszna, niewrazlima góra! Szo my możemy ij zaproponuwaty? Zaofiarować, w znaczeniu? - w końcu zreflektowała się najemnica, bo spoglądałam na nią zupełnie już nierozumiejące.

- Za Nic nie uwierzę, że u takiego dużego smoka nie przynajmniej jednego małego problemu.

Gierieda, jak ja i myślałam, powróciłam dość szybko i zastałam nas obok palącego się ogniska. Na szczęście, w porę zdążyliśmy dojest nabytych na targu smaźni i popić je zagotowanego z trawkami przez wodę (kociołek pożyczaliśmy u szkieletów, a potok zauważyliśmy jeszcze drogą do jaskini)- lasu znów zasnuło pyłem, skrzypiącym na zębach. Rzuciwszy krzywe spojrzenie w naszą stronę, drakonicha sceptycznie parsknęła, złożyła skrzydła i polazła w tunel. Szypastyj koniuszek ogona został na zewnątrz, podrażnienie postukiwają po ziemi. Słysząc było, jak stary karga krząta się w jaskini, mamrocząc sobie pod nos trochę jakby: “...nachałki... patrzcie no, rozsiadły się... żadnego spokojowi... i pułapki nietknięte... szkoda, szkoda...”

Wzdrognuw, Orsana pochyliła się do mojego ucha:

- Dobrze, że my tam nie poślij! Łuskowa grymza zastawiła na nas pułapki!

- Ja wszystko słyszę,- ponuro przewarczała drakonicha, tyłem

wydostając się z nory. -- U mnie bardzo bystry słuch. Jeszcze jeden podejrzany komplement w mój adres - i wy, młodzi grubijanki, ryzykujecie nie dożyć do emerytalnego w wieku. Dawajcie wykładajcie, po co przyszedłeś,- i możecie zawałać, nim ja nie rasswiriepieła ostatecznie.

- tylko chcieliśmy dowiedzieć się,-wystąpiłam naprzód,- nie znajdzie się u was jakiejś pracy dla maga i woitielnicy?

Gierieda tak i usiadła na tył, zdumiała najmniej Orsany.

- Co?! A wy, koziawki, chociaż rozumiecie, z kim rozmawiacie?! Też mi, rabotniczki! Śniadanie i kolacja!

- Wy zaś nie będziecie jeść ludzi,- przypomniałam, kiwając na jednolite szkielety, ogołoczone przez czas.

- Z czego ujęłaś?! Bardzo nawet będę jeść. Szczególnie delikatnych młodych dziewic.

- A my twarde i kościstych,- bezczelnie sprzeciwiła się Orsana.

Gierieda bardzo blisko zbliżyła mordę do niej twarzy, sosriedotoczenno obwąchując najemnicu. Dziewczyna zmrużyła oczy, ją włosy drżały tam-tutaj w takt drakonjemu oddychaniu.

- Tak, nie będę jeść,- po długim namyśle zgodziła się Gierieda. -- Nie z etycznych względów, a po prostu tak - nie smacznie. Lecz czy naprawdę macie nadzieję, że za jakąś błąhą przysługę będę obsypywać was brylantami od stóp do głów? Myślicie, raz u mnie dużo skarbów, ten ja szastam nimi na prawo i na lewo?

- Brylanty nam do niczego.- otrzepałam pyłek ze spodni, Orsana przigładiła które wstali sztorcem włosy. -- Dobrego obsypcie nas przyzwoitymi mieczem i kolczugą.

- Byście wy mi natychmiast głowę ścięli?!

- By mój przyjaciółka mogła wstąpić w Biełorskiej Legion,- cierpliwie, nie dając siebie zirytować, wyjaśniłam.

Smoki - istoty chytne i oszczędne; mimo zewnętrznej zapalczywości, wyprowadzić z równowagi ich praktycznie niemożliwie, natomiast same oni ubóstwiają doprowadzać ludzi do białego rozpalania. Podobno, po wstępnych "rozmowach" ze smokami niektórzy rycerze rzucali oręż, złązili z koni i w umopomraczeniu rzucali się na obrzydliwą gadzinę w pragnieniu udusić ją gołymi rękoma. A nią tylko ten i trzeba było.

- Miecz, pewnie, srebrny, a kolczugę złoty?- pogardliwie zdychała dymem Gierieda. -- W Legion? Markitantkoj, że? Tak tam pieniędzy wypłacać nie trzeba, nawet na odwrót - jeszcze i prikopisz.

- Miecz - ostry, kolczugę - wytrzymałą,- dobitnie wypowiedziała która zbladła Orsana. -- A swoje złoto możesz wsadzić sobie w...

Ostatnie słowo przebrzmiało cicho, lecz czytelnie.

Zwisła nieładna cisza.

- Zgoda,- niespodzianie zdecydowała drakonicha,- u mnie

znajdzie się dla was praca. Być może, ciężka praca fizyczna posłuży dobrym wychowawczym środkiem dla tej jazykatoj... legionierszy.

Mi ją ton bardzo nie spodobał się.

- Nienawidzę... - przez zęby wycedziła Orsana, obrzydliwie podnosząc dwoma palcami czju-to wyschniętą kość wielkością z ludzki obojczyk, lecz kształtem która przypominała biercowuju. -- Najbardziej na świecie nienawidzę generalnego sprzątania!

- Ja też,- z westchnieniem przyznałam się, rytmicznie szwarkaja po podłodze własnej roboty miotłą z orzechowych gałęzi. -- Rabetienka brudna, lecz, przyznaj, wysokoodpłatna i niezbyt uciążliwa.

- Tak ja i nie oponuję. Sprzątanie, oczywiście, rzecz potrzebna, zwłaszcza wzmocniona przez zachętę w rodzaju Legionu. Lecz jeżeli skądś wyskoczy szczur, zapiszczę,- uczciwie uprzedziła Orsana, odrzucając kość do kupy rupieci w środku jaskini.

Sprzątanie trwało już nie po dwunastej i zbliżała się do ukończenia - my sumiennie wymietliśmy śmieci z wszystkich kątów, wozdwignuw terażniejszy kopiec sławy, gdzie ziemia i kamienie przeplatały się kawałkami pokorieżennogo żelaza i kości.

- Szczury nie lubią smoki i rzadko osiedlają się w ich jamach. -- rozprostowałam się i potarłam lędźwie, zachwycając się dziełem

naszych ręk. Gierieda znów odleciała, pozostawiając jaskinię w naszą kompletną dyspozycję. Z pewnością, ona także nie lubiła porządku. Świata, który sączył się z tonniela, dla tak tytanowej pracy było niewystarczający, i uciekłam się do sztucznego oświetlenia jaskini tuzinem kulistych pulsarów, trzepoczących promieniami na rozmaitej przestrzeni od podłogi.

- Skąd wówczas ten mdły smród? - Orsana zgmiotła jakąś ścierkę i celnie rzuciła ją w cudowną pajęczynę pod sufitem.

- Może, od samej drakonichi? - podniosłam i wygładziłam brudnego triapicznyj bryłkę, która okazała się żeńskimi koronkowymi majteczkami. -- Jak myślisz, jaki los spotkał ich właścicielkę?

- Najprawdopodobniej, szlachetny rycerz zabrał ich u przepięknej damy serca w zamian na pas wierności. Mam nadzieję, u niej był zapasowy klucz... Przy okazji, a gdzie skarby? Brałam pod uwagę, smoki śpią na nich!

- Może, za tą bryłą. -- kiwnęłam na bok masywnego głazu w półtora moich wzrostu, nieszczęsny przywalenno do ściany. Na podłodze obok go było czyste, jak kamień niedawno przesuwali.

- Ot by popatrzeć, a?! - żywo zainteresowała się Orsana, podchodząc i przymierzając się do głazu. Bardziej w imię żart, go nie powiodłoby się ruszyć i w piątkę.

- Chcesz, by ten kopiec stał się nagrobkowym?

- Przestań, my zaś nie mamy zamiar kraść ją rodzone kapitały. A za poglad, jak mówi się, pieniędzy nie przyjmują. Ona zaś prosiła nas wyskrobać jaskinię? Ot my i skrobimy w pocie oblicza, nie pomijając ani zakamarka, ani trieszczinki, jednocześnie i pod kamieszkom zamietli...

Wymieniliśmy spojrzenia i prysnuli ze śmiechu.

- No dobrze, namówiła. -- Mi i samej było ciekawie spojrzeć na stosy złota i klejnotów - porównać, kto bardziej prikopił za swojego drakonij wiek: nasz Ryczarg lub ta stara pieprzniczka. Naturalnie, brać ja niczego nie zamierzałam, a o zwrocie Gieriedy ja zawiadomi niewidzialna magiczna linia, na wszelki wypadek zainstalowana w poprzek wlotu w tunel. He od smoka, do rzeczy, zainstalowana. Mimo bezowocnego badania miejscowych mieszkańców, byłam przekonana, że rozbójnicy potajemnie kręcą się gdzieś w okręgu, poszukując mnie.

Łaskawym uśmiechem otwiergnuw zaoferowanego najemniczej łomik, zrobiłam kilka passow, i gładz bezszelestnie, jak na zawiasach, odjechał na bok. Krysinaja smród nasilił się. Sniedajemyje zaciekawieniem, jednocześnie przekroczyliśmy zakazaną granicę i prawie natychmiast natknęliśmy się na luksusową tarczę ze złotym obwódka, inkrustowaną kamieniom szlachetnym. W poprzek tarczy szedłeś cztery głębokie zadrapania od drakonjich pazurów.

- Nie dotykaj! - powstrzymałam za kołnierz która nachyliła się było Orsanu. -- Ona od razu poczuje, kiedy wróci. Pozwalaj po prostu obejrzymy.

Zamarliśmy na końcu popołyski świata, opadającego z jaskini. Choć bardzo to dziwny, moje oczy prawie natychmiast przyzwyczyły się do ciemności i ja z przestachem schwyciłam Orsanu za rękaw, skinąwszy na najdalszy kąt:

- Oj, patrz! Tam coś rusza się!

- I-i-i! Szczur!!! - Dziewczyna wydała obiecany krzyk, o mało nie który porwał mi lewy bębenek.

- A-a-a! - chętnie podchwyciłam. Panika w damskich szeregach - rzecz zaraźliwa.

- O-o-o! - basem zalamantował ze zmroku ktoś trzeciego.

To było już zanadto. Pędem wylecieliśmy ze skarbnicy, jakby sama śmierć łaskotała nam pięty lodowymi palcami.

- Myślę, my ją przestraszyliśmy,- ledwie złapawszy oddech, stwierdziła Orsana.

- zdążyłaś ją dostrzec?

- Ja ją w ogóle nie widziałam!

- A co zaś w takim razie wrzeszczała?!

- Tobie uwierzyła!

- A ja - tobie!

Zastawiliśmy się przyjaciół na przyjaciół. Zaskoczenie szybko

zastąpiło się złością.

- Może, tobie przywidziało się? - zaryzykowała przypuścić Orsana.

- Sądząc po odpowiadającym wrzasku, przywidziało się nie tylko mi.

- Jak myślisz, kto to mógł być? Smoki biorą jeńców?

- Jeżeli i biorą, to chyba nie trzymają w święta świętych - skarbnicy. Proponuję wrócić i obejrzeć tę istotę powymiatelniej.

-- Ja logicznie stwierdziłam, że panika we wrogim stanie świadczy o naszej przewadze.

Orsana zgodnie z kiwnęła, podnosząc z podłogi żeleziaku powieszistiej. Zwabiłam palcem jeden z pulsarów, i on posłusznie prześliznął się w szczelinę.

Szczyt złotej góry gubił się w mroku, lecz również podnóże mogło wywabić z rozumu każdego rabusia. Najemnica przeciągle priswistnęła, wynajdując oczyma nieznana istota, ja zaś z satysfakcją zwróciła uwagę, że jeżeli nasz Ryczarg i nie rozporządzał tak bardzo okazałym złotym zasobem, to po ilości kamieni szlachetnych, wyrobów jubilerskich i artefaktów odniósł bezwarunkowe zwycięstwo.

- Szczur - nie szczur, a nimi tu śmierdzi cześć. -- Orsana nachyliła się i zebrała z podłogi brudny skórzany strzęp, na powierka który okazał się workiem z odwlekającym się otworem.

-- Podobnie, ktoś odnalazł okreżnej drogę do skarbonki starej grymzy.

Zrobiłam kilka passow i odmownie pokołysałam głową:

- Tu nikogo nie. Już nie.

- Lecz jakoś zaś on stąd wy dostał się,- słusznie stwierdziła Orsana. -- Nie przez ścianę zaś przemknął!

- Też wariant. -- sprawdziłam skarbnicę jeszcze i na ślady zakłęb.

Nic. A która ośmieliła się najemnica już wyprzedzała złoty górę, przyglądając się do podłogi i ścianom, czasem nachylając się i kostiaszkami palców prostukiwaja podejrzliwe rejony. Skarby leżały nie dokładnie w środku jaskini, a obok siebie do odległej od wejścia ścianie, zwałonych niemal do sufitu, z płynnym zskośnym w dół. Dwa razy przemknąc z końca w koniec, Orsana zakłopotanie chmyknęła, kucnęła i pstryknęła paznokciem po złotym kraju podrapanej tarczy:

- Według mnie, wcześniej on leżał bliżej do wejścia.

Podeszłam pobardziej bliżej, przypatrzeć się:

- Trafnie. A teraz stoi pod ścianą, jak...

Wymieniliśmy spojrzenia.

- Drzwi!

Zapomniawszy o drakonichie, ja pierwszej chwyciłam się za brzeg tarczy i pociągnęłam na siebie. Do mojego zdziwienia, on

uległ nie razem, wypadło zaprzeć się nogami i szarpnąć że są moce. Z tej strony coś trzeńknęło, opór raptownie osłabło, i ja od zaskoczenia siadłam na podłoga z tarczą w rękach. Orsana spojrzała na mnie i przeciągle priswistnęła. Przewróciłam tarczę tylną stroną do siebie i zobaczyłam kudłatą włosową linkę, przywiązaną do kości widełkowej dla ręki.

Za tarczą w ścianie u podłogi czerniła się półokrągła dziura. Jeżeli ją przegryzł szczur z nawykami plecienia wieriewok, to ona była wielkości z dobrze odżywionego bobra.

- Nie uwięźniemy? - Orsana z wahaniem pochyliła się na ukrytym łąz. Być może, na brzuchu ona by tamtędy i precisnęła się, lecz przeszkadzał w wbitego w ścianę hak, na którym chybotął się strzępek linki.

- Teraz coś wymyślimy. -- podmuchałam na palec wskazujący, trochę widocznie poruszając ustami, i zakreśliłam dziurę po kraju. Za palcem ciągnął się ledwie rozróżniony srebrzysty ślad. Jak tylko powróciłam do punktu wyjścia, zarys łąza rozmył się, a ściana dookoła go zmąciła się, jakby utkana z dymu. -- Proszę! Chociaż nie, ja pierwsza, a nuż tam dalej znów czarować trzeba będzie.

Bałam się nadaremnie. Chód był prostego i krótkiego, dosłownie przez trzy arszyna wtuliłam w jakąś mokrą i szorstką

przeszkodę, przełamalam ją najpierw, czym poczułam, i okazałam się na wolności, w krzakach z tyłu jaskinie. “Drzwiczkami” z tej strony służył jako obomszelyj kawał skorupy, opartego do ładu i dla pewności podpartego przez odłamek kamienia. Szeptem zawoławszy Orsanu, obejrzałam się, mrużąc oczy od światła dziennego. Nie ma co mówić, należyte miejsce dla podkopa - od wejścia głównego złodzieja osłaniały gałęzie malinnika, wysokie i częstych, lecz pozwalające prowadzić obserwacja za właścicielką legowiska, podgadywają wizyty z workiem do niej nieobecności. Sądząc po krzyku i pośpiesznej ucieczce, rabuś i przedstawić nie mógł, że Gierieda zawoła kogoś w gościnę.

- Podobnie, mu nie wpierwszej kręcić się po drakoniej skarbnicy,- zauważyłam, ostrożnie drapiąc paznokciem wypolerowanych do błysku brzegu ładu, które przyjęli dawny aspekt, jak tylko Orsana gramoliłam się na zewnątrz. -- Za raz kamień tak by nie wytarł się, a kopać tu krótko, zwłaszcza jeżeli waldaczkiej lub gnomkiej kilofem, ta ostatnia w ogóle w granit jak w masło wchodzi.

- Ps-z-st! - urwała mnie dziewczyna, przyciskając palec do ust. W odróżnieniu od mnie, najemnica przede wszystkim zwróciła uwagę na las, nie pograżając się w oględziny ładu.

- Co? - przeszłam na szept.

- Patrz! Ale nie tam, pod krzak!

Przyjrzałam się i zauważyłam szarą zgarbioną figurkę, proszmygnuwszaju między przewróconą brzozą i wysokim szczerbatym kopniemy.

Orsana popatrzyła na mnie i znacząco poklepała dłonią drogą powietrzną u samej ziemi, następnie wskazała na siebie i palcem odtworzyła łuk. Ja bystro skinęłam, i najemnica bezszelestnie poszłam drogą okrężną. Nawet gałęzie za niej nie kołysały się.

Wpadnąc istocie w tył, Orsana rozmyślnie głośno zatupała i zachręściła suszniakom, biezyskusno pogwizdując.

Zdziałało. Nieustannie oglądając się i przysłuchując się do podniatomu dziewczyną hałasu, złodziej cofnął się w moją stronę, widocznie, mając nadzieję ukryć się w potajemnym przejściu.

Dopuściwszy jego pobardziej bliżej, wyprostowałam się w pełny wzrost. Gnom! W płaszczu z krysinych skórek, smród których wybijał wszystkim leśnym zapachom. Speszywszy się, on nie natychmiast pojął rzucić się na bok, i najemnica w kilka skoków pokonała która dzieliła nas odległość, odetnąc złodziejowi drogę do odwrotu.

Zuchwalstwa temu było nie zajmować - natychmiast oszacowawszy sytuację, gnom obrócił się, by widzieć nas oboje, rozczapierzył ręce z zaściskanymi w nich przez brzegi płaszcza, zrobiwszy się podobnym do na wycieńczonego nietoperza, i głośno, z oburzeniem zaskrzeczał:

- Jak odważyliście się wejść w paradę mi, godne pożałowania ludzki? A wy choć wiecie, kto ja?!

Niskiego wzrostu nawet dla gnoma, złodziej ledwie sięgał mi do pasa. Wytrzeszczywszy oczy i wypiąwszy pierś, on z podwywaniem kontynuował:

- Trząście się zaś: ja - wielki gnomij wojownik i szaman, drakonosiak i zaklinateli, potężny i groźny Tora-ci! Które ściągnęli na siebie mój pobożny gniew będą poznawać najstraszliwszą i bardzo męczącą ze śmierci i nawet po niej nie odzyskają spokoju, ponieważ mój władza będzie sięgać i na świat duchów! Chrońcie się, zanim późno! U-u-u-u!

Po czym zagalopował w miejscu, jak podstrielennyj zając, wysunąwszy przed siebie ręce ze skriuczennymi palcami i szcękając rzadkimi żółtymi zębami, że, pewnie, oznaczało przygotowanie do naszego okropnego i męczącego zabicia. Długa broda trzepotała w takt skokom jak gąbka.

- Chyba, nam nie warto zadawać się z tym fatalnym szamanem. -- niepostrzeżenie mrugnęłam porozumiewawczo Orsanie, przybierając pozę przestraszony wygląd.

- Tak, ja też tak myślę,- podygrała mi najemnica. -- Nam jego wszystko jedno nie pokonać!

Gnomik priosaniłsia, rozprostował ramiona.

- Najlepiej cofnąć się,- kontynuowałam, zadowolono oglądając się na strony.

- I niezwłocznie!

- Uciekamy, trzeba ostrzec Gieriedu o niebezpieczeństwie!

- Tak, może, ona jeszcze zdąży ukryć się!

- Pośpieszmy! -- My z krzykami “zgrozy” rzuciliśmy się do wejścia w jaskinię.

Gnomy - lud biesszabasnyj i pewny siebie, lecz nawet bezczelny złodziej nie odważył się przypisać sobie ulepietywajuszczonego co tchu smoka.

- Hej, hej, postacie! - istoszo wrzasnął on, biegu przed siebie i zagradzając nam drogę. -- zażartowałem! Ja potężny i groźny, lecz bardzo, bardzo dobry!

- O, wielki szaman, nie dotykaj nas! Poinformujemy drakonichie dobrą wiadomość o twoim przybyciu, i ona sam wyniesie tobie skarby w zamian na swoje życie!

- Nie, nie, nie trzeba! Ja tu inkognito!

- A my nią na uszko!

- Ależ zażartowałem, zażartowałem! Wcale ja nie jestem szamanem!

- O, wielki wojownik-drakonosiek, nam mimo wszystko z tobą nie mierzyć się! - obiegliśmy gnomika z różnych stron, i on okropnie wrzasnął nam w ślad:

- I nie wojownik!

My razem stanęliśmy i obrócili się, niedobrze uśmiechając się; skrzyżowałam ręce na piersi, Orsana wsparłam ich w boki, wymownie prytopywają czubkiem lewej nogi. Rozmowa zapowiadała się serdecznym.

- A kto?

- Tak... obok przebiegał,- zmieszał się gnomik.

Ja nie powstrzymałam się od zworka. Orsana wymownie pomachała przed jego nosem znalezionym w jaskini workiem.

- Nie moje,- pośpiesznie otworzył się on, nawet nie pofatygowawszy się należycie obejrzeć drobiazg.

- A znak z boku czyja?

- Nie było u mnie żadnego znaki!

- Pewnie, nie było. -- Orsana powoli rozwinęła otwór worka,-
Nożyk-to masz, woinstwujuszczij szaman?

- 3-po co? - zadenerwował się gnomik.

- Głowę tobie będziemy piluwały ta widriezaty,- westchnęła najemnica, powoli podchodząc do gnoma z otwartym workiem,- a nemaje noża - tak urwiemy. Perswazja u nas ze smokiem taki - czy zgubę wzzwrócić, czy złodzieja przybić. Wszystek trup do niej wlec ciężko, a głowa akurat w torbinu wejdzie...

Gnom nagle zerwał płaszcz, rzucił Orsanie w twarz i rzucił się do ucieczki. Raczej, spróbował, na drugim zaś kroku wstawiwszy

się w niewidoczną ścianę, która rzuciła go z powrotem.

- Niejeden ty tu szaman. -- niedbale pomachałam dłonią prawej ręki, ochładzając swędzące koniuszki palców.

Złodziej pojął, że sprawy są marne.

- Może, dogadamy się? - zrozpaczony pisnął on, cofając się od Orsany.

- Dogaduj się,- obojętnie zgodziła się najemnica, nie zatrzymując się i nie zmieniając skupionego wyrazu twarzy.

- Dziesięć kładniej!

- Ha-ha.

- Na każdą!

- No-no.

- Połowę!

- Na każdą? - uściśliłam.

- Lecz to zaś okaże się wszystko! - z oburzeniem wrzasnął on.

- Tak przecież i głowę na pół nie podzielisz,- słusznie zauważyła Orsana.

- Wymogatieli! Razbojnicy! Chapugi!

- Orsana, urywaj!

- Nie trzeba! - natychmiast z Nika gnomik. -- Ja zgadza się.

Najemnica powstała nad nim, udając, niby to zastanawia się, potem kiwnęła:

- Znoś. Lecz jeżeli spróbujesz nas oszukać... - i z chrupaniem

rozprostowała splecione palce.

- Wtedy riadyszkom! - zaśpieszył się przerażony złodziej.

Niedługo pokrużyw po lesie pod naszą czujną opieką, u riabinki gnom opadł na kolana, zebrał w garść niewidoczny pęczek turzycy, pociągnął za niego i otworzył trawiastą zapadienku - głęboką wąską jamę, wykopaną pod dokładnie oddzieloną darnią. Wskutek które ocaleli korzeniom turzycy nie wysychała, i odszukać schowek, nie wiedząc o jego miejscu pobytu z precyzją do piadi, było niemożliwie.

- Ot,- przypochlebiające się oznajmił on,- wszystko do odrobiny! Biedny ja, nieszczęśliwy, obieздо-o-olennyj!

Złodziej starannie rozpuścił łąkę i na pokaz wytarł ją rękawem, lecz wzruszyć nas nie zdołał - gdzie widzieliście gnoma z jednym-jedynym schowkiem? Tak jego swoje zaś sorodiczi wyśmieją!

- Jeżeli oddał małe połowy - spod ziemi wydobędziemy! - ciężko obiecałam, a Orsana znacząco wpieriałś w gnoma spojrzeniem, jakby na zawsze zapieczatlewaja w pamięci cechy pechowego woriszki.

“Potężnego i groźnego” zatrząsł się, jak osikowy liść, lecz kontynuował upierać się w zkryciu dochodów, wzywając w świadkowie wszystek panteon gnomjich bogów, zdrowie żywych rodziców i prochy spokojnej babci.

Udaliśmy, że uwierzyliśmy. O ile wiedziałam gnomy, za

ostatnią garść monet on lażet kośćmi lub zatai złość nie gorzej smoka. Duch leśny z nim, kopał zaś, starał się...

- Zgoda, wolny,- zezwoliłam.

Gnom tak szybko i chętnie znikł, że pojęłam - prodieszewili. Złodziej zapobiegliwie prichwatił z sobą worek i krysinyj płaszcz, odbierający węch nawet u smoka; najwidoczniej, liczył polepszyć materialną sytuację natychmiast po naszym odejściu. Lecz tu go czekało głębokie rozczarowanie - natychmiast zamknęłam łaz za pomocą magie, na wszelki wypadek jeszcze i przemówiłam, by niepowadno było.

Trzeba powiedzieć, potężny szaman pofatygował się wspaniale, nieraz i nie dwa zbiegawszy z workiem w skarbnicę. Orsana zdjęła z siebie kurtkę, zawiązała rękawy i linką zwędziła kołnierz. Po brzegi napełniona złotym, odzieżka ważyła najmniej puda i niebezpiecznie zatrzeszczała po szwach. We dwie my ją ledwie unieśliśmy i natuzno powlokły do jaskini, dokonując częste przerwy.

Pieriedochnuw i naradziwszy się, zdecydowaliśmy oddać drakonichie wszystkie zdobycze, chociaż pokusa prichwatił' po kamieszku "na pamiątkę" była wielki. Kto ich wie, te smoki: a nuż gnom - to kolejna pułapka na chciwych ludiszek.

Lecz, podobnie, Gierieda i słuchem nie słychiwała o

“potężnym i groźnym Tora-ci”. Powróciwszy, ona w pierwszy moment zakrzuszyła się od oburzenia, zastawszy nas obok odsuniętego kamienia, lecz, kiedy my efektownie wyzatrzęśliśmy z kurtki swój łup, objaśniwszy, że razem przeszukaliśmy i zatkaliśmy krysinie nory, ją radości nie było kresu. Smoki doskonale pamiętają każdą monietkę ze swoich skarbów, każdego drogiego kamieszek, w tej liczbie zaginionego, i Gierieda wcale nie zwątpiła w naszą uczciwość. Po nią słowom, kosztowności ginęły od dawna, lecz ona, jak i przewidywał złodziej, zwała winę na szczurów. Gnom rozsądnie omijał bokiem duże rzeczy jakby złotych kandelabrow, inkrustowanych półmisków i raritetnych ozdób, tak że okresowe kradzieże choć drażniły drakonichu, lecz nie do takiego stopnia, by odwracać jaskinię do góry dnem w poszukiwaniu krysinogo łoża.

Odniósłszy z powrotem bezpowrotnie, wydawałoby się, utierianie skarbu, drakonicha wpadła w w przepiękny nastrój.

- Co zaś, zasłużyliście swoje honorarium,- przesyczała ona,- chyba, nawet z premiami. No, popatrzymy...

Zgromadziwszy się obok skarbnice, jak trzy kumuski u lady z ciuchami, my pełnymi zachwytu achanjami witaliśmy każdą wyciągniętą drakonichoj rzecz. Jakie tam były kolczugi! Ażurowych, tonieńkije, nieważkich, jak pautinka, one lekko zmieściliby się w podróźnej torbie, lecz z powodzeniem stawiali

opór drakonjim pazurom i zębom, że Gierieda nie zwolniła zaprezentować. A miecze! Dłudzy i wąskie elfijskije, z ażurowym grawerunkiem od rukojeti do koniuszka ostrza, połychawszyje ciemnoniebieskim płomieniem pod promieniami słońca; szerokie i krótkie gnomji, doskonale wyważeni, idealnie naostrzeni, lecz zadowoleni-bądź co bądź ciężkie; trołji, szorstko zużyte, za to obsypywani przez kamienie szlachetne, jak trawa rosą. Najrozmaitsze sztylety, noże, jatagany - proste, krzywe, wyszczerbione, rozwidleni, zatruci i przemówieni; umieszczający się w pięści, z wystrzeliwującym ostrzem, sterczące za pasami, schowani za cholewami lub wiszące w pochwie. Była nawet kopia - srebrna nasadka z kawałkiem drzewca, nie który zatrzymywał zderzenia z drakonjej łuską.

Gierieda natychmiast odsunęła na bok dużą część dopośpiechów, oświadczywszy, że, do swojego wstydu, nie w siłach rozstać się z “tymi arcydziełami kuzniecznego czynu”, lecz również wśród zaoferowanych do wyboru przedmiotów oka rozbiegali się.

Po długich wahaniach, radach i przymiarkach Orsana stanęła na srebrzystej kolczudze trochę poniżej pasy, bez ozdób i zbytecznych nitów, za to lekkiej i na diwo wytrzymałej. Miecz ona wybrała na samego, z pierwszego spojrzenia, -elfijskij, średniego rozmiaru, też nierzucający się w oczy, lecz wpajający szacunek.

Pas ze skóry wasiliska z pritoroczennymi do niego pochwą - naturalnie, nie próżnymi,- mocno powłókł się na cienkim stanie najemnicy.

- Dobra-a-a! - w jeden głos przeprowadziliśmy z drakonichoj.

- Z takim i na śmiertelny bój nie wstyd wyjść!- popochlebiała Gierieda.

Rozkóra czerwieniła się, szczęśliwa, Orsana kręciła się wokoło siebie, próbując ocenić wspaniałość ekwipunku bez pomocy lustra.

- A ty,- drakonicha opuściłaś mordę do mnie, i zobaczyłam, jak powoli poszerzyły się pionowe źrenice w miodowych oczach,- niczego nie chcesz u mnie poprosić?

- Poprosić? Nie. -- Ryczarg dosyć poopowiedział mi o drakonjich zamoroczkach, w szczególności, o zagadnieniach, żądających ścisłej określonej odpowiedzi. Gierieda przymilnie uściśliła:

- W takim razie, że byś chciała dostać w prezencie?

- Przysługę,- bez wahania, odpowiedziałam.

Drakonicha niezadowolona i w tym samym czasie przychylnie chmyknęła:

- Wiesz, że prosić. Podszkolił kto?

- Jeden dawny znajomy.

- widzę, tobie powodzi się na starych znajomych. --

Drakonicha wymownie mrugnęła porozumiewawczo, wykrzywiając w uśmiechu kącki łuskowych warg. -- Ila nie powodzi się, to jak spojrzeć...

- Wy o czym?

Lecz Gierieda już odwróciła się, zadowolona, że zdołała zbić z tropu mnie. Ja rugnułaś po cichu, wiedząc, że jeżeli smok nie odpowiedział na pytanie z pierwszego razu, to powtarzać go nadaremnie.

Składając broń z powrotem w magazyn, drakonicha z sarkazmem komentowała, przy jakich warunkach zazyskała tę lub inną wieszcziczkę. Obszerna kolekcja wciąż uzupełniała się kosztem "rycerzy bez lęku i zarzutu", których i naprawdę jeżeli i wymagał za co wytknąć, tak temu za brak strachu przed jednoznaczną przewagą przeciwnika.

Pożegnanie było bardzo ciepłym. Obiecaliśmy zachodzić z wizytą, drakonicha - zalatywać, i machali sobie, zanim schowali się z oczu.

- A co za przysługę obiecała tobie Gierieda? - przypomniała sobie Orsana już na podejściu do wsi.

- Ona pomoże mi, jeżeli w tym woznikniet życiowa potrzeba.

- A jak ona dowie się, wyniknęła lub nie?

- Dowie się,- uśmiechnęłam się. -- Przynajmniej, chciałoby się na to liczyć...

ROZDZIAŁ 13

Smołkie szybko znudził senny półmrok stajni; niewiele myśląc, ona wyważyła drzwi boksu i poszła paść się po wsi. Trochę poszczipaw zakurzoną trawę u poboczy, gałęzie drzew i puchową pierzynę, wywieszoną na płot dla przesuszenia (to, że wpierw wzięliśmy za który krążył w powietrzu topolinyj puch, okazało się puchem gęsim), w krzakach za okolicęj kobyła natknęła się na zdechłego psa i z apetytem nią podprzegryzła, a potem zponiewierała się w szczątkach, od stóp do głów prowoniaw miertwieczinoj.

Zauważywszy mnie, Smołka rozradowanie pobiegła na spotkanie i bardzo zdziwiła się, kiedy odskoczyłam od niej, zaciskając nos i przeklinając. Wracać z niej w wieś ja nie zaryzykowałam - mało że jeszcze ona zdążyła narobić, a z przesądnych sielan zacznie się zarzucać nas kamieniami. Wyprzedzając kobyłę z podwietriennej strony, schwyciłam ją pod uzdę i na wyciągniętej ręce powlokłam do który był widocznym w pobliżu jezioru, a Orsana udałam się na postojałyj podwórze za rzeczami.

Do jeziora Smołka ustosunkowała się bardzo podejrzanie i, mimo mocnego równego dna, wchodzić głębszy brzucha

bezwzględnie odmówiła, pamiętając o perfidnych błotnych boczagach. Popluskalam na nią wodniczkoj, za co koń śmiertelnie obraził się - rasfyrkałaś, otrząsnęła się i, ułucziw chwilę, szturchnęła mnie mordą w plecy, zbiwszy z nóg. Zanurzyłam się z głową, lecz niezbyt zdenerwowałam się - wodniczka była czysta, choć wiosennie chołodnowataja, rześka.

Póki wygłupialiśmy się, bryzgając i uganiając się jeden za drugim po mielkowodju, powróciła chichocząca Orsana i opowiedziała, że korczmar' postarał się było złapać który zwiął konia i odtąd siedzi na dachu w obnimku z lunetą, a wynajęty cieśla nagląco zbija nowe schody, dlatego że stara dostaje tylko do ściekowej rynny, a opuszczać się po śliskiej dachówce biedoługa odmawia. I wypowiada się o mojej kobyle bynajmniej nie tak entuzjastycznie, jak przedtem.

Skorzystawszy z okazji, my zgodnie prostirnuli odzież, rozwiesiliśmy na krzakach dla przesuszenia i w oczekiwaniu onarzekaj opalali się na bierieżkie. Do wieczora było jeszcze daleko, lecz słoneczko już zaczynało zerkać w dół, tak że powtórnie spiec się mi nie groziło.

Nieopodal ciągnął sieci obszarpany diedok; wyciągało się źle, ponieważ jego bardziej interesował dwie półnagie dziewice, czym rezultat połowu. Leżałam na plecach, zasłoniwszy dłonią oka, a Orsana, nie wytrzymałszy, siedząc syciłam wzrok mieczem.

Grawerunek-powój mienił się na słońcu, jak zmijowa łuska.

- Jak myślisz, on zaczepionego?

- Całkiem Możliwy, chociaż ściśle ustalić, od czego właśnie, nie mogę. Elfy nie nakładają zaklęć na gotową klingę, a wplatają ich na fazie giętkiej sierdiecznika. Zazwyczaj ten wytrzymałość, samozatoczką i skuteczność wobec nieżyty.

- Dobrze by. -- Najemnica nakryła miecz w pochwę i poszła badać bielizny. -- Jakby wyszło.

Ubraliśmy się, do jawnego rozczarowania diedka. Podobnie, się on zatopił i, spóźnione spostrzegłszy się, rozbieganie szperał w wodzie "kotem".

- Pozostało upolować konia. -- Orsana wdrapała się na Smółku za mnie. Czarny konik tylko westchnął, udając, że właśnie właśnie zawali się pod podwójnym ciężarem. -- Ostatecznie, można sprzedać pas z nożami. Oni nie wnikają w obowiązkowe zaopatrzenie.

- Czyżby, szkoda. -- przekrzywiłam się na ozdobionych przez rubiny rękojeści. -- Z koniem można i obczekać, - jeżeli za dwa tygodnie nie nadarzy się żadnych zarobków, prodasz i kupisz przed samymi zawodami.

Zdanie Smółki, którego nikt nie prosił, okazało się decydującym. Jakby samego nie spostrzegła - za nic by nie uwierzyła, że ta parszywka może się od razu na dwa szpagatu -

przednimi i tylnymi nogami. Wriedniuszczaja kobyła wrogio obejrzała się na które zmieszały się amazonek: “Co, zjedli?! Teraz obie pójdziecie pieszoczkom!”.

Wypowiedziawszy Smołkie nasz uczciwy pogląd o leniwych bezmyślnych kreaturach, wydostaliśmy się z siodła. Kobyła jak gdyby nigdy nic po-pauczji zebrała wyciągnięte nogi i wstała.

- Kiedy ja kupię konia,- przewarczałam Orsana,- to będzie koń, a nie błazen-akrobata z wędrownego cyrku.

- Natomiast ona bardzo zwrotny,- wstawiłam się za Smołku. -- No jaka jeszcze konia zgodzi się wieźć ciebie po górskiej krucze lub błotnym kępom?

- Nie już, przekładam prowadzić koniem, a nie pytać ją zgody. Według mnie, ona w ogóle nie ma pojęcia o takiej rzeczy, jak przeguby. Gdzie ty ją upolowałaś?!

- To ona mnie upolowała,- odpowiedziałam żartem. -- Nikt przecież i nie oczekuje od wiedźmy, że ona zacznie podróżować na zwyczajnym koniu.

- Tym Niemniej, magowie bardzo często jeżdżą na zwyczajnych koniach,- nie zgodziła się Orsana.

- Nie spieram się, lecz jeżeli wszystkich zwierząt, należących do wiedźmom i czarownikom, będą liczyć iszadijami ciemności, to dlaczego by nie wybrać w satelity terażniejszego demona? Tak o wiele prostszy i wiedźmom, i przesądnym sielanam.

- Ja nie przesadna,- parsknęłam najemnica,- i isczadija ciemności nie wywołują gnój w takiej ilości. Zresztą, jeżeli przypomnieć sobie, że ona żre, to nic dziwnego. Zgoda, duch leśny z niej, pójdę obok.

- Nie już, pójdziemy razem,- stanowczo sprzeciwiłam się,- i niech temu bydłęciu będzie wstyd!

Szliśmy po trakcie, w kierunku Witiaga, niczym nie odznaczając się z rzadkiego łańcuszka konnych i pieszych podróżników. Smółka, podobnie, wyraziła skruchę i od czasu do czasu z fyrkanjem wtykała się mordą w moje plecy, oferując podwieźć - duch leśny z nami! - oboje. Lecz my nigdzie szczególnie nie śpieszyliśmy się, a rozmawiać udobnieje, idąc bok o bok. Gadaliśmy kompletnie ani o czym: jak gotują znakomity białorski biber-krupnik na dwadzieścia siedmiu ziołach; jak, upiwszyś onogo krupnika, król narozum wzpragnął odwiedzić usypalnicu przodków, gdzie własnoręcznie odsunął jedną z ciężelennych marmurowych płyt, zażądał rodzinny portret praprapradieda i długo porównywał z leżącym w sarkofagu szkieletem - podobny, nie podobny; co winiesskije sielanie będzie liczyć, niby najpierwszorzędny środek od upiorów - święcona w świątyni kaszanka, którą perfidnie rozrzucają po podwórzu, a upiór potem majetsia brzuchem; czy to prawda, że straszni czary można odwrócić, pokazawszy kierującej ich wiedźmie figa lub

inny głumliwyj znak; po co w świątyniach przed wejściem kładą dębową gałąź i dlaczego jeden dwurucznyj miecz gorszy dwa jednorucznych, chociaż on i dlinnieje.

Jak wiadomo, po takich rozmowach kobiety zwyczajnie stają się serdecznymi pokumplami - lub śmiertelnymi wrogami. I sprawa tu wcale nie w podobieństwie-różnicy zainteresowań i spojrzeń, a stosunki do życia w ogóle.

My obie woleliśmy dochodzić w niej jasne strony i wyszucziwać ciemnych, tak że szczególnych różnic zdań nie zrodziło się.

Rychły pod wieczór nas wyprzedził grzmiący wóz, zaprzężony przez kudłatego ciężarowozom. Za niej, przywiązanego do obkraty, bał się delikatnego igrieniewyj ogier - brązowi-rudy, z jasnym ogonem i grzywą. Po wszystkim statiam - jeździec skakun, lecz jakiś ponury: głowa jest opuszczona, chód niepewny, potykający się.

Woźnica strzelił biczem, ciężarowoz posłusznie przeszedł na triaskuju ryś, a igrieniewyj - na płynny wolny kłus. Wydawało się, koń nie biegnie, a płynie nad drogą.

- Ach, garnyj żeriebczik! - zapatrzyła się Orsana. -- I ałlur takiego rzadkiego... Kładniej sto pięćdziesiąt ściągnie, najmniej.

Ogier potknął się na gładkim miejscu i padł. Konwulsyjnie

rzucające się nogi ubiły drogowy pył. Woźnica smaczno zaklął, napiął lejce. Tiażełowoz posłusznie zatrzymał się; igrieniewyj przetoczył się po ziemi i wstał, ciężki oddychając i poruszając bokami.

Za ten czas dogoniliśmy wóz.

- Hej, poważany, że z waszym konikiem? Ona kulejąc, że?

Chłop przeciągle splunął na ziemię:

- A jakże nie, ślepa! Miesiąc temu oślepl, cholera go rozbierz.

Z Woropachowskiej stajni, może, słyhać? Bardzo czystych krwi jednochodziec, po zeszłorocznych skaczek za niego dwieście kładniej proponowały - właściciel nie sprzedał. A teraz do oprawcy prowadzę - i dwadzieścia nie da, gęba skwałyznaja...

Ostrożnie pogłaskałam ogiera po długiej rudej mordzie, przeciętą białą strzałką. Oboje oczy bez wyjątku zaciągnęło ropiejącymi bielkami, po nich pełzały muchy.

- Może, on zbyłby dobrym na papinój młynowi -- chodzić w kole,- powiedziałam, udając oddanej w zadumy. -- Jak będziesz brać pod uwagę, siestriczka?

- No... e-e-e... - Orsana niepojmujące wytrzeszczyła się na mnie, ale kobieca solidarność i naturalny spryt szybko zabrały swoje. -- myślę, tata nie będzie oponować.

- Oczywiście, nie będzie! - podchwyciłam. -- Na śmiertelnym Odrze on powiedział, że możemy zarządzać młynem i wszystkimi

pieniędzmi według swego uznania.

- Biedny bat'ka... - zaszlochała Orsana, gubiąc skąpą łzę.

Objęłam "siestrienu", i my smutnie wszlochaliśmy sobie w ramiona.

Miła rodzinna scena wzruszyła woźnicę; u niego pojawiła się szansa wcisnąć ślepego konia dwu głupim dziewczicom, niczego nie pojmującym w rolnictwie - gdzie zaś to widziane, by wyścigowego ogiera zaprzęgał w kamień młyński!

- Że zaś, mógłbym, chyba, ustąpić go za... e-e-e... dwadzieścia kładniej. Łkania nasiliły się.

- Zresztą, okazując przychylność do waszego córczyńnego zmartwienia... tak już i być, siedemnaście.

Nieznacznie szturchnęłam Orsanu w bok. Lecz tej, oczywiście, zrobiło się żal wszystkich pieniędzy, i ona wydała do tego bolesnego, przeciągłego i wibrirujuszczij szloch, że cena od razu opadła do piętnaście.

Wóz pojechał dalej, a odprowadziliśmy konia w najbliższe zarośla.

- Ot złodziejaszek, na żywodiernie za niego by i dziesięć nie dał,- warczała najemnica, wpychając w kieszeń ładnie otoszczawszyj koszel. -- wolcha, po smoku ja już niczemu nie dziwię się; lecz powiedz, po co podjudziłaś mnie wydać ostatnie pieniądze na ślepego ogiera?

- Czyż to taki już istotny deficyt? - zażartowałam, kiwając na Smołku, z entuzjazmem bobra która ostrzyła kły o młodą bierzku. Pogłaskałam konia po szyi, on głęboko westchnął, uspokajając się i przyzwyczajając się do mojego zapachu. Moje ręce prześliznęły się po gładkich zagięciach połyskujących policzków, przykryły ślepe oczy filizankami dłoni. -- Kosząc, kosieńka... jaki ty u nas ładnego... jakiego posłusznego...

Ogier stał, jak wryty. Przytuliwszy się czołem do końskiego czoła, zamknęłam oczy, naprawlenno pogrążając się w naszą wspólną ciemność.

Który podzielił jej świat bólem odezwał się w głębi czaszki.

Jak ja i spodziewałam się, koń odreagował gwałtownie. Nie zardzawy - istoszo pisnąwszy, jak jego pyrnuli kopią, on odskoczył, przysiadając na zad, potem stanął dęba, omal nie sworotiw mi szczękę podkutym kopytem.

- Hej, hej, polzej! - ledwie zdążyłam wymigać się spod który oszalał ogiera. -- Orsana, utrzymuj go!

Koń zamiatał się po polanie, jak zając, postawiony w menu przez dwa wilki jednocześnie. Ponownie odzyskany wzrok bardziej przeszkadzał mu, czym ułatwiało zorientować się, - on natrafiał na drzewa, potykał się o korzenie, odzwyczaiwszy się ufać oczom.

Drzewa okręzały polanku z wszystkich stron, oba końca tropki

zagroziły nasze rozczapierzone ręce, tak że wzruszonemu żeriebcziku nie udało się dać drę - Orsana złapała go za koniec powodu, złapała pod uzdę. Koń krzywo patrzył na nią dzikimi czarnymi oczyma, chrapał, cofał się, rozsadzając ziemię kopytami. Najemnica zapieściła się z nim, jak z małym dzieckiem, - ach ty dobrego, sławnego, mądrala-rozmądrala, a spróbuj smacznego chlebuszka...

Chlebuszek koń spróbował, i niesłabo: od nadmiaru uczuć Orsana włożyła mu pod mordę wszystką która została u nas krajuchu, z połkowrigi, i ogier, nie bądź głupi, bystrieńko jej oprichodował, tymczasem nowa właścicielka nie opamiętała się.

- Nie rozumiem,- powiedziała Orsana, kiedy chleb skończył się i ją zachwył trochę poosłabł. -- Jego który był właściciel sam mógł zapłacić magowi pary kładniej za uzdrowienie i gdzie wygodniej sprzedać szkapę. Dlaczego zaś on tego nie zrobił?

- A dlatego, poważana legioniersza,- wyrozumiale uśmiechnęłam się, prasując konia po długiej grzywie,- że specjaliści mojej kategorii po traktach nie szlajutsia i konie nie leczą. Ja, do twojej wiadomości, fachowy mag-praktyk, dyplom z wyróżnieniem. My na podobne drobnostki nie rozmieniamy się.

Smołka, dotychczas z obawą która obserwowała za nami z daleka, podeszła i zazdrosno wbiła się klinem między mną i ogierem. Wypadło przytulić i ją.

- Oj-oj-oj... - przedrzeźnić Orsana z kiepsko skrywanym zachwytem. -- Też mi, spieczaliska w dranych kozakach.

- No, mogę, oczywiście, zatkać dziury i nadać butom z cholewami iluzję nowych, lecz przecież one w każdej chwili mogą... Dziwny,- nagle powiedziałam, urywając poprzednie zdanie i sosriedotoczenno wsłuchując się w siebie,- moją rezerwę już w normie.

- Co-że?

- Każdy mag rozporządza określoną rezerwą - ilością energii, siły, którą on może zużyć za jeden raz. Potem mu wypada albo szukać zewnętrzny jej źródło, albo czekać od kilku godziny do dwa-na trzy dobę. I czym więcej energii zużyte, tym miedlennieje ona nadchodzi,- krótko objaśniłam.

- No i dobre,- wzruszyła ramionami Orsana. -- Czym szybciej, tym lepiej, tak?

- Lecz nie za pięć zaś minut!

- Dlaczego?

“Dlatego że tego po prostu nie może!” - pomyślałam, lecz tylko machnęłam ręką - że niby to, minęli.

Najemnica nie zaczęła wypytywać się, ją myśli były pożyczeni innym. Ogier wciąż parskał i priplasywał, lecz Orsanie nie śpieszyło się wypróbować go w bitwie. Nie oczekując, tymczasem wyjdziemy na równą drogę, już na skraju lasu ona wskoczyła

koniowi na plecy i rozkazująco cmokła ustami.

Koń, na szczęście, okazał się mądrzej najezdniczy - nie popędził, a ostrożnie poszedł po wysokiej trawie, starannie podnosząc nogi, jak na paradzie. Wyjeździli go doskonale, widać, że dla skaczek: najniedorzeczniejszy dżokej nie potrafiłby zepsuć mu bieg, nadaremnie popędzając i osadzając w nieodpowiednie momenty. Zresztą, Orsanie dosyć było myśli, że ona siedzi na własnym koniu, i popędzać jego dziewczyna nie zamierzała.

- Patrzcie no, wypletajet! - zachwyciła się ona, i natychmiast zdecydowała: - Wianekiem nazwę.

Poobwyknuw, na trakcie koń wzmógł się sprężystym wolnym kłusem w tempie galopu. Dogoniliśmy i wyprzedziliśmy wóz z dawiesznim chłopem, nawet który stanął od zdziwienia; ciężelowozu ukazało się, niby go zamierzają podsmagnąć, i on na ochotnika przyśpieszył kroku, a woźnica, nie utrzymawszy się, runął na plecy, zadarłszy nad obkratą rozczapierzone nogi.

Orsana prosto jaśniałam od szczęścia, ja zaś wszystko markotniałam i markotniałam, jak wieczorne niebo nad głowami. Lecz tylko na postoju, u płonącego ogniska, zdecydowała się głośno wypowiedzieć przyczynę nagłej zmiany nastroju.

- No ot,- westchnęłaś,- teraz ty ekwipowany całkowicie. Miecz my tobie zdobyliśmy, konia kupiliśmy. Możesz jechać wstępować w swój Legion.

Ogiera Orsana na wszelki wypadek przywiązała do drzewa, rozsiadłana Smółka popsich ułożyła się obok ogniska, położywszy głowę na wyciągnięte przednie nogi i zebrawszy tylne.

- Tak ty nie pojedziesz ze mną w Witiag? - zaniepokoiła się dziewczyna.

Powoli pokołysałam głową:

- Z pewnością, ja nużnieje tu.

- Z pewnością? Pojawiły się jakieś problemy?

- Oni i nie przepadali,- westchnęłam,- po prostu ja, choć ubiej, nie wiem, że z nimi robić, i schwyciła za twoją propozycję, by choć czymś siebie zająć i nie zwariować do reszty. A teraz oni znów wydostali się na pierwszy plan, i ja nie mogę z czystym sercem jechać w Witiag zachwycać się zamkiem. Pracę można znaleźć i w tutejszej okolicy, a tam, patrzysz, że i rozjaśni się.

Najemnicza, spoważniawszy, przysunęła się i położyła rękę mi na ramię, uważnie patrząc prosto w oczy.

- wolcha, wyluszczaj.

- Obawiam się, moja opowieść tobie nie spodoba się.

- Kto by miał wątpliwości! Na to oni i to problemy, by niszczyć ludziom nastrój.

- Ty po prostu nie poznajesz, w jakim stopniu to u ciebie popsuje się,- smutno uśmiechnęłam się.

Kiedy po Szkole rozniósł się słuch o mojej przyjaźni z

wampirami, z dwu tuzinów moich przyjaciół zostało wszystkiego czterech. I to wykształceni ludzie, magowie, którzy słuchali kurs wykładów o Rozumnych rasach, niby to wolni od przesądów! Co już wówczas mówić o najemnicy z prostego sielanskiej rodziny?

- Ty mi nie ufasz? - obraziła się Orsana.

- Ufam i chcę, byśmy rozstali się przyjaciółmi.

- To jaki zaś ce druzi,- doszczętnie rozzłościła się najemnica, mieszając białoruskie słowa z wołmienskimi, - jakszczo wony z tobą tilki w radości zastają się? Na jakiego w tym czasie wony potrzebni? No?!

No, ja i opowiedziałam. Zwyczajnie by wygadać się, a potem niech się dzieje co chce.

Byłam przekonana, że tej w nocy Orsana nie zaśnie, a o świcie pośpieszy rozskłaniać się. Niewiele dobry - uzna wariatki, w samym zaś najgorszym wypadku nawet nie pożegna się, a biedny Wianek nie wytrzyma dzikiego nocnego galopowania i padiet przez pół setki wiorst.

Najemnica wysłuchała mnie z tajemniczym twarz, nie przerywając i nie odwracając oka, potem w zamyśleniu poskubała podbródek i jak gdyby nigdy nic powiedziała:

- N-tak, no to ty wdepnęłaś. Co będziemy robić?

Skierowałam się na nią, nie ufając swoim uszom.

- mówisz, że twój przyjaciel po śmierci przemienił się w wilka, lecz nie wiesz, dlaczego on napadł na ciebie i zwiął,- niewzruszenie kontynuowała dziewczyna. -- Wówczas dlaczego by nie zapytać u tego, kto wie? Masz jeszcze znajome wśród wampirów?

- Dostyc,- machinalnie odpowiedziałam. -- A ty nie boisz się?

- Co? - autentycznie zdziwiła się Orsana. -- Ciebie? No, rozśmieszyla! Jeżeli już ty mnie za trzy noce nie zagryzła, to bać się, zaczynając z czwartą, ja nie zamierzam, i nie spodziewaj się w ten sposób wykręcić się od nocnych wart. Czas u mnie jeszcze jest, i jeżeli teraz zmyślimy, że robić,- będziemy robić nie odwlekając.

- Orsana, ty po prostu cudowna jesteś,- rozczulona uśmiechnęłam się. -- Lecz że można przedsięwziąć - nie mogę pojąć. Len, to jest wilk, uciekł. W Dogiewu ja wracać nie chcę. Tam taki uniwersalny lament podnimietsia! Niech dobry podłuższy nie wie o śmierci swojego Władcy. Na dodatek ja jestem przekonany: Trawnica i Seniorzy nie powiedzą mi ani słowa, nawet jeżeli ja żywcem będę krajać ich na kusoczki. A jeżeli rozbójnicy zdążyli wypowiedzieć im "współczucia" i swoją wersję morderstwa, to rozkroją mnie sam.

- A jak w sprawie Arlissa? - trochę pomyślawszy, zaproponowała Orsana. -- Koniec Końców, to ich posłowie zwabili

Lona w pułapkę.

- Nie, oni jego właśnie-bądź co bądź bronili i zginęli razem z nim. Część z nich, przynajmniej.

- Otóż Właśnie, część. Być może, wśród nich byli zdrajcy, raz szła rozmowa o wymianie straży i bliskiej znajomości z posłami. Jakoś śmierzaco z tym Arlissom, nie zawadzałoby tam zajrzeć.

- Lecz ja nawet nie wiem, w jakiej okolicy świata go szukać!

- Teraz po mapie zobaczymy! - uspokoiła mnie niebędąca przygnębionym najemnicą.

Triapiczną mapę była wyciągnięta z zaplecznego worka, rozścielona po trawie i przydawlana kamieszkami od porywów wiatru.

- Ot on! - pierwszej zorientowała się Orsana. - Ogo, dalekowato. Najmniej siedmiu dni drogi - przez całą Białą Białą, aż do jasnowego Gradu. Za to właśnie po Witiagskomu traktowi, i możemy na czasok wstąpić w osławionego elfijskiej zamek - raczej, to, że od niego pozostało.

Przyjrzałam się. Prawidłowe kółko Arlisskiej doliny miedzianym pięcioma kopiejek leżało na granicy między Białą Białą i jasnowym Gradem - gęstym lasem, który mieścił się pod ochroną elfów, driad i druidów. Myśl w ogóle-to była niezła - pod warunkiem, że rozbójnicy nie dotrą w Arliss wcześniej nas. A oni zupełnie mogli rozdzielić się - wysłać po parze górców w obie

doliny, pozostałe zaś będą kontynuować poszukiwania nas z Orsanój. Przede wszystkim mnie, lecz która nadarzyła się najemnicu też nie zaoszczędzą.

- Nie, nie pójdzie,- z przykrością uznałam,- u mnie nie znanych w Arlissie, współczujących tym bardziej nie znajdzie się, i słyszałam, co to jest zamknięta od ludzi dolina, tamtędy i kupców- to wpuszczają ze skrzypem, przy czym nie dalej pograniczja.

- Czy naprawdę ktoś ryzykuje prowadzić handel z wampirami?

- Pieniądze nie pachną... i nie gryzą. Sam Arliss jak jak wołowinę eksportuje, sery wszelkie - pod marką elfijskich, inaczej nikt nie kupi. Słuchaj, a to myśl! - ja przszczełknuła palcami, i z nich zerwałem się chmurkę dzwoniących sskórek. "Pokazucha", jak wzgardliwie opiniował Nauczyciel, lecz wśród adieptow to prostieńkoje czary było w modzie i z czasem stało się automatycznym. -- Lona pewnego razu mówił, że wampiry można spotkać w dowolnym mniej więcej dużym ludzkim mieście - oni często jeżdżą tam po kupieckich interesach, bo i żyją, codziennie raskłaniwajaś z niczego nie podejrzewającymi sąsiadami. Rozbójnicy mimo najlepszych chęci nie zdążą odszukać i zawiadomić każdego z nich, a wampiry, żyjące wśród ludzi, należyci być więcej zgodnych.

- Witiag ustępuje rozmiarami tylko stolicy, i do niego bliżej wszystek,- podchwyciła Orsana. -- wiesz, a przecież ja nigdy nie

rozmyślałam, skąd w jasniewom Gradzie biorą się krowy! Nie padną się zaś w świętych zagajnikach. I co, sławnego “Elfij kaprys” z białą pleśnią robią wampiry?! Koszmar jaki! Lecz wkusniuszczyj, trzeba poznać, próbowałam.

Kiwnęłam i zreflektowałam się:

- Próbowala ser o wartosci w sześć kładniej za krążek rozmiarem z dłoń?

- Dawno, jeszcze w dzieciństwie,- wzruszyła ramionami Orsana. -- Przyjaciel ugościł, synuś bogatego sąsiada. A co?

- Nieźle,- zmieszałam się, wymyślając sobie za niewłaściwe pytanie. Ja sam po raz pierwszy spróbowałam “Elfij fantazję” w Dogiewie, na 75-letii Lona; dla wampira to nie taki już stateczny wiek, odpowiada mniej więcej dwudziestu ludzkim latom. Ma się rozumie, przed ja widziała elfijskije sery tylko w drogich sklepach, większości sielan podobne słodyczne nie stać, wszystko jedno że barana za jedno ugryzienie zjeść. -- Przepraszam. Postanowione, rano jedziemy w Witiag. Jeżeli, naturalnie, ty nie rozmyślisz się.

Przyjaciółka tylko parsknęła.

- będziesz uważać, że niby to ja, wychodząc na trakt, nie wiedziała, że z usług najemników korzystają w tych wypadkach, kiedy nie chcą lub nie mogą poradzić sobie sami, i chyba nie zaofiarowana mi praca będzie lekkiej i bezpiecznej? Nawiasem mówiąc, raz takie zajęcie, na noc nie przeszkodzi wystawić

ochronę. Kto pierwszy?

- Ono, - kiwnęłam na mdło połychnuwszeje i znów który zginął pierścień, który okręzał nasz postój. - Ja i wcześniej bez ochronnego konturu spać nie kładłam się, nie dość że.

- A jeżeli wampiry z powietrza podlecą?

- złowimy i zaspirtujem, dla muzeum. Dotychczas oni latać nie umieli. A na zewnątrz ci kręcącej się nad drzewami myszki żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiają, nie zwracaj na nie uwagi.

Orsana długo wpatrywała się w bieżlunnyj mrok, potem dosadliwo potrząsnęła głową:

- wolcha, a ty dokładnie jesteś przekonana, że wampiry ty nie gryzły? W ciemności dobre koty widzisz, od wilczego ukąszenia za godzinę i śladu nie zostało, rezerwę, czy jak tam go, przez kraj rozbija. Może, ty sam wże upiór jaki? Po nocach wyjesz ta krew smokczesz?

- My z Lonom znani powyżej dwu lat. By za taki czas nikt w Szkole nie usłyszał skowyt i nie zauważył sgrzyzione trupy? Bzdura. I potem, u mnie na szyi należyci byli zostać ślady od kłów!

- Niekoniecznie. Ty zaś mówiła, że rany na wampirach goją się natychmiast, jak nożem w kisiel wetknąć. Dawaj ja ciebie wetknę i dowiemy się na pewno!

Ja na wszelki wypadek oddaliłam się.

- Ja nie jestem przekonana, że wilk tak już mocno mnie ugryzł, ja bardziej przestraszyłam się. Dla maga-praktyka nie będzie stanowić trudu zaleczyć płytkie skaleczenie, robię to machinalnie i nie gorzej wampira. A do kości "piłuwat" rękę nie dam, ona mi jeszcze przyda się. Ponadto Lona mówił, że przy ukąszeniach wampirizm nie udziela się.

- Tiu! - priswistnęła Orsana. -- Uznała kogo słuchać - wampira! On tobie z trzy koroba naplecie, jeszcze i w łukoszko z konno będzie nasypywać!

- On jedyny, kogo warto posłuchać,- odciełam. Bądź może, zbyt szorstko i kategorycznie.

- Kim on był dla ciebie? - Orsanin pytanie przyłapało mnie zniecka. A i naprawdę - kim?

- przyjacielem,- niechętnie wydusiłam, sam nie wiedząc, kłamie czy mówię prawdę. -- najbardziej najlepszym. Najbliższym. Najdroższym. Wiedziałam, że w trudnej chwili zawsze mogę wpaść do niego, i on nie wymówi się nagłymi sprawami, nie zacznie besztać i pouczać, a wesprze, i ta pomoc nie skępuje i do niczego nie zobowiąże. Tobie nie pojąć...

Najemnica, nie komentując, ze współczuciem patrzyła na mnie.

On był dla mnie dokąd bardziej, czym innym. I Orsana świetnie ten pojęła.

Lecz niczego nie powiedziała, i milcząco zjedliśmy kolację i położyliśmy się spać.

Bez siodła na koniu długo nie wysiedzisz - i zwierzęciu plecy ztrzesz, i samego później nie rozprostujesz się. Zza tego droga do Witiaga zajęła u nas trzy dnia zamiast oznaczonych dwa. Czym bliżej do miasta, tym częściej wpadały osiedla, tak że problemów z noclegiem i jedzeniem nie powstawało, a pokrywać koszty koszt udawało się drobnymi podrobotkami - narąbać drzewa, wypędzić szczurów, sprowadzić brodawki lub postorożyt' kupiecki sklep od nocnych tatiej i upiory (powiedzieć po prawdzie, podparliśmy drzwi krzesłem i słodko wyspaliśmy się na zwiniętych w rurki dywanach).

Oślawionego elfijskij zamek znajdował się w wiorście od miasta, przedstawiając sobą malowniczą kupę białoliliowych kamieni z jedną-jedynej która ocalała, lecz wyraźnie która przekrzywiła się wieżą. Oglądanie zamku zajęło u nas okrągło dziesięć minut: z jednej strony go odrestaurowali, to jest do samego wierzchu piętrzyły się spróchniałe, częściowo które obsypywali się lasy, potrzebujące w remoncie najmniej zamku; inna leżała w nieprołaznych ruinach, jedną trzecią osłaniał las, a na polankie przed więcej-mniej który ocalał ogrodem dyżurował pstro ubrany mężczyzok w obnimku z lutnią, lecz z mieczem przy pasie i masywną kuszą za sobą.

- Zamek, pewnie, popatrzeć pragniecie? - radosno wrzasnął on, śpiesząc się nam naprzeciw. -- Tak ten ja w mig - i pokażę, i opowiem, i skorupka jaka zajmująca na sprzedaż jest!

- A wy, prepraszam, kto taki? - zainteresowałam się, nie potrafiwszy przyjść do potrzebnego wyprowadzenia na własną rękę.

- Stróż tutosznij, zgodnie ludiszek przyjezdnych co do ruin oświecam,- dumnie objaśnił chłop, pieriediergiwaja ramionami, by poprawić skosobocziwszyjsia kuszę. -- O zamek i jelfow baju, mogę tak, mogę litościwym wierszem z lutnią,- i na dowód przeprowadził ręką po wyraźnie przektóre zwisały strunom. Konie cofnęły się, drgnęłam i machinalnie poszukałam oczyma przyciśniętą przez drzwi kota.

- Co tu storozyt'-to?

- odbojowi nie od porczunow,- poskarżył się stróż-bajun,- obrazki sramnyje na ścianach malujut i płytki machońkije, raspisnyje, z płci wyłamują. I polowanie nimi ręce obdzierać, łomikom-to dokąd spodrucznije, a za pięć mediakow ja samego onym poszuruju, tylko palcem wetknijcie którą!

- I ugolek ze schodami dacie? - szyderczo zainteresowałam się.

- Patrzcie no co zechcieli! - oburzył się stróż. -- Oczywiście, nie dam, na razie jeszcze sieniebruszkę nie dopłacicie! No ponieważ? Bajat' o jelfow?

- Dawajcie wpierw kratieńko, dla ogólnego zapoznania się,- zaproponowała najemnica,- a pomyślimy.

- Kratieńko? Można, co zaś nie. No dyk, jeto... jelfy... tego oni! Byli tuta, robili czewoj-to - kto zaś ich, nieludzi, rozchwyta! A potem, w nocy, ka-ak trzaśnie! Tudyt'-rastudyd', i gotowo! Chłobyś, na ogół, zamek, toko we wszystkie strony - frrrr! I nietuti,- rozłożył ręce chłop i z nadzieją ustawił się na nas, oczekując materialnego wynagrodzenia za barwne opowiadanie.

Przedstawiliśmy autentyczny zachwyty, obiecaliśmy wrócić za szczegółowym przedstawieniem zdarzeń, po czym objechaliśmy wokoło zamku i, starając się nie wpadać "bajunu" na oczy, pod osłoną zarośli wróciliśmy na trakt.

- Ruiny oni i są ruiny,- filozofski zamknęła Orsana,- wszystko jednakowych - co elfijskie, że ludzkie, i patrzeć tam zwłaszcza nie ma co.

- Prócz sramnych obrazków,- potaknęłam.

Za wjazd w samo miasto z nas zżądali po drobnej srebrnej monecie - jakoby na remont dróg. Orsana zaproponowała strażnikom własnoręcznie wyłożyć kawałek kociej łby, lecz ci nikczemnie raschochotaliś i, otrzymawszy wymaganą zapłatę, natychmiast otriadili gonca w najbliższą tawernę. Chyba nie za kamieniami.

Witiag mało czym różnił się od Starmina. Za ostatnie lata on

silnie rozrósł się - dzięki bliskości do morza i wygodnemu rozmieszczeniu. Ze strony które obramowywały morze gór do miasta nie mógł podejść się żaden wróg, ze strony jezior - tym bardziej: jedynym wrogiem w tych krajach były niepomierne płodiwszyjesia komary. Wojownicze plemiona stiepników, czasem które przecinali granicę, grabieżą prigranicznych siadł i ograniczali się, a duże wojny z sąsiadami zachłystywały się pod kamiennymi ścianami stolicy.

Tu i ściany były poniższy, i który łączył ich cement popłynnej masie, i same kamienie nikt nie popracował odszlifować do błysku, by szturmujący wróg nie znalazł opory ani ręce, ani hakowi (trochę później ukazaliśmy, że dalej ściany w ogóle schodzą na nie, znów wyrastając na wyjeździe z Witiaga, i w miasto zupełnie można przedostać się ogrodami warzywnymi z boków).

Prosto za wrotami natknęliśmy się na rossyp' ławczonok, i Orsana oddała dwa którzy zostali kładnia za prostieńkoje, lecz w dobrym gatunku siodło. Ze słodyczami, drugą osobliwością Witiaga, nam poszczęściło się więcej niż, czym z zamkiem, i gotowani na miodowi orzechy okazali się wyżej wszelkich pochwał. Orsanie dodatkowo priglanuła ogromny piernik w formie mięsożernie wyszczerzonego, o wylupiastych oczach słoneczka, tak że niezrozumiale, kto kogo zbierał się jest.

- Mi jednakże zdaje się, że rozwiązanie trzeba szukać w Arlissie,- przekonanie oświadczyła najemnica. Biegle ogarnęła spojrzeniem lepkie miedziaki reszty i zsypywała ich w koszel. Przypomniałam sobie, jak moi rodzice żmudnie rozsuwali na dłonie drobne monietki, poruszając ustami od nieprzyzwyczajonego umysłowego napięcia. Możliwy, Orsana też zwiedzała dobroczynną świątyni szkołę dla sielanskich dzieciąt, chociaż osobiście mnie tam ledwie ledwie nauczyli obliczać po palcach ręk. -- Że, jeżeli jakkolwiek naciągnąć oni Powielitielnicu i rozpytać się ją w cztery oczy?

- Tak ona do ciebie i udała się,- ponuro przegderałam, w ten moment też zaniepokojony naszymi dalszymi planami.

- Rzuć, ty zaś wiedźma,- beztróska odezwała się Orsana, uwiązają zębami w pierniku. -- Zaczarujesz ją, i wszystka krótka.

- Aga, zaczarujesz! Władców nie chwytają zaklęcia.

- To jeszcze dlaczego?

- Oni tielepaty.

- No i że? Też wiem, jak ciskać ogniem: krzyknąć "Ryj!" i machnąć ręką, lecz mi to chyba nie pomoże, prawidłowo? - Orsana zaczerwieniła się i dodał: - próbowałam... Tak, dla żartu.

- Roill,- machinalnie poprawiłam. -- Wszystko nie tak prosty.

Zaklęcia triechkomponentny po swojej naturze: trzeba słowo, ruch

i poświęcona przez maga siła. I masa umów sрабатыwanija, po nich wampiry i biją. Ci zaś wojownicze pulsary: oni, w zasadzie, samonawodiaszczijesia, lecz na podlecie czemu-to odskakują od machnięcia gałęzią.

- byłam na corocznym turnieju winiesskich czarowników, lecz nie zauważyłam, by oni machali gałęzmi, - sceptycznie sprzeciwiłaś się przyjaciółka. -- Zup rybnych ty, on jeszcze i nadziewany! Chcesz spróbować?

Nadjediennoje słoneczko, mijające porzeczki konfiturą, tworzyło przygnębiające wrażenie.

- Nie, dziękuję. Po pierwsze, spróbuj zgadnij, jakie zakłęcie użyje przeciwnik, po drugie, osobiście ciskam ogniem bez ostrzeżenia. I jeżeli długie zakłęcie czasem można przerwać na środku splatania, temu z pulsarem temu numerowi nie przeminie. Lecz Władca dokładnie wie, czym i kiedy posłużę się, tak że nic nie uda się.

Drogę co tchu przebiegł zdrowiennaja szary szczur. Wianek z przestraczem parsknął, myląc z rytmicznego wolnego kłusu, Smółka pokocich przypadła na przednie nogi i szcęknęła zębami, lecz chybiła. Ja w gniewie kopnęłam ją sapogom w bok. Sporo wyktóry jadł mużyczok tak i usiadł we drzwiach korcmy, zarzekłszy się pić po mniejszym środku tydzień.

- A jakże podarowany przez wampira amulet? Mówiłaś, on

kryje myśli.

- Tylko nie od Lona. Być może, innym Władcom on także nie to przeszkoda. W dowolnej okazji, wprawdzie powinniśmy byli znaleźć zwyczajnego wampira i porozmawiać z nim.

- I gdzie masz zamiar go szukać? - Orsana zawistnie odprowadziła wzrokiem konny rozjazd. Strażniki oficjalnie zaliczały się do tak najmiłszemu nią Legionowi. Oczywiście, objeżdżać miasto z pletju zamiast rzucając (ujawniać go rozstrzyga się tylko w wyjątkowych wypadkach)- nie achi jakie bohaterstwo, ale mało kto dzień obywa się bez styczek z zakonnieposłusznymi obywatelami i krwawych bójek, podczas gdy legionieści w koszarach srodze majutsia od nieróbstwa w spokojny czas. Wojny, tfu-tfu, niby nie przewidywało się, i, chyba, Orsana nie zrezygnowałaby ot tak, lekceważąco zerkając i poigrywają pletkój, przejechać się po mieście w melodyjnie pozwiakiwajuszczcej kolczudze.

Jednego ze strażników, sympatyczny ciemnowłosy chłopak, pomachał ręką Orsanie, łakomy i otwarcie która przyglądała się legionistów. Dziewczyna zmieszała się i, zaczerwieniwszy się do korzeni włosów, zwróciła się w moją stronę.

- wymyśliłaś, jak nam jego znaleźć? - powtórzyła ona.

- Wymyślam,- westchnęłam. Strażnik, który zapatrzył się na Orsanu, przytrzymał było konia, lecz, zobaczywszy, że

dziewczyna więcej nie zwraca na niego uwagi, dogonił kolegów i razem z nimi skręcił w sąsiednią ulóczku. -- Mi mówili, że wytropić wampira niemożliwie... od rana, na chłodny umysł, skontrolujemy, tak to. A teraz - dawaj przegryziemy, a?

- Nie przeszkodzi,- łatwo zgodziła się Orsana.

W wylocie ulicy syskałaś korczma poczyściej, z zachęcającym szyldem "Trzy wesołych wampira". O ile wiedziałam, nazwy podobnym instytucjom przychodziły albo po lokalizacji, albo po właścicielu, albo po najbardziej ważnym zdarzeniu, tak że, całkiem prawdopodobnie, niegdyś tu naprawdę zabawiały się wampiry w ilości trzech sztuk. Jak właśnie oni zabawiali się, pozostawało tylko wróżyć. Zresztą, gospodarz mógł posiadać w postaci, że nawet wampiry w jego korczmie nie zanudzą się. Śpieszyliśmy się. Podskocziwszy chłopak przyjął u nas koni i poprowadził do konowiazi. Rzuciłam mu drobną monietku i, pierwszej wpadnąc w korczmu, ze złością odnotowałam, że wszystkie stoły są zajęte. Najludniejszy czas - kiedy dniówka skończona, tylko-tylko zaczyna robić się ciemno, a który odegrał się apetyt nie daje nogom wyminąć specjalnie raspachnutego okna kuchni.

Nam poszcęściło się - nie zdążył korczmar' napełnić kubki zamówionym przez nas kwasem, jak podpita paczka gnomów i ludzi szcudrze zapłaciła i, poszatywajaś, bezładną gromadą skierowała się do wyjścia. Prichwatiw kwas, zajęliśmy który

zwolnił się stolik.

- A dlaczego wampira niemożliwy wyśledzić? Jak on wygląda?

- Orsana obrzuciła zadymione pomieszczenie nastorożennym wzrokiem, jakby oczekując, że ktoś z gości przerzuci się nietoperzem i ze złowrogim chichotem odleci w kaminnuju komin.

- No żadnym sposobem,- wzruszyłam ramionami i poprawiłam się: - Jak zwyczajny człowiek. Kryje kły w wąsach i brodzie, a skrzydła - pod płaszczami i kurtkami.

Jak na grzech, wszyscy goście koczmy wyróżniali się sporym byciem nieogolonością - nawet u raznoszycy nad wargą toporszczyłaś rzadka czarna szczetoczka.

- Mianowicie każdego z tych facetów,- Orsana obejrzała się przez ramię, świdrując spojrzeniem tołstopuzogo brodacza w czarnym płaszczu, chluszczącego piwo z dzbana wielkością z dobrą baryłkę,- może okazać się wampirem?

Brodacz cisnął pustym dzbanem o stolik, wytarł ręką wąsy i głośno czknął.

- Nie wykluczone.

- Teraz sprawdzimy. -- Zanim zdążyłam otworzyć ust, dziewczyny wskoczyła na stół i uniosła ręce nad głową, przyciągając uwagę przepelnionej sali. -- Szanowny druzi! Chwilinku uwagi! Chcę zrobić małą objawu. Widzicie, my

szukajem wompera. Nam dużej trzeba z nim porozmawiać! Słowo honoru, tylko porozmawiać, ja czasami sam na duch nie będę przekazywać. Wiem, że wy tu, tak że...

Ja tak i nie poznałam, że Orsana chciałam zaoferować wampirovi. "Szanowny druzi" przezornie postanowiły nie przeciągać pobytu w kiszaszczej wampirami korczmie i jak jeden rzuciły się do wyjścia, wydając skomlące i zawodzące dźwięki.

Orsana ze zdziwieniem obejrzała się naokoło. Na podłodze jeszcze kręcił się drewniany kubek, poskripywała otwarte drzwi akurat cienką strużką ciekła na podłogę piwo z kranika dębowej beczki.

Oprócz nas, w korczmie nie zostało ani jedynej żywej duszy.

- Genialnie! - odchyliłam się na oparcie krzesła i kilkakrotnie klasnęłam w dłonie. -- Ty nie mogłaś zwrócić się do "womperu" dziesięć minutami wcześniej, kiedy czekaliśmy stolik?

- N-ale, niewiazoczka wycofała się, - zmieszanie przyznała się Orsana, złącząc ze stołu. -- Kto zaś wiedział, że oni tak burzliwie odzareagują... Może, oni wszystko - wampiry?

- By tłum wampirów przeraził się dwa dziewczek? Nie, niestety, to ludzie. I proponuję możliwie bystrieje czmychnąć w ślad za nimi, dopóki tutaj nie stawiła się miejska straż. Za takie szutoczki nas bez ceregieli mogą rzucić w loch miesiąca edak na dwa.

Orsana sceptycznie chmyknuła, lecz oponować nie odważyła się. Pochwataw ze stuljew swój dobytek, my szybkim krokiem, przechodzącym w wolny bieg, opuściliśmy gościnną instytucję. Odwiązali konie (Smołka akurat kończyła przegryzać konowiaż na połowę, przy czym robiła to wyłącznie dla przyjemność - przegryźć powód było dokąd prostszy) i, zgodnie wskoczywszy do siodeł, z miejsce zerwały się do galopu.

Niestety, nasza ucieczka nie odbyła się nie zauważonym,
- Za nami ktoś jedzie,- po upływie dwudziestu minut wyszeptała Orsana, kiedy już przeszliśmy na ryś i skręciliśmy w jedną z ułoczek. -- Ts-z-z, nie oglądaj się! To strażnik.

- Ty jesteś przekonany?

- Tak, on w kolczudze. I koń rudy.

- No i że?

- Herb Witiaga - rudy lisów na złotym tle. Dlatego wszystka straż nosi pozłoczone kolczugi, a konie u nich - rude.

- Ot duch leśny! Czyżby auknułoś twoje przemówienie w korczmie?

- Nie wiem. Lecz on jedzie za nami już pięć minut.

- Może, przytłoczony naszą przewagą liczebną i liczy na spotkanie z patrolem?

- Na próżno ma nadzieję. Patrole nie kursują po takich zakątkach - nimi też żyć chce się.

- To co on przyczepił się?

- Spodziewa się podaczki,- przypuściła Orsana. -- Dawaj demonstracyjnie wywrócimy kieszenie - kto wie odczepi się?

- Spytamy się jego samego,- otoczyłam konia. Szerokość ułoczki nie pozwalała mi zawrócić najpierw, czym Orsana wyjedzie naprzód, lecz dla Smółki nie było nic niemożliwe. Nie zrównując natiażenię uzdy do komendy "Tpru!", ona poszła tyłem do przodu - niezakłócenie, z tą zaś prędkością, płynną prześlizgującej się kłusem. Nim Orsana zdążyła zawrócić Wianeka, zrównałam się z naszym prześladowcą.

Jak i podejrzewała Orsana, to był strażnik. Kolczuga nie pozłocona, a z jakiegoś bladzi-złocistego metalu, odznaczenie na prawym rękawie, herbowa tarcza i państwowe siodło ze znakiem stajni, wytisnionym na przednim łuku. Sam mężczyzna wyglądał lat na trzydzieści i tworzył przyjemne wrażenie - regularny rysy twarzy, wysokie czoło, rozumni karije oka z którzy ukryli się w kącikach smieszynkami, czarne krótkie włosy, równo przycięta borodka, szczetoczka usów.

- Dobry wieczór.- Strażnik szarmancko uklonił się, położywszy rękę na ogołowje pritorocznego do siodła rzucając. -- Nazywam się Rołar. O czym chcieliście ze mną porozmawiać?

- Z nas?! Ja was pierwszy raz wi... - najemnica osiekłaś, powalona kłykastoju uśmiechem nieznajomego.

ROZDZIAŁ 14

Pierwszej, choć bardzo dziwny, ochłonęła od zdziwienia Orsana.

- To szo - womper?! - zwróciła się ona i dlatego-to do mnie, szturchając palcem w bok Rołara.

- Pewne podobieństwo istnieje,- ostrożnie odpowiedziałam.

Rołar otwarcie upiwałaś naszym zmieszaniem, podśmiewając się w nakładane wąsy,- swoich u wampirów nie rosły.

- No, no! - podbodził on nas. -- Kto pierwsza? Smieleje, dziewczyny! Samo ugryzienie - drobiazg, a później wcale nie boli!

- Odważ się tylko tknąć mnie lub moją przyjaciółkę! - Orsana groźnie krutała-gwizdnęła w powietrzu wyszarpiętym z nożen przez miecz. - Stój, gdzie jesteś, upiór!

- Tak, ja jakoś nie zrozumiałem,- jedną ręką wampir przigłodził włosy, drugiego zaś jakby niechcący dotknął ręką tkwiącego zza pasa sztyletu. - Wy upióra poszukiwaliście lub wampira?

- Wampir, upiór, wampir - jeden duch leśny! - Orsana spuściła miecz, lecz w pochwę wkładać nie śpieszyła się.

- Nie powiedzcie, uprzejma dziewczyna. Upiór - to który podniósł się nieboszczyk, wampir - gatunek drapieżnej nieczyść, a ja - przedstawiciel Rozumnej rasy.

- Aga, ta sama bycie mądrością u ciebie prosto z kłów priet!

- Lebiażyj łuk pań szyjki doprowadza do szaleństwa mnie, pani... Spriacztie miecz, to nie docinek, a komplement.

- Jeszcze Czego, ja i sztylety na wszelki wypadek wydobędę!

- Hej, stop, stop, stop! - zamachałam rękoma. - Przestaniecie, edak teraz pobijecie się, i mi przypadnie albo mścić się, albo pomagać chować zwłoki, a u mnie nie czasu na takie głupoty!

Rołar, moją przyjaciółkę nazywają Orsana. Ja - wolcha.

Rzeczywiście chcieliśmy z nas porozmawiać, lecz priedpocзли by zakątek poujutniej. I pobiezopasniej - być może, za nami uganiają się bandyci.

- Pod bandytami, spodziewam się, podrazumiewajutsia nie moich kołlegi ze Starmina? - z jechidcej uściślił wampir.

- Nie, prawdziwe rozbójnicy, bardzo niezadowolone z naszej ingerencji w ich leśną antyspołeczną działalność.

- I czym zaś wy ich tak progniewili?

- Ot o tym u nas i pójdzie rozmowa.

Wampir popatrzył na mnie z taką zgubioną miną, jakby mu było na pewno wiadomo, że za najbliższym rogiem go oczekują chmary wied'makow z osikowymi kołkami, a ja u nich za naczelną. Lecz tylko westchnął i spytał, skinąwszy na Orsanu:

- Nią można ufać?

Ja ze zdziwieniem kiwnęłam. Z tym zaś sukcesem Rołar mogło

dać to pytanie Orsanie, drugiego z absolutnie obcych mu dziewczek. Lecz czemu-to wybrał mnie.

- Dobrze. Tu w pobliżu jest miła zabiegałówka,- zaproponował Rołar, dotykając uzdę swojego ogiera. -- Wprawdzie, ona tylko dla strażników, a przy tym nieżonatych, i prosto z ulicy tam nie wejdiesz, lecz jeżeli pani ochrannica będzie zachowywać się przyzwoicie i usunie miecz w pochwę, przedstawię was za przypadkowych podrużek, za nieduże wynagrodzenie którzy umilili moją samotność.

- Szco?! - zaryczała najemnica, przespelniona prawego gniewu. -- Mnie - za sprzedajną panienkę?!

- Za to tam nas z pewnością nikt nie podsłucha,- wzruszył ramionami Rołar. -- Rozbójnicy za nic nie wpakują się w bitkom wypchaną strażnikami charczewniu, a znajomi nie zaczną niszczyć mi takiemu obiecujący wieczór.

Sądząc po Orsaninomu obliczu, “obiecujący wieczór” rozpoczęły się natychmiast, lecz w tę chwilę w arszynie nad naszymi głowami otworzyło się na oścież okno i stamtąd małym cuchnącym wodospadem izwiergłość zawartość na pomyje wiadra, równo podzieliwszy się pomiędzy ściekową rynną i lewym bokiem Wianeka.

- Szob tobie tak na łeb zły szwarknuli! - od serca zapragnęła

najemnica, rzucając się zalapaną nogą.

- A niecha pod oknami stać, oczyma strzelać! - nie pozostała w długi która wyrzała zza okiennica baba i już celowniczo chlusnęła w Orsanu z badiejki z obmyłkami. Mętna woda zajęła koło i skoczyła z powrotem w badiejku, akurat z takim moc, że babę odniosło od okna i o dalszym rozwoju wydarzeń zostawało domyślać się po łomocie, plesku i ostrych wymysłów na adres "trieklatoj wiedźmy".

Odprowadzając głowę, lecz nie chcąc ściągać do siebie zbytecznej uwagi, my w ślad za Rołarom rietirowaliś z niegościnnego zaułka. Wbrew moim oczekiwaniom, wampir nie pośpieszył wbić się głębiej w ciemne rudery, gdzie łatwo wmieszać ślady i ukryć się od cudzych oczu, a, odwrotnie, powrócił w śródmieście. Popularność wampira w narodzie nas oszołomiła. Go pozdrowił co drugi - od jadących w przeciwnym kierunku strażników do żebraków, którzy tkwili wzdłuż ścian. Chichotały sprzedajne dziewczęta, chochlikowacie wysyłając wampirowi powietrzne pocałunki; radosno piszczały dzieci; uniżenie uśmiechały się woriszki, spieszenie wyrywając ręce z cudzych kieszeni; z powagą raskłaniwaliś kupcy. Uliczne handlarki na wyścigi zazywali Rołara do swoich straganów, a kiedy on i istotnie okazał przychylność do gorącego pierożka z kapustą, nie wzięli z niego ani miediaka.

“Zabiegałowka” okazała się przestronnej charczewniej “Cierpiącego straży”, gdzie hałaśliwy przeprowadzały czas które zmienili się z dyżuru patrole. Nas powitał pełen zachwyty ryk głosów - Rołar, idąc do wolnego stolika w odległym kącie, raz po raz odpowiadał na pozdrowienia i ścisnął ręce kolegom. Nie zdążyliśmy przysiąść, jak stół przegiął się od piwnych krużek i podawalszczica szybko, by nie zapomnieć, wymieniła, kogo z przyjaciół wampir zobowiązany takiemu dostatkowi. Rołar przerwał jej, zasięgnąwszy informacji o zdrowie, figlarnie uszczypnął za chętnie nadstawioną popkę i królewskim gestem polecił ugościć wszystkich obecnych za jego rachunek. Charczewnia znów utonęła w ryku, wampirowi pasowało powstać i pozdrowić lud, skłoniwszy się na wszystkich cztery strony.

Orsana nonszalancko szarpnęła podawalszczicu za podolinę, odrywając ją uwagę od Rołara, i poprosiła tielaczu kotlet schabowy z kwaszoną kapustą i kawałek wiśniowego pieroga. Nie trudząc siebie wyborem, zamówiłam to samo.

- Wszyscy ci ludzie wiedzą, że wy... no, ten? - nieufnie zainteresowała się Orsana.

- Nie, oczywiście, jeszcze co nie łąpało. -- Rołar, półprzykrywszy oczy, pociągnął nosem z błogą miną izgołodawszegosia smakosza. -- Miletta, słoneczko, a mi - baranju udo, zapieczone w musztardzie, do niej - talerz ziemniaków i,

może, paroczku rasstiegajczikow z serem. A jakże pożywiej, kruszynka, bo inaczej mi przypadnie zjeść ciebie!

- I on nie żartuje,- przewarczała Orsana w ślad dziewczynie.

- Hej, Rołar! - okrzyknął wampira starszy mężczyzna u baru. --
Tej w nocy, w zaułku bednarzy - twoja praca?

- Ugu. -- Wampir, w oczekiwaniu kolacji, oddawał należne piwu. Ja nie zaryzykowałam pić na głodny żołądek, Orsana zaś śmiało chwyciła się za ucho najbliższego kubka i wykonała duży łyk, lecz natychmiast zmarszczyła nos i raskaszłaś.

- Podobno, siedmiu w miejscu położył? - kontynuował dopytywać się znajomy. Rołar leniwie machnął ręką z rozczapierzonymi palcami.

- Pięcioro. Dwóch zdążyli dość daleko odbiec.

- Giszcz zaklinał się, że oni zadrasnęli ciebie po mniejszej mierze dwukrotnie.

- dziwię się, jak on w ogóle coś dostrzegł. Z beczki, w którą dał nurka na widok dziesiątki niedoumkow z rdzawymi mieczami,- pogardliwie porzucił wampir, zabierając się za drugi kubek.

Odczekał, pokaz kolegi odzaśmiewa się, i z rozdrażnieniem dodał:

- Naparniczek, żeby go. Trzy miesiąca Zoarowu bandę tropili, a jak twarzą w twarz zetknęli się, mi jednemu przypadło znać się. Jeszcze i za beczkę odgrażają się z pensji potrącić - Giszcz-to w niej utknął naumarle, przypadło obręcze ciąć...

- Trzeba było prosty w niej na posterunek i ciągnąć, - doradził jakiś żartowniś, i uwaga otaczających skierowała się na smacznyj przebór sposobów wydobycia niefortunnego tchórza.

My wyżydatielno skierowaliśmy się drugi na następnego.

- Pogawędka,- przypomniała Rołar. -- Naturalna konwersacja dwóch ludzi w celu uzyskania informacji. Jakie problemy, Chranitielnica?

- Jak wy mnie nazwaliście? - spieszyłam się.

Wampir skinął na ofiarowanego Lonom amulet, który wytłoczył się z za rozpiętego z okazji gorąca kołnierze.

- Wy nosicie riar Władcy Dogiewy, lecz nie wiecie, że on znaczy?

- To prezent, w dowód wdzięczności.

- Czyżby? - chmyknuł Rołar. -- No-no. Prezent! A jakże, na swój sposób to wspaniały prezent...

- O czym wy? - pochwyciłam w garść kołyszącego się na sznurku kamuszek. Orsana, nie interweniując w rozmowę, z zainteresowaniem zerknęła na niczym nie szczególny kawałeczek awantiurina, oprawionego w srebro. - Postać, tak to i jest riar?! A co w nim szczególnego?

Wampir, zmarszczywszy się, pobębnił koniuszkami palców po stolesznice, nie rozumiejąc, badam jego lub żartuję.

- Według riaru, jesteście oficjalnym zastępcą Arrakktura na wypadek... chm... jego długotrwałej nieobecności. Wy to chcieliście usłyszeć?

Chciałam usłyszeć prawdę i, jeżeli to była ona, żadna fikcja nią w podeszwy nie nadawała się.

- Tak że, ty teraz Powielitelnica Dogiewy? - nie wytrzymawszy, stęknęła Orsana. -- No sprawy!

- Niezupełnie tak... - Wampir uciążliwie dobierał słowa, starając się wyjaśnić mi coś doskonale znanajwiększy, z jego punktu widzenia, dla ludzkiego umysłu. -- Wy... e-e-e... nie Powielitelnica w dosłownym sensie słowa, a izbrannica... chranitelnica...

- Chranitelnica - co? Skarby państwa? Rodzinnych klejnotów? Ogniska domowego?

- Ciała,- poważnie odpowiedział wampir.

- Trupa, że? - nieufnie spytała ponownie Orsana. -- M-tak, niezbyt przydatna dla przechowania rzecz, najwyżej w zamkniętej trumnie... lub go wstępnie balsamują?

- Orsana! - z oburzeniem przerwałam. -- Temu nie śmieszny!

- Przepraszam. Zapomniałam, że on i naprawdę pomiar. - Orsana ze współczuciem, lecz zbyt poufale potargała mnie po ramieniu, i zaczęłam podejrzewać, że ten pojedynczy łyk nie przebył dla niej bez śladu.

Drewniany kubek w ręce Rołara zaskrzypiał i zgmiotła się, jak bieriestianaja, piwo wspięło się na złocistej kolczudze.

- Co powiedziałaś?! - gwałtownym zachrypniętym głosem spytał ponownie bladego jak płótno wampir.

- No tak, w najbliższych dniach on gierojski poległ od razbojniczego miecz, wieczysta mu pamięć,- opanowanie wyjaśnił zachmielewszaja najemnica. -- A propos, a gdzie mój kotlet schabowy? Au, ra-a-aznosczica-a!

- Hej, Rołar... - pomachałam dłonią przed ostiekleniewszymi oczyma rozmówcy. -- Orsana, no czy można tak ogoroszywat'? Trzeba było jakoś podelikatniejszy, potakticznije...

- Twoim zdaniem, dobry zaproponować mu usiąść, poprosić odprężyć się, zrelaksować się, po czym subtelnie, w różowych barwach obrysować życie pozagrobowe, przyrzec, że "wszystko potem", i końcu końców doprowadzimy do zawału idiotycznymi docinkami na który spotkał jego nieszczęście? - bezwstydnie wzruszyła ramionami najemnica. - Nienawidzę tych pozornych szlochów nad grobami. Kiedy skończę swoją drogę życia, zakopcie pogłębszy, powiedzcie: "Jakie szczęście, że ją nie z nami!" - i możecie rozchodzić się.

- Tak i zrobimy, a przy tym w najbardziej najbliższy czas,- z groźbą obiecałam. - Rołar, wy nie dosłuchaliście. Len istotnie

skonał, ja na własne oczy widziałam jego który zeszywniał trup z mieczem w piersi, lecz potem on przemienił się w bardzo nawet żywego wilka, i dlatego-to napadł na mnie, ugryzł i zmył się. Podobnie, on wytrącony z równowagi, i ja nie wiem, jak mu pomóc!

- Lecz to zaś zupełnie inna sprawa! - w mgnieniu oka podniósł się na duchu Rołar, priwstawaja i otrząsając się od piwa i odłamków kubka. -- To jeszcze nie wszystko stracone! Kiedy to nastąpiło?

- Sześć dni temu,- z zająknieniem podliczyłam. A takie uczucie, że sześć godzin...

- Doskonale! Wy w sam raz zdążycie dotrzeć do Arlissa, i u was zostanie jeszcze jeden-dwa dnia w rezerwie.

Ja nie podzielałam jego optymizmu:

- W rezerwie do czego? I co tam będziemy robić?

- Zamykać Krąg, oczywiście. -- Wampir wyciągnął rękę za trzecim kubkiem, lecz chybił, powalony przez moje nie pojmujące spojrzenie: - Co? Wy nie wiecie, jak ten robi się?!

- Ani jak, ani dla czego, ani co to jest w ogóle taki!

- O bogowie! - Rołar wtulił się czołem w dłoni, starając się uspokoić się i pozbierać z myślami. -- Tak wy nie żartujecie? Len niczego wam nie opowiedział? Jakże w takim razie zgodziliście się stać się Chranitielnicej?

- Mówię zaś wam, on po prostu podarował mi tę sztuczku!

- Podarował! Sztuczku! - Wampir tak donośny i nerwowo zachichotał, że na nas zaczęli krzywo patrzeć. -- Może, nasza Powielitielnica słuszna, i u niego na samej sprawie nie wszystko na zasadzie z głową?

- Tak wy z Arlissa? - spieszyłam się. -- myślałam, raz rozpoznaliście reiar Lona...

- Rieary wszystkich dwunastu dolin różnią się po wyglądzie. A Władca w Dogiewie jednego. -- Rołar złapał-jednak kubkiem, w zamyśleniu otchlebnuł, porozkoszował się i stanowczo oznajmił: - Nie, dziewczyny, tak nie pójdzie. Opowiadajcie mi wszystko, i od samego początku, bo inaczej osiwieję, zanim zrozumieć, jak stoją sprawy. I pozwalajcie na "ty", zgoda?

Ja trzeźwie doszłam do wniosku, że wampira chyba nie zainteresuje moje ponure dzieciństwo i smutne szkolne codzienności.

- zapoznaliśmy się z Lonom, to jest Władcą Dogiewy, dwa i pół lata temu, kiedy ja z polecenia Szkoły przyjechałam w dolinę zbadać serię zagadkowych morderstw. Mi udało się odnaleźć i zlikwidować monstra, i w podziękowanie dostałam od Lona ten amulet. Za pół roku znowu spotkaliśmy się i w towarzystwie jednego znajomego troła przeprzywróciliśmy zupełnie idiotyczną operację, upolowawszy trzynasty kamień dogiewskiego Wied

'minogo Kręgu. No, a za ostatnie dwa lata ja tak zadomowiłam się gdzie w Dogiewie, że Lona zaoferował mi posadę Naczelnej Przecież... dogiewskiego maga - widocznie, zrozumiał, że mu ode mnie mimo wszystko nie odczepić się, a tak choć pożytek jaki będzie. I ot, kiedy już jechałam zabierać się do pracy...

Dalej pasowało pogłębić się z całą dokładnością. Specjalną uwagę poświęciłam rozmowie pomiędzy rozbójnikami, starając się możliwie toczniej powtórzyć podsłuchane kwestie, by nie wypaczyć i bez tego niepojęty mi sens. To i owo okazało się zagadką i dla Rołara, on parę raz ze zdziwieniem unosił brwi i pytał ponownie, a następnie poklepał siebie po kieszeniach, nasze zaktóry poniewierał się, zbędny zwój i zaproponował mi zapisać wszystko to na czystym odwrocie. Przybory do pisania można było poprosić u karczmaria, lecz poleniłam się wstawać i iść przez wszystką salę. Ukradkiem pstryknęła palcami, i kałamarz z piórem pojawił się pośrodku naszego stołu, zginąwszy z lady. Karczmar', nie wierząc swoim oczom, pochylił się do samych desek i nawet poklepał po nich dłońmi. Tymczasem kreśliłam i przekreślałam, Orsana zrelacjonowałam o swoim na miarę sił wkładzie w potyczkę z rozbójnikami. Na szczęście, piwne upicie się szybko wietrzeje, i ona krótko i rzeczowo opisała, ile ich było, jak oni wyglądali i w co byli ubrani.

- Doprawdy, podobni do na wampiry,- przyznał Rołar. Piwo nie wywarło na niego dostrzegalnego skutku, wzrok pozostał takim zaś skoncentrowanym i przenikliwym; poza tym, Lona też pił, nie upijając się, i dokąd więcej mocnych napoi. -- Wy nie zauważyliście, u nich były kły?

Pokołysałam głową:

- Nie przyglądała się.

Orsanie tym bardziej było nie do tego; zręczność i szybkość którzy napadli jej nieprzyjemnie zdziwiły, zniechęciwszy spoglądać w zęby.

- Lecz w Dogiewie widziałam wojowników i poprowornieje,- wtrąciłam ja i zająknęłam się. Warto mówić wampirowi, że rozbójnicy zrzucili na mnie winę za morderstwo? Ich wersja może wydać się mu bardziej prawdopodobnego. Lecz w przeciwnym razie wypadłoby wyjaśniać, dlaczego ja nie powróciłam w Dogiewu.

Rołar wysłuchał moje nierównomierne uznanie i dosadliwie pokołysał głową:

- Ty jesteś winny tylko w tym, że uwierzyła ich pogrożkom. Jak to mówią w dolinach, "u kogo riar, ten i ma rację". Mogłaś przespokojnie powrócić w Dogiewu, pokazać Seniorom amulet i zapewnić sobie ich bezwarunkowym poparciem, lecz teraz już późno. Arliss bliżej, i rozmądrzej jechać tam. Ponadto jego

Powielitelnica nieraz zamykała Krąg i wtajemniczy was w najdrobniejsze subtelności obrzędu, o których mogę nawet nie podejrzewać.

- Opowiedz przynajmniej ogólnie,- płaczliwie poprosiła, dmuchając na zapisany pergamin. Korczmar' podskoczył od zdumienia i znów pochylił się nad ladą, przeszywając spojrzeniem rozpustny kałamarz. Bojaźliwie pchnął naprzód ją palcem, odczekał pary sekund, a następnie chwycił oba rękoma i uniósł w podsobku.

- Spróbuję. Ile dzieciąt może urodzić ludzka kobieta? - z daleka rozpoczął wampir.

Wzruszyłam ramionami:

- W sielanskich rodzinach zdarza się od czterech do dziesięciu dzieciąt, nie licząc zmarłych w niemowlęctwie. A co?

- Mianowicie każdych dwadzieścia lata liczbę ludzi podwajają się-upiatierajetsia,- obliczył wampir.

- Teoretycznie. Na bitwie duża połowa dzieciąt do pełnoletności nie dożywa, plus morowyje powietrija i wojny. Oficjalny spis ludności mówi o zdwojeniu przez siedemdziesiąt - sto lata.

- Nawet jeżeli tak, nam za nas nie nadążyć. Mimo długiego życia, większości wampirok staje się bezpłodnymi już po trzecim, a zdarza się, i po drugim dziecku. Racja, niemowlęcej umieralności

nas prawie nie, dzieci rzadko chorują i do dziesięciu lat
nie chorują gorzej Władców, przy tym posiadając sporej na
siłę. Lecz ani o jakim podwojeniu tutaj i mowy nie idzie - najwyżej
za jedną-dwa tysiące lata, i to jeżeli wykluczyć przypadkową
umieralność. O tym Władcy i zajmują się.

- Ubezpieczeniem od wypadków?

- Podobny do tego. Jeżeli wampir zginął w kwiecie lat, śmierci
nadeszła momentalnie i ciało względnie całe, ono zaczyna
ochronną, mimowolną transformację, nie chorują, a jak
pierieplawiają.

- W wilka?

- Tak, to prostsze. Na dodatek jakaś część ciała nieunikniony
ginie z powodu wylanej krwi lub podartej w strzępy narządu, a
zwierzęta lżej będą przebywać osłabienie i bystrzej przychodzą w
postać. Widziałaś naszą narodową broń - gword? U niego trzy
ostrza, często wyszczerbionych, by pokryć jak więcej rozległej,
podartej rany.

- Widziała. A czy wy wojujecie między sobą?

- Teraz - nie, lecz jeszcze tyszonku-inną lata temu -
przekazywało się.

- A czemu wilk nie może przemienić się z powrotem w
wampira, kiedy zagrożenie minęło?

- Wszystko nie tak prosto,- krzywo i niewesoło uśmiechnął się

Rołar. -- Wy, ludzie, wierzcie, że po śmierci dusza odlatuje w niebieskich kuszczach lub zapada się w priispodniuju. Co się tyczy kuszcz i priispodniej u nas trochę inny pogląd, lecz w jednym zgadzamy się: ciało bez duszy mało co jest nadal, wszystko jedno, wychodzi ono z grobu rozkładającym się zombi lub biega w wilczym obliczu. Potem jej, serce, trzeba możliwie szybciej oddać na miejsce, nie później dwunastu dni z momentu śmierci. W tym i zamknięty znaczenie rytuału. Aktywując Wied'min Krąg - jak u nas mówią, "zamykają", - Władca łączy duszę z ciałem. Ot i dlatego w każdej dolinie musieć chociażby po jednym Kręgu i jednemu Władcy.

- A co, jeżeli zabije wilka? - zainteresowała się Orsana.

- Pogrzeb,- mrocznie burknął Rołar. -- To samo, jeżeli spalić lub rozczłonkować ciało po śmierci. Jeżeli nie pragnienia guzdrać się z siekierą i drzewem, wystarczy wbić w ciało kilka koljów i poczekać parę godziny, tymczasem ono całkowicie nie omiertwieje. Jak tylko wolcha wyciągnęła miecz, Arrakktur przeziścił się, lecz, stawszy się wilkiem, nie rozpoznał ją, wierzch odniosły zwierzęce instynkty.

- Potem jednakże rozpoznał,- niepewnie zaprotestowałam, przypominając sobie ból i zdziwienie, które prześliznęło się w żółtych oczach które stało przede mną zwierzęcia.

- Tak, lecz nie ciebie, a riar,- poprawił Rołar. -- Kiedy Władca oddaje swój amulet - ukochanej kobiecie, najlepszemu przyjacielowi lub doradcy,- to oznacza bezgraniczne zaufanie, w życiu i posmiertii. Mało kto z wampirów, nie mówiąc już o ludziach, otrzymuje tak wysokiego honoru, dlatego-ten ja z nas i rozmawiam, chociaż po przepisach powinien był pririezat' was oboje i zakopać w najbliższym wąwozie, by nikt w mieście nie dowiedział się o moim istnieniu.

- Ciu, wy tylko podywicesia na cogo złydnia-podwłazowi! - zawodowa ambicja Orsany była dotknięta. -- Jeszcze nie wiadomo, nad kim by po jesieni mlecz zakwitł!

- A skąd mogłeś wiedzieć, że ja nie zdjęłam riar z trupa zabitego mną wroga? - też nie bez urazy zainteresowałam się.

- To wykluczone. -- Rołar odchylił się na oparcie krzesła, rzucając krótkie tęskne spojrzenia na bok kuchni, gdzie bez śladu rozpuściła się Miletta z naszym zamówieniem. -- Jeżeli riar nie był wydany dobrowolny, po upływie pewnego czasu on połychniet ogniem nie gorzej smoka, podzieliwszy złodzieja na obprzypalonych górę i dół, a sam rozwieje się w pył. Po tobie zaś widać, że nosisz go najmniej lata.

Schowałam amulet za kołnierz, z zamieraniem spodziewając się eksplozji, lecz przeniosło.

- Co oznacza - widać? A czemu nikt do ciebie nie zauważał?

- Tak już i nikt? - mrużył się wampir.

- Drakonicha! - pojęłam. - Ot o czym ona czyniła aluzje! I Magister Brodziec jakieś głupie pytania zadawał, i Kiełła z Seniozem tak ustawili się, jakby po raz pierwszy ujrzeli. Lecz przecież widzieli, całego tydzień temu!

- Zmiany odbywają się stopniowo,- stwierdził Rołar,- otoczenia mogły ich nie dostrzec lub nie dodać rangi.

- A co zmieniło się-to? - podejrzanie spytałam.

- Tak od razu i nie powiesz,- rozłożył ręce wampir,- wyrażenie oka, że?

“U ciebie piękności-z-siwyje oka. Z-zzbyt piękności-z-siwyje...”

Wszechto te smoki wiedzą!

No, powiedzenie jeszcze dokąd ani szło. Bo już przestraszyłam się - nie spokojny godziny, kły rosną. Tak zajęcie w riarie, a nie we mnie! Pewnie, w nim zawarty źródło siły, niezbędnej dla przeprowadzenia rytuału, a ja nieosoznanno z jej korzystam. To dziwny, czułam riar jak zupełnie bierny kamieszek, co więcej - raczej odpychający magię, czym promieniejący. Jak on chroni od telepatii, jeszcze mogłam pojąć, lecz skąd bierze się wszystko reszta - nocny wzrok, momentalnie gojące się rany, szybkie odbudowanie rezerwy? I i dlatego ja nie mogłam wykorzystywać go moc przedtem, na tym zaś egzaminie, kiedy przypadło-bądź co

bądź biec do źródła w aulę? Lub kiedy zdrów spiekłam się na słońcu? Zresztą, te pytania mogły poczekać.

- Dobrze, a po co potrzebne Stróże?

- Widzisz, zabity może i nie zapragnąć ożywać. Nie dość przy jakich okolicznościach on skonał, lub po tę stronę Kręgu mu spodobało się bardziej. Wampiry słuchają Władców bezwzględnie, lecz samym Władcom nikt nie rozkaz. U niego chyba ciężkie uzasadnienie powrócić - przyjaźń, miłość, obowiązek. Dlatego jeden Władca nie może zamknąć Krąg dla innego, a u zwykłego wampira to nie zdarzy się, ot i wypada przygotowywać Stróża zawczasu. Wskazanie - za pięć-dziesięć lata, chociaż tutaj, oczywiście, nie zgadniesz.

- A u jednego Władcy być może kilka Strażników? - z nadzieją zapytałam. Nie mógł zaś Lona zwyczajnie tak, z zatoki-barachty, po trzech tygodniach znajomości oddać mi w takim stopniu ważny dla niego przedmiot, nawet nie napomknąwszy o nią wartości! Tani, można powiedzieć, lichego kamieszek na cienkim skórzanym sznurku nie skusiłby samego który zaniedbał się rabusia, dla upiększenia także nie nadawał się, a chronić się od telepatii nauczyłam się już i sam. Mi on był drogi jak pamięć, i tylko. Kto mógł poręczy, że ja, wielce nieporządna osoba, nie zgubię go - na przykład, kąpiąc się w rzeczce lub przypadkowo ściągnąwszy razem z koszulą nocną,- lub komuś nie podaruję?

- Jednorazowo - tylko jeden,- rozczarował mnie Rołar. --
Przepraszam, wolcha, lecz odkręcić się tobie nie uda się.

Odkręcać się ja i nie myślałam. Odwrotnie, przekonawszy się, że powrotnej drogi nie, wpadła w podniecone, lecz w najwyższym stopniu skupiony i czynny stan:

- To znaczy, u mnie zostało najwyżej drąga dni. Droga do Arlissa zajmie cztery-pięć, lecz ja muszę odszukać wilka, a a więc, wrócić z powrotem. Wówczas już dobry przeprowadzić rytuał w Dogiewie.

Rołar pokołysał głową:

- W tym nie potrzeby. Jeżeli wilk jest żywy, to gdzieś w pobliżu.

- Tu, w mieście?! - nie uwierzyłam.

- Ila w zagajnikach koło miejskich murów, że wierojatnieje wszystkiego. Riear przyciąga go, jak magnes, i gdyby pani pierwszemu spotkaniu nie przeszkodził rozbójnicy, on uznałby swoją Chranitelińcu i bez słowa sprzeciwu nią podporządkował się. Teraz wilk jest zbity z tropu, lecz wcześniej lub późno ogłosi się. A szukać go bez sensu, najwyżej obławę urządzić, i to wątpliwy czy że pożyteczne wyjdzie - on mądrzej i chitrieje zwykłego zwierzęcia, zalażet pod krzakiem i nie drgnie, nawet jeżeli zakoń wyścigowy z trieszczotkoj nadeśnie mu na ogon.

Miletta ostatecznie-tego przestała kokietować ze strażnikami, przypomniała sobie o naszym zamówieniu i zastawiła stół dymiącymi się talerzami. Rołar i Orsana zarzucili się na jedzenie, jak izgołodawszyjesia brodiagi, mi zaś od emocji kawałek w gardło nie mieszał się.

- W takim przypadku, mój plan w najwyższym stopniu jest oczywisty. Ja jadę w Arliss; mam nadzieję, wilk pójdzie za za mną. Rołar, będę tobie bardzo wdzięczna, jeżeli ty dasz mi list polecający do Powielitielnice lub komukolwiek z Seniorów.

- Nie dam. - Wampir, mrużąc oczy od uciechy, wgryzł się zębami w długo oczekiwaną baranju udo.

- Dlaczego?! - speszyłam się.

- Y-y-o a iu w aiss z a-oj.

- Co?!

Rołar nieprzychylnie spojrział na mnie nad udzie, zmuszonego przełknąć nieprożewannyj kęs, by odpowiedzieć na moje pytanie bardziej wyraźnie.

- Ponieważ ja jadę w Arliss z tobą.

- A twoja służba?

- Wezmę o-uk. -- Rołar znów zajął się udem, lecz na ten raz domyśliłam się, że on chciał powiedzieć.

- Urlop? Ładnie, lecz po co tobie w to mieszać się? Słyszałam, że pomiędzy Arlissom i Dogiewoj dość napięte stosunki.

Rołar zastanowił się, że normalny posilić się mu nie powiedzie się, i z westchnieniem odsunął talerz, żeby nie podlegać pokusie.

- Nie pomiędzy Arlissom i Dogiewoj, a ich Władcami.

Arrakktur i Leriejena mniej więcej jednego wiek, zaręczeni niemal z samego urodzenia, i ich monarszyj obowiązek - pozostawić w obydwu dolinach po spadkobiercy. Niestety, ani on, ani ona nie wypróbują przyjaciela do przyjaciela ani najmniejszej przyjaźni, lecz, jeżeli Leriejena akceptuje bieżący stan spraw jak należyty i traktuje do przedłużenia rodu poważnie i dokładnie, to Arrakktur zapiera się rękoma, nogami i skrzydłami. Leriejena kilka razy przyjeżdżała w Dogiewu, lecz na swoim terenie Arrakkturu z powodzeniem udawało się ją unikać, a jego pierwszą i jedyną wizytę w Arliss skończył się "porwaniem".

- Lecz Lona mówił, że nigdy nie opuszczał granic Dogiewy, - przypomniało się sobie mi,- przynajmniej, do znajomości ze mną.

- On i nie skłamał. Przejazd między dolinami w nakrytej karecie chyba nie można oceniać jak fascynująca podróż. Wtedy mu towarzyszyły wampiry z dogiewskiego garnizonu, i oni nie odważyli się nie posłuchać rozkazu swojego Władcy: wysadzić go na granicy Arlissa, a samym kilka dni pomieszkać w najbliższym mieście, nie pozwalając o sobie wiedzieć. Ot Leriejena i postąpiła chitrieje - przysłała swoje poselstwo, by na ten raz nieszczęście-żeniszok przybył po wyznaczeniu. Mnie osobiste sprawy Władców

nie dotyczą, lecz, kiedy życie jednego z nich w niebezpieczeństwie, ja nie mogę trzymać się z daleka.

- Lecz to zaś nie twój Władca,- zauważyłam.

- Co znaczy “nie mój”? - zdziwił się i nawet jakoś obraził się Rołar. -- Władca - to nie przemijający tytuł króla, którego mogą obalić w każdej chwili, a kasty tytuł. Każdy Władca może liczyć na pomoc każdego wampira.

- Nawet jeżeli ta pomoc będzie potrzebnym wbrew życzeniu innego Władcy? - pomyślawszy, zapytałam. - Leriejenie może nie spodobać się twoja żarliwość. Len pewnego razu zażartował, że może zabić dowolnego ze swoich poddanych jednym słowem: “Skonaj”.

- spodziewam się, przedtem nie dojdzie. I później... Mi już wszystko jedno,- Rołar zmarszczył się swoim sugestiom, i mi wydało się, że on opowiedział nam bynajmniej nie wszystko.

- Rołar, a jaka ona?

- Leriejena? Ładna. Mądra. Gospodarna. Pewna siebie i wyniosła. W sumie, nienajgorsza. Dla Powielitielnicy.

- Lecz przede wszystkim - ładna? - ironicznie uściśliła Orsana.

- Uroda elfijskiej róży. -- Rołar, nie wytrzymał, oduszczygnęła kromka chleba i umoczył w który napłynął z mięsa sos. -- Niecodzienna. Urzekająca. Lecz, niestety, obca i chłodna. Dacie mi nareszcie zjeść, ludzi?

- Dobrze, jedz,- zmiłowałaś się. -- Orsana, a ty? Kiedy odbędzie się twój ekzamienacyjnyj turniej?

- Zdążę,- opędziła się najemnica.

- Co zdążysz?

- Pojechać w Arliss i powrócić.

- Po co?

- jeszcze pytasz?! - oburzyła się Orsana. -- Że ja, według ciebie, najemnica jakaś: wykonała swoją część pracy - i sływaj na wszystkich cztery strony? Nie już, droga przyjaciółka, najpierw przekonam się, że ciebie nie słopali wilki i nie rozszarpały wampiry, a potem, z czystym sumieniem, przystąpię do legionowej służby.

- Ty tak jesteś przekonana, że ciebie wezmą w Legion? - Rołar perfidnie wbił nożem w Orsaninu talerz, podważywszy kawałeczek cieleciny.

- No, jeżeli tam nawet wampiry biorą, to mi już bodajże niepokoić się nie ma co. -- Dziewczyna zdążyła zerwać mięso z noża przed samym nosem Rołara i, czarująco uśmiechając się, położyła odzyskany kawałek do siebie w usta.

ROZDZIAŁ 15

Rołar postawił na swoim, byśmy wyruszyli w drogę

niezwłocznie. Tylko zaczekali, póki on przeubierze się (wampir najmował mieszkania w pobliżu), zbierze rzeczy i czerkaniet pary linijek - myśleliśmy, podanie o urlopie swojemu diesiatnikowi, lecz okazało się, że Rołar tym samym diesiatnikiem i jest, a list dla gospodyni domowej, by nie śmiała wynajmować jego pokój i rozprzedawać dobytek. Kolczugę i miecz Rołar zatrzymał przy sobie, lecz mundurową kurtkę zdjął, a konia przesiodłał. “Bo inaczej ja zanadto będę rzucać się prosto w oczy i wozniknut niepotrzebne pytania, że witiagskomu strażnikowi było potrzebnym w oziarnem Kraju i Arlissie” - wyjaśnił wampir.

Do zmroku zdążyliśmy odmachać koło dwudziestu wiorst. Minęliby i więcej, nocy była jasna, księżycowa, a konie nie zmęczyły się, lecz drogę przegrodził jeden z pritoków rzeki Pieszczoty, nieszerokiego, lecz z dość szybkim biegiem, tak nie w porę podkóry mył most. “Trzeci raz w ciągu miesiąca, - markotne wyjaśnił nam brygadzysta królewskich budowniczych, od nowa wbijające podpory, - a przecież solidnie stawiamy, na sumienie. Prosty cuda jakieś!” Sforsować nieznaną rzekę w ciemności my nie zaryzykowaliśmy. Kupieckie podwozy skręcały z traktu na objezdnuju drogę, znak przy której głosił: “Trołlij most. Miediak z pieszego, pięć - z konnika, sieriebruszka - z podwozy”. I żywo zreferowałam dziesiątka diużych trołlej, w pocie twarzy nadszarpujących gratisowy most po nocach.

Za rzeką zaczynał się Pojezierze, który zajmował cały wschodni zakres kraju. W jego środku leżało Driwo, ogromne jezioro z dziesiątkami wysp i setkami przeciwnych prądów, kiszaszczeje rusałkami i dlatego zamknięty dla rybołówstwa - nieopatrznie rzucona sieć powracała z wodorostami, korigami, żabami lub z bardzo nieświeżym, specjalnie pripasiennym dla takiego przypadku topielcem. Najzawziętymi kłusownikami zajmował się krakien, gigantyczny wodny smok z mackami zamiast płetw, zdolnego skierować na drogę prawdziwy kogo dogadzający - prawda, pośmiertnie... W Driwo uchodzili sześć dużych rzek i biessczetnoje liczbę drobnych, wietwiaszczichsia i splatających się. Po wiosnie ono wylewało, zmieniając Krainę w jedno ogromne jezioro z gęstymi wysepkami, tak że szczególnego zwierja tam nie spotykało się, osiedla występowały rzadko, za to ptakom i wszelkiego wodnego droba był przestwór.

Zaginiony wilk niepokoił mnie najbardziej, za czas drogi ja nie zauważyłam go nawet krańcem oka, choć to jeszcze ani o czym nie mówiło - stykając się do traktu las nie dosięgał, lecz ciągłym pasmem ciemniał nieopodal, pod wieczór otuliwszy się gołubowatoj mgiełką mgły. Możliwie, dniem wilka odstraszała którzy wlekli się po trakcie ludzi, a teraz - szabazywszyje w pobliżu konstruktorzy, którego wdochnowiennoje, lecz niezbyt trzeźwy i składany śpiew mógł zamęczyć zbytnio wrażliwych

żywych i podnieść z grobów martwych.

- Za Pieszczotą od Witiagskiego traktu odgałęzia się Arlisskij,-
zakomunikował Rołar. -- On zabiera trochę na północ od, i jeżeli
zejdziemy na dwie wiorsty w dół rzeki, to rano po przewozie
wyprowadzę was na niego krótką ścieżką.

Krzykliwi mężczyźni zniechęcili przeciwstawiać się nawet u
Orsany, która całą drogę jechała pomiędzy mną i wampirem, jasno
dając do zrozumienia, że on nie wzbudza u niej zaufania. Zresztą,
winny w tym był samego Rołar, któremu, wydawała się, sprawiało
przyjemność zastraszać biedną dziewczynę, barwnie opowiadając
lub w biegu zmyślając okropne baśnie o wampirach i zakańczając
je potwierdzonymi przysięgą poświadczeniami -że niby to,
wszystko to poklep i wymysł, intrygę nikczemnych wied'makow,
do którego, mam nadzieję, my z Orsanój nie zaliczamy się? I
znacząco oblizywał się. Trzymałam się trochę w uboczu i
pomijałam to majaczenie koło uszu, a ot najemnica raz po raz
warczałam na gadatliwego wampira, stopniowo zaczynając
podmyć o karierze wied'maka.

Jechać pokazało się udobnieje wąską gliniastą płycizną, która
ciągnęła się wzdłuż zaroszonego krzakami brzegu, który wolniutko
podnosił się i pod koniec drugiej wiorsty osiągnął poziom końską
pierś, a dalej przekształcało się w otwarte urwisko, które srebrzyło
się pod księżycem. Orsana już zaczynała mamrotać sobie pod nos:

“Osi, tak ja i wiedziałam, zaprowadził w jakuś owrażynu, za jednym zamachem zasmokcza ta utopi”, a Rołar zakłopotanie oglądać się po bokach, kiedy absolutnie przypadkiem wykryłam wygodne zejście do wody, półskrytego nisko którzy odważyli się pletiami wierzby.

Na brzegu nas powitała przepiękna polanka, nawet z kostriszczem i obuglennymi szkieletami tłustych polenjew. Koniom było gdzie poskubać trawku, a które okrążali polanę drzewa pozwalały rozpalić ognisko, nie obawiając się, że go spostrzegą z wody lub traktu.

Na rozpalenie suczjew wystarczało, lecz chciałoby się mieć ich zapas na całą noc, i wampira, jak sam czujnego, pogonili w las za drewnem opałowym. Orsana, zdjęwszy kolczugę i pas, lecz nie rozstając się z klingą, przerzuciła przez ramię długi ręcznik i zeszła pod brzeg. Ja zaś zajęła się obbudową noclegu, a raczej niepewnie zbliżyła się do najbliższego świerka, poklepując po dłoni swoim mieczem - jak zawsze, tępym (posiadałam go z ręk precz kiepsko i nie ostrzyłam specjalnie, bojąc się skaleczyć się). Łamać gałęzie było ciężkie, rąbać - głośno, rozbójnicy usłyszą, a magia mogła przyciągnąć uwagę nieżyti. Zresztą, to świństwo przyciągało wszystko po kolei, w tej liczbie nieurocznyje drwale, tak że zdecydowałam zagadnienie na korzyść magie i bystrienka

oszczypałam kilka jełoczek, strzelając palcami po podstawie suczjew.

Leżaki deportuj luksusowych, zostawało tylko rozpaść ognisko, kiedy daleko w lesie, a może, na pojmiennom łące za lasem, zawyły wilki. Smółka spokojnie poszczipywała trawę, nastorożyw, zresztą, uszy,- widocznie, liczyła jakichś tam wilki nie będącymi wartym jej, Smółkinogo, uwagi. Wianek i kasztanowatego Rołarow ogier po imieniu Karasik szły ją za przykładem, filozofski rozważywszy, że głodne wilki nie zaczną marnować czas na serenady.

A ot zatęskniłam, po raz pierwszy zarządziwszy oborotniam. Żle tobie, smutno - przerzucił się zwierzęciem, wyplusnął biedę w oszalałym biegu pod leśną czaszczobu, żalonym wyciu... no, zadarł tam kogokolwiek, nie bez tego. Szlajutsia tu wszelkie, leżą pod rękę... Za to rano wesoły i świeży, jak ogórek, żadnych problemów, żadnych udręk! Może, i mi wypróbować? Przekształcać się ja, oczywiście, nie umiem, lecz jeżeli opaść na czworaki i...

- Ua-uuuu!!!

Wilki zaskoczenie ucichły, Smółka zakrztusiła się i raskaszlałaś, motając głową. Ja sam nie spodziewałam się takiego efektu - wycie bardziej przypominało lament, a przy tym przedśmiertnego, dźwięczne echo wznieciło popłoch woronju

stado, które nocowało w świerkowej koronie, ptaki z istosznymi krzykami zakręciły się nad polaną, a wszystko okoliczna rozpieszcząć na wyścigi z rozbójnikami rzuciła się albo do nas, albo do ucieczki.

- Żeby was wszystkich! - zerwałam się i podrażnienie rzuciłam w ognisko skrzep ciemnoniebieskiego płomienia. Część gałęzi rozrzuciło po polanie, pozostałe połychnuli niemal do makuszek drzew.

- Szo to było?! - Orsana, jedną ręką utrzymując opadający ręcznik, a drugiego ściskając ręką obnażonego miecz, wyskoczyła spod brzegu, dziko oglądając się na strony.- Chto wierieszczaw?

- Może, jakiś ptak? - niepewnie przypuściłam.

- Ją żywcem patroszyli, że? - Dziewczyna niechętnie, nieufnie opuściła miecz i poobciślejszy obróciła się ręcznikiem, podkasawszy górny róg. -- Nie, ty jak chcesz, a mi to miejsce nie podoba się! Niedobre ono, przeklęte! Wilki prorwa, a teraz jeszcze jakiś októra dziczała garpija raczyła przewydziarać łuzenuju gardło!

- Co To Jest było?! - Rołar z trzaskiem wywalił się z krzaków, mieczem torując dokoła siebie szeroką przesiekę. -- Kto krzyczał?
- Garpija,- ponuro powtórzyłam. -- Przelotem...

Wampir z westchnieniem ulgi nakrył miecz w pochwę,

obrzucił najemnicu spojrzeniem i z zachwytem pryswił: -
Orsana, tobie ktoś mówił, że u ciebie śliczne żyły?

Najemnica z odrazą pochyliła się na wampira, splunęła i
milcząc zeskoczyła pod brzeg, nie zapomniawszy prichwatit'
miecz.

- chciałem powiedzieć urocze nogi,- spesznie wyznałem Rołar
w odpowiedzi na mój milczący zarzut, - lecz ona tak gwałtownie
reaguje na moich szutoczki, że mnie jakby ktoś ciągnie za język! -
i szeptem dodał: - wolcha, ty nie mogłabyś zachowywać się w
rękach? Rozumiem, od ciebie ten nie zależy, lecz jednakże postaraj
się, bo inaczej...

- Inaczej - co?

Nagle gdzieś tuż obok, w krzakach, odezwał się wilk. Nie
zawył, a krótko i grubo wydarł się, jak biczem smagnął.

- Lona! - Ja bez wahania runęłam naprzód, lecz wampir zdążył
chwycić mnie za kołnierz.

- Ty jesteś przekonany?

Oprzytomniałam. Odróżniać wilcze głosy ja nie potrafiłam, z
tym zaś powodzeniem mi mógł odpowiedzieć tutejszy przywódca,
zdziwiony najmniej moich towarzyszy. Ile my z Rołarom ani
słuchali, ciągi dalsze nie nastąpiło, nawet gałęzie nie zaszeleściły.

- Nie, a ty? - Po Dogiewie wiedziałam, że zastać wampiry

zniecka praktycznie niemożliwie, oni z daleka wietrzą zbliżenie się każdej żywej istoty, bądź to zwierzę, człowieka lub inny wampir, przy czym niezawodnie je rozróżniają.

Rołar pokiwał głową:

- Władcę nie może złapać nawet Straży Granicy, zanim dostrzeże. W krzakach było jakieś zwierzę, lecz teraz odszedł, także proponuję przekąsić i położyć się spać, a popilnuję.

- mogę zainstalować magiczną tarczę.

- Ustaw koniecznie. Lecz ubezpieczenie nie przeszkodzi, a dla snu mi wystarczy dwa-trzech godziny. Jak, nawiasem mówiąc, ta twoja tarcza działa? Ona nie odwróci się przeciwko ja, jeżeli w środku nocy mi prispiczył w kustiki?

- Nie, nawet jeżeli ciebie zbeszta najsrozsze zamieszanie, i będziesz latać tam-tu co chwila. Wszystko, kto znajdował się na polanie w moment instalowania, są uważanym "swoimi". Jeżeli zaś linię przekroczy obcy, go uderzy po nogach, odrzuci w tył i rozlegnie się głośny dźwięk.

- Jaki mianowicie?

Ja niewyraźnie wzruszyłam ramionami:

- Częściej wszystek - niecenzuralny. Lecz być może zwykły cios o ziemię.

- Wiesieleńkoje zaś nas oczekuje przebudzenie, - uśmiechnął się Rołar, - szczególnie jeżeli rozbójnicy zerwą się w atak

jednocześnie. Ja mimo wszystko popilnuję, a przed świtem pójde na zwiady. I, jeżeli wszystko będzie spokojnie, trochę prześpię się.

Rozumiałam jego obawy. Wampiry śpią bardzo mocno - jak martwe, w dosłownym sensie słowa - lekko pomylić. Rołaru będzie potrzebnym najmniej trzech minut, by oprzytomnieć, a dopóty obronę przypadnie utrzymywać nam z Orsanój. Być może, tym i posłużyli się rozbójnicy, którzy napadli na poselstwo z głuchego w nocy, inaczej sześć wampirów w zwierchniku z Lonom bez trudu położyliby całą bandę, nawet bądź w niej nie dwadzieścia, a trzydziestu ludzi... najprawdopodobniej, człowieka, z goryczą pomyślałam. Prawda, razbojniczych trupów ja nie widziałam, że bardzo to dziwny,- przecież oni twierdzili, jakoby stracili siedmiu. Może, zdążyli zakopać? Czasu u nich było nie tak już dużo, dwa godziny od siły. Najprawdopodobniej, po prostu odciągnęli w krzaki i zasypali gałęzmi, lecz dlaczego? Bali się, że ich ktoś rozpozna?

Domyśleć mi przeszkodziła Orsana, której wampir zaproponował dwa kładnia za “jednego malusieńkij łyku, w leczniczych celach”, a zyskał policzek. Najemnica akurat przeplatała warkocz i teraz, rozgniewana, wstargana, samego cześć strzepująca na upyricu, głośno domagała się przerwać “znuszczenia nad uczciwą diwczinój”, a najmniej oburzony Rołar sarkastycznie interesował się, z jakich to czasów ukąszenie za

pieniądze respektuje nieprzyzwoitą ofertą. Nie speszyli ich nawet nagle zaginione głosy, kilka minut oni z powodzeniem pierierugiwaliś znakami, lecz potem oprzytomnieli i niedoumiennie ustawili się na mnie.

- Nie rozczaruję, zanim pogodzicie się,- ze zmęczeniem powiedziałam. -- Ila los rzucajcie, kto jedzie ze mną dalej, a kogo my priduszym, by spać nie przeszkadzał.

Oboje zawstydzone spuściły się i rozłożyli ręce - że niby to, żadnych problemów, nawet patrzeć w jego (ją) stronę nie będę, i udałam, że uwierzyłam.

Obudziłam się sam, bez żadnych dźwięków i uderzeń. Tylko-tylko zaczynało świtać, Orsana spała, a Rołar w zamyśleniu oglądał małą latającą myszkę, wiszącą na jego palcu wskazującym. Był wartym mi poruszyć się, jak ona rozwarła suchońkije łapki i skrawkiem szarego dymu znikła w lesie, zaginąwszy pośrodku listowia.

- Stara przyjaciółka? - sennie zapytałam.

- Przyjaciółka, tak nie mój,- westchnął wampir. -- Niestety, pogawędzić z niej jak położone ja nie mogę, a nie zaszkodziłoby. Nietoperze - oczy i uszy Władców, z ich pomocą oni mogą kontrolować całą dolinę, nie wychodząc za próg swojego w domu. Jeżeli chcą, oczywiście.

- Jeżeli?

- Arlisskaja Powielitielnica niedolubliwajet nietoperzy.

Podejrzewam, że ona ich po prostu boi się, jak każda kobieta.

- Całą dolinę, mówisz? - Ja jestem poważnie priswistnuła.

Magowie też potrafią prowadzić obserwację cudzymi oczyma, lecz zyskać jasny obrazek w odległości więcej niż czym jedną trzecią wiorsty mało kogo udaje się. Z dźwiękiem niewiele dobry - wiorsta maksimum. -- Lecz myszy latają tylko po nocach, a zimą i całkiem wpadają w sen.

- Dlatego większość kradzieży w Dogiewie odbywa się właśnie zimą,- uśmiechnął się Rołar,- by Władca nie został ich przypadkowym świadkiem. O ile wiem, Arrakktur czastieńko ucieka się do usług myszek, i nie tylko ze względu na ciekawość. -- Rołar ściszył głos: - Siedem lata temu napływowy trołł zabiły i obrabował dwa samotnych wampirsz, kistieniem zniósł głowę Straż, który usiłował go zatrzymać, i przekroczył granicę, tak że doganiać go było późno i bez sensu. Inny Władca wszcząłby długą i, najprawdopodobniej, nieskuteczną tiazbu z trołłjim klanem, domagając się wydać przestępcę, lecz tylko nie Arrakktur. Myszy dopadły mordercę już w Kamniedierzce, pośrodku środkowego placu, w sam skwar, i żywcem rozerwali na drobne kusoczki - w oczach u setek ludzi. Był straszliwy dyplomatyczny skandal, niemal do obwieszczenia wojny, ponieważ trołłi zezwalali wziąć

wlra za mord soplemiennika, a Władca i słyszeć o niej nie chciał. Choć bardzo to dziwny, koniec końców trołli poznali jego rację i nawet zaszanowali - u nich, w gruncie rzeczy, bardzo pospolite obyczaj, i stary obyczaj "krew za krew" ma powodzenie na całkiem legalnych podstawach. Lecz po tym wypadku Lona zaczęli pobaiwat'sia nawet właściwi Seniorzy, nie mówiąc już o ludziach.

Gdyby wróg, który zabił trzech moich przyjaciół, powinien był właśnie właśnie wymknąć się, mi byłoby późny plunąć, że o mnie pomyślą. Lecz głośno powiedziałam:

- Z człowiekiem lub wampirem on nigdy bym tak nie postąpił, ja przekonany. Są przecież i inne sposoby, nie takie... widowiskowe. Najemnicy, na przykład. - popatrzałam na spokojnie śpiącą Orsanu, lecz wyobrazić sobie ją w ciemnym zaułku, z zimną krwią wsadzającej zatruty sztylet pod łyżeczkę przechodzącemu obok trołlu, nie potrafiłam.

- Słusznie. Trołli uznają tylko brutalną siłę, i on nimi ją pokazał. Nieszczęście w tym, że ją ujrzeli nie tylko oni, i mało kto wie Arraktura na tyle dobrze, by nazywać jego Lonom.

- A on nie pojawiał się?

- Nie, chociaż wilki całą noc wałęsały się w pobliżu i oblizywali się na naszych koni. Dobrze, budź swoją przyjaciółkę, będziemy jeść śniadanie i zbierać się.

Obudzić Orsanu okazało się nie tak-to zwyczajnie. Zazwyczaj najemnica zrywała się od lekkiego dotyku do ramienia, a tu przypadło niemal kopać ją nogami.

- Ty nie zachorowałaś? - zatroskanie zainteresowałam się.

- Nie-a,- szeroko ziewnęła dziewczyna, masując przedramię, na którym odbiła się rukojać miecz, wobec-to który leżał pod kocem.

-- Nie wyspała się...

- Czatowała,- z przyjemnością naskarżyłem się Rołar,- ja - was, a ona - mnie. Całą noc oka nie spuszczała! Ja, śmiechowi rad, podygrał - przeszedł się dookoła ogniska, poobliżywał się, skrzydła rozmiękczył...

- Dla śmiech, jakże... - przewarczała zmieszana, lecz ani trochę nie przekonana dziewczyna,- tylko i czekał, póki zasnę!

- Lecz nad ranem mimo wszystko zasnęła,- bawił się wampir, budując sobie tołstiennyj kanapkę z serem i szynką. I natychmiast zapłacił za swoją zachłanność, namartwie uwiąznuw w nim kłami - ani tam, ani tutaj. Orsana niczego nie mówiła, lecz obserwowała za niego z taką złośliwością, że wampir jednym rozpaczliwym szarpnięciem wydarł kanapkę, omal nie zostawiwszy w nim całą szczękę.

- No i pożytek z tych kłów? - pożartowałam. -- I jest

przeszkadzają, i dziewczynę należycie nie pocałujesz.

- Jeszcze Czego, całować... natomiast gryźć wygodnie. -- Rolar obmacał kły, uspokoił się i znów zabrała się do kanapka.

Kiedy zalaliśmy ognisko i ześlij na płyciznę, słońce już pojawiło się nad horyzontem, puściwszy po rzece złocistą ścieżkę. Z powodu bezwietrznej pogody woda wydawała się nieruchomej, o nurcie przypominali tylko którzy przelatywali obok drzazgi tak częste zmarszczki u sitowi.

- Dzieńek dzisiaj będzie - zagladienje! - rześko oświadczył wampir, dotykając wodę bosą nogą. -- U, ciepłenkaja, jak wprost od krowy krew! Teraz bystrieńko przedostaniemy się na ten brzeg - dobro, on łagodnie położonego,- i pojedziemy dalej.

- Aga, spleciemy utłyj czeln z sitowia i kory i oddamy siebie na moc żywioła,- mrocznie potaknęła Orsana.

- Jaka, do ducha leśnego, żywioł? - parsknął Rolar. - najuczmy koni odzieżą i przedostaniemy się wpław, tu od siły dwadzieścia sażeniej. Ty że, pływać nie umiesz?

- Umieć,- obraziła się najemnica. -- A nuż tam pijawki? Mnie wczoraj ktoś za nogę zaczął gryźć, ledwie strzepnąć zdążyła!

- Może, to był krakien? - przymilnie zainteresował się wampir.

- Nie, pijawka,- przez zęby wycedziła najemnica. -- I ona tam na pewno nie jedna!

My z Rołarom ze zdziwieniem wymieniliśmy spojrzenia.

- Orsana, a jakże ty w pobyt swój mładoj sielanskoj panną bielizny w rzece wycierałaś? - nie wytrzymałam.

- Tak i prała, z mostkow,- przewarczała dziewczyna, lecz wymawiać się pijawkami zaprzestała. Szybko rozebrawszy się i zwinąwszy odzież w akuratnego tiuczok, ona pritorociła go do przedniego łuku siodła, podchwyciła cugle i, w błyszczącym obłoku bryzg przebiegłszy się po mielkowodju, z piskiem zanurzyła się. Pływać ona i naprawdę umiała, nie czepiała się za końskiej szyi i nie odstawała od Wianeka, tak że wkrótce oni stali na przeciwnym brzegu, dziesięć razy sażeniami poniżej z prądem.

Zanim wejść w wodę, Rołar zwabił mnie palcem i konspiratorsko wyszeptał:

- Na twoim miejscu ja nie zacząłbym nią ufać. Według mnie, ona coś od nas ukrywa.

- Może,- wzruszyłam ramionami. -- Lecz to samo można powiedzieć o każdym z nas, z pewnością?

- Ja i nie mówię, że ona to zdrajca lub wróg,- poprawił się Rołar. -- Po prostu wciąż czuję jakiś fałsz, kiedy ona opowiada o sobie.

- Dlaczego by tobie nie przedstawić swoje podejrzenia osobiście nią?

- Hej, no prędko wy tam? - dotarło z tego brzegu.

- Moją rzecz ostrzec. -- Wampir wziął Karasika pod uzdę i zaklepał po wodzie.

Nakłonić Smółku okazało się nie tak-to prosto. Poczawszy głębinę, ona zaparła się na nią poboczu wszystkimi czterema kopytami, nie ulegając na perswazje i grożenia, póki jakaś błogosławiona pijawka nie chwyciła ją za zad. Pochopnie skaknuw przed siebie, kobyła trochę popluskała się, lecz szybko przystosowała się i popłynęła za mną. Niestety, wcześniej cieszyłam się - na środku rzeki Smółka z zachwytem odkryła, że umie nie tylko pływać, lecz również nurkować, i schowała się pod wodą z wszystkiej pokłazej, razem z moją odzieżą, a wynurzyła się u samego brzegu. Energicznie otrząsnęła się, od stóp do głów okatiw śmiejących się Rołara i Orsanu (śmiech od razu ustał), i, nastorożyw uszy, ze zdziwieniem ustawiła się na jakoś niezadowoloną właścicielkę.

Na szczęście, skórzane torby nie zdążyły przeciec, a odzież naprędce wysuszyłam zaklęciem, i znów ruszyliśmy w drogę.

Arlisskij trakt mało czym różnił się od Witiagskiego -- taki sam szerokiego, udeptanego, z wiorst słupami, lecz dlaczego-to doskonale bezludny, a także biezelfnyj, biezgnomnyj i biezwampirnyj. Za dzień my nikogo nie spotkaliśmy i nie dogoniliśmy, że bardzo zaniepokoiło Rołara,- po jego słowach,

dawniej handlowe podwoły rozdzielały się pomiędzy traktami mniej więcej równo. On już żałował, że poprowadził nas krótkiej drogi, omijając rozwidelec,- nagle tam wisiało jakieś ostrzeżenie, powiedzmy, o morowym powietrzu lub rasplodivszysia w lesie upiorach.

- No chcesz, wrócimy? - zaproponowałam, zaraziwszy się jego niepokojem. -- Stracimy pięć-sześć godziny, lecz ono tego jest wartym.

Wampir odmownie pokiwał głową.

- Innych dróg w Arliss nie, a przełożyć wizytę my nie możemy, tak jaka różnica? Dowiemy się w pierwszym zaś mijanym w drodze osiedlu.

Lecz osiedla wszystkie bynajmniej nie występowały. Orsana drzemała w siodle, raz po raz opuszczając głowę na pierś i zaczynając niebezpiecznie kołysać się z boku na bok. Od upadku jej ratowały tylko nogi w striemienach i płynny wolny kłus ogiera. Rołar wrogio podśmiewał się w brodę. Zagroziłam wampirowi, że pewnego razu rankiem on samego obudzi się z dwoma parami solidnych dyroczek w gardle, jeżeli nie zaniecha zastraszać moją przyjaciółki po nocach. Wampir pozwolił sobie zakwestionować w moim byciu krwiożerczością, przy okazji wtrąciwszy, że nie straszy Orsanu, a trenuje. Że tak powiem, wykorzenia przesądne przeżytki.

- Ja wszystko słyszę... - sennie wymamrotała najemnica, nie podnosząc głowy. -- Jedyne przeżyte, który potrzebuje w wytępienia - ten ty...

- Orsana, jeżeli ty tak boisz się wampiry, po co jedziesz z wolchą w Arliss?

- Ja nie boję się wampiry,- odburknęła dziewczyna. -- Mnie drażni jeden jedyny zanudny upiór, który całą noc zgrzytał i łopotał skrzydłami u mnie nad uchem, nie dając zasnąć.

- To mi od głodu nie spało,- z nagrany smutkiem westchnął wampir. -- Czyżby i dzisiaj trzeba będzie położyć się na czczo?

- Mogę zaproponować osikowy kołek w żołądek,- wymamrotała najemnica, nadal nie otwierając oka.

- No choć pary kropl, z palca, kaszę przyprawić,- poniżenie kaniuczył Rołar. -- A ja tobie przy obiedzie swój kawałeczek smalcu oddam!

Lecz Orsana rozsądnie powstrzymała się od dalszej przepałki, a być może, prosto zasnęła. Сегодня jechałam pośrodku i, niższy głos, zwróciłam się do wampira:

- Rołar, a jeżeli ja na ochotnika oddam riar - powiedzmy, tobie,- będziesz uznawanym Strażnikiem?

- Formalnie - tak, lecz zamknut' Krąg nie będzie mógł,- zaniepokojonego Rołar nawet odwrócił się w siodle, by widzieć moje oczy. -- Lecz ty przecież ten nie zrobisz?

- Nie, w żadnym wypadku,- uspokoiła jego ja. - Lecz ja wszystko myślę - po co on mógł być potrzebnym rozbójnikom?

Rołar poskubał wąs i niechcący oderwał razem z brodą - widocznie, który trzymał ich klej rozmiękł w rzecznej wodzie.

- Przeprowadzić obrzęd oni nie będą mogli, i próbować nie zaczną,- wampir z rozkoszą podrapał podbródek. Bez usów i brody on wyglądał młodszy i, choć bardzo to dziwny, sierzejnieje. Ja bym nawet powiedziała, mudrieje, trochę przypominając dogiewskich Seniorów. -- Jeżeli oni mieli zamiar porwać Lona, to z tym zaś sukcesem mogli zażądać okup, nawet w podwójnej wielkości - za wilka i rieur.

- Coś nie zgadza się, Rołar. -- nachyliłam się na lewo, złapałam powód Wianeka, który wysliznął się z Orsaninych ręk, i nawinęłam na łuku swojego siodła. - Jaki sens płacić wymogatielam, jeżeli zamknut' krąg może tylko Strażnik? A rozbójnicy o nim nawet nie wspominali i bardzo zdziwili się, nie odkrywszy rieur u Lona na szyi. Mi wydaje się, amulet interesował ich tylko jak środek dyrygowania wilkiem.

- Ila jak gwarancja, że Władca nie ożyje, jeszcze bardziej złego, czym kiedy go zabijali, - przypuścił Rołar, z niechęcią przyklejając brodę na miejsce. - Sprzykrzyła się, zaraza, swędzi...

- No tak snimi, tu zaś wszystko swoi. Tobie ona, przy okazji, absolutnie nie idzie.

- A nuż my kogoś spotkamy? Ja jestem zbyt podobny na wampira, by otwarcie jechać po Arlisskomu traktowi. Tu czastieńko urządzają zasadzki wied'maczji bandy.

- Obrzucają czosnkiem z krzaków? - spróbowałam zażartować ja.

- Wystrzeliwują z bliska srebrnymi śrubami z kusz,- bez cienia uśmiechu odpowiedział wampir. -- Jak dowiodła praktyka, to o wiele effiektiwnieje. Zresztą, teraz ja bym ucieszył się nawet wied'maku, bo już boleśnie cicho.

- Myślę, wied'mak ucieszy się tobie najmniej. Mu, pewnie, też straszno siedzieć jednemu u bezludnej drodzy i łamać głowę nad kwestią, dokąd wszystkie zapodziałeś się,- chichiknuła ja, przedstawivszy zaroszonego szczecina, októry dziczał wied'maka, z otwartymi ramionami wybiegającego nam naprzeciw. -- Rołar, a z czego zrobiony riar? Jak on działa?

- W nim kamieszek z tej strony Kręgu. Władca sam dobiera go na drodze i kilka lata noszą na piersi, zostawiając odcisk swojej istoty. Riar nie należy do tego świata i nieco go zniekształca - na przykład, zagłusza myśli. Lecz podstawowy jego przeznaczenie - ułatwić przejście Strażnikowi, ambicję kamienia nawrócić się na drogę staje się dla tego nicią przewodnią.

- Lecz do spotkania ze mną Lona ani razu nie zamykał Krąg, to

jest nie aktywował! Skądże on wziął kamień?

Wampir uniósł się na striemienach, oglądając uziębłą tropkę z prawej strony traktu, obok której leżał płaski kamień z szorstko wyrzeźbionym krzyżem.

- A kto powiedział, że Władcy potrzebny Krąg? Inna rzecz, bez niego on bynajmniej nie przejdzie i wydostać też nikogo nie potrafi.

...ból w nogach staje się nieznośnej, lecz to nie zmęczenie - mięśnie sprowadza skurczem od konieczności i w tym samym czasie niemożliwości iść dalej...

- Rołar, a "ta okolica" - to gdzie? Gdzie roztacza się Krąg? Inny czas, wymiar, rzeczywistość?

- Powielitelnica wszystko tobie objaśni,- Rołar raptownie zmienił temat: - Może, urządzimy postój? Konie zmęczyły się, czas obiadowy, a oto ta ścieżka prowadzi do źródła, on zaś święte źródło. Orsana, wzbodriś! Rozpędź która stała dość długo krew, będziemy jeść obiad!

- Święty? - zainteresowałam się, osadzając Smołku, a razem z niej i Wianeka. Orsana słodko przeciągnęła się, oglądając się naokoło.

- Tak, jest legenda, że niegdyś tędy przechodził wędrowny dajn. -- Rołar śpieszył się i bez szczególnego szacunku wszedł na legendarną drogę. - W wigilię święty ojciec przejrzał piennoj

bragi, i od rana go męczyło wszystko narastające pragnienie. Kiedy cierpieć ją nie zaczęło żadnego moczu, dajna padł na kolana i błagał wszystkim czterech bogom jednocześnie. Bogowie - jak najwidoczniej także nie obcy regularnym libacjom, - okazali przychylność do prośby cierpiącego, i spod korzeni ogromnego dębu strzelił źródło.

Tu już nie ma moich poprawek tylko prosto z tłumacza. Jakby ktokolwiek miał profesjonalne tłumaczenie to proszę o kontakt na maila: monikabelinska@poczta.onet.pl lub przez gg:11210683.

DziękujęJ

NACZELNIK {ROZDZIAŁ} 19

Nie pamiętając siebie od niepokoju, zleciałam w dół, skacząc przez kilka stopieniek. Kiedy ja z rozbiegowi otworzyłam na oścież wstępne drzwi, wilk wciąż był tam. Na widok mnie on wskoczył, nastroszył się... a potem przycisnął uszy, jak naszkodiwszy pies, podszedł do mnie i położył się u nóg, winien zagładając w twarz i merdając. Rzuciłam się przed nim {nimi} na kolana, objęłam za szyję i, wtuliwszy frontem w gęstą sierść z cierpkim zapachem leśnego zwierzęcia, rozplakałam się od ulgi.

Rołar i Orsana, które opóźnili się ode mnie wszystkiego na parze sekund, nie śpieszyły się triumfować, trzymając się na pełnej szacunku odległości. Wampir zatrwożone początków:

- wolcha, a ty jesteś zapewniony, że on nie...

Lecz koniuch pani Biełozierskiej akurat doprowadził naszych koni, wyczyszczonych i osiodłanych - wczoraj wieczorem my

kilka razy powtórzyliśmy mu (na wszelki wypadek, u parnizki był jak rzadko tępy rodzaj i odpowiednia maniera kiwać głową ze szczęśliwym rodzajem niczego nie oblatanego cudzoziemca), że konie będą potrzebnym nam już o świcie, lecz sami, że grzechu taić, przesпали. Smółka, zobaczywszy mnie w obnimku z wilkiem, zazdrosno parsknęła i zaskrobała ziemię kognistym kopytem, nie pokazując, zresztą, przerażenia. Dotychczas ona ani razu nie omyliła się, i wszystkie wątpliwości w autentyczności wilka odpadły. Nazywać jego "Lonom" u mnie nie obracał się język, ja jeden raz spróbowałam i osiekłaś, zmieszawszy się,- jak podczas nieobecności przyjaciela próbuję rozmawiać z jego słusznym psem, zwracając się do niego ma na imię gospodarza. Zresztą, później okazało się, że wołać wilka, równa się jak i oddawać mu polecenia, nie potrzeby - on doskonale pojmował mnie bez słów, czy to podporządkowując się gestom, czy to czytając myśli. Rołar, któremu zadałam to pytanie, wpieryw roześmiał się, a potem przizadumał się. Po jego słowach, nikt nie wiedział, jaka ona - wilcze życie po śmierci, o niej nikt z wskrzeszonych nie pamiętał. Całkiem możliwy, u wilka i pozostali telepatyczne zdolności Władcy.

Na Orsanu wilk podejrzanie zawarczał, za to Rołara przyjął dokąd przywleciwieje, czym mnie za pierwszym razem.

Kucnąwszy, wampir sosriedotoczenno obmacał które przeciągnęło

się do niego zwierzęcia i niezadowolenie pokałysał głową:

- Chudy jak szkielet. Tak nie pójdzie, za którzy zostali pary dni trzeba odkarmić go {je} do normalności, inaczej u niego prosto nie dosyć sił dla transformacji.

- Za dwa dnia?!

- To zaś nie zwyczajny wilk. On szybko przyjdzie w formę; na odpoczynku z obfitym odżywianiem się starczyłoby i kilku godziny. -- Rołar, przytrzymując spadające spodnie, przeciągnął mi swój pas. Orsana pogrzebała w torbie i zaproponowała wampirowi motek kosmatej włosowej linki na zamianę. -- Lecz, niestety, my musimy śpieszyć się.

Z pasa wyszła świetna obroża, szeroka i trwałego, w dwa obrotu. Wilk przyciskał uszy, szczyrła i próbował odkręcić mordę, tymczasem {póki} zapinałam sprzączkę i przeciągałam wolny koniec w pietielki, lecz, na ogół, zachowywał się zupełnie poprawnie. Następnie przywiązałam do pasa pozostałość linki (dość długi, łokci dwadzieścia), namotałam wolny koniec na rękę i wskoczyłam do siodła, barwnie przedstawiając, jak “jaskółką” wylecę z niego, jeżeli wilk przyjdzie do głowy zerwać się na bok. Lecz nie wypuszczę, co by mi to ani boks {kosztował}.

Zostało pożegnać się z panią Biełozierskoj; przepisy przyzwoitości nie pozwoliły nią na złamanie karku pędzić po schodach, i ona tylko-tylko przestąpiła próg, dokładnie skrywając

ciekawość. Ja już nie stałam się spieszywat'sia, i ceremonię pożegnania podjął się Rołar, obsypywawszy damę komplementami i zmysłowo pocałowawszy uprzejmie przeciągniętą rękę (Diwiena zdumienie przekrzywiła się na jego nieuchwytną brodę, lecz niczego nie powiedziała). Wampir ani trochę nie grał przesadnie, jakby i istotnie czastieńko zachadzał w królewski pałac, odwiedzając “spokrewnioną jako kuzyna kuzynkę”. Ciekawie, gdzie on mógł nauczyć się ogładom? Już ściśle nie w witiagsoj koszarom. Może, Orsana prawa, i go {je} i istotnie nataskiwali jak uniwersalnego szpiega że w Legionie, że przy podwórzu?

Zanim wracać na trakt, wpakowaliśmy w osiedle, kupiliśmy u rzeźnika pud wprost od krowy wołowiny, w tym samym miejscu odcięliśmy od niej zdrowiennyj kawałek i kilka minut rzewnie obserwowaliśmy, jak wilk z ryczaniem jego upletajet. Które przechodzili obok ludzie rzucały na niego {nie} zawistnych, a na nas - oburzone przekonania, lecz mnie ten mało dotykało. Spróbuj ktokolwiek zawstydzić nas lub objechać, ja by wyzwieriałś na niego {nie} poczyściej wilka.

Zza wilka nam wypadło raptownie zmniejszyć tempo. On zupełnie mógł biec równo z galopującymi końmi, lecz było widać, jakich wysiłków mu to stoi. U mnie prosto serce rozrywało się, kiedy on zaczynał utykać i opóźniać się, a następnie robiło

rozpaczliwe szarpnięcie naprzód, doganiając. Wziąć go {je} na siodło ja nie mogłam, tak że wypadało nieomal co godzina zatrzymywać się i czekać, tymczasem {póki} on nabierze tchu i przekąsi. Za dzień przejechaliśmy najwyżej połowy zwyczajnego pieriegona. Wieczorem znów zamżył deszcz, i, kiedy na przodzie ukazało się miasto (“Bras,- zakomunikowało Rołar,- jedno z największych miast Oziernego Kraju; można nawet powiedzieć, jedyny”), zdecydowaliśmy nie kusić los i przenocować na postojach podwórzu, hałaśliwej ludnej okolicy, jakich rozbójnicy dotychczas dokładnie unikali. Do zmroku pozostawało najmniej dwu godziny, lecz my priedpoczi stracić ich, aniżeli życia.

Po miarach pustynnego Oziernego Kraju Bras liczył się nieomal stolicą, na sprawie będąc dużą wsią z ogryzkoobraznoj o mocy centrum, okrążonej przez niegłębokiego rwom (po sowmiestitielstwu który służył ściekowym rowem). W trwałości {twierdzy} zamieszkiwała niejaka niezbyt wysokopostawiona osoba, wycieńczona pochmielnym syndromem po wczorajszej gulanki, - nawet strażniki nie unikli tej żałosnej doli i teraz siedziały w kucki po obie strony mostu zwodzonego, trzymając się za pionowo postawione halabardy. Waleczni wojownicy przeprowadzali nas obojętnymi przekonaniem, nawet nie zainteresowawszy się dokumentami i celem wizyty w miasto.

Czym dalej od trwałości {twierdzy}, tym rzadszy wpadali

kamienni w domu; ich zmieniły drewniane chałupy, a tam i wcale mazanki. Na ulicach kipiało życie. Szczury, koty i wróble bez wszelkiego zażenowania szmygali między nogami rzeczowego i prazdnoszatajuszczegosia ludu. Zatrzymawszy jakiegoś oberwańca, dowiedzieliśmy się drogę do najbliższego postojalomu podwórze, które okazało się jedynym w miasteczku. Więcej niż i nie było potrzebnym: świętymi potęgami, malowniczymi rodzajami, historycznymi miejscami i innymi osobliwościami Bras pochwastat' nie mógł, a dla przejezdnych kupców zupełnie starczało {chwytalo} i jednego go {je}.

Po ironii losu, postojalomy podwórze szczelnie przyłączało się do cmentarza. Czołowa do niego droga okazała się jedynej przyzwoitej drogiego w tym podupadłym gorodiszkie. Na nią poślij tysiące płyt szarego i różowego granitu, więcej właściwego w elewacji świątyni. Po niej pragnęło chodzić całe życie. Po niej pragnęło przenieść narzeczoną na rękach. Ja bym nie zdziwiła się, dowiedziawszy się, że pogrzebowe procesje dotaskiwajut trumnę do kładbyszczenskich kołnierza i rozwijają się, żeby dla dogodzenia zmarłemu powtórzyć ostatnia droga na "bis".

Rołar, chichocząc, zakomunikował, że dwadzieścia lat w tył tu była zwyczajna wiejska ulica, niebrukowana i kołdobistaja, lecz następnie bielorskiej król umówił się z elfijskim na przedmiot wspólnej budowy nieostrego, lecz kapitalnego w domu

pałacowego typu i czołowej do niego drodze, żeby monarchowie i ich ambasady mógł bez zawad spotykać się na neutralnym terytorium Oziernego Kraju. Białorija odpowiadała za dom, jasnewyj Grad - za drogę. Elfy uczciwie spełniły swoją część namowy, a ówczesny brasowski gradoprawiciel nie wytrzymał iskusa i zwał razem z wydanymi na budownictwo przez pieniądze. Oficjalnie go {je} wciąż szukały i z powtórным finansowaniem nie śpieszyli się, chociaż nawet głupcowi było jasno, że gchyr znajdują, a o przyjsciu z powinną nie stoi i marzyć.

Z okien postojalogo podwórza otwierał się śliczny rodzaj na ogradki, nagrobki, wianeki, cwienczki i figury w czarnym, szlochające nad grobami. Gospodarz placówki i służąca dawno pritierieliś do tego żyznieutwierdzajuszczemu widowisku, lecz nieliczni postojalcy byli innego poglądu. Orsana starannie patrzyła sobie pod nogi, Rołar machinalnie wygwizdywałem znany motyw "Ostatniego pristaniszcza", ja zaś podrażnienie warczała, że zazwyczaj magom i ich satelitom płacą za nocleg na cmentarzu, lecz w żaden sposób nie na odwrót.

Płacić i nie wypadło. Na postojalój podwórze ja z wilkiem nie puścili. Gospodarz był nieugięty - jego żona ubóstwiała koszek, trzymała ich najmniej tuziny, koci smród płynął nie tylko z raspachnutych okien i drzwi - nawet z rury.

Pomyślałam. Mi nie pragnęło zostawiać wilka na ulicy; on

mógł znów zwać, ukąsić kogokolwiek, wszcząć bójkę z psami, lub, tego gorzej, nas znowu mogli dogonić mietamorfy. Na szczęście, pytanie pozwoliło się sam - jednego z miejscowych mieszkańców, przypadkowo podsłuchawszy nasza rozmowa, zaproponowała mi przenocować na jego szopie na siano. Tak że nie wiadomo, kto z nas okazał się w wygranej - ja na szopie na siano lub Orsana z Rołarom na przektóry śmierdział kotami cmentarz.

Wszystko noc siano szeleściła, piszczało i potrieskiwało, szare cienie biegały po ścianach i donośnie zeskakiwały na klatki z królikami. Wilk wciąż zrywał się z teren i ganiał natrętnych szcurów (bardzo mam nadzieję, że tylko ganiał), a wracając, skręcał się kłębkim u mnie w nogach i zaczynał szukać pcheł, dźwięcznie kłacaja zębami. Godziny w trzy histerycznie zarżał koń w sąsiedniej szopie. Wydało mi się, co to jest Smołka, wyskoczyłam ją odwiedzić i już na ulicy zrozumiałam - przypomniałam sobie, że zostawił koń na stajni postojałego podwórza, a głos podała jedna z gospodarczych szkap... Tak że noczka wysunęłam się ta jeszcze, ja nawet nie zapewniona, że w ogóle spałam, szybciej dorywczo drzemałam.

Obudziwszy się z pierwszymi kogutami, wyskoczyłam z szopy na siano, pukając zębami od chłodu. Słońce jeszcze nie weszło, a

na trawę wypadło tyle ros, że ją można było nabierać gośćmi. Zjadłszy śniadanie razem z gościnnymi gospodarzami, odwdzięczyłam się ich za nocleg, przeczytawszy nad zieleniącymi się grządkami zaklinanie “by w ogrodzie warzywnym wszystko rosło” (bardzo prostieńkoje i efektywne zaklinanie - po nim zgodnie puszczają się we wzrost marchewka, ziemniak, rzepa, burak, ogórki, koper, chrzan, lebiodę, mlec, pokrzywę i mokrica - na ogół, wszystko, czym mógł pochwalić się przyzwoity ogród warzywny).

Orsanu i Rołara spotkałam u wrót postojącego podwórza. Czule objąwszy rozdzielającego ich słup, oni każ powolną i, niewątpliwie, rzeczową rozmowę, naprecz zapomniawszy o osiodłanych koni, które zdążyli rozejść się po okręgu. Mnie trochę uderzenie nie starczyło - Smółka, nicztoże sumniaszesia, kończyła jeść świerkowego, przewitego przez wstążki wianek na świeżym grobie, a ogiery melancholiczno szczypały trawę wokoło obomszelych nagrobków. Zauważywszy mnie, wampir i najemnica odskoczyły w strony, zalali się rumieńcem i, synchronicznie wykaszlawszy się, życzyły mi dnia dobrego. Milcząco wetknęłam palcem na bok cmentarze, oni obrócili się, stęknęli i rzucili się łowić czworonożnych swiatotatcew. To okazało się nieprostą sprawą - za noc odzież i włosy przyjaciół tak przesiękły kocim migiem, że konie parskwały i cofali się, rezygnując dowiadywać się

gospodarzy.

- Przed wieczorem będziemy w Arlissie,- obiecał Rołar, jakoś śladiw z Karasikom. - Tylko wpierw zrobimy nieduży hak i zajedziemy w Kuriaki.

- W kurnik? - nie dosłyszała Orsana. - Po co?

- Ku-ria-ki. Nazwę siadła, a zgodnie i największego w Biełorii koniezawoda. Zupełnie prawdopodobnie, że łożniaki razzywajutsia końmi właśnie tam.

- A jeżeli nie?

- Posiadacze koniezawodow, jak i każdy handlowcy, konkurują przyjaciel z innym i doskonale wiedzą, kto, kiedy, kogo i ile sprzedał.

- Tak on tobie i powie! - zwątpiłam, w porę szarpiąc Smółku za powód. Która przechodziła obok baba tak i nie domyśliła się, w jakim niebezpieczeństwie były ją nosidła, które zainteresowali wszystkożernego konika cwietastoj malowaniem.

- Nie powie z chodu - zaprowadzę w ciemny kąt, szeroko uśmiechnę się i zaproponuję obopólnie korzystną współpracę. -- Po spokojnej osobie wampira nie wolno było domyślić się, żartuje on lub mówi poważnie.

Ruszyliśmy w drogę, lecz na wyjeździe z Brasa bardzo trafnie zauważyłam sklep {ławkę} znachora-brodźca, śpieszyłam się i, poprosiwszy przyjaciół troszeczkę obczekać, zaszłam do wnętrza.

Magiem jej posiadacz nie był, lecz w trawkach orientował się, wszystkie oni byli zebrani po przepisach i w terminie, to jest wyjątkowo skuteczne. W sklepie {ławce} pobylam nie dluzej pieciu minut, u znachora znalazlo sie potrzebne snadobje, i on nie zaczalem lamac cene, a ja, nalezycie {zgodnie z}, targowac sie. Niedbale wlozywszy pakietik w kieszen, rozliczylam sie, wyszlam i znów wskoczyłam na konia. Orsana bez szczególnego zainteresowania zapytala, ze mi tam bylo potrzebnym, na co ja taki sam obojnetnie odpowiedzialam, ze prikupila jaki-jakich ziol w zamian zuzytych. Dziewczyna troche wyraźnie poczerwieniala, zdecydowawszy, ze chodzi o zoladkowych kroplach, a ja nie zaczalam ja wyperswadowywac. Tymczasem {poki}, przynajmniej, by ona nie obrazila sie jeszcze wiecej niz.

Kuriaki otworzyli sie przed nami ze szczytu wysokiego lagodnie polozonego pagorka, i ja nie utrzymalam sie od zdumionego westchnienia - wszedzie, dokad ani spojrz, rozciagalosie nieobjete raznotrawnoje pole, zapoloniennoje koñmi i budynkami. Wieś, jezeli tak go {je} można nazwac, wiecej niz przypominalo obóz wojenny na postoju - konie padly sie, dokazywali i przebiegali z teren na miejsce, wokolu ich krzatali sie ludzie i psy, ciagnely sie wozy z workami owsa i wozy z sianem; blinnyje stajni przeplatali sie z wiejskimi chatkami i ogorodikami, i

tylko w centrum było jakieś podobieństwo placu, okrążonego przez domy sklepowego typu z pstrymi szyldami.

Rołar nie pojechał w mieszkalną część wsi, a zaczął pietlat' wśród koniuszen, sosriedotoczenno przysłuchując się - raczej {słuszniej}, wnikając, jak sam nie był pewnego, kogo lub że on szuka, i obliczał na natchnienie. "Na wampirje węchu",- poprawiłam, i ono jego nie podprowadziło: Rołar rozplynął się w radosnym uśmiechu i pewnie skręcił do drzwi piętą po wyniku {rachunku} stajni. Oni byli raspachnuty otworem, boksy stały puste, lecz w końcu korytarza, w ostatnim zagonczikie z lewej strony, ktoś grzebał się, niegłośnie burcząc i miarowo rzucając na wartościową w przejściu wózek bryły końskiego obornika.

Wilk priniuchałsia, nastawił uszu, lecz ryczeć nie zaczął. Rołar niegłośnie kaszlnął, przerywając burzliwą zniwną działalność. Z boksu nastorożenno wyjrzał krępy gnom z widłami naprzewagę, ślepawie zmrużył się, próbując dojrzeć trzy ciemne figury na tle bryzgającego słońcem projema, a następnie wydał triumfujący krzyk, upuścił widły i rzucił się nam naprzeciw.

- Upiór ja rozdrzyj z wszystkimi moimi podrobami! Rołar, dawne czasy, wróciłeś! - Niski brodacz podskoczył i zwiśł u wampira na szyi. -- A już myślałem...

- Orum, przyjacielu! - Rołar serdecznie poklepał gnoma po plecach. -- Ja nie tak już i stary, nie przeszedłem i sześćdziesięciu

lat z wymiany pierwszej setki!

Rozwarłszy objęcia, gnom ześliznął się na pleć {podłogę} i gorąco potrząsnął wampirowi rękę.

- Ot już kogo nie czajał zobaczyć! Chodziły pogłoski, że ciebie... - Orum osieksia, zauważywszy mnie z Orsanój. -- A to że za krasotki? W jakim stopniu pamiętam, ty nigdy nie ciągałeś za sobą dwu dziewczic od razu, gy-gy-gy!

- To nie dziewice, to złośliwa wiedźma i krwiożercza najemnica. Oj! - Rołar chwycił się za whisky, schłopotaw dwie zaszczeliny jednocześnie. -- Ja zaś mówiłem! Złośliwą kliczut wolchą, krwiożerczą - Orsanój. Hej, dosyć rozpuszczać ręce! Ja zaś nie przeczę, że wy - krasotki!

Zamierzyliśmy się na niego {nie} w trzeci raz, lecz rozmyśliliśmy się.

- Oni wiedzą, że ja - wampir,- objaśnił Rołar dla uniknięcia dalszych nieporozumień.

- O! - poważnie powiedział gnom, oglądając nas z autentycznym zainteresowaniem. Widocznie, próbował zgadnąć, czym zasłużyliśmy taki honor. Potem przeprowadziło spojrzenie na wilka, który siadł u moich nóg, i jego oczy ostatecznie zaokrągliły się. -- No i sprawy...

- Sprawy,- potwierdził Rołar. -- Trzeba coś omówić.

- Tak jakiego różna tu sterczymy?! - oprzytomniawszy, z

dawną energią zagrzmiał gnom. -- “Srebrna podkowa” dawno otwarta!

- Niczego nie mam sprzeciwiasz się,- uśmiechnął się Rołar. -- Dziewczynki, mam nadzieję, wy bardzo głodne? “Srebrna podkowa” nie pieści swoich klientów wytwornymi półmiskami i stołecznym serwisem. Prawda, choć bardzo to dziwny, nikt jeszcze nie otruł się... toczniej, nie poskarżył się...

Gnom zerwał skórzany robotniczy fartuch, zarzucił go {je} na drzwiczki boksu i wrzasnął na całe gardło:

- Kar'ka-a-a! Dokąd zaprzepaść, mrakobiesowo nasienie?!

- Zdiesia,- szczelnie, z wartości przewarczało nad naszymi głowami. Na belce, zwiesiwszy jedną kosmatą łapku i podkuliwszy inną, siedział, poswierkiwaja czerwonymi zapałami nieproporcjonalnie ogromnych oczu, średnich rozmiarów domowiczok. Istota krótkim nożykiem strugała skrawek brzozonej czurki, dodając mu rodzaj niewybrednej łyżki. Domowiczok odłożył niedokończony podświerk, wyprostował się, zwiesił drugą łapku i niewzruszenie strząsnął trociny z kosmatego brzucha prosto w zwróconych do niego osoby.

Gnom, ściśle rozwścieczony mośka, zaskakał w miejscu, obsypując domowiczka zawiłymi przekleństwami, w której wspomniał dobrą setkę krewnych nieczistika, jak również okoliczności, przy których Orum marzyłyby zobaczyć ich wszystkie

w trumnach.

- Czawo tobie, brodaty? - niewzruszenie przeburczał domowiczok, wklinowując się między gnomjim wydechem i wdechem. -- Czawo kudakajesz, czawo mastierowat' nie dajesz? Nie widzisz - mieniem zaopatruję się, dawiesznieje-to zupełnie w szczepu rozeszło się, mleko chlebat' niespodruczno.

- Ja tobie szczas jak pochlebaju - z uszu popłynię! A no, zleż żywo! Praca dla ciebie jest!

- Czawo nadyt'-to? - leniwie zainteresował się domowiczok, oba ruczonkami czyszcząc brzuch od drobnych strużek, których znowu-jednak lecieli w dół, nie poprawiając gnomowi nastroju.

- Stajnię doczist' tak świeżej zkruchej prisyp', żeby wwieczorowi konie na suche i czyste wrócił!

- A czawo mi za to będzie? - trudogolizmom domowiczok pewnie nie cierpiał. Drobne domów biesiata doskonale niezasłużenie korzystały w ludzie z szacunku, osiedlając się w chatach wyjątkowo dla własnej wygody, a wcale nie w pomoc gospodarzom, jak te naiwnie sądzili; doprosić się od domów jakichś społecznie pożytecznych działań udawało się tylko po długotrwałych namowach i posułów, przy czym oni byli gorazdy chlebat' nie tylko z postawionego obok piece spodeczka, lecz również prosto z zapomnianego na stole garnka, bo i bezwstydnę w onyj plunąć. Osobno bezczelne domów wzorowo raz

miesięcznie odgrywali przed gospodarzami spektakl swojego uroczystego odejścia z posady "izbianego szczęścia", to jest związywali łyżkę w węzełek na pałeczce i niespiesznie, by zdążyć zatrzymać i pozyskać, kuśtykali do progu. Tym niemniej, sielanie czcili przed tymi pogancami, a na ofertę {zdanie} wypędzić zaktóry rwał się biesienka mogli wypchnąć za próg samą wiedźmę.

- Dula z makiem!

- A drożdżówka z twarogiem? - Domowiczok rzeczowo obliznuł się.

- Ach ty, wymogatiel mochnozadyj! Będzie tobie drożdżówka!

- Z twarogiem? - skrupulatnie uściślił Kar'ka.

- Z gchyrom!!!

Szwark! Ja nie zobaczyłam, jak domowiczok zeskokczył w dół, dopiero co on siedział na belce i w tym samym miejscu powstał w niedoczyszczonym boksie. Nie tracąc czas na próżno, biesienok rozwinął taką burzliwą działalność, że obornik poleciał z drzwi z potrojoną prędkością.

- Pójdźmy, pójdźmy zaś szybciej! - Gnom, priplasywaja od niecierpliwości, szarpnął Rołara za rękaw. -- Jest duża rozmowa, duże pragnienie i duży głód, a u nas bardzo mało czasu, po obiedzie ja powinien jechać w Bras za owsem dla koników!

- Co się stało, Orum? Coś z Le... Powielitielniczej? - wyraźnie zaniepokoił się Rołar. Gnom rzucił wiele mówiące spojrzenie w

naszą z Orsanój stronę.

- Powielitelińcej?.. Kchm-m... No zgoda. Żywa-zdrów, jeżeli ty to chciałeś usłyszeć. Ot tylko sbriendiła ostatecznie. Kwatera, siadiem za stolik - opowiem wszystko po kolei, bo na czczo myśli plączą się.

Zmarszczywszy się, Rołar przyśpieszył kroku. Ledwie dojrzewaliśmy za nim {nimi}, gnom w ogóle przeszedł na bieg, lecz nie skarżył się, naprzeciwno - wyprzedził nas i pierwszym otworzył na oścież przekrzywione drzwi starej-przestarej chatki, po porożek ubiegłej w ziemię i obrośniętej mchem do samej rury.

Przybita nad drzwiami podkowa z łuku biciem "Na szczęściu!" rozmiarami przypominała chomut; w nią górnej części przylepiło się łastoczkino gniazdo, a w nim dobrym matem wrzeszczały dopiero co które wykluli się pisklęta, spostrzegłszy podlatującą roditelińcu. Mi pomyślało się, że jeżeli ta przektóra rdzewiała oriasina spadnie komukolwiek na głowę, szczęście on odzyska tylko w następującym życiu.

Prignuwszy, my jednego za innym przeszliśmy pod zachęcającą podkową, by zanurzyć się w dymiący półmrok korczy. Gnom zapytał u który podbiegł malcziszki, wolny jego ukochany stolik, zaświecił i zaprowadził nas w najciemniejszy kąt, nieco dalej od drzwi i okien.

- Co dzisiaj na obiad? Mięso jest?

- Ryba rzeczna smażona, kapuśniak wczorajszy, kotlet “Sytny”, baranie żebra w czosnkowym sosie i kapusta duszona na dodatki,- obojętnie wyliczyła dziewczyna w zasalennom, niegdyś białym fartuchu.

- Mi rybę,- powiedziałam.

- A mi kapustę z kotлетem. - Orsana dokładnie obejrzała krzesło, lecz jednakże siadła, chociaż czarna plama w centrum podejrzenie przypominała źle zmytą krew. Wilk wlaź pod stół i zwarzył się kałaczikom.

- A nam wszystkiego razem, tak powiększy! - chochotnął gnom. -- Stój! Dokąd poszła?! I po kubku piwa, oczywiście!

- Wykładaj,- zażądał Rołar, nie doczekając się realizacji zamówienia. -- Że zdarzyło się w Arlissie po moim... odjeździe?

- No, najpierw ona rwała i miotała... - Gnom kaszlnął i osieksia. -- Na Ogół, Powielitielnica go nie zaaprobowała. Ona w żaden sposób nie oczekiwała, że podporządkujesz się ją idiotycznemu poleceniu.

- Jakiemu poleceniu? - żywo zainteresowała się Orsana.

- Nią potrzebny był swój człowiek w Legionie,- objaśnił Rołar, spojrzeniem wzywając przyjaciela do milczenia. Popatrzałam na wampira najmniej elokwentnie, lecz on przełożył wydawać się jawnym i bezwstydnym kłamcą, aniżeli otworzyć prawdę.

- Szpieg? - pogardliwie parsknęła dziewczyna. -- Tak ja i

wiedziałam!

- Szybciej, sogladataj,- zmiękczył stwierdzenie Rołar. - Obserwował, uczył się, przejął się migiem, lecz przed drzwiami nie podsłuchiwał i sekretnych map nie kradł. I co dalej?

Nie wiem, jak Orsana, a ja mu nie uwierzyłam. Co to jest za “sogladataj”, który nie pojawia się w Arlissie miesiącami i, podobnie, w ogóle nie ma związku z rodzoną doliną?

- A dalej zaczęła się sama uciecha... - Gnom sprzątnął ręce ze stołu, dając rozstawić przyniesionych przez dziewicę półmiska. Od nich opierał się nie najprzyjemniejszy, lecz zupełnie jadalny zapach. -- Otóż, tu-to ona i sbriendiła. Stali się nią wszędzie mierieszczit'sia wrogowie, spiski, zamachy. Do publicznych straceń sprawa, chwała Wielkiemu podgórze, nie doszła. Ci, kto pomądrzej i, należycie {zgodnie z}, popodozritielnieje w oczach Powielitielnicy, dali drę przy pierwszych zaś przejawach niebezpieczeństwa. Więcej naiwnych doczekało się wydalenia, pozostałe przycichły, jak myszy pod miotłą.

Gnom odrzucił w tył kółko i rytmicznie zbulgotał piwem w łyku. Rołar chmurnie bębnił po stole palcami, trawiąc usłyszannoje. Orsana ukąsiła kotlet raz, inny, odsunęła na kraj talerza i zabrała się do kapustę. Myjąc ryba, naprzeciwiwo, okazała się zupełnie niebrzydka - albo też zgłodniałam więcej niż, czym myślałam. Zjadłszy kilka kawałków, ja priwstała i przeciągnęłam

się za solniczką, a zgodnie niepostrzeżenie posypywałam talerz z chlebem szarym poroszoczkom ze szczepoti.

Orum sosriedotoczennie zażuł piwo baraniną, rzucił obgryzione riebryszko pod stół, Stamtąd tylko chrupnęło.

- Potem ją przebiło na wrogów na skalę światową. Niby to, i ludzie jej rozprzepiękną dolinę nie szanują, i elfy jakoś podejrzenie uszami strzygą, a już gnomy - ci ściśle szpiegują na Wołmieniju! Trołlej ona wszystkich powypędziała jeszcze z zeszłego razu... no, pamiętasz, kiedy dzieci jej odegrały...

- Pamiętam, pamiętam. Bliżej do sprawy.

- Bądź łaskaw. -- Gnom smutnie zajrzał w pusty kubek i podsunął do siebie miskę z kapuśniakiem. - A tu jeszcze doradca nowy u niej ogłosił się. Jakiegoś z napływowych, nikt w Arlissie go nie wie. Czy to on ją nauškiwajet, czy to prosto taki głupiec, że popustitielstwujet, - stuczak go wie. Na ogół, teraz w Arliss nikogo, prócz wampiry, nie puszczają. Mieszane rodziny pozwiewały w Dogiewu i Żyłek.

- Duch leśny wie że! - Rołar podrażnienie, z głośnym stukiem postawił kółko na stół, kapuśniak zapluskał się w talerzach. -- Ona w ogóle rozumie, że robi? Zgoda jeszcze ludzie, lecz po co obierać się na konflikt z innymi rasami?

- Dziękuję,- jadowicie powiedziałam. -- Bardzo popochlebiana

- myślę w ekonomicznej skali,- opędził się wampir. -- Iza

dwadzieścia przyjeżdżających w Arliss handlowców dziesięć - elfy i driady, sześć - gnomy, troje - wampiry z innych dolin, i tylko jeden - człowiek. Jedna sprawa stracić jednego kupca z dwadzieścia, i zupełnie inny - dziewiętnaście!

- Patrzcie no, jak orientujemy się w handlu międzynarodowym,- zjadliwie przeciągnęła Orsana. -- Że zaś ty nie poszedłeś do Powielitelińcy w doradcy?

Rołar i Orum jakoś to dziwny na nią popatrzyli, lecz niczego nie powiedzieli.

- To wszystko? - zapytał wampir u gnoma.

- Nie, nie wszystko. Co więcej, że u Powielitelińcy dach pojechała, tak i u poddanych nie wszystko w domu! Podtrzymują ją oba rękoma, skrzydłami, kłami, na ogół, czym ani dostanąc się. Widziałem w najbliższych dniach naszego ogólnego znajomego, Kobbiera. Tak on wpierw udał, że mnie nie dowie się, a potem... potem... nie słów! Nie, ty przedstaw, jaki nikkzemnik? On... on... nie postawił swojemu staremu przyjacielowi i kruzeczki piwa! - Orum udusił się od oburzenia. Nie wiedząc Powszechnego, po tragicznym grymasie i nadrywaniu w jego głosie można było przypuścić, że niefortunny Kobbier prikonczył gorąco ukochaną matulę gnoma.

- Nie przeżywaj, Orum, uzupełnię tę tragiczną zgubę,- obiecał Rołar, dźwięcznie mlasnąwszy palcami nad głową.

Podsłuchawszy do stołu chłopak zręcznie strząsnął z tacy dwie kółka piwa, tak tak, że obie wstali doncami na stół, a czapki żółtawej piany popęzły wzwyż z zagrażającą prędkością.

Orsana z leniwym zainteresowaniem raskowyriwała przyniesiony kotlet, wyciągając z niej łachmany nieokreślonego pochodzenia.

- Teraz pojmuje, dlaczego kotlet podaje się "za Sytną", - zamyślona zakomunikowała ona. -- Jednego-dwa ukąszenia - i pojmujesz, że nie tak już i głodny...

- Wczoraj na stajni zdechnęło ledaszczij źrebię, - mrugnął porozumiewawczo gnom, ze świstem wciągając piwną pianę. - chciałem odciągnąć go {je} na skotomogilnik, lecz ktoś mnie wyprzedził...

Orsana szybko postawiła talerz na płec {podłogę}. Wilk priniuchał się i jednym ruchem języka sgrieb kotlet razem z resztkami dodatków.

Która przechodziła obok raznosczica nachyliła się za pustym talerzem; niewzruszoność, z którą dziewczica postawiła ją na tacę razem z innymi naczyniami, zmusiła mnie zadrzeć. Mam nadzieję, oni ich chociażby spłukują?! - Oj, jaka psina! - tymczasem zasepleniła raznosczica, przysiadając się na kucki obok z wilkiem. -- A można ją pogłaskać?

- Można... - zmęczyło się pozwoliłam, odchylając się na

oparcie krzesła. -- Tylko ten nie psina, a wilk, i obcych on nie kocha.

Dziewica podskoczyła jak oparzona, odsunęła rękę. Wilk leniwie przeprowadzał ją mrużonym spojrzeniem i znów opuścił mordę na przednie łapy.

- A ty teraz w Arliss? - niewyraźnie zainteresował się gnom, dożewywają umoczonego w czosnkowy sos chleba. -- Nie radzę... Zwłaszcza z nimi...

Rołar kiwnął na wilka:

- my niemamy wyboru.

- A... jasnieńko. No że zaś, sukcesu wam. Daj choć kosmyk włos na pamiątkę, w urnie jeszcze jest miasteczko!

- Szutoczki u ciebie... - skrzywił się Rołar i objaśnił dla dziwiącego się audytorium: - Gnomy spalają swoich nieboszczyków i przechowują czasticzku ich prochów w ogólnej pogrzebowej urnie. Po spaleniu spokojnym wszyscy przyjaciele i krewni biorą po jednej szczypcie popiołu na pamiątkę.

Najstraszniejszą obrazą u gnomów liczy się zmoczyć się w pogrzebową urnę wroga.

- Dlatego urny wypada chować, i możliwie tszczatielnieje,- podchwycił gnom. -- Właściwie Mówiąc, właśnie tak straciłem dwie poprzednie...

My prysnuli ze śmiechu.

- Orum, ja ot co chcę zapytać. -- Rołar odstawił pusty kubek i wprost popatrzył na gnoma. -- Ty nie wiesz, kto i dokąd sprzedaje młodych koni, przeważnie gniadych, rasy biełorskiej rysistyj? Mnie interesują partie więcej niż dziesięciu sztuk.

Odpowiedź nas oszołomiła.

Za ostatnie trzy miesiąca sto pięćdziesiąt doborowych ogierów z Kuriakinskiego koniezawoda byli sprzedani... w Arliss.

- Co za bzdura?! - tak i wzwił się Rołar. -- Po co nam konie? Kjaardy o wiele wynosliwieje, riezwieje i mądrzej!

Ja bym nie zaczęła twierdzić tak kategorycznie. Możliwy, Smółka i była mądrzej zwyczajnego konia, lecz wykorzystwała swój rozum jak rzadko głupio.

- Niestety, na kjaardow napadł mor,- z bólem rozłożył ręce gnom. -- Barysznik, który przyjeżdżał za końmi, skarżył się, że ich nie uspiwajut zakopywać {zakrapiać}. Nasi żeriebcziki powynosliwieje okazali się...

- A kobyły, że - też zdychają? - zaniepokojone zapytałam.

- Nie wiem, lecz biorą jedne ogiery. Zapłacili za pięćset głów naprzód, przerwały {wybiły} ceny naszych stałych klientów, teraz konie idą tylko w Arliss.

My zaniepokojenie wymieniliśmy spojrzenia.

- myślicie, to związane z... - Ja nie zaczęłam kończyć mówić, przyjaciele i tak doskonale mnie pojęli.

- Nie być może,- stanowczo oświadczył Rołar, - zbieżność!

Oni mogli kupić koni i wcześniej, trzy miesiąca w tył, lub w ogóle nie w Kuriakach.

- A widno-gniadzi lub ciemni? - uściślił gnom.

- Niby by najzwyczajniejsi, rude.

- Nasi łoszaduszki-to, - uśmiechnął się Orum, - my jedynych czystą linię rozprowadzamy, śledzimy i za artykuł, i za okrasom. Kuriakinskich koni i znakować-to nie trzeba, każdy znawca z pierwszego spojrzenia odróżni.

- Ja nie jestem znawcą, - opędził się wampir,- a maść sama że ani jest rozpowszechniona, u każdego drugiego sielanina takiego Gniedko po polu pług tiagajet.

- Ty że?! - oburzył się gnom. - Porównał wiejskich szkap z naszymi skakunami! Tak widziałeś, jak oni wyszagiwajut? Jak szyję dumnie wyginają? Jak głowę toczoną trzymają? Poczyściej innych królów.

- A już jakie jabłka akuratne lepią - zalubujesz się, tak by i zjadł,- ponuro potaknął Rołar.

Gnom nasepił się i przeciągnął się za trzecim kubkiem - Orsaninój. Najemnica do niej nie dotknęła, i teraz sprzeciwić się nie zaczęła.

- W każdym wypadku w Arlissie trzeba trzymać ucho wostro,- zamknęła najemnica, roztargnienie poszczypywają chlebową

kromkę. -- Nie łożniaki, tak rusalki z wampirami-rasistami; duch leśny wie, że gorzej,

Rołar ścisnął zęby, poigrywają guzami na kościach policzkowych, lecz zmilczał. U mnie odpołożyło się od serca - chleba jedli wszystko, i od kupionego w Brasie żguczejada nikomu źle nie stało się. Smółkie ja, oczywiście, ufałam {powierzałam}, lecz czym duch leśny nie żartuje? Rołara i Orsanu ona widziała każdy dzień, lecz od rana jakoś to dziwny na nich krzywiła się i starała się trzymać się nieopodal. Oczywiście, nią prosto nie podobał się zapach kozzaty, którego odczuwałam nawet ja. Podobnie, w nocy koty dokonały podłej dywersji i zaznaczyły moim przyjaciółom buty z cholewami, przy czym tak sumiennie i obficie, że napomykać o nikczemnym duchu było w wyższym stopniu nietaktowne. Dzieci i bez tego były bardzo nawet w kursie.

- Z rusalkami jeszcze problem,- chmurnie dodał gnom, starając się nie patrzeć na złamanego Rołara, - posszybali krakienami wszystkie mosty, wplaw i w bród przeprowiać się nie dają, palą {topią} bez gadania. Wzdłuż rzek rohatyn uprzedajuszczich nawtykali, desek z napisami chulitielnymi, o jakichś rokowaniach i słyszeć nie chcą. Duch leśny wie, że na nich znalazło.

Wampir w gniewie stuknął po stole pięścią, puściwszy długą szczelinę wzdłuż deski:

- Jakiego lada?! Dokąd patrzy ten przeklęty Danawiel?

- Ja jego dawno nie widziałem. Nikt nie widział. Ty zaś wiesz, on i bez tego niezbyt chętnie szedł na kontakt z lądowymi, wszystko tylko diwę dawali się, jak u ciebie wychodziło z nim {nimi} żyć w zgodzie. Niepotrzebnie odjechałeś, Rołar. Ty jedyny, kogo ona choć czasem słuchała. Na tobie trzymała się wszystka...

- Dosyć,- wampir raptownie wstał, nieomal wywróciwszy krzesło. -- Jedziemy w Arliss. Natychmiast!

Sądzę, nawet gdyby nam przyszło do głowy sprzeciwić się, on nie zacząłby i słuchać.

NACZELNIK {ROZDZIAŁ} 20

Granicą Arlissa, w odróżnieniu od Dogiewy, była nie droga, a rzeka, która zamknęła dolinę w okrągłą pętlę. Przyjechaliśmy nie po trakcie, a prostą ścieżką z Kuriak, i strażnicy granicznej, równa się jak i wampiry w ogóle, w pobliżu nie było. Na tym brzegu obok siebie do wody zaczynał się wiekowy las, przeważnie dębowy, lecz wiatr już donosił tutaj nasiona z jasniewego Gradu, i skraj lasu ożywiała panna młoda porosl białych jesionów, a u ich podnóża na całego kwitli Elfiell Viresta, złote elfijskie dzwonki.

- Przeprować się-to jak będziemy? - chmurnie zainteresowała się Orsana, napinając cugle i spieszywając za dwie sażeni do

brzegu wody - już boleśnie elokwentnie kołysały się nad brzegiem biesformiennymi skrawkami, niegdyś które były odzieżą.

Mostem, jak i mówił gnom, nawet nie pachniało. Pachniało szlamem, tuchlatiną i jeszcze jakąś świnią, która pomalowała wodę w nienaturalny czerwony kolor.

Pociągnęłam nosem i auctoritatively zamknęłam:

- Woda jest zatruta.

- To zaś rzeka, wolcha,- niepewnie sprzeciwił się wampir,- jak ją można zatruć?

- Spójrz, woda nie porusza się. Widocznie, ją zatamowali w pieriekriestje pętli, a następnie wleli kilka butelek trucizny. Już dawno, inaczej tu byłoby nie przesychnąć od rozkładającej się ryby.

Rołar akurat zszedł z konia, przytrzymując się za przednią łuk {cebule}, lecz ręka, drognęła, ześliznęła się, i on worem klepnął się na ziemię. Skręcił do mnie wykrzywione przez zgrozę osobę:

- A jakże ruszałki?

- Jeżeli oni nie zważali na wzniesienie zapory, to nimi też nie wyszło na dobre. A ot krakiemy mogli wyżyć - i żyli, sądząc po tym, że most jak dawniej jest nieobecny.

- O bogowie... - Wampir, nie wstając, objął głowę rękoma i wtulił frontem w kolana. -- Jak ona mogła?! Za co?! U nas zaś były przepiękne stosunki, zawsze mogliśmy umówić się, zdecydować

wszystkie pytania pokojem {światem}...

My ze współczuciem milczeliśmy, taki sam doskonale pojmując, że bez polecenia lub chociażby wiedzy Powielitielnicy tu nie obeszło się. U wody brzęczała {świerzbiała} moszkara, z trzaskiem pędziły ważki, a w oddali, wśród rzadkich sitowi, karmiła się kaczka stajka. Niepodatna do jadu drób, pogodnie snująca na tle martwej rzeki, produkował więcej okropnego wrażenia, czym gdyby wszędzie pływał rusałoczji trupy.

Po przeprochodzie dziesięciu minut Rołar opanował się, głęboko westchnął i podniósł się. Osoba u niego była nienaturalne spokojne, jak które ścięło się.

- Iść do głównego mostowi u traktu nie ma sensu - najprawdopodobniej, on też jest zburzony. Brodu nigdzie nie, pozostaje tylko wpław. -- Wampir początków było rozbierać się, lecz przechwyciłam go {je} za rękę.

- Poczekaj, takie rozwiązania naprędce nie przyjmują. Skąd wiemy, jakiej świni tam nalali? Może, przez parę dni te sławne upunkty zgodnie przeciągną nóżki, naklewawszyś które zdechnęły ważek?

- Lecz przecież ambasada jakoś przedostała się na ten brzeg,- zamyślona powiedziała najemnica. -- Tratwę puścili lub tam tymczasowy mostek naprowadzili, w jedno briewnyszko.

- Osobiście ja nie zaryzykowałabym przedostawać się przez

rzekę po briewnyszk, jeżeli przedtem krakien rozwalił kamienny most. Rołar, a w Arlissie jest “efekt brudnopisu”?

- W ramach doliny, za rzekę on nie rozpowszechnia się.

- A magowie?

- Rok w tył nie było, i wątpię, że pojawili się, raz dolina zamknięta dla innych ras.

- Do jakiego, trafnie, odnosimy się i my z wolchą, - przypomniała Orsana.

- Władcy i Stróże mogą przychodzić w doliny, kiedy nimi będzie aprobować, i doprowadzać z sobą kogo wygodnie,- opędził się Rołar.

- No tak,- mrocznie potaknęłam,- jeżeli u Strażej Granicy nie przyzwyczajenia robić uprzedzający strzał w brzuch, a potem pytać, kogo duch leśny przyniósł.

- Straży na to i Straży, by z daleka odróżniać swoich od cudzych. Ty dobrego myśl, jak nam dostać się na tę stronę!

- No i wymyślę. -- Ja pownimatielnieje przyjrzałam się do rzecce. Nie taka już ona i szeroka, sażeniej dwadzieścia pięć, ponadto - stojąca, powinien był wyjść. Zszedłszy do wody, kucnęłam, zamknęłam oczy, kilka minut pomilczałam, sosriedotacziwajaś, a następnie cicho, czule, jednym długim świszczącym słowem wypuściłam powietrze zaklinanie. Od moich rozwiedzionych ręk potoczyła się przezroczysta, iskrząca się

ścieżka. Dotknąwszy tego brzegu, ona oślepiająco połychnęła zielenią i zginęła.

Bardzo zadowolony z rezultatu (po raz pierwszy stosowałam zaklinanie mostu na terażniejszej rzece, a nie między dwoma taboretami w szkolnym audytorium), cofnęłam się w tył i dotyczącym obrazów gestem jarmarocznego zazywały zaprosiła przyjaciół zacząć przeprawę.

- Co, prosto po wodzie? - nieufnie uściśliła Orsana.

- No tak. Wiedźma ja lub nie? Idź, nie bój się. -- Ja demonstracyjnie poszłam jedną nogą na wodę, przeniosłam na nią ciężaru ciała, pary raz zakołysałam się tam-tutaj i poszłam z powrotem na brzeg. Ścieżka z honorem wytrzymała próbę, w czasie go {je} stawszy się jeżeli nie widocznej, to zgadywanej - z oba stron nieruchomego pasa pobiegły drobne fale. -- Tak, i oczy koniom ugrzęźnijcie, by nie wzbrykiwali.

Na pewien czas czarnoksiężstwa ja nieopatrznie wypuściłam smycz i, tymczasem {póki} przyjaciele grzebali się w torbach w poszukiwaniu odpowiednich ścierek, wilk po własnej inicjatywie zdecydował podjąć się rolę pierwoprochodca. Ścieżka z lekka była sprężystym pod jego łapami, a bliżej do środka legońko zawibriowała, klepiąc po wodzie, jak długa giętka deska, opierająca się tylko na końce.

- Główne {Rzecz najważniejsza} - nie śpieszycie się,-

zamknęłam, obserwując za wilkiem, zamaszystym skokiem który pokonał ostatnią sażeń,- wtedy ona małego będzie kołysać się. Lecz również nie zatrzymujcie się, inaczej “mostek” zacznie prosiedat’ i rozpadać się pod nogami.

Orsana potargała Wianeka po szyi, by skryć niepokój, wzięła ogiera pod uzdę i stanowczo poszła na ścieżkę. Dziewczyna i koń, aki posuchu tupiące po wodzie, zupełnie mogły zapoczątkować przepięknej legendzie o młodych niewinnych pannach i igrieniewych jednoroźcach, doprowadź się w pobliżu jakiegokolwiek wrażliwego mieniestriel. Lub kolejnej złowrogiej flaneli o wampirów, jakim, upiorom proklatuszczim, i rzeka nie zawada - Rołar na wszelki wypadek wyczekał, tymczasem {póki} Orsana osiągnie tego brzegu, i poprowadził Karasika za nim.

Zatrzymałam się dłużej, zmieszanie poczesywają w tyle głowy - czarodziejska rezerwa znowu była w normie, odbudowawszy się jeszcze bystrzej, czym tamtym razem. I wycieńczył się on w ogóle? Ach, żal, od razu nie sprawdziła... Pogrążona w zadumy, ja niewiadomość po co wskoczyłam na konia, i ta zwykle ruszyła z teren. Kiedy oprzytomniałam, było późno: Smółka już tchórzyła przez rzekę, znajdując sposób tak miękko i przemyślane stawiać kopyta, że mostek prawie nie kołysał się. Sootwietstswienno nie było i marszcz po krajach, lecz kobyła pewnie szła naprzód, jak po terażniejszym deskom. Kilka sekund ja skazany mrużyłam oczy,

oczekując głośnego plucha, a następnie zrozumiałam, że raz ta parszywka wietrzy magię, to zupełnie zdolna i widzieć ją.

My tylko-tylko mijaliśmy środek rzeki, jak przezroczysta ścieżka wypięła się trójsadzonym garbem i równa powierzchnia przekształciła się w strome schodzenie. Smółka, nie utrzymawszy się, osiadła na tylne nogi, i my z piskiem potoczyliśmy się w dół, jak na sanoczkach z lodowej górki. Za plecy coś wyło, sapało i pluskało się, Rołar i Orsana walecznie (to jest obnażywszy miecze i nie obracając się do rzeki plecy) rozbiegały się w różne strony, a wilk, nastroszywszy się i wyszczerzywszy się, przypadł do ziemi. Bądź u nas oczy na tyle głowy, my ze Smółkoj piszczelibyśmy jeszcze głośniejszy: który wynurzył się z głębi krakien spróbował chapnąć nas sablewidnymi zębami, lecz niedużo chybił i w paszczę mu dogodziła ścieżka. Niosący się do powierzchni smok nabrał niemałą prędkość i wyskoczył z wody na jedną trzecią srebrzyści-zielonego ciała, odciągnąwszy ścieżkę, jak strzała cięciwę. Co zdarzyło się dalej, nietrudno domyślić się - ja i koń koziołkując wylecieli na brzeg, a nadzwyczaj zakłopotany krakiena z podwójną prędkością poniosło w dół, następnie znów szarpnęło wzwyż i znowu w dół, jak wiszący na strunie spinacz. Po piątym lub szóstym drgania "struna" uspokoiła się, smok rozwarł zęby i powoli zatonął, sprowadzając na nos wypięte oczy i bezwolnie chodząc kołyszając się wszystkim ciałem.

Smołka po inercji przejechała kilka sażeniej na tyle, potem wpadła na sposób wyrównać się, nie zrzuciwszy amazonkę. My nie zdążyliśmy nawet do rzeczy przestraszyć się, lecz, spojrzawszy na blade osoby moich przyjaciół i które wyciągnęły się mordy ogierów, żywo doszły do tej zaś kondycyi. Spieszywał'sia ja nie zaczęłam, obawiając się nie utrzymać się na drżących nogach.

- Do-dokąd t-teraz? - "rzeško" dowiedziałam się.

- T-tam. -- Wskazującego pierst Rołara drżał najmniej, na konia mu udało się wskoczyć tylko z drugiej próby. W rodzajowi była wąska przesieka, tradycyjnie dla wampirjich dolin która zaczynała się nie od samego skraju lasu, a za krzakami. W Dogiewie takich było przewielkie mnóstwo; określić, w jakim miejscu trzeba prodirat'sia pod na zewnątrz nieprzystępny las, mógł tylko starego mieszkańca, znającego się na wszystko tutejszych tropki. Na zwyczajnych zaś drogach stały strażnice, legitymujące i pobierające wjazdowe cło.

Rołar szczekotnuł konia ostrogami, ten pochylił głowę i taranom poszedł pod krzaki, z chrupaniem łamiąc i rozsuwając gałęzie. Wianek raskaprizniczała'sia, i Orsanie wypadło zrobić trzy kręgu, raz po raz podprowadzając go {je} do krzaków, od których on odwracał w ostatnią sekundę. Choć bardzo to dziwny, wriedniczała i Smołka, dla której dotychczas pojęcia "bezdrożę" nie istniało. Ona nie to by sprzeciwiała się sprzeciwiasz się

chłozzczących po mordzie gałęzi, szybciej nią w ogóle nie podobało się na tym brzegu i myjąc pomysł jechać dalej. Lecz wypadło: z Naczelną Wiedźmą, ponadto uzbrojonej prętem, nie podyskutujesz.

Zanim krzaki zwały się za końskim kłębem, obejrzałam się na rzekę, i ścieżka, powtórnie połychnuw, zginęła.

Arlisskij las był mračnieje dogiewskiego - może, z nieprzyzwyczajenia lub z za pochmurnej pogody, jak zawsze która zepsuła się przed wieczorem. Nie śpiewały ptaki, chociaż w liściastym lesie, tak jeszcze w końcu wiosny oni zazwyczaj nie milkli z wczesnego ranka i do głębokiej nocy, inspirującej słowików. Nad głowami nieprzyjaźnie szeleściły ciemne dębowe żółcienie chromowe, do osoby i końskim nogom raz po raz lepiała się zakurzona pajęczyna. Dogiewskije Straży chodzili właśnie po takich ścieżkach, "efekt brudnopisu" związywał ich w jedyną sieć, dając możliwość patrolować dokąd większą dzielnicę granicy, czym można obejść za dziesięć minut. Ani o jakiej pajęczynie, tym bardziej zakurzonej, tam i mowy nie szło, pająki nie zdążyły naciągnąć i dziesiątki nici, jak Straży znów ich rozrywał. Niedbałość tutejszych żołnierzy straży granicznej, obliczając, że Arliss przepzeklinał z wszystkimi rasami, budziła czujność. Czyżby oni obliczają na krakiena? Tę kreaturę nie tak już trudno

przeprowadzić lub odciągnąć, zwłaszcza jeżeli ty jesteś mag lub masz paroczkę “zbytecznych” satelitów.

A tu jeszcze ze Smółki zaczęło tworzyć się coś niedobre. Podkuliwszy ogon i wciągnąwszy szyję w siebie, ona pochrapywała, parowała, bryzgając pianą, szła po dziwnej falistej trajektorii, dziko krzywiła się po bokach, odskakiwała od które wypełzli na drogę korzeni.

- I dlaczego my nie uściśliliśmy objawy choroby? - spóźniło się martwiłam się, nie pojmując, że odbywa się z moją bojową przyjaciółką. Rojar proponował mi zostawić konia w Kuriakach i przesiąść się na jego ogiera, lecz zrezygnowałam, chociaż Smółka podlegałam podwójnej groźbie - i jak na pół kjaard, i jak kobyła. Coś nie wierzyło się mi w tę historię z ogólnym morom. Jeżeli to taka już prlipcziwaja i śmiercionośna zaraza, dlaczego za trzy miesiąca ona nie wyszła poza granice Arlissa? I Lona, któremu na pewno o niej zakomunikowali, nie życzył zmienić Wolta na zwyczajnego konia. A on nie z tych, kto lezie na rożon z czystego uporów. Będzie wychodzić, wiedział lub podejrzewał coś niewiadomą mi.

Śpieszywszy się, obejrzałam Smółkę od stóp do głów, przemacałam brzuch i propassirowała auru, lecz żadnych odchyłeń, nie licząc dziwnego zachowania się, nie ukazałam.

- Według mnie, ona prosto boi się,- przypuściła najemnica.

- Krzaków i drzew?
- Tego, kto w krzakach i za drzewami.
- Rołar, a ty kogokolwiek wietrzysz?
- Nie. Najwyżej pary białko precz na tym dębie.
- Chyba Nie u mojej kobyły taka ostra forma bielkofobii.
- I chyba nie na jego słowa można zdawać się na serio,-

podchwyciła Orsana. -- Osobiście mnie nie zostawia odczucie spojrzenia w plecy.

- Mnie też,- zgodziłam się. -- Ręczę, Smółka go też czuje.

- U was mania prześladowcza, dziewczyny, - wyrozumiale rzucił wampir. -- Nie ufacie {powierzacie} mi - popatrzycie na mojego ogiera: i uchem nie prowadzi.

- Co z was, chłopów, weźmiesz... - westchnęła Orsana. --

Rołar, w ogóle masz pojęcie o takiej rzeczy, jak żeńska intuicja?

- A, masz w rodzajowi żeński ekwiwalent logicznego myślenia?

- Rołar, a gdzie Straże? - spóźniło się spostrzegłam się. -- W Dogiewie oni dawnym-dawno by nas zatrzymał lub chociażby ukazał się zza drzew i przywitali się. Ani jednemu człowiekowi, jeżeli jego przyjazd nie był uzgodniony z Władcą, nie udawało się przeniknąć w głąb doliny nawet na setkę kroków. Straże Granice odróżniały się węchem, nie który ustępował samemu Władcy, i rozpoznawali nieznajomych za półwiersty.

- Nie wiem... - Rołar obejrzał się po bokach, chociaż po moim pytaniu, wyprzedzonym przez wyszukiwania bodziec, i tak było jasno - w pobliżu nie ani jednego Straż. -- To dziwny... Prawda, wtedy mało kto korzysta... Lecz dla Straż to nie ma znaczenia, on natnie ciebie w samej niepróżnej czaszczobie.

Pogrzebałam w kieszeniach i zaproponowałam Smółkie chlebową skórkę, lecz ona roztargnienie powąchała ją i odwróciła się, kontynuując wysmatriwat' niewiadomego złydnia.

- Zgoda, niczego nie popiszesz, pojedziemy dalej. - włożyłam nogę w strzemię, lecz wskoczyć na konia nie zdążyłam. Smółka nagle pisnęła, kropka-w-kropka jak przy napadzie łożniaków, i stanęła dęba, młócąc drogą powietrzną pazurami. Utkwiwszy w striemieni, klepnęłam się na plecy i ze świstem wyleciałam z sapoga, który razem z kobyłą uniósł się po powrotnej trasie, do rzeki.

Pytać, wszystko ze mną na zasadzie, nikt nie zaczął - ja jednym szybkim ruchem przeplłynęłam w siedzące położenie, samo zdziwiwszy się własnego sprytności i żywotności. Zresztą, u nas były troski poważniejsze - kogo bić i dokąd drapat', jeżeli dla pierwszej troski wrogów będzie trochę za dużo.

W przydrożnych krzakach cicho chrupnęła gałąź. Jedna, druga, jeszcze bliżej... Rołar i Orsana zharmonizowanie blesnuli mieczami, zebrałam się, gotowa rzucić pulsar w pierwszą zaś

niesympatyczną różę lub mordę, lecz tu gałęzie drgnęły, rozsunęły się, i na ścieżkę przed nami wyskoczyła mała ruda sarna. Poruszyła długimi uszami, przekrzywiła się na malowniczo która zamarła grupę i na złamanie karku rzuciła się precz.

- Doskonale,- mój ton i wyraz twarzy absolutnie nie pasowały z sensem powiedzianego,- prosto wspaniale. A teraz za niej z wyciem i gikanjem wyskoczony stado wilków i tłum rozbójników, i skonamy od zgrozy przed, czym oni do nas dobiegną.

- Tak nie tam nikogo,- zmieszanie sprzeciwił się Rołar, wkładając miecz w pochwę.

- Otóż Właśnie, nie. I kobyły mojej też nie. Wy coś pojmujecie? - wstałam, podkulając bosą nogę i żywo przypominając sobie kolegę po nieszczęściu, nieznanego sielanina z zanaczką w sapogię.

- A ty?

- Mogę tylko przypuścić, że ktoś tu prikołdowywajet. I bardzo chwacko, dlatego że ja niczego nie czuję. Zaraza, wszystkie moje rzeczy i zioła zostały w siedielnych torbach, a bez nich sprawdzić ten domysł niemożliwie. ("Dobrze choć żguczejad z kieszeni nie wyłożyłam",- umyślowo powiedziałam ja).

- Fantomy, jak w tym zamku, tylko niewidoczne? - zrozumiała Orsana. -- Lecz po co wampirom straszyć swoich zaś koni?

- Nie ma po co,- potwierdziłam. -- Znaczy, to robi kto inny.

Edakaja mała, lecz grzejąca perfumuję świństwo, przez zemstę za wydalenie.

- Człowiek?

- Ila rusałki. Oni umieją czarować - prawda, po swojemu, bez zaklinań. Nimi jakoś udaje się zgęszczać wokół siebie magiczną energię i przekształcać ją na siłę myśli.

- Wśród elfów i gnomy też jest maga, - przypomniał wampir.

- Lecz ich nie truli, jak rusałek, i oni nie zaczną zmieniać się na drobne świństwa.

- Jak ludzie?

- Otóż Właśnie.- mrugnęłam porozumiewawczo wampirovi z takim płutowskim rodzajem, jak nie myślałam życia bez codziennego sabotażu. -- Rusałkom zaś nic inne nie pozostaje - wyjść na ląd i stoczyć walkę z nas w otwartą oni nie mogą.

Mi wypadło-jednak wleźć na Karasika z tyłu Rołara. We dwoje w jednym siodle było ciasne i niewygodnie, szerokie plecy wampira osłaniały przegład z przodu i częściowo z boków, a chybotającym się nogom okropnie nie starczało {chwycić} striemian. Ja wszystko norowiła przybudować {umieścić} ich na piętach Rołara, tak że on też nie wypróbowywał radości od mojego miłego sąsiedztwa.

- Lecz zza zatrutej rzeki rusałki nie mogą zbliżyć się do Arlissu, jakże nimi udaje się naprowadzać fantomy?

- Może, dlatego ją i przetruli? Chociaż ty ma rację, fantomy trzymają się od siły pary dni. No, wtedy nie wiem. Najwyżej ktoś jest regularnie nasyłają ich z innego brzegu.

- Udając rybaka? - szazwiła Orsana. -- Schować się tam nie ma gdzie, a zdjąć jego strzałą prostszy prostego.

- Opala się na słoneczku,- przypuścił Rołar, w kolejny raz strząsając moje nogi. -- Ila krów padnie, z innej strony doliny jest nieduża dierewienka.

- niepotrzebnie uczepiliśmy się za jedyną wersję. -- Ja niezadowolone powierciłam się w siodle, nieomal wypichnuw z niego wampira. Urządzić się poudobnieje nie udało się, lecz chociażby odsiedziany tył rozmiękczyła...-Czym dłużej my ją dyskutujemy, tym prawdopodobnie ona zdaje się, a przecież ten zaledwie przypadkowy domysł. Co, jeżeli sprawa wcale nie w fantomach? Nagle ten...

I tu nareszcie-to pojawiły się Straże.

U kobiety, która odrzuciła się na oparcie tronu, były chłodne fioletowe oczy, władcze, nieprzyjemnych i w tym samym czasie czarujące. Krótkie włosy, jasne do srebrzystej bieli, toporszcziliś w artystycznym bałaganie. Zmysłowe usta nie skrywały pogardliwego uśmiechu, a ostra linia nosa dodawała osobie jeszcze dużą pychę. W roli jedynej ozdoby występowały złote kolczyki w

formie trlistnikow koniczyny z długimi trzonkami-łańcuszkami.

Piękno Leriejenu nie poddawało się krytyce, nawet samego błahej. Turkusa sukienka z gładkiego, przelewającego się i chłodnego z wyglądu jedwabie gęście otaczała idealną figurę. W głębokim, do środka biodra, rozcięciu widniała zgrabna nóżka, ledwie dotknięta przez opaleniznę. "I czym ona Lona nie dogodziła?" - wbrew woli pomyślałam.

- Chranitielnica - człowiek. Trzeba zaś,-- Powielitielnica rzuciła jedną nogę na inną, i rozcięcie otworzyło się na oścież w całą długość. Mężczyzna na moim miejscu zszedłby śliną. Kobieta, zresztą, też - jadowitej, od zawiści. Ja zaś patrzyła na Leriejenu doskonale obojętnie, jak na rzeczowego partnera, z którym zbierała się zamknąć nadzwyczaj ważny dla nas oba transakcję. -- On był pewnego, że odezwie się na twój zew, - zamyślona i niezrozumiale kontynuowała Powielitielnica, szacujące ślizgając się po mnie spojrzeniem. -- Dlaczego, ciekawie? Co takiego już ważnego on nie to smog zakomunikować komukolwiek innemu?

- Na przykład, wam? - nie utrzymawszy się, z jechidcej uściśliłam.

- Mi? - Wampirsza zkrzywiła się, jak zrobiłam nią nieprzyzwoitą ofertę {zdanie}. -- Nie. Zazwyczaj ten Naczelną Trawnica. Zresztą, jego Kiełła już zbyt stara dla Chranitielnicy.

Uczciwie mówiąc, ja nie pojmuję, dlaczego on dawnym-dawno nie przesunął ją z tego posterunku, tak jeszcze pozwala nią siebie dowodzić. Bądź ja na jego miejscu, Trawnica swoje też by wiedziała.

- Tak już, nas nie podowodzisz,- przewarczałam, krzywiąc się na niewzruszonych Strażej, ściskających moje nadgarstki, jak dwa stalowych potrzasku.

Mnie, poniżająco rozpiętą między dwoma wampirami, tak i przeciągnęły do samego miasta. Dobrze choć pozwolili naciągnąć ofiarowanego Orsanój but, inaczej ja bym do krwi zbiła bosą nogę. Jeszcze dwóch Strażej każ pod uzdycy ogierów; Rołar i Orsana, jednakowo nasepiwszy się i przechowując dumne milczenie (to było nietrudno, Straże same obrywały każdą próbę zacząć rozmowę), trzęśli się w siodłach ze skrępowanymi za plecy rękoma. Wilk biegł riadyszkom, nie dając wampirom schwycić lub chociażby odwiązać linkę. U W domu Narad (w arlisskom wykonaniu on więcej niż przypominał kupieckie choromy z białego elfijskiego granitu) nas rozłączyli - przyjaciół nakaż dalej, a mnie, po godzinnym oczekiwaniu na ganku, powlekli na "audiencję".

Choć bardzo to dziwny, Leriejenie popochlebiał ten podejrzany komplement. Ona niedbale machnęła ręką, wampiry wypuściły mnie i zharmonizowanie cofnęły się na krok. Jeszcze jeden ruch, i

zostaliśmy w Domu jednych. Potarłam narzekające nadgarstki. Ciekawie, może ona czytać moje myśli? Ja na wszelki wypadek postawiłam magiczną obronę od telepatii, lecz w bezpieczeństwie wszystko jedno siebie nie czułam. To zaklęcie szybko rozpadało się, wypadło każdych pięć-dziesięć minut jego podnowlat', a to drażniło, wymatywało i przeszkadzało pleść inne zaklinania.

- Siadaj,- kiwnęła Powielitielnica na jednego ze stuljew, zwróconych do długiego stołu w centrum sali. Rezygnować było głupie. Leriejena wstała, z kryształowym stukaniem kabłuczkow-szpilek przeszła się po marmurowym polo i siadła naprzeciwko, szcypiwszy ręce pod podbródkiem. Pojedynek spojrzeń przegrałam na pierwszej zaś minucie. Patrząc nią prosto w oczy było niezdolnie, szczerą pogardą mieszała się w nich z litością - tak materyj wilk patrzy na szczekającego szczenięcia, przez głupotę który zagroził mu drogę do owczarnie.

- Co zaś, ten jego sprawę i jego prawo,- nareszcie powiedziała Powielitielnica. -- Ważny rezultat. Sądzę, oświadczyłaś się w Arliss, by przeprowadzić obrzęd na moim Kręgu? Czym zaś ciebie nie urządził Dogiewskij?

“Nie czyta,- oblegczo pomyślałam. -- Ila udaje, czeka, spróbuję ja ją zaczarować?”

- Ja nie zdążyłam w Dogiewu do upływu dwunastu dni

- Jaki dzisiaj?

- Dziesiąty.

- Ty zaś wiedźma,- powiedziała ona takim tonem, jak zarabiałam na życie czyszczeniem wywoślarskich jam, - co tobie boks {kosztował} teleportował'sia prosto w Dogiewu lub chociażby skrócić droga do niej?

- Ja nie mogłam od razu złapać wilka, a teleportacja nie zostawia śladów, po którym on mógłby mnie znaleźć.

“I, uczciwie mówiąc, ja tak do rzeczy nie oswoiłam tę procedurę. Zaniósłoby w jasnowyż Grad, na klomb ze świętymi różami, a potem udowadniaj rozwścieczonym elfom, że chybiła”.

Leriejena niewyraźnie chmyknęła.

- Jak ten zdarzyło się?

- Wasza ambasada dostała się w rozbojniczym zasadzkę. - My jeszcze po drodze przez las umówiliśmy się nie mówić Powielitelnice i arlisskim wampirom o łożniakach. Zanim przekonamy się, że mówimy nie z nimi zaś.

Ona i okiem nie mrugnęła, nawet nie zainteresowała się, ocalał ktokolwiek z niej poddanych. Czy to ja nie niepotrzebnie skrytniczała, czy to takie drobne {drobnostki} jej nie wzburzały.

- Kto to był?

- Troli,- ze względu na prawdopodobieństwo skłamałam. W wampiry ona by nie uwierzyła, a trołjich klanów staw prudi, ta rasa słynie z nieokiełznanego usposobienia i lekceważenia do

śmierci, że swojej, że cudzy, bez litości rozprostowując się z niepotrzebnymi świadkami. Szukać wśród nich morderców Władcy na próżno, a wojnę ogłaszać głupio, oni raschochoczą się i prosto nie przyjdą.

- Czy Naprawdę? -Leriejena, widocznie, też przypomniła sobie znane przysłowie: “Śmiały tylko na siebie narzeka, a u tchórze wiecznie tróli winnego”.

- Właśnie tak,- z kamiennym frontem potwierdziłam, udając, że nie zauważam szczerzej ironii w głosie sobiesiednicy. Oskarżyć mnie o mord ona wszystko jedno nie mogła, inaczej po co by mi, Chranitelnice, tak rwać się o Arliss zamykać Krąg? Wampirsza zmieniła temat:

- Jak wpadliście na sposób przedostać się przez rzekę, nie skorzystawszy wiszącym mostem?

- Gdybyśmy wiedzieli, gdzie on, skorzystaliby z przyjemnością.

- U rzeki obok Arlisskiego traktu stoi informator. Na dzisiejszy dzień to jedyna droga w dolinę, most naciągnięty w dwa sażeniach nad wodą, i rzeczne kreatury do niego nie dostają.

- przyjechaliśmy ścieżką z Kuriak. -- Mnie pokonywała okropna pokusa posypywać ją porozczkom, lecz doskonale oddawałam sobie sprawozdanie, że demaskować łożniaka pośrodku kizmia kizaszczygo nimi miasta - nie najmądrzejsza

idea. A jeżeli ja nie prawa i Powielicielnica zauważy, że zapylam ją jakąś świnia, nam z przyjaciółmi nie wyjdzie na dobre jeszcze więcej niż.

Podobnie, Leriejena soczła moje odpowiedzi jeżeli nie uczciwymi, to chociażby przekonującymi, i niegłośnie, trzykrotnie klepnęła w dłonie. Z drzwi do wewnętrznych pokojów wysliznął się służący z tacą, postawił go {je} przed nami i taki sam bezszelestnie zginął. Wysoki srebrny czajnik, upiększony przez cienkie rytownictwo, dwie filiżanki i dwie górki klutej czekolady na tartełoczkach, jasny i ciemny. Powielicielnica samego rozlała po filiżankach czerwony napój, pachnący jaśminem,- równo z krajami, ani na włos poniżej. Jedną postawiła przede mną. Płyn nawet nie poruszył się. Ja z trudem utrzymałam się od pokusy zakołysać filiżankę, żeby przekonać się, że tam nie lód. Jak podnieść ją do ust, ja nie przedstawiałam.

- Przejdziemy do sprawy. Kiedy przeszłaś ceremonię poświęcania?

- Prepraszam?

Leriejena bez problemów dała sobie radę z przewozem filiżanki, zrobiła mieleńki łyku, wzięła kawałek ciemnej czekolady i, zanim położyć w usta, wyjaśniła:

- Jak dawno stałaś się Chranicielnicą?

- Dwa i pół lata w tył. Lecz żadnej ceremonii nie było!

- Nie śmiesz. Nieco za mało... - Leriejena uważnie, nawet kilka nonszalancko przyjrzała się do mnie, jak na wylot prześwietlając spojrzeniem. -- Lecz podstawowe przejawy istnieje, może, i wyjdzie... On bardzo ryzykował, wybrałszy dla tego celu człowieka. Ja nawet nie jestem zapewniona, że tobie uda się aktywować Krąg, nie mówiąc już o tym, by wejść i wyjść z niego.

Doskonale pojmując, że Powielicielnicu mi nie przyćmić, ja poprostemu wzięłam filiżankę oba rękoma, ostrożnie podniosłam i otchlebnuła. Potem przeciągnęła się za jasną czekoladą - nie na złość Leriejenu, prosto nie kochała gorycz, ją mi starczało {chwyciła} i w życiu. Teraźniejszy, elfijski, samego taje w ustom. Siedem kładniej za funt, po starminskim taryfom. Do swojego zdziwienia, takiej już ostrej antypatii do Powielicielnice ja nie wypróbowywałam. Szybciej niechęć, jak... do rywalki. Mądrzej i niebezpiecznej, z którą trzeba bawić się po zaproponowanym przez nią przepisom, inaczej skutki będą nieprzedszkajemymi.

- umiem pracować z Wied'minymi Kręgami, to zaś myjąc zawód. I, jeżeli wy objaśnicie, że właśnie ode mnie jest potrzebnym, ja wszystko zrobię.

- Zdumiewająco. -- Leriejena obniżyła głos do swistiaszego szeptu, jak tak ja nie smogowi jej usłyszeć. -- Ona ani razu nie widziałam, jak zamykajetsia Krąg, lecz dała zgodę... na takie zdolna tylko nieustraszona bohaterka lub rzadka idiotka, że,

zresztą, jedno i to zaś. Przecież on uprzedził ciebie o możliwym ryzyku?

- Tak,- skłamałam, nie pragnąc wystawiać siebie zupełnie już na pośmiewisku. -- Ma się rozumie. Prosto wszystkie jakoś nie podworacziwałaś wypadek popatrzeć. Ten ja w odjeździe, to z nieboszczykami przeboje, nie specjalnie zaś zabijać...

- Dlaczego by i nie? - chłodno sprzeciwiła się Powielitelnica. -- Z takimi rzeczami nie żartują. On że, zbierał się żyć wiecznie, tak jeszcze po swoich idiotycznych zasadach? Dziwię się, że on w ogóle spodobał się wybrać Chranitelnice, chociażby... taką.

“Jaką” - czekało domyśleć mi, i chód moich myśli mi bardzo nie spodobał się. Jeżeli on i odróżniał się od Leriejeninych, to chyba nie w gorszą stronę.

- Tak wy pozwolicie mi przeprowadzić obrzęd?

- Ma się rozumie. A ty w tego wątpiłaś?

- Jeszcze jak! - wyrwało się u mnie.

- Ja nie kłóciłam się z Lonom, mimo tego głupiego losowania,- Leriejena obrzydliwie podkuliłam usta, przelotnie spojrzawszy na białego wilka, nie odchodzącego od moich nóg w ciągu wszystkiej audiencji. Czasem porykiwają na Strażej, do Powielitelnice go ustosunkował się {odniósł się} doskonale obojętnie. -- przecież wiesz o nim, słusznie? Otóż, mi absolutnie wszystko jedno, kiedy i z kim on żeni się; dosyć, jeżeli on prosto pocznie mi dziecka.

Zaproponowałam mu taki wariant jeszcze tamtym razem, i jego zgodę - zaledwie pytanie czasu. Możliwy, on ma ukochana kobieta i on nie chce nią zmieniać. Możliwy, ją nigdy nie było i on boi się wykazał' swój brak doświadczenia. Co zaś, poczekam. Miłość nie może trwać wiecznie, jak, zresztą, i wstrzemięźliwość od onarzekaj. Tak że u nas wzajemna korzyść, dziewczyna. Arrakktur potrzebny mi żywym. I jeżeli tobie uda się zwrócić go {je}... mam nadzieję, pamiętasz powrotną drogę? Odprowadzać ciebie w Dogiewu będzie komuś {nie ma kogo}. Jej Władcy wypadnie zagostit'sia w Arlissie na nieokreślony termin, prosto proporcjonalny jego uporowi.

- A jeżeli nie uda się? - z drganiem przypuściłam.

Leriejena zagadkowo uśmiechnęła się, odstawiając pustą filiżankę:

- radzę tobie bardzo postarać się. Przychodź w świątynię jutro o świcie, i pokażę tobie, jak zamykajetsia Krąg. Nawet pomogę, chyba, - wątpię, że u ludzkiego dziewczęcia dosyć zdecydowania doprowadzić obrzęd do końca.

- A co z moimi przyjaciółmi? - spostrzegłam się.

- zarządziłam, by ich rozmieścił w gostiewom domu w sąsiedztwie. Ciebie do nich {niego} będą przeprowadzać.

Powielitielnica wstała i podeszła do okna, demonstrując wytworną, obnażoną do samej talii plecy. Bezskrzydłą, jak i

położone kobiecie-wampirowi. Tylko teraz zrozumiałam, że na ulicy istna ciemność, a w sali nie pali się ani jedynej świecy.

- Można jeszcze pytanie? - zapytałam, podnosząc się. Wilk drgnął i, podbiegłszy do drzwi, z nadzieją zadrapał ją łapą.

Leriejena półobróciła się, zdumienie wygięła brew.

- Gdzie wszystkie wasze Straże?

- Gdzie nimi i położone,- z lekka zmieszała się

Powielitelińca,- na Granicy!

- Do środka linki nam nie spotkał się żaden.

- Znaczy, wy ich prosto nie zauważyliście. W moim garnizonie więcej niż dwu setek Strażej!

- Znaczy, ja ich prosto nie zauważyłam. Dziękuję za audiencję, bardzo... przykro było z nas zapoznać się. -- otworzyłam drzwi, przepuściłam wilka naprzód i wyszłam za nim, nie zrobiwszy nawet aluzji na pożegnalny ukłon. Nie w moich przyzwyczajeniach odpowiadać grzecznością na nieprzykryte chamstwo. Spierać się z Powielitelińcej mi też nie pragnęło. Tym bardziej budować głośno przypuszczenia, dlaczego Straże nie zauważyły nas.

Wydało mi się, że już wiem odpowiedź.

Gostiewoj dom okazałem się niedużego drewnianej chatkój na podobieństwo tej, w której ja żyła w Dogiewie, u Kriny. Czysty,

lecz nieprzytulnego, on sprawiał wrażenie niezamieszkałego. Od nakrytego stołu smacznie pachniało smażonym mięsem, u ścian stały cztery łóżka i dwa szafy, w jednym z których akurat grzebała się Orsana, dobierając sobie pary nowych but. Kiedy weszłam, ona w tym samym miejscu obróciła się i wskoczyła z kortoczek, lecz witać mnie nie śpieszyła się.

Ustawiłam się na nią z nie mniejszym podejrzeniem. Zrobiliśmy parę kroków naprzeciw przyjaciel kumpla i ścięli się jak wkopani.

- Słuchaj, Orsana,- przesadnie rześkim głosem początku ja, rzucając {zapuszczając} rękę w kieszeń,- a nie pragniesz ty spróbować niejakiego nadzwyczaj pożytecznego dla zdrowia poroszoczka?

- Błagodarstwuju,- w ton mi odpowiedziała najemnica, cofając się do ściany,- ja i tak siebie bardzo nawet nieźle czuję!

- A jak inaczej dowiem się, że ty nie łożniak?

- A nuż ty sam łożniak i chcesz mnie zatruć?

- Tak ja to, ja, nie tarzaj głupca,- mlasnęłam palcami, i wokoło palącej się na stole świecy zakręcili się dziesiątki złudne baboczek.

-- Skopiować magiczne zdolności niemożliwie, to część perfumuj, a nie ciała. Pamiętasz, opowiadałam, że rozbójnicy wyzwali mnie "pustą" i chcieli prosto zabić?

Nastorożennoje wyrażenie stopniowo spełzło z niej osoby,

Orsana z westchnieniem ulgi poszła naprzód, lecz teraz już ja nie śpieszyłam się z niej obejmować się.

- Przeciagnij rękę. Nie tak, dłonią wzwyż.

- No ty i sypanuła! - stęknęła najemnica. - To mi zamiast kolacji, że?

- Liźnij chociażbym razok, tylko tak, bym widziała.

- A jak on działa?

- Ściśle nie wiem, te wilki pod drzewami czy to wciągnęły powietrze go {je}, czy to on prosto zaczął jeść skórę. W praktycznego magii żguczejad wykorzystana się jak komponent zatrutych przynęt, tak że do wnętrza ono raczej {słuszniej} będzie. Nie bój się, dla ciebie terazniejszego on nieszkodliwy.

- Poczekaj, tak ty mnie już sprawdzałaś? - Oburzyła się Orsana.

- Kilka Razy. I ciebie, i Rołara, nawet po krótkotrwałych otłuczek w kustiki. Liź dawaj, przeklinać potem będziesz. Nie starczało {chwyciła} mi jeszcze wysłuchać kupę wymówek, a potem okaże się, że od łożniaka!

Dziewczyna z wyrzutem przekrzywiła się na mnie, zmrużyła oczy i skazane liznęła dłoń. Podelektowała się, połknęła i liznęła znów, już z przyjemnością:

- Sładiejki. Jak mąka z cukrem. A on i to prawda pożyteczny dla zdrowia?

- Tuman ty,- zmęczyłeś się powiedziałam, przysiadając się na

najbliższe łóżko i chowając osobę w dłoniach. - Ja ledwie na nogach trzymam się, a ona jeszcze przebiera - szkodliwy, pożyteczny...

Przyjaciółka rozmyśliła się przeklinać i ulokowała się riadyszkom. Legonieczko podpichnęła ją ramieniem:

- Co się stało? Ona zrezygnowała tobie pomóc?

- Naprzeciwno. Nawet wyraziła życzenie pobyć obecnym, by wszystko przeszło jak trzeba. -- przekrzywiłam się na świecę i ta zgasła. Motyle prysnuli w strony, rozpuszczając się w lot, i dalej szeptaliśmy pomiędzy sobą w ciemności, niewidocznych z ulicy.

- Doskonale!

- Gdyby. Zbyt już lekko umówiliśmy się, wietrzę jakiś podstęp.

- W Arlissie nam nie rada, to ściśle,- Orsana zacięcie poskrobała komarinyj ukąszenie na nadgarstku. -- Niewolnikami nas nie nazywali, lecz gościem ja siebie też nie czuję. Szybciej, cennym zakładnikiem w obozie wojennym, przy czym z kim oni wojujut, niezrozumiale, a prosto nadarzyliśmy się pod gorącą rękę.

- Słusznie. Co więcej, - nas zbierają się wykorzystać, i ściśle wiem jak, lecz porobić niczego nie mogę. Boję się, nam pozostaje tylko obserwować za rozwojem zdarzeń...

- Zanim stanie się zbyt późno,- niecierpliwie oberwała mnie Orsana. -- A gdzie Rołar? Ty jego nie widziałaś?

- Nie. Go {je} zaś poprowadzili razem z tobą!

- Nas prawie od razu rozwiązali i puścili. Powiedzieli, by siedział cicho i czekali ciebie, lecz ochronę nie wystawili, i on w tym samym miejscu zwiął. Jak myślisz, on nie mógł...

- ...Zwabić w pułapkę was? - Rołar lekko przemachnął przez parapet. -- Nie. Dogodziłem w nią razem z nas. Źle sprawa, kołlegi.

Wampir rzucił mi jakiś przedmiot, i dowiedziałam się go {je}, jeszcze nie zdążywszy złapać. To była złoty obręcz Lona.

- Gdzie ty jego znalazłeś?! - wykrzyknęłam, dusząc się od niepokoju. Obręcz drżała w mojej ręce, szmaragd pobleskiwał ścianami w świetle księżycowym.

- W Leriejeninowej skarbnicy. Nią należy bdtielnieje chronić swój skarb. Orsana, jeżeli nie trudno - wyrwij ze mnie tę sztukę, bo ja nie mogę do niej dociągnąć się.

Rołar obrócił się do nas plecy, i zobaczyliśmy rukojať sterczącego z niej sztyletu. Widowisko było, miętko mówiąc, nie dla nerwowych. Sztylet wszedł głęboko, do oparcia, trochę poruszając się w takt przerywanemu oddychaniu wampira. Ja, oczywiście, widziałam i nie takie, lecz wszystko jedno ledwie utrzymałam się od wskrzyku, a już o Orsanie i mówić nie ma co {coś}.

- No, długo tam będziesz grzebać? - przynaglił wampir. -- Sadnit, między innymi!

- Ona nieprzytomny, Rołar,- smutno konstatowałam, badając tętno somlewszej przyjaciółki. -- Przynieś wody, a?

- Iść do studni ze sztyletem w plecach?! Może, mi jeszcze wiadro na niego {nie} przyczepić zamiast nosidła? Nie już, zwolnicie, nie zbieram się wystawiać siebie na powszechne pośmiewisko. Będziesz mógł wyrwać jego jednym szarpnięciem?

- Spróbuję. Połóż się na pleć {podłogę}, tak będzie udobnieje.

Rugnuwszy, Rołar ostrożnie nachylił się, wstał na czworaki i, nie utrzymawszy się od cichego jęku, położył się, złożony rękę pod podbródkiem.

- Dawaj, ciągnij,- dał komendę on. -- A-a-a! Tak nie rozluźniaj, nie siekierę z talii kart dostajesz!

- Cicho ty! Tymczasem {póki} tylko przymierzam się.

Orsana ruszyła się i otworzyła oczy. Zobaczywszy mnie konno na skupionym, oczekującym szarpnięcia Rołarie, z rękojeścią sztyletu w rękach, który ja akurat zbierała się czy to wyciągnąć, czy to wbić pogłębszy, odważna najemnica wróciła do przerwanego obmoroku.

- Trzeba coś zrobić z naszą legionierszej,- zaniepokojenie zauważył Rołar. -- Może, potrenować ją na... oj!

- Ot, zabierz na pamiątkę,- włożyłam mu pod nos zakrwawiony sztylet. Wampir jak gdyby nigdy nic siadł i wziął się oglądać pamiętną broń.

- Zabytkowy. Dotycząca broni szkoła Arlissa, ani z czym nie popłaczesz. Widzisz bruzdy wzdłuż ostrza? Tam jad. Nie przeszkadzaj sobie, działa tylko na ludzi.

Pośpiesznie wytarłam rękę o spodnie.

- Ciebie przyjęli za człowieka?

Na Rołarie goiło się miedlennieje, czym na Lona, chociaż krew zatrzymała się praktycznie od razu. Wampir rozebrał się do pasa, zmiął i rzucił w kąt zakrwawioną koszulę. Polazł w torbę za zapasowym.

- Choć Bardzo to dziwny. Już wampiry-to w takich sprawach nie mylą się.

- A kto na polanie przyjął rozpieszcząć za wampiry?- nie bez zdziwczęcia przypomniałam.

- Rozpieszcząć zaś, nie człowieka. Pasożyt, z krzaków rzucił, ja tylko świst usłyszałam. Lecz dlaczego on nie poczuł we mnie rodicza?

- Myślisz, wspłonałby bratnią miłością? - sceptycznie chmyknuła ja. -- A teraz posądź samego. Przyjechałeś w Arliss w kompanii dwa ludzkich dziewczek. Maskaradnuju brodę odlepić nie znalazł czas, skrzydłami nie wymachiwał, ze starymi przyjaciółmi pryludno nie gadał. Ot i narwał się...

- Tak przy czym tu broda i skrzydła, wampira z ich pomocą nie przeprowadzisz!

- A dlaczego by nam nie przypuścić, co to jest był wcale nie wampir? - odezwała się niepostrzeżenie która zmartwychwstała Orsana - jak okazało się, uważnie która słuchała naszą rozmowę. -- Mu udało się oszukać Rołara, lecz sam on nie potrafił skorzystać wampirjim węchem, równa się jak ich na siłę i żwawością. Ręczę, terazniejszy wampir zapędziłby tobie tę sztukę prosto w sercu, żeby już na pewno.

- Lecz mógłbym przysiąc... - Rołar osieksia i beznadziejnie machnął ręką. -- Zgoda, poddam się. Sprzeciwiasz się łozniakow mój węch jest nic niewart. Jak pomówiliście?

- Pomówili w porządku, lecz czuję się okropnie. Leriejena powiedziała, że nie wypuści Lona z Arlissa. I, boję się, mi odejść też nie da.

- Nie panikuj wcześniej czasu. Powielitielnica kocha doganiać na poddanych strachowi - sądzi, że tak oni usierdnieje będą wykonywać ją polecenia, lecz ja nie pamiętam, by miara określonego nią kary wyraźnie przekraczała wino. Utrzymywać Lona na siłę ona nie zacznie, inna sprawa, jeżeli on samego zechce zostać. Chyba nie on jechał w Arliss ze względu na jeszcze jedno losowanie.

U mnie przykro ścisnęło serce, lecz tylko na chwilę, szybko opanowałam się. Na co, właściwie, obliczałam? Paroczka i istotnie zebrała się - zagladienje, a już na zaproponowanych Leriejenoj

umowach, bez wszelkich tam małżeńskich i rodzicielskich zobowiązań, nie to że na niedzielku zatrzymasz się - przezimujesz! I nie o tym mówę, mnie niepokoiło zupełnie inny.

- Ty nie pojąłeś, Rołar. Len jest rzeczywiście potrzebny nią dla przedłużenia rodu, lecz wcale nie wampir! Ona - łożniak, i zbiera się zawładnąć jego ciałem od razu po zakończeniu obrzędu.

Dlatego-to nas tak chętnie i przepuścili w Arliss, nawet Straże naprzeciw nie wyślij, by nie spłoszyć -doczekał się, tymczasem {póki} my nie zajdziemy pogłębszy!

- wolcha, nie gródź bzdury,- z oburzeniem przerwał {wybił}

Rołar. -- Z czego wzięłaś, że myjąc Powielitelnica - łożniak?

Gdzie dowody?

- Tak chociażby ot to! - pomachałam u niego przed nosem złotym obruczem.

- Go {Je} prosto mogli podrzucić.

- W skarbnicę, dokąd chodzi tylko sam Leriejena tak złodzieje niby ciebie? Jaki sens? I ty byś widział, jak ona odreagowała na wiadomość o zagładzie całej ambasady! W żaden sposób! Jak nie dowiedziała się nic nowe, szpiedzy dawnym-dawno zreferowali nią o wyrwie operacji.

- Leriejena w swoim repertuarze,- z uśmiechem pokołysał głową Rołar. -- Ona będzie liczyć, że Powielitelnice nie do osoby pokazywać prości wampirji uczucia, którzy jakoby dyskredytują

ją. Lecz w głębi duszy ona pozostaje zwyczajną kobietą, wrażliwą i wrażliwej. Pewnego, teraz ona nerwowo miota się po tronowej sali, zamknąwszy okiennice i zdjawszy pantofle, by straż przed drzwiami nie słyszała stuku kabłuczkow.

- Ila, dość uśmiechając się, będzie kończyć jeść która została na stole czekoladę. Odgradzasz ją, dlatego że boisz się uwierzyć, że terazniejsza Leriejena martwa!

- A ty masz manię prześladowczą!

- Wy oba wpadacie w ostateczności,- wtrąciła się Orsana. -- Realnie mamy tylko rzuconego zza kąta sztylet. On udowadnia, że łożniaki w Arlissie jest, lecz ich nie tak już wiele, może, w ogóle jeden, samego nieujemnyj, który ugrzązł się za nami jeszcze od świętego źródła. Ten, że zwiął z wszystkimi końmi. On zaś mogła podrzucić w skarbnicę obręcz, by ztruć doliny - przecież wcześniej lub późno tutaj oświadczy się ambasada już z Dogiewy, zaniepokojone przez długotrwałą nieobecność swojego Władcy.

- myślisz, arlisskaja skarb kupą zwalona na tylnym podwórzu?

- oburzył się Rołar. -- Tam nie tak-to prosto przeniknąć, przed drzwiami stoi ochrona, a wewnątrz masa łowuszek. Wlazłem w skarbnicę przez tajny chód, o którym wiedzą tylko Powielitielnica i niektóre osobno mężów zaufania.

- Znaczy, ona ufa {powierza} nie tym, kogo trzeba. -- wyjrzałam przez okno i na wszelki wypadek zakreśliłam dom

strażniczym konturem. W odróżnieniu od ochronnego, on pracował tylko na uprzedzenie, przecież prócz szpiegów do drzwi mógł podejść i posłaniec, a mi zupełnie nie pragnęło zdawać sprawozdanie przed Powielitielnicej za jego nieczułe ciało. -- Lecz Orsana prawa - bądź Leriejena i wszystko jej poddani łożniakami, ciebie by nie próbowali zabić z cicha, a bez ceremonii chwycili wasi z Orsanój ciała, tymczasem {póki} siedzieliście ze skrępowanymi rękoma. Ot tylko wątpię, że łożniak tu jeden i przybył on w ślad za nami. Już boleśnie dziwne rzeczy tu tworzą się. Boję się, Rołar, że twoja dolina i jest ten zagadkowy rozsądnik mietamorfow, skąd oni raspołzajutsia po wszytkiej Biełorii jak prusaki.

- Majaczenie! - Wampir wskoczył i podrażnienie przeszedł się w tył-naprzód po pokoju. Doskonale, zresztą, bezdźwięcznie. -- Po co nimi wtedy było potrzebnym ekwipować w Dogiewu to triekłatoje ambasadę, tak jeszcze podzmieniać go {je} na powrotnej drodze? Dlaczego oni od razu nie wysłali za Arrakkturom łożniakow?

- Co Do ambasady mogła zarządzić Leriejena, wtedy jeszcze terażniejszy, a historia z zamianą... kjaardy! - zacieniło mnie. -- Oni z daleka wietrzą mietamorfow, i epidemia wśród nich nie przypadkowa. Prawdopodobnie, ich po prostu zatruli... prawda, nie mogę pojąć, czym, tu trzeba bardzo postarać się. Ambasadę, od

którego z piskiem odskakują wszystkie jadące w przeciwnym kierunku konie, zrzucając jeźdźców lub wywracając wozy, nie mogło nie wywołać podejrzeń. A oni w mig przzerośliby w pewność, przybiegnij Lona do pomocy Naczelnej Dogiewskiej Wiedźmy, budie taka sama była. A na ten moment ona, to jest ja, byłam!

- Co zaś ty, Naczelną Wiedźmą, od razu ich nie rozgryzłaś? - ze złością rzucił Rołar, znów usadowiając się na płec {podłogę} obok naszego łóżka.

- Nie niepokój się, wiedząc, że szukać, w mig by znalazła. Przeczytałaby kilka zaklinań, wzięła paroczku włosów, łyżkę krwi dla analizy, tu-to oni by i trafili się! Riegienierrowat' z prędkością wampirów oni nie są zdolni, jeżeli giną od pierwszego zaś poważnego zranienia. -- przeprowadziłam palcem po purpurowej szramie, która została w miejscu wyrwanego sztyletu. Rołar, pojeżywszy, wycofał się i narzucił koszulę.

- No dobrze, przypuśćmy,- nerwowo zgodził się on,- lecz dlaczego oni nie doczekali się zwroty ambasadorów, a wyjechali nimi naprzeciw? Jedna sprawa - zastać znieczeka uzbrojony do kłów oddział, chroniący Władcy i dlatego w najwyższym stopniu czujny i podejrzany, i zupełnie inny - wysledzić wampiry pojedynczo, przed drzwiami własnych domów, gdzie oni w żaden sposób nie oczekują napady.

Na ten ja akurat mogła mu odpowiedzieć:

- Myślę, zza “idiotycznych zasad” Lona, jak wyraziła się Leriejena. W odróżnieniu od ją, on nie chełpił się tytułem Władcy i nie brzydził się przyjacielskimi rozmowami z poddanymi. Na oficjalnych przyjmowaniach u niego nie było takiej możliwości, lecz za tydzień drogi on mógł blisko zejść się z ambasadorami i w razie zamiany od razu poczułby niedobre. Łoźniak może zawładnąć cudzym ciałem i nawet otrzymać dostęp do jego pamięci, - na nekromancji nas uczyli się badać trupy, oni i bez natryski wszystkie doskonale pamiętają,- lecz myśli-to u niego będą zupełnie inne! Jeżeli skryć ich od Władcy całkowicie, to wywoła jeszcze duży podejrzenia. Znaczy, ich albo podrabiają, albo dokładnie sortują. W każdym wypadku oni wyraźnie będą odróżniać się od dawnych.

- Wszystko Jedno, coś nie klei się,- pokręciła głową Orsana. -- Raz oni nie zbierali się podzmieniać Władcę wtedy, po co on był potrzebnym nimi teraz, jeżeli magiczne, a należycie {zgodnie z} i telepatyczne zdolności nimi niedostępni?

- By przeciągnąć czas. Pseudowładca może kilka tygodni, bo i miesięcy pudrować mózdzek Radzie i mieszkańcom Dogiewy, uchylając się od swoich obowiązków pod pretekstem zmęczenia lub migreny, a łożniaki tymczasem zdążą rasplodit’sia w takiej ilości, że nimi staną się nie straszni zjednoczone siły wszystkich

Rozumnych ras. Tss!

Wstrzymaliśmy oddech. Uprzedzający sygnał konturu usłyszałam jedna, lecz jasne kroki odróżniłam nawet Orsana. Ktoś powoli przeszedł obok w domu, nie zatrzymując się i umyślnie szurając butami z cholewami.

- Szydź, łajdak, - z nienawiścią przesyczał wampir. --

Napomyka, że nam stąd nigdzie nie podziąć się. Może, wyjść i zwrócić mu sztylet? Jeżeli to terazniejszy wampir, wytaszczu i przeproszę...

- Nie wygłupiaj się. On tam niejeden.

Mówiłam nie na chybił trafił. Duch leśny wie skąd, lecz ściśle wiedziałam, że poza zasięgiem strażniczego konturu wokoło w domu krążą jak minimum pięć wampirów. I wampiry?

- Nie ma po co ich prowokować. Obrzęd przeprowadzę w każdym wypadku, przecież ten jedyna możliwość zwrócić Lona. A tam po umeblowaniu rozzabieramy się. Leriejena powiedziała, że Krąg znajduje się w jakiejś świątyni, gdzie ten?

Rołar kiwnął na okno, za którym wysiło coś ciemne i imponujące.

- Tuż Obok, w centrum placu. Ty należyty byłaś obok niego przechodzić.

- Uczciwie mówiąc, nie zwróciła uwagi. Nie do tego było. A ile wampirów jest obecnym przy obrzędzie?

- Zazwyczaj w świątynię będzie wchodzić Władca i jednego z Seniorów, dla podubezpieczenia. Drzwi zamykają się z wewnątrz na belkę, a na zewnątrz dyżuruje Naczelnny Brodziec i stoi straż.

- To jest zostaną tam we dwoje z Leriejenoj, która zastąpi Seniora?

- Nie licząc wilka. Lecz on będzie mocno przywiązany, a ty na parze minut staniesz się absolutnie bezradnej.

- I nic nie przeszkodzi cię mnie zabić?

- Nie, zabijać Chranitelińcu w czasie obrzędu ona nie zacznie. Lecz może podejść do drzwi i odrzucić belka, wpuściwszy straż, która powiąże cię z Arrakkturom przed, czym wy oprzytomniejecie.

- Drzwi i belkę mogę zaczarować zawczasu. A tam nie nikogo ukrytego chodu, jak w skarbnicy?

- Tylko nieduży otwór w centrum kopuły, dla światła słonecznego. Lecz wdrapać się po ścianach niemożliwie, a drzew obok nie. Ty że, zbierasz się wziąć Leriejenu w zakładniczki? Jak, przepraszam dowiedzieć się? Ona o wiele bardziej cię, a magia sprzeciwiasz się jej bezsilna.

- Lona pomoże. Nakarmimy ją żguczejadom i pomówimy szczerze.

- A jeżeli u ciębie niczego nie wyjdzie i Lona obok nie będzie? Chyba nie Powielitelińca, podiergaw zaczarowane drzwi, na

ochotnika zgodzi się kosztować twoje snadobje. Ona zdecyduje, że chcesz ją zatruć, wymyśliwszy flanelę o którzy chwycili dolinę mietamorfach.

- Dobry krakać! Wyjdzie. A nie, z Leriejenoj-łożniakom dam sobie radę sam. Jeżeli Powielitielnica wyjdzie ze świątyni w pełnej samotności, ściśle będziecie wiedzieć, że ona terazniejsza, i ty, Rołar, spróbujesz z niej pomówić i przekonać połączyć się z Kowienom Magów.

- A jeszcze będziemy wiedzieć, że ona zrobiła z ciebie kotlet,- ponuro powiedziałam najemnica.

- Masz inny plan?

- Nie,- snikła przyjaciółka. -- Lecz czyżby więcej niż niczego nie wolno zrobić? Do świtu jeszcze kilka godziny, my że, tak i będziemy siedzieć, złożąc ręce, jak w jamie przed straceniem?

- No... proponuję zagrać w mapy,- zupełnie poważnie zaproponowałam. -- Zasnąć wszystko jedno nie uda się, a prosto tak siedzieć - akurat zbzikować. U kogokolwiek jest talia kart?

Przyjaciele zmieszało się wymienili spojrzenia.

- Według mnie, już zasiedziałaś się,- zauważył Rołar lecz, poklepawszy siebie po kieszeniach, wyciągnął pulchną stunerkę map, a Orsana schodziła {poszła} do stołu, poczirkowała kriesałam i przyniosła zażżennuju świecę. -- W co i na co?

- Jak i położone dorosłym poważnym ludziom,- spostrzegłam

się i poprawiłam się: - i wampirom, ma się rozumie. W podkidnego głupca na rozbieranie, czur przekazujesz!

NACZELNIK {ROZDZIAŁ} 21

Przysłany Leriejenoj strażnik nie okazał przychylności do stuku w drzwi, za co i przypłacił, nieomal pomieriew w miejscu od udu serca: my z radosnymi krzykami klepaliśmy po polo zamusolennymi mapami, walcząc za prawo posiadania Rołarowymi podsztannikami. Wszystko resztę on już przegrał, a w tej partii mu znowu nie wiozło z atutami, tak że bój szedł faktycznie między mną i Orsanoj, wampira w obrachunek nie brali, i on skazane skomlał, wyzywając nas szulerami.

Ma się rozumie, przyście strażnika raptownie pozmniejszyło nam wesołości. Pobrosaw mapy, my szybko rozchwytaliśmy przegraną odzież, naprędcie doprowadziliśmy się w porządek i wszyscy razem wyślij na ulicę.

Do wschodu słońca pozostawało najmniej pół godziny, lecz niebo już pomalowało się w równego widno-niebieski kolor bez jedyne go kosmyka tuczek. W Arlissie, jak i w Dogiewie, w domu stawały prosto pośrodku lasu, oczyszczając tylko niedużą dzielnicę pod jedną-dwie grządki, i tych przeważnie z kolorami

(Lona objaśnił, co to jest robi się z za “efektu brudnopisu” - jaki sens zaopatrywać się obszernym podwórjem, jeżeli na niego {nie} wypadnie trzy-cztery “dziurki” pod przestrzeń, z których w każdej chwili mogą wyskoczyć zaktóre błakali się w lesie obce, złodziei lub nadzwyczaj zakłopotany niedźwiedź w niedobrym nastroju). Wyjątek zestawiał plac, ogromny i dokładnie utwardzona, w centrum której stała świątynia.

Świątynia przypominała półrozpuszczony kwiat białej lilii wodnej - sześć płatków już oddzieliły się od pąka, a pozostałe jeszcze zwarte spiczastą kopułą. Nie takiego już i wysokiego, od siły osiem sażeniej, za dnia on czarował wytwornością linii i filigrannostju wykończenia. Gładkie blade-różowe ściany błyszcząły, ściśle terazniejsze płatki; wydawało się, oni matowo świecą z wewnątrz, wydzielając żywe ciepło. Idealnie podognannyje kamienie jak zrosli się, nie zostawiwszy szczelin; świątynię jakby wytoczyli z jednolitej skały, rozpisawszy nie farbami, a kryształowymi przeżyłkami - prawie niedostrzegalnymi, lecz, boks {kosztował} ucześcić się spojrzeniem chociażby za jedną, jak ściana szybko obrastała deseniami z góry do samego dołu.

- Elfijskaja praca,- cicho powiedział Rołar, lecz w która panowała wokoło ciszy nawet szept wydawał się tnącym uszy krzykiem. -- Oni wybudowali tę świątynię we wdzięczność za

jakiego-jaką usługę.

Kiedy indziej ja nie omieszkałabym uściścić, za jaką właśnie, lecz mój obecny nastrój doskonale nie rozporządzał {rozmieszczał} do ekskursam w zodiaceskuju historię Arlissa. Na placu dlaczego-to nie było żywej duszy - prócz Leriejeny, oczekującej nas obok dwuskrzydłowych, w półtora moich wzrostu, drzwi. Powielitielnica wyglądała jeszcze priekrasnieje, czym wczoraj (jeżeli to w ogóle możliwy), obriadiwszy w powietrzną białą sukienkę z długimi, poszerzającymi się w dół rękawami, otorocznymi złotym taśmą. Na mnie ono przeglądałoby się całunem, lecz Leriejenie dziwnie szło.

Powielitielnica stała u świątyni w dumnej samotności, bez straży i Seniorów. Na chwilę u mnie nawet mignęła straszna myśl, że oni czekają nas wewnątrz i zbierają się sterczeć tam w ciągu całego obrzędu, lecz Leriejena, nie zdorowajaś, obróciła się do nas plecy i otworzyła na oścież drzwi. Naprzeciw nią wyfrunęli trzy lub cztery latające pachy, chłopanje ich skrzydeł i skrzyp pętli donośnie oddal się w pustej sali.

Ukradkiem uścisnęłam przyjaciołom ręki, na powodzenie, i zbierałam się już przejść w świątynię, lecz Rołar utrzymał mnie za ramię i wybił się naprzód. Z lekka ironicznie uklonił się Powielitielnice, nie spuszczając z niej przeraźliwego spojrzenia:

- Vinell tene, Dorresta.

- Roll... Rollearren?! - Leriejena odsunęła się, jak zobaczyła jadowitego węża. -- Werrita heren tess?!

- Ta djuin Lerrevanna,- odciął wampir. -- Keres'sa deill?

- Deill? Tha! Terten. - Powielitelińca odsunęła się z takim gadieńkoj uśmiechem, że ja bym dwa razy pomyślała, zanim skorzystać ją pozwoleniem. Rołar bez wahania poszedł przez próg.

- Ty że robisz? - zmieszanie szepnęłam, wchodząc za nim.

- Duży błąd. Dla poprawy jeszcze większego,- pomiedliw, niechętnie odezwał się wampir, nie to odpowiadając mi, nie to próbując przekonać sam siebie.

Z wewnątrz świątynia ukazała się mi o wiele wyżej i przestronniejszo. Pod zwieczczatoje otwór w kopule matowiał świtał poranny świat, lecz sanktuarium nie wyglądało ani ponurym, ani mrocznym. Przeżyłki kryształu stały się zamietnieje, pomalowawszy się w złocisty kolor, i wili się po ciemni-szarym ścianom, jak dikowinnyje łoży z rzadkimi cwietskami-kryształami. W rukotwornost' budynku nie wierzyłem się doskonale, ja jak okazała się w ogromnej górskiej jaskini, chłodnej i wilgotnawy, lecz nie stęchłej. Z trudem oderwawszy się od przypatrywania się ogólnej perspektywy, opuściłam oczy i poczułam, jak serce, jeknuw, nieprzytomny spełza dokądś pod żołądek.

Pośrodku sali znajdował się Krąg, który ja tak pochopnie obiecała zamknut'.

Właściwie gieksagramma nie odróżniała się od dogiewskiej - czarne linie, namartwie wdrukowani w granitową płeć {podłogę}, dwanaście marmurowych statui w zewnętrznych i wewnętrznych kątach sześćoostatecznej gwiazdy tak masywna płyta ołtarza w centrum, pokojaszczajasia na cztery piramidalnych kamieniach. Lecz przedstawiały statuy nie wilki, a jakichś dziwnych skrzydlatych kreatur, niby mieszańca upiorów z nietoperzami: tępe wyszczerzone mordy z parzystymi kłami w oba szczękach, łykowate skrzydła z pazurami na zgięciach, błonami łączące przedpokoje i tylne łapy. Z dogiewskimi statuami ich łączyły tylko kamienie szlachetne, niewiadomośc jak wstawionych w paść niewiadomych gadzin. Wyjąć ich, nie wybiwszy kły, wydawało się niemożliwym.

Za plecy stuknęła belka, opuszczając się na kriuczja. My z wampirem obróciliśmy się. Leriejena, żeby ją, nie śpieszyła się odchodzić od drzwi. Ona nawet oparła się o nią plecy, skrzyżowawszy ręce na piersi.

- Tak-tak-tak, kogo widzę!

Co ona przy tym myśli, można było nie dodawać. Osoba wampirszy przypominała zadowoloną mordę kota, który przybiegł na przyczek pułapki na myszy i która ukazała dwu myszy od razu.

- przecież pamiętasz naszą namowę, Rołar?

- Czy mogę zapomnieć cokolwiek powiedziane przez Was,

Powielitielnica? - pełen szacunku, lecz jakoś niezbyt przekonująco potwierdził Rołar. Leriejena skrzywiła się, jak zdanie utrzymywało aluzję, zrozumiała tylko nimi dwóch.

- I tym niemniej u ciebie starczyło bezczelności jak gdyby nigdy nic oświadczyć się w Arliss z dwoma ludzkimi dziewczętami, tak jeszcze w tych idiotycznych wąsach, na uciechę całej dolinie!

- Wy poprzednich nie widzieliście,- obrażenie przewarczałam.

- Niestety, problemy doliny zawsze niepokoiły mnie dokąd więcej niż mojej powierzchowności i reputacji,- wampir z bólem skłonił głowę. -- Tylko Powielitielnica zdolna troszczyć się o wszystkim jednocześnie, nie potrzebując ani w czyich radach i pomoce.

Fioletowe oczy połychnuli gniewem. Bądź u Leriejenu pomniejszego opanowania i jakikolwiek ciężki przedmiot niby wałka, wampirowi by nie wyszło na dobre.

- I cóż tak silnie zaniepokoiło ciebie na ten raz?

Rołar wyprostował się. Skruchy na jego osobie my nie zauważyliśmy; naprzeciwno, on tak wyzywająco patrzył na Powielitielnicę, jak o coś ją oskarżał,

- możecie rozpytać się mnie po obrzędzie... jeżeli zechcecie.

- Zechcę. Lecz, sędzę, u etatowego kata to wyjdzie o wiele dobrego i ubieditielnieje,- Leriejena niedobrze zmarszczyła brwi,

po cichu zaczynając zagotowywać się.

- Jak polecicie, Powielitielnica. Nie wygodnie wam polecić mi samemu rozciągnąć się na dybie i poszczypać sobie paznokcie obcęgami?

- Zaprzestań jerniczat'! - nie powstrzymała się Leriejena. -- przecinasz granicę, nie spełniwszy postawione przez mnie umowę, włamujesz się w świątynię naprzód Powielitielnicy, chamisz nią w twarz, lecz przy tym przedstawiasz z siebie oddanego niedoumka. Może, jednakże określisz się?

Rozmowa zaczęła przyjmować ewidentnie skandaliczny i osobisty charakter. Poczułam siebie trzeciego zbytecznego i niegłośnie kaszlnęłam.

- A ty co stoisz? - spostrzegła się Powielitielnica. --
Razdiewajsia!

- Co? - spieszyłam się. -- Całkowicie? A jakże...

- On i nie takie widział,- pogardliwie rzuciła Leriejena. -- No, co czekasz?

Przeklęta baba sterczała przed drzwiami jak przyklejona. Rołar, nie wiedząc, że ona przeszkadza mi nałożyć zakłęcie, nie domyślił się odprowadzić ją na bok i też dziwił się, dlaczego zwlekam.

Wypadło improwizować.

- Ja w toaletę chcę! - bezczelnie oświadczyłam, oglądając się

po bokach, jak miałam nadzieję ukazać w świątyni chwiejącą się z desek budoczku.

Podobnie, mi udało się-jednak pokazać Rołaru, i Leriejenie, coś nie widziane przez nich przed - oni jednakowo wytrzeszczyli na mnie oczy, objatyje świętą zgrozą.

- wolcha, ty zaś dopiero co tam chodziła, - miękko przypomniał wampir, obróciwszy się plecy do Leriejenie i wyraziście strojąc grymasy - molo, poniesiesz, nie pozor' sławne imię Chranitielnicy. Ja najmniej elokwentnie szepiłam ręce w dole brzucha i przedstawiłam nerwową czeczetku, przekładając skompromitować się teraz, aniżeli omieszać się potem.

- U mnie żołądek zdenerwował się, na nerwowej glebie!

- Człowiek... - z nieskrywaną pogardą precedziła pod zęby Leriejena, otlipaja od drzwi i przechodząc w głąb świątyni. -- No idź, tylko szybko!

Podbiegłam do drzwi, lecz otwierać ich nie zaczęłam. Na hakach grubością w mój nadgarstek leżała solidnego czteryiechgrannyj belka, z pozoru niepodnoszonego, lecz, sądząc po kolorze i strukturze drewna, wyostrzony z białego elfijskiego jesionu, a to drzewo łączy trwałość {twierdzą} żelaza z łatwością korki. Dotknąwszy haków i namartwie przylutowawszy do nich {niego} belkę, ja z uczuciem spełnionego obowiązku skręciłam z powrotem.

Wytrzeszczone oczy polazły na czoło, u Rołara nawet szczęka obwisła, wykazawszy koniuszki kłów.

- rozZachciało się,- niewzruszenie objaśniłam, przysiadając się na krajeszek ołtarza i zaczynając rozsznurowywać buty z cholewami.

Leriejena nie znalazła słów, ostatecznie porażona przez ludzką głupotę.

No że zaś, powrotnej drogi nie było. Poszukawszy oczyma wieszak i nie ukazawszy takiego samego, rozwiesiłam odzież na jednej ze statui. Sanktuarium natychmiast zdobyło przytulnego, domowego i jednocześnie z lekka friwolnyj rodzaj. Leriejena milcząco nauczyła się malowniczej kompozycji, potem spojrzała na Rołara, wiele mówiąco wciągnąwszy lewą brew, i wampir posłusznie sgrieb moje rzeczy w naręczu, zwalniając statwę. W obecności wyniosłej Powielitelielnicy czułam się żebraczką, z łaski zaproszonej do pańskiego stołu,- nie ociosanej prostoludinkoj, z czawkanjem odgryzającej kości i głośno pluszczącej zupą prosto z miski na rodzajowi u gospodyni, obrzydliwie podkulającej usteczka. Może, z wampirami ona zachowuje się w inny sposób? Tak nie, chyba nie ona zdolna prosto wskoczyć z wizytą do każdego z poddanych, jak ten robił Lona. Władca Dogiewy nie brzydził się odwiedzić umierającego staruszka, przyjąc porody lub wskoczyć na ślub do znajomego - a znajomym on był z wszystkimi

mieszkańcami doliny. Zaprowadź się w Dogiewie chociażby jednego łożniak - Lona w mig by go {je} ukazał. A jeżeli ona też o nich wie, lecz z jakichś obserwacji posobniczają nimi? Od tej myśli mi stado zupełnie niedobrze. Wtedy ona wysłucha nas, zdumienie pojęczy, zaproponuje natychmiast biec do telepatofonu, a potem rozbędzie pachnieć drzwi i da komendę straży strzelać na porażkę. Nie, dobry o tym zanim myśleć, skupić się na obrzędzie...

Ja powoli, kuląc się od chłodu, rozciągnęłam się na marmurowej płycie frontem wzwyż. Świat, niech i nie jaskrawego, bił prosto w oczy, zmuszając mrużyć oczy. Wilk sam wskoczył na ołtarz i położył się u mnie w nogach, w poprzek płyty, ściąwszy się jak rzeźbę. Wbrew oczekiwaniu, Leriejena nie zaczęła go {je} przywiązywać, chociaż z oba stron ołtarza zwisało po kilka łańcuchów z zatraskującymi się obręczami.

- Widzę, ty i tak doskonale wiesz, że trzeba robić,- nachyliwszy się, Powielitelnica niedbale potargała go {je} po zagriwku. Zwierzę naprężyło się, lecz nie poruszył się. -- W Odróżnieniu Od swojej Chronitelnicy. Rusz nogi, a ręce skrob na piersi.

Poza ja nie natchnęła. Dla pełni odczuć nie starczało {chwytało} tylko czopki, pożądanie długiej i witej. Ja błagalnie spojrzałam na wampira, i ten pojętnie nachylił się do mojej osoby.

- Rołar, mi to bardzo nie podoba się!

- Nie bój się,- wyszeptał on w odpowiedzi,- wszystko idzie jak trzeba. Jeżeli Leriejena spróbuje zmienić {zdradzić} obrzęd, ja tobie od razu powiem.

- A nuż ty nie zdążysz? - żalosno zapytałam, zaczynając cicho panikować od bycia nieznanym.

On jakoś to dziwny na mnie popatrzył:

- Z tobą w każdym wypadku nic nie zdarzy się. Zresztą, samego zobaczysz. Główne {rzecz najważniejszą}, nie niepokój się.

- Lekko powiedzieć... - poczułam, że rzeczywiście chcę w toaletę, lecz przyznawać się, ma się rozumie, nie zaczęła.

Leriejena złowiła wędką z fałd sukienki sztylet-stilet, podrzuciła na dłoni, odwracając, i, ani słowa nie mówiąc, przeciągnęła mi ręką naprzód. Wzięłam i nieomal upuściłam - stilet ukazał się mi nieważkim. Wyostrzonego z jednolitego kawałka jakiejś gęstej warstwowej kości, on był lżej drewniany. Ręką - nie wypolerowana, a gładka i jedwabista sama po sobie - tak przytulnie kładła się w dłoń, że jak rozpuszczała się w niej, i ostrze stawało się przedłużeniem ręki. Samo ostrze przypominało półprzezroczyste pióro - cienkie, ze środkowym prętem i odchodzącymi od niego włóknami. Popatrzyłam pod "pióro" na świat, i ono stado matowi-różowym, a przeżyłki pomalowały się w purpurowy kolor, niby naczynia krwionośne. Zdaje się, rysowałam

w konspekcie coś podobne, a potem nam pokazywali raritetnyj puchar z tego materiału, napełniali jego wodą i demonstrowali, jak on zmienia kolor przy dodatku jednej-jedynej odrobiny jadu

- Ile sztyletów będzie wychodzić z jednego jednoroźca? - zainteresowałam się, skrywając oburzenie. My z Lonom jakoś rozmawialiśmy o tych legendarnych istotach, i wampir twierdził, niby w ich wymieraniu winni wyjątkowo ludzi, którzy przerwali {którzy wybili} jednoroźców ze względu na drogocenne rogi i zupełnie jadalny, jakoby leczniczego, mięsa.

- Pięć-sześć,- spokojnie odpowiedział Rołar, nie domyślając się o podszewce pytania. -- Jeżeli spiłować koniuszek rogu, najwyżej jedno trzecie, za rok on znów odrośnie. Jednej klingi starcza {chwyta} na kilka lat, on bardzo trwały.

- Pierwszy raz widzę, by róg jednoroźca wykorzystał w smiertoubijstwiennych, a nie leczniczych celach.

- Rytualnych, - poprawił wampir. -- Go {Je} niemożliwie zatruć, nawet wybrudzić, a naniesieni przez nich rany szybko odwlekają się.

- A kogo ich będą nanosić?

- Sobie. Wolcha, dobry tchórzyc. Będzie kilka kropli krwi, i wszystko.

- Może, ty w ogóle obok z niej lażesz? - podrażnienie przerwała {wybiła} Leriejena. -- Wcześniej nie mógł wszystko

szczegółowo objaśnić?

- Tak, nie mógł,- kilka zmieszanie odburknął wampir.

Cienkie usta Powielitelinicy, biegle podprowadzonych bladych-macicy perłowej pomadką, rozciągnęły się w oblatanym, wrogim uśmiechu.

- Brawo, Rołar! Ufaj {powierzaj}, lecz sprawdzaj, słusznie? A ja-to już byłem pomyślała, że ty w koi-to powieki zmieniłeś {zdradziłeś} swoim zasadom!

- Przemilcz,- ze zwierzęcym podwywanijem ryknął wampir, i momentalnie pokryłam się pupyryszkami od stóp do głów, dopiero co nie primierznuw do ołtarza.

Leriejena i brwią nie poprowadziła; naprzeciwno, gniewny wybuch rozmówcy dostarczył nią jawną przyjemność.

- Ja, przynajmniej, nie udaję serdeczną podružkoj,- wybiła ona, pejoratywnie patrząc mu prosto prosto w oczy. Rołar skripnął zębami i cofnął się od ołtarza, za zewnętrzny krąg statui, zginąwszy z mojego pole wzroki.

“Chociażby oni ostatecznie nie pierieplewaliś w czasie samego obrzędu i w ogóle o mnie nie zapomnieli”, - tęsknie pomyślałam, spóźniło się spostrzegłszy się, że trzymam sztylet na podobieństwo czopka i on, trafnie, cześć ją przypomina.

- Przewróć jego ostrzem w dół,- poleciała Leriejena, znów obracając się do mnie,- i ustaw między trzecim i czwartym zębem

{na sztorc}, nad sercem.

Ostrze dogryzło i przebił skórę, wokoło go {je} początek powoli raspołzat'sia plamkę krwi. Ja pomocniejszy ścisnęłam rękojeść. Wydawało się, wystarczy ją wypuścić - i stilet sam da nurka między żeber, jak w wodę, nie spotykając opory.

- I co teraz?

- Zamknij oczy, odpręż się, i po upływie kilka minut Krąg aktywuje się. -- Leriejena powiedziała to takim bladym i obojętnym głosem, jak instruowała mi, jak znaleźć w piwnicy beczkę z moczonymi jabłoczkami.

- I wszystko? - spieszyłam się. - A zaklinanie? A źródło siły dla pierwotnego wstrząsu? Czy Krąg może aktywować się sam przez się?

W żadnym wypadku, biezapiętlacyonno oświadczał Nauczyciel na wykładach po praktycznej magii. Bez czarnych koszek, wierzgających się dziewic lub chociażby razem wypluśniętej rezerwy Wied'miny Kręgi pozostawały nieszkodliwymi rysunkami zakurzony. Po aktywacji - tak, oni mogli przebywać w robotniczym stanie latami i nawet rozrastać się, jak dziury w prochudiwszychsia butach z cholewami, nabierając energię z różnicy jej poziomów z tej i tej strony. Lecz nawet but bez szydła nie przebijesz, a tu - mieždumirje!

- Jeżeli ty prawdziwa Chranitielnica, źródło zamknięte w tobie

samym. -- Leriejena jak dawniej stałaś obok, lecz Rołar milczał - widocznie, przepisami to dopuszczano się. -- Trzeba tylko go {je} wyswobodzić.

-Jak?

- Ja zaś powiedziała - leż spokojnie.

Od takiej odpowiedzi mi spodobało się wskoczyć i z krzykiem uciec gdzie oczy poniosą, wysadziwszy drzwi razem z zaklinalni. Co by tam Rołar ani mówił, Leriejena zachowywała się bardzo podejrzanie, jak mając przedsmak niejaką rozrywkę, która obróci się dla nas pułapką.

- A dokąd ja poPada i jak mi szukać tam Lona?

- On sam ciebie znajdzie. Pomyśl dobrego, jak przekonać go {je} wrócić.

- I co powinnam była mu powiedzieć?

- Tobie dobremu wiedzieć. -- Uśmiech Leriejenu zaczął zupełnie już zmiękły. -- Nie niepotrzebnie zaś on wybrał właśnie ciebie. Przypomnij sobie, że było dla niego ważniejsze wszystkiego? Może, zostały jakiegokolwiek niedokończone sprawy, niespełnione zobowiązania? Lub u was jest ogólna tajemnica, którą on zaufał {powierzył} tylko tobie?

“Gdyby on mi ufał {powierzał}, ja bym tu nie leżała”, - mrocznie pomyślałam, z ogromną niechęcią zamykając oczy.

Widocznie, na ulicy weszło słońce; skośne poranne promienie

zanim wlatywały w świątynię, lecz wybielone przez nich niebo oślepiało nawet pod powieki.

- On Władca Dogiewy, i na nim trzyma się... trzymała się wszystka dolina. Możliwy, stoi przypomnieć mu o tym,- z daleka podpowiedział Rołar.

“Aga,- mrocznie pomyślałam,- on i za życia-to takich przypominań cierpieć nie mógł. Jeden Kajiel czego stoi”.

Leżeć z zamkniętymi oczyma, niewiadomośc czego oczekując, było nie to by straszno - okropnie do umopomraczenija. Czas ciągnął się tak powoli i wstrętne, że między uderzeniami serca zdążyłabym dokończyć liczenie do sto, woznikni u mnie takie życzenie. Przeszły miesiące i lata, zanim ono choć troszeczkę przyspieszyło się. Niczego jak dawniej nie odbywało się, z ulicy nie dochodziło ani dźwięku, wampiry, zdaje się, w ogóle okamieniały, nie poruszając się i jak nie oddychając. Wkrótce ja początki marznąć, a ołtarz - wszystko oszczutimieje męczyć występujące części ciała. Dodatkowo u mnie uczesało się między łopatkami. Chyba nie to można było liczyć pierwszym przejawem opierającej się stamtąd siły; najprawdopodobniej, tam hulą, korzystając moim bezradnym stanem, jakakolwiek uszląja pchła.

Nie ścierpiawszy, ja priotkryła oka, i w to zaś chwilę położony naprzeciwko rubin jaskrawie zapalił się. Statuę otulił czerwonawy blask, i marmur zaczął proswietlat'sia, jak świński tłuszcz w

postawionym na przygrzał garnku. Za liczone sekundy kamienna kreature stała się upiorni-wodnistej, lecz znacznie więcej realistycznego; mi nawet przywidziało się, niby ona poruszyła się, rozmiękczała które zaciekły łapy, poudobnieje przetoczyła w ustom kamień i drapieżnie zwięzła skierowanych na mnie burczała.

Po Leriejeninomu osobie tańczyły czerwone odblaski, lecz nawet bez nich jego wyrażenie trudno było poplątać z dobrym i życzliwym. Triumfalny, wrogi szept rozwiął ostatnie wątpliwości:

- Podobnie, mi jednakże uda się poobserwować za obrzędem ze strony... dawno marzyła.

Umysłowo zajęczałam. Rola prostego widza też urządziłaby mnie dokąd więcej niż. Kamienie zapalały się jednego za innym, wszystko bystrzej i bystrzej. Leżąc z półprzykrytymi oczyma, wszystek Krąg ja nie widziałam i mogłam tylko domyślać się, że po prieobrażenija statui w ostatnią kolejność aktywował się trzynasty kamień - diament, umocowany na ołtarzu, obok mojego wierzchołka.

Powietrze nad gieksagrammoj zaczęło zgęszczać się, mącić się, rozkręcać się zwróconej w dół przez lejek. W skroniach zastukała krew, chłód i swędzenie cofnęli się razem z które zostało na ołtarzu ciałem.

...otworzyć drzwi lekko, trudniej przestąpić próg. Z tyłu dotlewa jet ognisko, już nie dającego ciepła, na przodzie rozściela się czarna droga. Co zatrzymuje nas? Strach? Nie. Naprzeciwko, droga wabi, czaruje, porywa w dal... Wątpliwości? Nie. Wszystko już zdecydowane. Wspomnienia? Nie. Oni jak odrzuceni przez przedmioty cienia, wykrzywiający oni zarys do nieuznawajemosti, i czepiać się za nich głupio.

Cóż trzyma nas na progu? Co nie daje nam z lekkim sercem puścić się w drogę?

Tak gchyr go wie!

Lecz pogodzić się z dawnym-dawno zrobionym wyborem czasem pomaga tylko która klepnęła za plecy drzwi...

I tu Leriejena raptownie podała się naprzód i z rozmachem uderzyła założeniem dłoni po ogołowju stileta, wpędzając go {je} po samą rukojat'.

Ja zdumienie otworzyłam na oścież oczy, drgnęłam i umarłam.

...tamty razem ja jak prodirałaś pod potok górski, zaraz droga sama tajała za moją plecy, jak popędzając, a następnie i wcale zginęła, stawszy się niepotrzebnej.

Dziwne odczucie - nie widzieć i nie słyszeć, lecz wiedzieć...
Luźne urywki uczuć, przelotni kasanija, bezładni, nic nie znaczące

pociągnięcia pędzla, sozdamuszcziye jednolity obraz ze złocistych zjaw drzew, pagórków i pól, wymykających się od prostego spojrzenia. Miękkie migotanie ciepłej, jak mleko wprost od krowy, wody, nie odbijającej ani obłoków, ani słońca. Ani pleska, ani dźwięku, ani śpiewy ptaków - tylko ten jasna, barchatistaja mgła i skromny, lecz uparty szepotok: "Tobie tu nie miejsce. Powinnaś była odejść. A on - zostać na zawsze".

- Lona!

Bezdźwięczny ruch. Które poruszyli się pasma wierzby, zmieistaja zmarszczki wokoło kamyszynok, rozwiewajuszcziyesia włosy koloru dojrzałego lnu. Go {je} czeka ktoś jeszcze, czeka, uniósłszy wiosła nad wodą. Krople perłowymi koralikami obsypują się w wodę, i rozbiegające się od nich kręgi łaskoczą kolana.

- Wróć!

Pełne wyrzutu kołysanie rzecznych traw. W uszach szeleszczą czyjeś żalosne głosy. I spokojne, obojętne:

- Po co?

Cień zakołysał się i odchodzi, oddala się, rozpuszczając się w mglistej mgielce. Zbyt późno, dziewczynka. Znowu spóźniłaś się... Wiosła powoli opuszczają się w wodę, odpychając się od przelewającego się na dniu otoczaka.

- Dlatego że...

Mnie jak szarpnęli pod wodę. Złociste zmieniło się czarnym, powietrze zginęło - wpierw wokoło, potem z lekkich...

- Tak ja i wiedziałam! - Głos, twardy, rzeczowego, zwrócił mnie na grzeszną ziemię. Dławiąc się kaszlem i ledwie powstrzymując które podeszli do gardła mdłości, ja z trudem przewróciłam się na bok, siadłam, rozprostowując narzekające ramiona. Czyżby za setki lat wyzysku tego przekłętego kamieniuki nikt nie wpadł na myśl obić ją chociażby wojłokom?

- Po co przerwaliście obrzęd? - oburzyłam się, kiedy ledwie rozlepione oczy przestały rozjeżdżać się w różne strony i źródło głosu transformowała się z rozmytej białej plamy w która oparła się łokciem na statwę Leriejenu. Powielitelińca ze znudzonym frontem oglądała swoich ostrych, poswierkiwajuszczije macicą perłową nagietek.

- Nic Podobnego. On logicznie jest zakończony.

- Lecz ja nie zdążyłam odpowiedzieć na pytanie!

- odpowiedziałaś.

Ja gorączkowo obejrzałam się. Wilk pogodnie drzemał na ołtarzu, i nie myśląc zmieniać ipostaś. Ostrożnie dotknęłam jego boki, i kosmaty ogon leniwie szarpnął się wprawi-w lewo - niby to, żywy-zdrówego, co i tobie pragnę.

Mdłości i wewnętrzne spustoszenie natoczyły z potrojoną na siłę. Pokaczuwszy, ja konwulsyjnie uczepliłam się rękoma za kraj ołtarza, by nie zawalić się na plecy. W świątyni raptownie, odczuwalnie ściemniło się, Leriejena znów początki zlewać się z marmurową kreaturą.

- Nie wyszło? - niewiadomośc po co wyszeptałam, chociaż wszystko i tak było jasno. Rołar, spuściwszy się, milczał, jak wina za niefortunny wynik leżała na nim.

- Jak widzisz. -- Leriejena oderwała się od przypatrywania się paznokci i poszła wokoło ołtarza, miarowo cokaja obcasami. Jak gwoździe w pokrywę trumny wbijała.

- Wy nie chorzy-to zdezorganizowani,- zbytnio raptownie wyrwało się u mnie. Narzeczona, żeby ją! Ani krople zmartwienia, tylko lekka złość, że z za śmierci Lona nią wypadnie niedużo zmienić {zdradzić} plany!

Powielitelielnica zatrzymała się i odpowiedziała mi prostym beznamiętnym spojrzeniem.

- Ja pierwotnie nie odżywiałam żadnych iluzji. Wątpię, by Arrakktur wrócił, nawet gdybyś odpowiedziała poprawnie. On zawsze był wilkiem-pojedynczą.

- Mówię zaś, ja nie zdążyłam odpowiedzieć!

- Czy Naprawdę? - Leriejena, podobnie, zadała się celem wygrać międzyrasowy konkurs "najwstrętniejsza kobieta roku".

Mój głos już był u niej w kieszeni.

- Tak, chciałam pójść za radzie Rołara, tylko-tylko zebrałam słowa i początki mówić, lecz tu mnie ka-ak szarpnie - i wszystko...

- A co ty w ten moment pomyślałaś? - przymilnie, jakoś jadowicie przesyczała ona, nachylając się do mojego ucha, lecz patrząc przy tym na do szczętu poległy migiem wampira.

Mnie jak nakryło ścianą leśnego pożaru, pożerającej i bezlitosnej, natychmiast która wypaliła perfumując do szczętu.

Leriejena była prawa. Zdążyłam domyśleć odpowiedź. Lecz zupełnie nie tak, jak zbierała się.

On zaś tielepat. On słuchał moje myśli, a nie słowa.

I ja wszystko zepsułam!

Jak zawsze.

- Sądzę, więcej niż dodać nie ma co {coś},- zamknęła Leriejena, prostując się i cofając się od ołtarza. -- On odszedł. Ostatecznie.

- A jakże... - niespodzianie przypomniałam sobie, chwytając się za pierś. Serce biło się, jak mu i położone, o rozmyślnym mordzie przypominała tylko wąska strużka zaschniętej krwi, na ukos ciągnąca się przez bok. "Kilka kropl, i wszystko!" No, Rołar!

- Oczywiście,- wzruszyła ramionami Powielitielnica. Stilet znowu był u niej rękach. Ostrze dymiło się, pozostając przy tym czystym i błyszczącym. -- A jak inaczej zbierałaś się dostać się na

ten świat?

- Z tym zaś sukcesem mogłam skończyć z sobą w pierwszej która trafiła się podworotnie!

- Rołar, wyjaśnij nią,- z góry rzuciła Powielitielnica, przedłużywszy niepośpieszny obchód Kręgu.

- Krąg - gwarancja twojego zwrotu w twoje zaś ciało. -- Rołar przeciągnął mi odzież i delikatnie odwrócił się. Tylko teraz zauważyłam, że rieur zginął, na sznurku sirotliwo chybotą się pusta srebrna oprawa. -- On działa jak sprężyna, wpierv rozciągając się do granicy, a następnie skracając się i wyjmując z powrotem ciebie i... tego, kto zechce pójść za za tobą.

- Lecz dlaczego... dlaczego ja nie umarłam? Jeszcze żaden człowiek nie przeżywał prostego uderzenia w sercu!

- Widzisz, wolcha... - Rołar zmiął się,- nie pragnie ciebie dezorganizować, lecz ty... niezupełnie jesteś człowiekiem.

- Co?! A któż wtedy?

- No... - wampir zmieszanie kaszlnął. -- W pewnym rodzie... jak to mówią elfy, z kim poprowadzisz się...

- Ty że, chcesz powiedzieć, że ja - wampir?!

- Nie-nie, to zupełnie inny,- pośpieszył zapewnić mnie Rołar. -- Prosto w tobie płynie krew wampira, i to dodaje organizmowi niektóre... chm... dodatkowe właściwości.

- Krew?! Jaka krew? - u mnie już głowa poszła dookoła.

Własna śmierć, ten świat, zmartwychwstanie, bolesny zawód, a teraz jeszcze ten współczujące chmykanje i mgliste aluzje! - Rołar, lub ty zaraz, zware i szczególowo, objaśnisz mi, o co chodzi, lub ja priduszu ty gołymi rękoma i długo, metodycznie i upojenie będę kopać nogami trup!

- już ubrałaś się? - Rołar obrócił się i, przekonawszy się, że pikantny moment mijał, podszedł i siadł obok, położywszy rękę mi na ramię. -- wolcha, zamieniłaś się krwią z Arrakkturom, słusznie?

- Nie! - Pytanie ukazało się mi w takim stopniu dzikim, że sprzeciwiłam się przed, czym Rołar zdążył skończyć mówić.

- Tak,- pewnie powiedział wampir. -- Riear - tylko symbol, znak, w nim nie żadnej siły. Ona w tym, kto jego nosi. W tobie. Mało prosto wręczyć Strażnikowi riear, poklepać po ramieniu i zażyczyć powodzenia. Jak cienko zauważyli w swoich pamiętnikach myśliwi za wampirami, serce - nasze najwrażliwsze miejsce. Oprawić się od takiej rany, i to, jeżeli ona nieduża i czysta, może tylko Władca. Lub ten, z kim on podzielił się swoją krwią. Nie ukąsił, nie dał otchlebnut' z żyły, a zagoił nią śmiertelną ranę... nimi zaś naniesioną. Ja nie wiem, jak Arrakktur to z tobą wybił - możliwy, uśpił lub zahipnotyzował, i nie mogę pojąć, po co mu w ogóle było potrzebnym iść na takie ryzyko, przecież człowieka dokąd ujazwimieje wampira, mogłaś umrzeć jeszcze w czasie poświęcania, nie mówiąc już o samym obrzędzie.

Po mierze tego jak Rołar mówił, mi wszystkie więcej niż wydawało się, niby okazałam się w jakimś niedobrym śnie, lepkiem koszmarze, który wypuścił na wolę moje potajemne strachy. Tak, możliwości u Lona było aż nadto. Czas w jego kompanii leciał niepostrzeżenie - a może, jakaś jego część prosto wymykała się od mojej świadomości? Wampirowi nawet nie wypadało usypiać swoją ofiarę, naprzeciwno - mu boks {kosztował} niemałych wysiłków dobudit'sia ja po rankach, a w dom on wchodził bezszelestnie i bez stuk. Nie wiadomo, do czego bym ja koniec końców wpadła na myśl, lecz tu w grę weszła wyobraźnia, taka zaś zjadliwe, jak ja sam. Ja żywo i barwnie przedstawiłam oblizującego się, mięsożernie wyszczerzonego Lona, na palcach skradającego się do mojej pościeli z ogromnym wyszczerbionym nożem w podniatoj ręce, i długi pokręcony cień, pełznący za nim {nimi} po ścianie. "Okropny" obraz w mig ocucił mnie. Nie, głupoty, U niego na pewno były ciężkie przyczyny tak postąpić.

Lecz jakie - ja już nigdy nie dowiem się...

A Rołar nieubłaganie kontynuował:

- Po poświęcaniu ciało Stróża stopniowo przemienia się - obostrajetsia wzrok, słuch, cofają się choroby, podnosi się zręczność, wzrasta fizyczna, a w twoim wypadku i magiczna siła. To odbywa się bardzo powoli, prawie niepostrzeżenie, lecz, jak tylko Władca umiera, proces przyśpiesza się w setki raz. Z

pierwszego zaś dnia Strażnik odzyskuje zdolność do szybkiej reingenieracji, a już w końcu tygodnia staje się praktycznie nieśmiertelnym, jak Władca.

- Nieśmiertelnym?! - Na pewno, ze strony cześć strzepywałam na zwariowaną - blada, wstargana, z priotkrytym ustami i szalonym spojrzeniem. - Rołar, że niesiesz? Ja - nieśmiertelna?!

- Już nie,- uściślił on. -- Pierwszego zaś uderzenie w sercu obraca proces z tyłu. W odróżnieniu od Władcę, przy konieczności wozlegajuszczego na ołtarz codziennie, Strażnik może zamknut' Krąg tylko jeden raz. Możliwy, jakieś poboczne efekty niby mocnego zdrowia i nocnego wzroku pozostaną jeszcze na kilka lat, tak że, jeżeli u ciebie zaznaczają się jakiegokolwiek ryzyk i niebezpieczne sprawy, nie odkładaj ich na potem.

- Otóż że zdarzyło się w waldaczjich katakombach!- zacieniło mnie. -- Siła wampirzej krwi, która pozwoliła dokonać bardzo wspaniałą teleportacyju w historii magii! Ach, niepotrzebnie oni odwiedli nekromanta od podejrzaney dziewicy, wyszłoby nie gorzej, czym z wampirem!

-Że?

- Potem objaśnię,- obiecałam. -- Lecz dlaczego ty nie opowiedziałeś mi o tym wcześniej? Gdybym wiedziała, że mogę bez odczuwalnych zgub nabierać siłę z własnej krwi, wszystko byłoby o wiele prostszy! Nam nie wypadłoby walczyć z

rozbójnikami, uciekać od wilków i odżywiać się zmiętym śledziem!

Rołar, dotychczas starannie który odprowadzał oka, nareszcie odważył się na proste spojrzenie, i poczułam siebie katem, przymierzającym się, niejako połowczyje tiuknut' berdyszem po powinnej wampirzej szyi.

- Gdyby w ciągu dwu tygodni tobie nie udało się przeprowadzić obrzęd, proces stałby się nieodwracalnym. Przedstaw - przekształciłabyś się w najpotężniejszą wiedźmę na ziemi, silną, zręczną, odporną na zranienie, bez pracy czytającą cudze myśli i nie starzejącą się do trzystu lat.

- Wywiera wrażenie, no i że?

- bałam się, ty nie ustaniez sprzeciwiasz się pokusy.

Bez wahania, zamachnęłam się i odważyłam Rołaru policzek. On nie wykręcił się, chociaż zupełnie mógł zdążyć, winien potarł policzek:

- Przepraszam. Ja nie miałem innego wyjścia.

Brudno zakląłam, by nie rozplakać się.

Wszystko było skończone. Mi nie udało się uratować Lona, ja bezpłodnie roztrwoniałam podarowaną przez nich siłę, po własnej głupocie zawaliwszy obrzęd, tak że tam - ja nawet nie potrafiłam zasłużyć zaufanie przyjaciela-wampira, z którym kilka dni dzieliłam piszę i dach i walczyła ramieniem przy ramieniu. Odtąd

Dogiewa była zamknięta dla mnie na zawsze, a o zwrocie w Starmin nie boks {kosztowała} i rozmyślać.

Dobrego by Leriejena zabiła mnie potężniejszemu

A Powielitelnica tymczasem podeszła do drzwi, bez przeszkód odrzuciła belkę i otworem otworzyła na oścież skrzydła.

NACZELNIK {ROZDZIAŁ} 22

Zbyt późno przypomniałam sobie, że pracujący Krąg jest zdolny wykrzywić lub wcale burzyć nałożeni w sąsiedztwie zaklinania. Rołarowy wąsy bez śladu zginęły, a myjąc kurtka, i bez tego podniszczona, przekształciła się w malownicze rubiszcze z dziurawych łachmanów - ja tyle raz, bez wahania, zaczarowywałam rozporki i plamy, że od oryginału zostały tylko pas i guziki.

Rołar, w pierwszą chwilę spieszący się, rzucił się było w ślad za Leriejenoj, lecz ta już przestąpiła próg, Starczać {Chwytać} ją za kołnierz i wciągać do wnętrza wampir nie odważył się. Rzuciło na mnie rozpaczliwe, błagalne spojrzenie, lecz czułam się w takim stopniu parszywie, że przyjąłam zerwanie naszego planu jak samo sobą rozumiejące się, i, podniósłszy się, w pełnej prostracji

powlokłam się do wyjścia. Wilk szeroko ziewnął, przeciągnął się, zeskoczył na płec {podłogę} i niespiesznie potchórzył za nim.

Orsana czekała mnie u progu. Ona radosno podała się naprzeciw, lecz, zobaczywszy moje które zgaśli oczy, snikła, nie zadając pytań. Spróbowała ze współczuciem mnie objąć, lecz uchyliłam się i przeszłam obok.

Raczej {słuszniej}, przeszłaby, nie wtul w pierś jakiegoś typu, nie który życzył zejść z drogi mi. Tymczasem {póki} siedzieliśmy w świątyni, ludowi na placu wyraźnie przybyło, przy czym zebrał się on wcale nie lubopytstwował' lub użalać się. Ja bym określiła jego nastrój jak wyżydatielno-ponure. Dziecięta na rękach nikt nie trzymał, nieliczne kobiety mało odróżniały się od mężczyzn, jednogłośnie przełożąc spodnie spódnicom i opasawszy się mieczami.

Zrobiłam krok w lewo, lecz zaporowy typ w tym samym miejscu powtórzyłem mój manewr, i ja nareszcie-to raczyła na niego {nie} spojrzeć. Ciemnowłosy wampir średniego wzrostu, z szarzy-zielonymi oczyma i długim, z lekka haczykowatym nosem; na skroniach z oba stron po śnieżnobiali-siwy priadkie, zaplecionej w warkoczyk. Prijazni on u mnie nie wywołał, wrażenie psuła chamowataja ułyboczka i czarna toga ze srebrnymi kantikami. W niej on cześć strzepywał na zaproszonego na pogrzeb dajna, zakochanego w swoją pracę i radosno mającego przedsmak, jak on

teraz kogoś odśpiewa.

Leriejena zdążyła przejść połowę odległości od świątyni do kraju placu, lecz nagle dosadliwo zatrzęsła głową, zatrzymała się i, półobróciwszy się, niedbałym machnięciem ręki wskazała na mnie z Orsanój:

- Ach tak, ubiejtie tych dziewok. -- I, jak przepraszając, wyjaśniła: - Nic osobiste, wiedźma. Prosto chcę być zapewniona, że tajemnica Kręgu nie wyjdzie poza granice doliny, a ludziom, niestety, ufać {powierzać} nie wolno.

Tłum radosno ożywił się, ściągając się do nas i ze świszczącym szelestem obnażając miecze.

Mimo niedawnych myśli, ja stanowczo sprzeciwiałam się sprzeciwiasz się ich natychmiastowego urzeczywistniania, tak jeszcze takim sposobem. Kiedy zechcę, wtedy i umrę, bez obcej pomocy - wpieryw testament zestawie, pożegnalną notatkę napiszę, wymyję się, przeubiorę się, i w ogóle, może, jeszcze dziesięć raz rozmyślę się!

Przy spojrzeniu na kilkaset “gnomjich aspidów” umierać zachciało się doskonale. Ja nie zauważyłam ani jednego gworda, ulubionej broni wampirów, posiadać którego nikt, prócz ich, nie umiał. Będzie wychodzić, nas okrążali jedni łóżniaki, a poddać się bez boju mordercom Lona oznaczało nie tylko podprowadzić go {je}, lecz również zdradzić. A już ten za mną nigdy nie zadawało

się, nie doczekacie się!

Orsana też nie zbierała się błagać o litości. Najemnica milcząco przysunęła się do mnie, zaprowadzając rękę do wznoszącej się nad ramieniem rukojati. Wdochnuw pogłębszy, przygotowałam się walczyć do ostatniego, lecz nas znów osłonił Rołar.

- Tylko dotknij ich,- cicho, lecz wyraźnie powiedział on. Choć bardzo to dziwny, Leriejena, wzdrognuw, zrobiła łóżniakam znak cofnąć się, i ci z niechęcią podporządkowywali się. Podobnie, spełniły się moje najgorsze obawy - Powielitelińcu albo zamienili, albo zaciągnęli, inaczej chyba nie mietamorfy zaczęliby ją słuchać.

- Rołar, Rołar, - z udanym współczuciem pokołysała głową Powielitelińca. - Ty tak i nie potrafiłeś stać się dobrym poddanym. Tobie zrobili publiczną wymowę i wypędzili poza granice Arlissa, lecz nauka nie poszła na zapas, i kontynuujesz kwestionować moje polecenia.

- Kiedy oni niesprawiedliwe,- uściśliło Rołar, arogancko wytrzymując spojrzenie lodowych oczu.

- Polecenia Powielitelińcy NIE MOGĄ być niesprawiedliwi,- podniosła głos Leriejena. -- Pora to zapamiętać.

- Prawdziwej Powielitelińcy - możliwy, - odparował Rołar. -- Ty mnie wiesz, Leriejena: jeżeli z głów tych dziewczek upadnie chociażby po włosie - ty gorzko o tym pożałujesz, obiecuję.

- odważasz się mi grozić?! - jakoś niepewnie oburzyła się

Leriejena, oglądając się po bokach w poszukiwaniu moralnego poparcia. -- Tak wiesz, że ja z tobą teraz zrobię?!

- Ubijcie go razem z nimi,- świszczącym szeptem poradził nieprzyjemny typ w todze, rasonrawiwszyś mi ostatecznie.

Rołar i Leriejena, jednakowo szokowani tak oryginalną ofertą {zdaniem}, dziko ustawili się na zwolennika radykalnych miar.

- Mnie?!

- Go {Je}?!

- To jeszcze że za chmyr'? - zażądał objaśnień Rołar. --

Pierwszy raz go widzę, a spójrz no - już nie powołaj się charakterami!

- To mój nowy doradca,- z wezwaniem zakomunikowała Leriejena. -- Świącie miejsce pusto nie bywa!

- Nie chorzy-to i pragnęło. Tak za takie rady ja jego swoimi rękoma priduszu!

Chmyr', od grzechu nieco dalej, wepchał się w tłum i stamtąd kontynuował rozwijać która spodobała się mu ideę:

- Wasze Wysokorodije, celesoobraznieje wszystkiego uwolnić się od tego dokuczliwego zdrajcy. Dzisiaj on doprowadził z sobą dwa ludzkich diewok, a jutro powie o naszych planach i sekretach innym przedstawicielom tej nikczemnej rasy.

- Dokuczliwyj zdrajca? - Rołar chochotnął, lecz niedobrze sprowadzone brwi nie zapowiadały Leriejeninomu doradcy

niczego dobrego w objętym wzrokiem będącym, po którym nieprzejrzanym już mogło nie być. -- To zabawnie. Co, według was, ja połów ludzi i gwałtem rozbełtuję nimi “sekrety”, o których tych, kogo trzeba, dawnym-dawno wiedzą?

- Ja, między innymi, nie “jestem dziewczęciem”, a Naczelną Dogiewskaja Wiedźma! - odważyłam się odezwać się. Wyszło jak rzadko pisklawo i niestosownie. Uczciwie mówiąc, na sukces przegwarów ja absolutnie nie obliczałam i włączałam się w nich wyjątkowo za kompanię. -- A myjąc przyjaciółka i tak prawie niczego nie wie, tak że nie tarzajcie głupca, dawajcie razjediemsia podobremu i przechowamy o sobie najcieplejsze i jaskrawe wspomnienia.

- Tylko wpierw ja jego jednakże pristuknu,- dodałam Rołar. -- Wspomnienia będą jeszcze jaskrawszy!

Pristuknut’ doradcy Leriejena nie dała, lecz również karać bezczelnego wampira nie śpieszyła się.

- Ty za nich ręczysz? - niespodzianie pokojowo zapytała Powielitielnica.

Rołar nie odpowiedział i nawet nie kiwnął, tylko pełen wyrzutu uniósł brwi - molo, ty i tak wszystko doskonale wiesz, po co łamać komedię? Leriejena długo, szacujące patrzyła na niego {nie}, potem parsknęła, wzruszyła ramionami i postanowiła:

- By duchowi waszego przez pół godziny w Arlissie nie było! -

Po czym odwróciła się i poszła do Domu Narad.

- No można go {je} choć razok stuknąć?

Leriejena tylko dosadliwo machnęła ręką w biegu. Doradca złośliwie patrzył nią w ślad, ściskając uniesione pięści. Wampiry zmieszanie wymieniały spojrzenia, nie chowając mieczów, lecz również nie atakując.

- Pójdźmy jeść śniadanie,- jak gdyby nigdy nic zaproponował Rołar, obracając się do nas. -- Tu nieopodal jest prosto zdumiewający zabiegałowka, danie firmowe - zapieczony w cieście niemowlę. Żartuję, Orsana, żartuję - karp. Wolcha, nie krzyw się, tobie trzeba nabrać sił - trochę popóźniej, kiedy pomówię z Leriejenoj, u nas będzie wiele prac.

- Lecz... ona zaś dała nam całego pół godziny!

Wampir tylko dosadliwo skrzywił się.

- Nie obracajcie uwagi. U Leriejeny wiele niedostatków, lecz za klepsidroj ją śledzić nie zacznie i uzbrojony oddział w trop nie pośle. Znacznie ważnieje dopiąć u niej drugiej audiencji i opowiedzieć o naszych podejrzeniach. Teraz podejść do niej, pomówię szczerze, i wtedy...

- Rołar, oprzytomniej! Trzeba drapat' stąd, tymczasem {póki} ona nie rozmyśliła się,- błagała Orsana, starczając {chwytając} wampira za rękaw. -- Jakie, do gchyru łysemu, podejrzenia?! Ona łożniak, tu i wróżyć nie ma co {coś}! I doradca jej z tej zaś bandy -

patrzcie no, zyrkajet, jak szczur spod miotły!

- Ona nie łożniak,- pokołysał głową Rołar. -- Już własny...

Powieliteliu ja ani z kim nie poplącę.

- Wtedy ona z nimi w znowie! - schwyciłam Rołara za drugi rękaw.

Ukrzyżowanego między nami, wampir wciąż darł się iść za Leriejenoj, lecz wczepiliśmy się mocno.

- Otwórz oczy, czyżby Powielitelnica nie zauważa, jak ją poddanych podzmieniają na mietamorfow? Dawaj udamy, że odjeżdżamy... tylko udamy - zapewniona, za nami od razu rzuca się w pogoń. Teraźniejsza Leriejena nas by jeszcze wypuściła, lecz te kreatury - za nic! My o nich wiemy, zabiliśmy z pół tuzina ich sobratjew - dosyć nie na trzy, a na trzydzieści wyroków śmierci.

Lecz trzy głosy - mojego, Orsanin i rozumu zostali bez uwagi. Rołar stanowczo strząsnął nasze ręce i szybko poszedł, prawie pobiegł w ślad za oddalającą się Powielitelnicej.

- Lereena, rew! Qur lehar't!

- Weer lehar'ten? - niechętnie odezwała się Leriejena, zatrzymując się, i w tę zaś sekundę najbliższy wampir narzucił się na nią z pleców, objął ręką za szyję i przystawił do gardła szeroki myśliwski nóż.

Zza niecierpliwości widzów pojęcie zaczęło się przedterminowo.

- To jeszcze że za szutoczki?! - Powielitielnica próbowała przedstawić królewskie oburzenie, lecz osiągnęła sukces. -- Straż, na pomoc!

Naturalnie, nikt nie poruszył się. Na placu zapanowała trumienna cisza.

- Dawaj tutaj miecz, pridurok,- przesyczał doradca, występując zza pleców “wampirów”.- Ciebie ten też dotyka, najemnica... i żadnej magii, inaczej ona umrze!

Orsana i Rołar wymienili spojrzenia. Oddać broń wrogowi -- stracić ostatniej nadziei. Mi było lżej zrobić moralny wybór - magia zawsze pozostawała przy mnie... przynajmniej, tymczasem {póki} przy mnie była głowa.

Leriejena nie wydała więcej niż nie dźwięku, lecz w nią stałym pogardliwym pryszczurie pośliznęli się zgroza i błaganie o pomocy. Zawahawszy się, Rołar ostrożnie położył miecz na ziemię, podpichnął do doradcy. Ten w tym samym miejscu nachylił się i podniósł, z zadowoloną uchmyłoczką porożem w ręce. Wyżydatielno ustawił się na Orsanu.

Złamać najemnicu okazało się nie tak-to prosto.

- Osia za jednym zamachem, rozmiechtawsia! - uparła się ona, wyciągając swój miecz, lecz wcale nie dla przekazywania wrogowi. - spróbuj no go {je} u mnie odebrać!

- Orsana! - tragicznie wyszeptał Rołar. -- No proszę... błagam

ciebie... przecież inaczej oni zabiją Leriejenu!

- No i gchyr z niej, nie chorzy-to ona mi i podobała się!

Nie wiadomo, ile łożniakow zdążyłaby położyć nasza sztywne najemnica, lecz tu Leriejena stęknęła, ostrze dogryzło ją szyję, a potem wypadło z bezsilnie która rozwarła się kiści, i na jezdnię osiadło bez głowy ciało. Miecz opadł, znów podniósł się i zakreślił rozpromieniony łuk wokół gospodarza.

Tych widno-złociste włosy, ironicznie mrużone szare oczy dowiedziałyby się z tysiąca.

Len!!! Lecz jak?!

Czasu na wypytywanie i objęcia nie było. Ułucziw moment, wyrwałam z kieszeni pakietik ze żguczejadom i, naoszczup' przedarłszy opakowanie, podrzuciłam go {je} w powietrze.

Co tu zaczęło się! Najbliższe "wampiry" zapiszczały od bólu cienkimi krysinyymi głosami, porzucali broń i zakręciły się w miejscu, rozdzierając paznokciami pomarszczone osoby. Rołar zręcznie wykręcił się z pierścienia łożniakow, fiknął koziołka po ziemi, kopnął doradcę w pachwinę i w lot podchwycił swój miecz, który wypadł z obktóra miękką ręki. Po upływie jakiejś części sekundy on już stał plecy do pleców z Orsanój i Lonom, wszystko troje namiętnie rąbali się z kreaturami, które unikły poniuszki leczniczego poroszoczka. Takich okazało się niedużo. Mi, który kucnął w centrum woinstwujuszczonego trójkąta, nie zestawilo pracy

ostrzelać najbardziej rietiwych wrogów krótką serią zaklinań. Teraz wiedziałam, z kim mam sprawę, i pachy z zajcznikami prysnuli we wszystkie strony.

Uroczystość zwycięstwa nie powlokła się. Z wszystkich stron ścigały się świeże siły przeciwnika. Pierwsze trupy zaczęły prosiedat', raspołzajaś cuchnącej żyżej. Pod nogami stało się ślisko.

Tylko Leriejena, klepiąc oczyma, oglądała się wokoło z wyrażeniem bezgranicznego zdziwienia na która zbladła osobie.

- W świątynię! - pierwszym zrozumiał Rołar. Schwyciwszy Powielitelińcu za rękę, on tak nonszalancko szarpnął Leriejenu za sobą, że ta nieomal wtuliła frontem w zapaskudzoną brusczałku.

- Co... tak jak odważyłeś się... impertynent! - zawyła Powielitelińca. Na dalsze sprzeciwy u Leriejenu nie zostało czasu - Rołar powlókł ją do świątyni, wystawiwszy naprzód rękę z mieczem. Lnu i Orsana przykrywały ich z boków, częściowo odparując uderzenia aspidow, częściowo prosto odpychając nogami rażonych żguczejadom kreatur, ślepo miotających się po placu. Ja priotstała, dokładnie wypletaja zaklinanie. Ognisty łuk rozchodzącym się półkolem wypalił dobrą jedną trzecią placu. Ogromne drzewo, skoszone pod korzeń, z trzaskiem padło na najbliższy dom, gniotąc ściany jak papier.

Dogoniłam przyjaciół u samych drzwi świątyni. Lnu i Orsana

zatrzasnęły skrzydła od razu za moją plecy, rzucili na kriuczja belkę.

Nabrawszy tchu, ustawiliśmy się przyjaciel na przyjaciela. Zauważyłam, że wampiry i najemnica nie śpieszą się opuszczać broń. Pod ich przekonaniem Leriejena ścisnęła się w drżącą grudkę, odmownie motając głową:

- Nie-nie! Ja nie wiedziałam! Prawda! Ja tu ani przy czym!

Rołar, że odbywa się?

Wampir nadzwyczaj niepełen szacunku splunął na płec {podłogę}.

- Co odbywa się? Co odbywa się?! Święta naiwność! Kto tu Powielitelnica, ty lub ja? Idź i zapytaj u swojego nowego doradcy, jeżeli dar tobie odmawia!

Na zewnątrz zapanowała podejrzana cisza. My na wszelki wypadek też wstrzymaliśmy oddech, obawiając się przepuścić coś atrakcję.

Trochę poczekając w niegościnnie drzwi kulturalnie postukały.

- Kto tam? - cienkim szyderczym gołoskom zainteresowała się Orsana.

- Otwórzcie! - naiwnie zażądały łóżniaki głosem doradcy.

- Samych otwierajcie! - zjadliwie zaproponował Lona, poudobnieje przechwytyjąc miecz. Gnomij aspid dopiero co nie syczał w ręce nowego posiadacza, lecz stalowy chwyt na rukojati nie dawał mu wykręcić się i połosnut' obcego.

- tylko odciągacie swój zgon,- doszło zza drzwi. -- Wszystko jedno wam stamtąd nie wybrać się, zbędziecie zdychać od pragnienia i głodu, a to dokąd muczitelnieje!

- Wszystko życie - wybijanie otsroczek u śmierci,- filozofski wzruszył ramionami Rołar. -- Zwiewaj, wędrowną padlina. Tu nie bordiel, by tobie otworzył po pierwszym zaś stuku.

Mietamorf umilknięcie, przemyślając co następuje “ponętna” oferta {zdanie}.

- Gdybym ja nie wiedział, co to jest rozpieszczać, to zdecydowałbym, że za drzwiami stoi dobroprzyswoity wampir, nie na żarty zaniepokojonego niedawnym nieporozumieniem ze skandalicznej tieszce,- zdumienie powiedział Lona i niespodzianie, z całego rozmachem, wpędził niesforny miecz w drzwi po samą rukojać i taki sam szybko wyrwał. W bruździe pośrodku ostrza została krew, po tę stronę drzwi ktoś z chrypieniem osiadł na ziemię.

Bardzo mieliśmy nadzieję, co to jest doradca, lecz ten okazał się nie w takim stopniu głupi, by podsłuchiwać obok siebie do desek.

- Hej, wy! - znów zaprowadził który zbrzydł głos. -- Nam potrzebni tylko Władcy, pozostałe, tak już i być, mogą toczyć się na wszystkich cztery strony!

- Idźcie do ducha leśnego, pan doradca, was tam dawno

zazdaliś,- rugnułaś Orsana i, pomyślawszy, uprzejmie
powiedziałam: - Bądźcie tak uprzejmi, nie odciągajcie przeciwnika
- my akurat dyskutujemy taktykę pogromu waszego żalosnego
woinstwa.

Drzwi zahuczały - doradca w gniewie kopnął ją nogą. Słysząc
było, jak on oddala się, rozdając wskazówki o budowie tarana.

- Daremną pracę. -- rozmiękczyłam palce. - Te drzwi
nieprosto wziąć szturmem i bez mojego zaklinania. Lecz, na
wszelki wypadek... ot tak-to dobry. Więc, że u nas na
zawiadomieniu wojennej rady? Jeńców brać będziemy lub
ograniczymy się grabieżą i powszechną rzezią? Trafnie, a z niej że
robić?

- Ona nie mietamorf. - Orsana z jawnym rozczarowaniem
kiwnęła na szary nalot żguczejada, który zaproszył włosy i
ramiona Leriejenu. - Dawajcie wydamy ją współnikom-łożniakom,
niech udławiają się!

- Udowodnij wpierw, co to jest nie twoi współnicy, -
odburknęła Leriejena. -- Rollearren, Ar'akk - tur, terr kve rell'ast?
Terr?

- Tak, nie wierzymy! - jednogłośnie odcięły wampiry.

Leriejena zmierzyła nimi druzgocącym, lecz, niestety,
małofektywnym spojrzeniem. Zaufania do niej on nie dodał.
Widząc, że każde argumenty tu bezużyteczne, Powielitielnica

podrażnienie wyrwała u Rołara swoją rękę, odeszła na bok i przysiadła na kraj ołtarza z profilu do nas i drzwi - molo, myślcie i róbcie, że chcecie, ja wyżej tej znikomej krzątany. Uczciwie mówiąc, westchnęłam z ulgą. Bliskie sąsiedztwo z Leriejenoj denerwowało nie mnie jeden, z niej odejściem napięte umeblowanie choć nie rozładowało się, za to staliśmy się dokąd więcej zwartymi i czynnymi.

- Podsadź mnie! - Orsana kiwnęła Rołaru na prawe skrzydło drzwi, pod którą w sześciu łokciach od płci {podłogi} przeciskał się cienki słoneczny łuczik. Wampir podstawiał szepione ręce, z ich pomocą najemnica lekko frunęła na belkę i przylgnęła okiem do małego okrągłego otworu w miejscu który wypadł sęczek.

- No, że oni tam robią? - żarłocznie zainteresowałam się.

- Nic. Stoją. Doradcę nie widać - z pewnością, osobiście bierze udział w budowie tarana. -- Orsana przekroczyłaś z nogi na nogę, poudobnieje umaszcziwając na belce. -- Zup rybnych ty, ile łożniaków - najmniej pięciu setek, i wszystko z mieczami! Lecz skąd w śródmieściu zabrało się takie zdrowiennoje wojsko i dlaczego ono nie wzywało podejrzeń?

Leriejena wyniośle podkuliła usta, nie zbierając się wszczynać rozmowę. Lecz, ponieważ wszystkie pozostałe nie zakłócały wyżydatielnoj ciszy, przyłączywszy się do pytania, nią wypadło odpowiedzieć:

- W Arlissie przechodzi coroczna rekrutacja w armię zapasu, a zgodnie i dochodzi do skutku nauka którzy przybyli ochotników bojowym nawykom, w celach podnoszenia się państwowego bezpieczeństwa. Ich treningami zajmują się wychodźcy z Dogiewy - trzy miesiąca w tył poprosiłam Arrakktura przysłać mi setkę doświadczonych bojowników dla wzmocnienia Arlisskiego garnizonu.

- Nic Podobnego,- pewnie sprzeciwił się Lona, i nasza uwaga zgodnie zwróciła się na niego {nie} - do powszechnego spóźnionego zmieszania. Spostrzegłszy się, Rołar szybko ściągnął z siebie kurtkę i oddał Lona, a ten obwiązał ją wokoło pasy i przedłużył: - W jakim stopniu pamiętam, ta prośba okazała się w śmietnikowym koszu przed, czym ja ją doczytałem. Jeszcze co nie starczało {chwytało} - osłabiać własny garnizon ze względu na kaprys narwanej sąsiadki, opętaną manią prześladowczą! A te typy w ogóle nie z Dogiewy, ja ani jednego z nich wcześniej nie widział.

- Ten ja-to narwana? - priwskoczyła z teren rozwścieczona Powielitielnica. -- Przynajmniej, o mnie po Arlissu nie chodzą dwuznaczne anegdoty.

- Za to po Dogiewie - chodzą,- “pocieszył” ją Lona. - Zgoda, kpiny na bok. Możliwy, w roli “dogiewskiego wzmocnienia” wystąpił zaginiony oddział Dorriena - zdaje się, dowiedziałem się

jednego z wolijcew, w zeszłym roku on przyjeżdżał w Dogiewu na święto piwa. Rołar, wiesz tę historię z marsz-ostrym przez góry?

Ciemnowłosy wampir twierdząco kiwnął.

- Wzorowo dwa miesiąca w tył w czasie nauk w wąwozie Czterech Pik zginął jeden z podziałów Wolijskiej armii. Myśleli, że ich nakryło nie do rzeczy która zeszła lawiną. Ani trupy, ani którzy uratowali się nie ukazali, i niemędrkowane - wąwóz jest zawałony przez tłuczeń i kłutym lodem nieomal do środka.

- Wolijska? Po raz pierwszy słyszę o takim państwie? - dziwiące się zmarszczyła brwi Orsana, odrywając się od otworu strzelniczego. -- Oj! Aj-ja-jaj!

- To jedna z Dwunastu Dolin. -- Rołar, nie który odchodził od drzwi, niewzruszenie podstawił ręce, i która straciła równowagę najemnica spadła prosto do niego w objęcia. -- Ona rozmieszczona na siewiero-wschodzie Wołmienii, u wschodniego podnóża Grzebieniastych gór.

- Wąwóz Czterech Pik znajduje się w Grzebieniastych górach?

- Orsana nie śpieszyła się złączyć z przyjacielskich ręk, i Rołaru wypadło nieomal na siłę strząsać ją na płec {podłogę}. -- Tak? Wtedy jeżeli oddział - jak tam go {je}, Roddiena? Dorriena! - nie zginął pod lawiną, to dlaczego on nie wrócił w Wolijsku, a powłókł się przez połstrany w Arliss, podając się za dogiewcew?

- Na ten ja mogę tobie odpowiedzieć. -- Rołar, z kolei, z wdziękiem kota wskoczył na belkę, by poobserwować za przeciwnika, i w wąs nie podziewającym przed frontem który okrył się w świątyni wroga (zamyślającego, niewątpliwie, chytre i perfidne plany).- Tylko Arlissom sprawuje rządy kobieta! Tylko w Arliss nie dopuszczają się inni rasy! Tylko z Arlissa uciekła Rada Seniorów w naczelniku {rozdziale} z Doradcą, doprowadzonego do granicy przez kaprysy stierwoznoj dziewczyny! Dokąd jeszcze mogły skierować swoje stopy tak cudownie którzy zmartwychwstali wojownicy? O, ot i taran! Nikczemnicy! Oni zrąbali mój dąb!

- Ty samego go sadziłeś? - ze współczuciem zainteresowała się Orsana.

- Nie, lecz w dzieciństwie kochałem ukrywać się na nim od natrętnej młodszej siostrzenki. Ona tak i nie nauczyła się łązić po drzewach. Ogo!

Rołar zeskoczył na płec {podłogę}, i świątynia w tym samym miejscu zadrzała do głębi. Marmurowe statuy zachwiały się.

- Podobnie, drzwi - jedyne, że zostanie po dziesiątku takich uderzeń,- mrocznie zauważyła Orsana.

Przyszła myjąc kolejność bilansować na belce.

Drugiego uderzenia nie poszło za. Dąb zadrzał w rękach taranszczikow śliskim zmijowym ciałem, rozszczepił się u komla

ogromną o mocnym uzębieniu paszczą i smagnął który zaostrzył się ogonem, rozrąbując na pół niedostatecznie mających szczęść i zwinnych łożniaków. Pozostałe w zgrozie rzuciły który ożył kloc i odpłynęły z placu, jak prusaki z oświetlonego przez świecę kręgu. Szyderczo pomachawszy nimi w ślad rozwidlonym językiem, taran majestatycznie owinał się wokół świątyni, ziewnął, wczepiwszy się zębami we własny ogon, tak tak i ściał się, znów obróciwszy się klocem.

Teraz u nas pojawiła się dodatkowa obrona w rodzaju tołstiennego dębowej obręczy, w dobrym gatunku okolcewawszego świątynię.

Wyraźnie prismiriewszyj wróg nieśmiało wyglądał zza domów i drzew, nie pokazując szczególnego życzenia kontynuować oblężenie. Przeszło najmniej pół godziny, zanim przykład głośno kłócaącego się pseudodoradcę, pierwszym który podbiegł do świątyni i złośliwie który kopnął które zesztyniało czudiszcze nogą w bok (zdaje się, on silnie uderzył się, lecz nie podał rodzajowi, ot tylko wymysły stały się izoszczriennieje), znów nastawił ich na stanowczego Łada.

- Jeżeli ona - terazniejsza i nie na ich stronie, to dlaczego ją nie zabiły od razu? - Orsana kiwnęła na bok Leriejeny.

- Możliwy, nie chcieli oświadczać o sobie wcześniej czasu,- przypuścił Lona. On na pewno już wiedział to zaś, że i my,- od

Orsany lub Rołara. Ukazawszy zniknięcie reara, ja w tym samym miejscu jestem magicznie zablokowałaś od telepatii, nie pragnąc, by Leriejena grzebała w moich myślach. Zresztą, przedtem u Lona było kilka minut, lecz ich starczyłoby tylko na ogólną ocenę sytuacji. -- Tielepaticzeskije zdolności nimi niepodlegli, a bez nich Powielitielnica nie mogłaby jak dawniej kierować Arlissom, poddani powzięliby podejrzenie niedobre i wyślij z posłuszeństwa.

- I, jeżeli Leriejena dotychczas żywa, można mieć nadzieję, że w dolinie jeszcze zostały terazniejsze wampiry,- z westchnieniem ulgi zamknął Rołar.

- I terazniejsze sarny,- mrocznie potaknęłam, złącząc z belki. -- Ciekawie, gdzieś teraz myjąc konik?

- A dokąd patrzyły Straże? - przypomniała sobie Orsana. - Zgodna, łóżniaki nieodróżnieni od wampirów, lecz na pierwszych porach, tymczasem {póki} w dolinie jeszcze byli kjaardy i Straże na nich jeździły, dlaczego oni nie zreferowali Leriejennie o ich dziwnym zachowaniu się?

- Straże już dawno nigdzie nie patrzą. -- Ja skazany machnęłam ręką. -- Oni zginęli w miejscu i w tym samym miejscu zamienili się sobowtórami. Pozbawiony szóstego wampirzego uczucia, nowy pograniczny garnizon patroluje podstawowych drogich, i tylko. Ot dlaczego my tak lekko przemknęliśmy przez zewnętrzny pierścień doliny. Myślę, wolijskij oddział oświadczył się w dolinę nie od

razu - najpierw osiadł na granicy, po cichu podzmieniając Strażej i trując kjaardow, a już następnie...

- Trafnie o kjaardach. -- Osoba Lona, który patrzył, wydawała się, pod drzwiami, rozświetliło się znajomym uśmiechem-przedsmakiem. -- Teraz tu będzie bardzo wesoło!

Rołar i Orsana, odpychając siebie, poleźli na belkę, a przylgnęłam do która została odmiotając szczelnie.

Na zewnątrz na razie niczego atrakcji nie odbywało się. Doradca niegłośnie szeptał pomiędzy sobą z którzy okrażali jego pieczeniarczami, czasem spoglądając w naszą stronę, jak pragnął przekonać się, że świątynia stoi na dawnym miejscu, a nie uciekł na palcach w krzaki. Sądząc po jego ponurej osobie, szybka kapitulacja nam nie groziła.

Tylko zbierałam się uściślić, że właśnie Lona miał w rodzajowi, lecz tu na plac wtargnęła Kiełła na chrapiącym Wolcie.

Spostrzegłszy łożniakow, czarny ogier stanął dęba, lecz, w odróżnieniu od Smółki, nie rzucił się do ucieczki, a poszedł naprzód, młóćąc drogą powietrzną kopytami. Trawnice z ogromną pracą udało się go {je} okiełznać i zmusić opaść na wszystkich cztery nogi.

- Co tu odbywa się? - zaczęła krzyczeć ona, oglądając się po bokach.- Gdzie wasz Powielitielnica? Chcę, nie, żądam, by ona natychmiast do nas wyszła!

Za nie na żarty rozgniewanej wampirszej z lasu wyjechali i wybudowali się na kraju placu koło setki wampirów na zwyczajnych koniach.

- Sądzę, Leriejena i sam najbardziej na świecie pragnie stąd wyjść, - półgłosem przewarczał Lona i krzyknął w odpowiedzi: - Kiełła, strzeż się! To nie wampiry, a który przyjął ich wygląd kreatury, oni trzymają nas w obleżeniu!

Łożniaki chętnie potwierdziły jego słowa, nastroszywszy się mieczami na bok nieproszonych gości.

Trawnica odsunęła się, Wolt cofnął się i zatańczył w miejscu, szczękając kłami i złośliwie porykiwaja.

- Ty na zasadzie? - Kiełła, szybko opanowawszy się, ścisnęła końskie boki kolanami, i Wolt, stęknąwszy, wstał jak wryty. Podobnie, jeszcze troszeczkę - i ona by go {je} zgmiotła.

-Tak!

- Oni ciebie nie obrażali? - skrupulatnie pytała Trawnica, jak rietiwaja babcia, primczawszaja na pomoc ukochanemu i jedynemu wnuczkę i gotowa własnoręcznie nakostylał' nikczemnym chuliganom, którzy odważyli się na nią drogocenne dziecko.

- Kiełła! - podrażnienie wozopił Lona. -- Nie, oni mnie raptem zabili!

Po oddziale wampirów przejechało się zgodne westchnienie, z

wziętych naizgotowku gwordow z suchymi prztyczkami wyskoczyły długie budowane ostrza, jakie u kogo zamigotały miecze - na szczęście, nie gnomji. Mimo pięć-sześciopodzielnie nadrzędne siły przeciwnika, cofać się nikt nie zbierał się. Naprzeciwko - śmiertelnie obrażone wampiry, złośliwie zmarszczywszy się i oszczeriwszy, czekały tylko sygnału do ataku. Onogo zanim postępowało ani od Kiełły, ani od doradcy, jednakowo zastrzelonych niezdanno-niegadanno który spadł na głowę przeciwnikiem i gorączkowo obmyślających plan działań.

Tymczasem z naprzeciwka place pojawił się jeszcze jeden oddział, powiększy i poszumnieje. Na ten raz - ludzki, i też czymś bardzo niezadowolony.

- Wy kudy moją córeczkę dziel, wompery przeklinani?! -
Donośny głos zamknął huk trzy staknuwszychsia na placu woinstw.

- Bat'ka!!! - radosno zaskrzeczała najemnica, tak pichnuw Rołara łokciem, że tego ustąpiłem nią drzwiowe oczko, spadłszy z belki..-Ja tu! Zadaj bobu tym łajdakom!

- Twój ojciec - dowódca prigranicznymi wojskami Winiessy?!
- wytrzeszczył oczy wampir, dojrzawszy gorłastogo siedowłasogo chłopca na białym koniu z zaplecioną w kosicy przez grzywę. Winiesskije sztandary powiewały nad groźnymi rzędami zależnych mu jeźdźców; ich było najmniej dwu setek. -- Ty cóż to nam

móźdzek pudrowałaś, odważna najemnica, biedna sielanskaja córeczka, bezinteresowny patriotka?! W pikę tatusiowi zdecydowała postąpić w Legion sojuszniczego królestwa?!

- Nie twoje wampirje sprawa! - wzwiła się Orsana. -- Nie, no wy tylko popatrzycie na tego nikczemnika - samego wypierli z Arlissa, nawet wampirom sprzykrzył się gorzej gorzkiej rzodkwi, a w to samo miejsce - poucza! Dokąd chcę - tam i postępuję, ciebie nie zapytała!

- Mnie nie wypierli, ja - w dobrowolnym wydaleniu, to różne rzeczy!

- Czyżby? - sceptycznie wygięła brew Leriejena, i Rołar zerwał się już na nią:

- A ty, siestrienka, dobrego pomilcz, tymczasem {póki} ja tobie cichaczem szyję nie skręciłem! Zaparzyła kaszę - teraz wyrzucimy ciebie na zewnątrz, będziesz raschlebywał'!

- Siestrienka?! - wstrząs stęknęliśmy z Orsanój.

- Przyrodnia, - niechętnie uściśliła Leriejena. - I nie ma co {coś} tak na mnie patrzeć, wszystkie pretensje do mojej matki! Już ja-to za nic bym nie opadła do mieszanego braku {ślubu}...

- No i pomiesz starą panną,- okrysił się Rołar. -- Ciebie nie to że Władca - ostatni troł w żony nie weźmie, najwyżej połdoliny w posag naobiecasz! Zresztą, ona teraz i za darmo nikomu nie potrzebna - kiszmia kiszaszczaja łóżniakami, odgradzona od

całego pokoju {świata} przez zatrutą rzekę! Jak wpadłaś na sposób rasplewat'cia jeszcze i z rusałkami, a? Oni-to tobie czym przeszkadzili?

- Oni pierwszymi zaczęli! - oburzyła się Powielitielnica.

- Co, w ogóle bez przyczyny? Ty chociażbyś próbowała z nimi pomówić?

- Ja? Z rusałkami, stojąc po pas w wodzie i wysłuchując oni wieczne kpiny?! - Leriejena skrzyła obrzydliwą grimasku. -- A dla czego mi wtedy Radę Seniorów?

- Wszystko jasno,- skazane zamknął Rołar, - rusałki od razu rozgryzły łóżniakow i bez gadania wysłali ich na dno, a Lerka, nie znalazłszy czasu osobiście we wszystkim pozbierać, posłała do Danawielu kogokolwiek niby swojego fałszywego sówietniczka. A ten, wróciwszy, nachłostał Powielitielnice o zupełnie riechnuwszychsia rusałkach i podbił ją przetruc rzekę. Słusznie?

- A co mi jeszcze pozostawało robić? - odburknęła Powielitielnica.

- Niczego,- pokornie uznał wampir i, nagle rzuciwszy się do ołtarza, tak ryknął, nawisłszy nad Leriejenoj, że ona z piskiem przewróciła się plecy na płytę, jak naszkodiwszyj szczenię. -- Wszystko, że mogłaś, już zrobiłaś, idiotka! Kpiny jej, widzisz, wypaczają! Niechęć w nowym płątjice w rzeczku pchać się! No tak teraz ty wlapałaś po sam wierzchołek, przy czym wcale nie w

wodę!

Kiedy indziej my byśmy z ogromną przyjemnością poobserwowali za burzliwą rodzinną scenę, lecz tu za drzwiami rozbrzmiał mnogogołosyj krzyk, który zmienił się tupotem, rżeniem, lazganjem broni i luźnymi krzykami wściekłości i bólu. Orsana znów przylgnęła do oczka, a zgięłam się u szczeliny.

Nie wiadomo, kto z dowódców pierwszym odważył się machnąć ręką, lecz długo oczekiwany gest był przyjęty z entuzjazmem, i na placu panowało stołpotworienije. Do naszej niewypowiedzianej ulgi, wzmocnienie poprawnie zorientowało się w umeblowaniu i zgodnie atakowało pseudowampiry z gnomjimi aspidami. Dwie schodzące się konnice dosłownie zgmiotły kilka rzędów łożniaków, lecz następnie uwięźli w tłumie i puściły w ruch miecze i gwordy.

Za moją plecy Rołar kontynuował wrzeszczyć na Leriejenu, lecz jego głos gubił się na ogół zgiełku, i poszczególnych słów było nie rozebrać.

Przez kilka minut i ludziom, i wampirom wypadło śpieszyć się - na żywych łożniaków konie nie reagowały, lecz, uczujaw fetor sktóre tajali trupów, bystrieńko oprzytomnieli i stanowczo zrezygnowali brać udział w bitwie. W siodle została tylko Kiełła. Ona galopem nakroiła kręgi wokoło place, rozsądnie nie mieszając się w starcie z powodu nieobecności bronie, i Woltowi wypadło

otduwat'sia za dwóch, depcząc którzy nadarzyli się w drodze łożniakow.

My tak zainteresowaliśmy się tym widowiskiem, że przestraszony wskrzyk który obrócił się Lona: "Rołar, zaprzestań! Ona zaś teraz..." - kilka spóźnił się.

"Teraz" już nastąpiło.

Leriejena jakoś to dziwny wykręciła szyję, konwulsyjnie szarpnęła zuchwą, i ta nagle rozbrzmiała naprzód i wszere, wciągając w transformację całą głowę, a za niej i ciało. Zęby zaostrzyły się i przedłużyli się, ręce nienaturalnie wyciągnęły się, biała sukienka które spróchnieli kosmykami obsypywała się na płec {podłogę}. Rołar ledwie zdążył odskoczyć, jak wijąca się na ołtarzu kreatura podniosła krasnogłazuju, kłykastuju mordę, złożyła skrzydła wklęsłą półsferą, wyciągnęła szyję i bezdźwięcznie wrzasnęła. Nas rozrzuciło po kątach i przycisnęło do polo, dźwiękowa fala uderzyła po plecach, jak workiem z trocinami. W uszach nieznośnie zaswierbieło, potem ich jak zaśpiewało od lodowego wiatru. Jeszcze chwila - i z nich lunęłaby krew, lecz, na nasze szczęście, kreaturę z lazganjem zatrzasnęła paszcza, przeprowadzając oddychanie i oglądając się.

- Pod ołtarz! - głośno dał komendę Lona, inspirując nas osobistym przykładem.

Tylko zdążyliśmy dobiec i na czworakach wpełznąć pod płytę,

jak Leriejena zaprowadziła się znów, już pewnie i na długo, faliście zmieniając tonalność, lecz nie siłę dźwięku. Wokoło z brzękiem wybuchały statuy, piatifuntowyje marmurowe odłamki z wdziękiem puszków kręciły się w wirowych potokach, raz po raz wystrzeliwując w strony, jak z praszczi. Ściany i płci {podłogi} szybko pokrywały się wgnieceniami. Kamieniom szlachetnym zdawałoby się w ogóle rozsypywać się w pył, lecz, do mojego zdumienia, oni całościami i nieuszkodzonymi leżeli na płci {podłodze}, jak prilipnuw do kątów gieksagrammy - widocznie, ich strzegła szczątkowa magia Kręgu.

Naprędce postawiona przez mnie obrona nie dała nam ostatecznie i ostatecznie ogłuchnąć, lecz krzykliwa kreatura uczyła się rozumu-jednak częściowo ją przebijać, i ból w uszach nie ucichał.

- Co z niej takie? - zaczęłam krzyżeć, sam nie usłyszawszy swojego głosu. Lecz Lona starczyło myśli.

- To druga ipostaś kobiety-wampira! - przysunąwszy się, krzyknął on mi w samo ucho. -- Zamiast wilka u mężczyzn, lecz przejawia się spontanicznie i nie poddaje się kontroli!

- Ją można jakkolwiek zatknąć?!

- Nie, tymczasem {póki} ona sam nie uspokoi się!

- To na długo?

- Patrząc w jakim stopniu silnym był wstrząs!

- Dokąd już bardziej!

To, przed czym spasowała cała armia łożniaków, bez pracy udało się jednej wściekłej wampirsze. Świątynia wibriowała, jak żelazny kocioł, po którym łuszcza pogrzebaczem, ze szczelin między kamieniami sypał się kit, a same oni w oczach raspołzaliś w strony i wybijali się z gniazd.

- Upyrica gchyrowa! - nie powstrzymałam się.

- A jeszcze dziwiłaś się, dlaczego ja nie chcę na niej żenić się!

- Ja?! Tak żeń się na kim chcesz, mi-to że! Kto ja w ogóle taki, by czemuś dziwić się? Chranitielnica, tfu! Tak ich obgadać - raz plunąć, nawet pytać nie trzeba!

- wolcha, ty co? - spieszył się Lona.

- Co ja? CO Ja?! Ja we wściekłości, jeżeli ty jeszcze nie zauważyłeś! Cały tydzień za mną hurtem i w detalu ganiają przeróżne kreatury, zjednoczone płomienną niemiłością do mojej skromnej osobistości, w ciągu dwu ostatnich lat ja sam stopniowo przekształcam się w jakiegoś monstra, pół godziny w tył w ogóle umarła, a teraz siedzę pod ołtarzem i nade mną pędzi twoja odrzucona narzeczona, próbując zrównać świątynię z ziemią, na zewnątrz tęsknią w oczekiwaniu hordy łożniaków, a ty niewzruszenie interesujesz się, czym ja niezadowolony?!

- I czym ty jesteś niezadowolony? - niewzruszenie zainteresował się Lona.

Udusiłam się od oburzenia, a ten nikczemnik dodał:

- Czy ja ciebie o czymś prosiłem? Zmuszał doganiać ambasadę, wiązać się z łożniakami, jechać w Arliss i przeprowadzać obrzęd? Ty sam podjęłaś decyzję, a teraz okazujesz mi jakieś dziwne pretensje!

- Dziwni?! Mam nadzieję, u ciebie nie jeszcze jednego Chranitelińcy?

- Nie, a że?

- Chcę być zapewniona, że jeżeli teraz ciebie przystuknu, to więcej niż nigdy nie zobaczę!

Teraz wrzeszczeliśmy przyjaciel na przyjaciela wyjątkowo od nadmiaru uczuć, naprecz zapomniawszy o upyricu. Ja za pierwszym razem widziałam Lona takim wściekłym, on nawet zbladł od oburzenia:

- I to twoja wdzięczność?!

- Co?! Ja jeszcze i dziękować powinnam była?!

- Wyobraź sobie!

- Przepraszam, tu moja wyobraźnia jest bezsilnie!

- Tak jak śmiesz mnie zarzucać - następnie, że ja dla ciebie zrobiłem?!

- Ze mną zrobił! I kiedy tylko zdążył, nikczemny krwiopijca?!

- Ten ja-to krwiopijca?! Ach ty biesstyżaja, parszywa wiedźma! Gdybym tylko wiedział!

- Gdybym tylko wiedziała!

I tu obok z nami rozbrzmiał takiego nadrywnyj, histeryczny pisk, zamykający Leriejenin, że “parszywa wiedźma” i “nikczemny krwiopijca” razem przemilczały i niedoumiennie ustawili się na Orsanu. Najemnica, przekonawszy się, że zawładnęła ogólnym uwagę, w tym samym miejscu zamknęła ust, wykaszła się i rzeczowo uściśliła:

- Uspokoili się? Wtedy zamykajcie rozejm i zaczynajcie myśleć, jak nam stąd wybrać się!

Oprzytomnieliśmy i zawstydziliśmy się, lecz nie zaczęli z fałszywymi uśmiechami ścisnąć sobie ręki, a od razu przeszedł do potrzebnego zamyślnego procesu.

- Wyjście tylko jeden - przez drzwi! - natychmiast zorientowałam się.

Orsana, widocznie, dawno przyszła ponadto wyprowadzeniu, dlatego że gniewnie zaczęła krzyczeć w odpowiedzi:

- Lecz my nie będziemy mogli wyleżeć spod ołtarza, tymczasem {póki} ona chłoszcze dźwiękiem i w powietrzu kręci się to świństwo!

- Znaczy, pójdziemy do drzwi razem z nim {nimi}! - stanowczo ogłosiła Lona, pichaja Rołara w bok i spojrzeniem wskazując mu na spód marmurowej płyty. -- Ty gotowy?

- Dawaj!

Wampiry podnatużyliś i uniosły płytę. Jeden kraj zadarł się wyżej inny, Leriejena ześliznęła się z ołtarza i zakręciła się pod sufitem, przypominając ogromnego nietoperza z kruchym bladym Bykiem i półprzezroczystymi skrzydłami. Wylecieć pod dziurę w kopule ona nie mogła, a ucześcić się za kraj i przecisnąć się nie domyśliła się. Pisk nie cichł, płyta odczuwalnie wibriowała. Wampirom jakoś udało się ją wyrównać, i my na półwygiętych nogach zadreptaliśmy do drzwi, jak cztery gnoma pod jedną tarczą. Od nas z Orsanój korzyści było mało, lecz uczciwie staraliśmy się.

- Jak my ją otworzymy?! - zaczęła krzyczeć Orsana, kiedy do drzwi pozostawało najwyżej pięciu kroków. -- Tamże pierścień z tarana, a skrzydła otwierają się na oścież na zewnątrz!

- To myjąc troska! - przewrzeszczałam w odpowiedzi, zwalniając ręce dla zaklęcia. -- Nie zatrzymujcie się, przedstawcie, że ją nie!

Daliśmy nurka w drzwi, jak w zasłonę wodospadu, i przemknęliśmy ją na wylot, razem z kłocem. Jak okazało się, u wyjścia nas cierpliwie czekał doradca z diużynnym oddziałem łożniaków. Nie zdążyli oni radosno machnąć mieczami, jak my nieuprzejmie przenieśliśmy obok, a za nim wyleciała upyristaja Powielitielnica.

Nie zmieszawszy się, łożniaki połączyli przyjemność z pożytecznym: rzucili się doganiać nas, a zgodnie uciekać od

Leriejeny. Paroczka małodusznych spróbowała zmienić nas w świątyni, lecz drzwi już przyjęły normalny rodzaj, i oni tylko rozbili sobie czoła. W odróżnieniu od ich, my wcale nie zbieraliśmy się ratować się ucieczką i, stromo rozwinąwszy się, spotkały wrogów twarzą w twarz. Celowniczo zrzucona przez wampiry płyta stała się jakiego dla kogo nagrobkowego, pozostałym wypadło raptownie zahamować i odskoczyć w tył. Leriejena naleciała na nich z pleców, połosnuła pazurami i odeszła w niebo, nie zaprzestając krzyczeć. Zabić nikogo nie zabiła, lecz odciągnęła, i my nie zwolniliśmy tym skorzystać, położywszy pięcioro w miejscu. Doradca, zaraza, cofnął się i zgubił się w tłumie, Lona z Rołarom rzucili się w trop. My z najemniczej też nie zostaliśmy bez sprawy: na mnie wycelowali od razu troje łożniaków, lecz dobiec zdążył tylko jeden i w tym samym miejscu nadział się na Orsanin miecz.

Leriejena powiewało nad placem, jak które uleciało z linki prześcieradło, nie tyle pomagając swoim, ile siejąc panikę w rzędach przeciwnika, przeszkadzając łożniakom uświadomić sobie swoją przewagę liczebną i wyprodukować więcej-mniej wyraźnego planu. Teraźniejsze wampiry, widocznie, czastieńko zderzały się z atakami hysterii swoich “przepięknych” połów i prawie nie obracały na nią uwagi, tylko przigibaliś, kiedy ona na golącym locie przelatowała u samej ziemi, piskiem rasszwyriwaja

niedostatecznie roztropnych wojak. Zostawieni przez nią przesieki w mig odwlekali się, bój zagotowywał się z nową na siłę.

Kontynuowałam częstować wszystkich chętnych bojowymi pulsarami, i po upływie kilka minut moja rezerwa wycieńczyła się do dna - po raz pierwszy za ostatnie dwie tygodnie. Szukać energetycznej źródło nie było czasu, wypadło wziąć w ręce miecz. W głowie mignęła podleńkaja myśl, że dokąd rozmądrzej ścisnąć go {je} pod pachą, dotycząco obrazów osiąść na ziemię i udać martwej, lecz zamiast ten wstałam plecy do pleców z Orsanój, tworząc przynajmniej widoczność osłony. Pary uderzeń mi udało się-jednak zablokować, potem najemnica wykroiła sekundę dla zakrętu i dostała mojego przeciwnika samym koniuszkiem miotając, za to w poprzek gardła.

Wrogowie nieśli ogromne straty. Elitnyj dogiewskij oddział i winiesskije żołnierze straży granicznej, zahartowani stałymi potyczkami ze skorymi do bitki stiepniakami, drogo sprzedawali swoje życia - dwie-trzy za jedną. Lecz, niestety, “kupców” było zbyt wiele i oni kontynuowali napływać na plac z wszystkich stron, po cichu biorąc górę.

I tu w niebie pojawił się czarny punkt. Ona szybko wyrosła do rozmiarów i zarysów smoka, raczej {słuszniej}, drakonichi. Gierieda opisała krąg nad placem, wynajdując odpowiednie miasteczko, i siadła na dach świątyni. Zamyślona popatrzyła w dół,

jak ogromny nachochliwszajasia wrona, a następnie głęboko wciągnęła powietrze i dmuchnęła płomieniem w sam gąszcz starcia, gdzie akurat powołaj się w nierównym boju Lona, pary dogiewskich wampirów i dobry tuzin wcale nie dobrych łożniaków.

Zaczęłam krzyczeć bodaj czy nie głośniejszy Leriejeny, lecz, kiedy płomień zlnął, w czarnym wyżżennom kręgu stało celechońkije, choć kilka zażenowanych wampirów, a okrzyż ich malowniczo dymiły się sirotliwyje małe wzgórze z but i otopionych kolczug. Władca powitalnie ododdawał honory Gieriedie mieczem, i wampiry znów rzuciły się do walki.

Mój krzyk zagrał mi na rękę - drakonicha zauważyła nas z Orsanój i celnie plunęła ogniem w kuczno podchodzących do nas łożniaków. Złociści-purpurowy klub rozpluskał się po ziemi, przeciwnicy zginęli w triecharszynnom słupie który podrzucił się ognia, tak tak i nie pojawili się. Nas oblało żarem, lecz nie opaliło nawet włos. Ryczarg jakoś chwalił się, że smoki umieją wydawać trzydzieści sześć gatunków płomienia, od iluzji do płazmiennego skrzepu, wyborczo spopielającego rycerza w celechońkich zbroi, i na odwrót. W ślad za żarem ja proszyb pot - w tak namacalnej demonstracji brałam udział po raz pierwszy i przyjemności, prosto powiedzieć, nie otrzymałam. Zwłaszcza przy spojrzeniu na Orsanin miecz, wysmarowany przez krew kreatur i dymiący się do

samej rukojeti. Gdzieniegdzie na przyjaciółce gniła i kurtka.

Jeszcze para-trójka tak zaś efektywnych plunięć - i łożniaki marźli! Pobrosaw miecze, oni rzucili się w różnych kierunkach, byle nieco dalej. Ich prawie nie prześladowali, najwyżej do kraju placu - zbyt zmęczyli się, i nie zaryzykowali pogłębiać się w nieznany las.

Leriejena kontynuowała biesnowat'sia, zakładając strome wiraże wokoło świątyni. Podczas nieobecności innych dźwięków jej wycie wkręcało się w uszy z potrojoną na siłę. Drakonicha pozwoliła nią zrobić trzy obroty, a następnie klacnęła zębami, jak pies na przelatującego obok wróbla, i wampirsza zginęła w nią paść. Na zewnątrz zostały tylko skrzydła. Niedużo potriepychaliś, potem obzwisali i powoli wciągnęli się do wnętrza. Gierieda wyczekała pary minut i obrzydliwie splunęła Powielitelińcu na łączkę przed świątynią. Leriejena poruszyła się, z trudem uniosła się na łokciach i tępo ustawił się na zawaloną przez trupy plac.

W która nastąpiła ciszy Lona pierwszym podniósł miecz nad głową, i obie armie zwycięzców triumfujące i bez sensu zaczęli krzyczeć, a potem rzucili się bratać się, nie rozbierając, gdzie ludzie, a gdzie wampiry.

Nad ranem Arliss na wylot prześmierdzał padliną. Śmierdziały powietrze, ziemię, wodę, trawę, nawet kwiaty. Zapach nie wytrawliwałaś niczym, do niego niemożliwie było prytierpiet'sia, priniuchać'sia. Jedzenie straciło wszelki wdzięk; jedli, tylko by uspokoić słabość w nogach i rzezi w żołądku.

Doskonale pojmując, czym może obrócić się każda sekunda zwłoki, ludzi i wampiry urządziły pilną wojenną radę, rozbili się na mieszane grupy po dziesięć - dwudziestu bojowników i udali się przeczesywać lasu. U Kiełły w torbie znalazła się nalewka żguczejada, ją rozlali po pęcherzykach i sprawdzali każdego jadącego w przeciwnym kierunku, bądź to zgrzybiały staruszek lub sześćioletnia dziewczuszka z wzruszającymi niebieskimi oczyma.

Przede wszystkim obcięli most, lecz, najprawdopodobniej, duża część łożniaków już zdążyła po nim opuścić Arliss. Pozostałym podziewać się było nie ma gdzie.

Złych, zmotanych, które otepieli od nieprzerwanej rzezi, my z Orsanoj, Rołarom i Lonom szliśmy po dolinie jak trzy demona śmierci z karzącymi mieczami i jednego - z karzącą magią. Nam żguczejad nie był potrzebnym - Władca prowadził pod uzdecy Wolta. Koń nastorożenno zyrkał po bokach, i łożniakom ani razu nie udało się zastać nas zniecka. Tak oni i nie próbowali, więcej niż zaniepokojone ratunkiem swojej skóry; jeden tylko raz z

krzaków wyskoczyli od razu dziewięć uzbrojonych łozniakow-wampiry, lecz do tego czasu zdążyłam uzupełnić rezerwę ze spotkanego drogą źródła, i przyjaciele nie spłochowali. Po upływie dziesięciu godziny w naszym aktywie figurowali siedemnaście “wampirów”, cztery wilka, jelen i dziki dzik. Na nasze szczęście, mietamorfy wybierały dla transformacji obiekty średniej wielkości. Ganiać za myszami i wróblami nie wypadło, a niedźwiedzie, tfu-tfu, nie wpadali.

Z wampirami dały sobie radę miecze, lecz zwierzęcy, nie przyjmując boju, rzucali się do ucieczki. Dogonić ich mogły tylko pulsary, natychmiast które zmieniali uciekinierów w obuglennyje tuszki. Apetyczny zapach smażonego mięsa szybko zmieniał się fetorem, potwierdzając, że Wolt nie omylił się. Orsana ponuro przejęzyczyła się, że, chyba, z tego dnia stanie się przekonanej wiegietariankoj, i nikt nie zaczął ją odwodzić.

Nieprzerwane obroty do magii nie przeszły za darmo. Spadłam pierwszej - w omdlenie. Nigdy w życiu mi nie wypadło tak długo i monotonnie czarować, to wyczerpywało bardziej bieganiny po lesie. Przeprowadziłam nieprzytomny najwyżej pięciu minut i, ocknąwszy się, zapewniałam, że świetnie odpoczęłam i mogę iść dalej, lecz przyjaciele mi dlaczego-to nie uwierzyli. Rołar twierdził, że moja cera przypomina mu niejakię pryguceje ziemnowodnoje, przy czym na ostatnim zdychaniu. Większością

głosów (przy jednej wstrzymującej się) zdecydowali skrócić z powrotem.

Ledwie dotarliśmy do w domu - pierwszego który trafił się,- my z Orsanój zawaliliśmy się spać. Len opóźnił się po drodze, powstrieczaw Kiełtu, a Rołar naprędcie przeżuła kromka chleba z serem i znów uciekł, przyłączywszy się do innej brygady. Na pomoc przyszedłeś świeże oddziały arlisskich wampirów, na ten raz - terazniejszych. Proszyszaw o która nawisła nad doliną groźbie, oni rzucali wszystkie swoje sprawy, odbierali u żon zaktórzy poniewierali się bez sprawy gwordy, którymi wynalazczych małżonków priłowcziliś kruszyć kapustę w kadziach, i śpieszyli się w miasto. Tam ich naprędcie instruowali, nabijali na grupy i posyłali w las. Na odległych chutorkach syskałość-jednak kilka kjaardow, teraz ich wykorzystali zamiast psów milicyjnych.

Kiedy ostatecznie rozwidniło się, stało się jasno, że swoimi siłami nam nie dać sobie radę. Mietamorfy raspożliś po Arlissu jak relikwiarza opuchlizna. Zginęli koło tysiąca wampirów, i liczba ofiar kontynuowała rośnij - na szczęście, już znacznie miedlennieje. Jeżeli miejskich mieszkańców-mietamorfow wypadło wycinać wszystkich do jedynego, to bliżej do granicy - tylko każdy dziesiątego - dwudziestego. Ludność doliny zmniejszyla się wzorowo na ćwierć.

I nie było żadnej gwarancji, że mietamorfy nie wyślą za nią zasięg zadłużo do wczoraj.

Natychmiast połączyć się z Kowienom Magów nie udało się: telepatofon, jak i następowało oczekiwać, okazał się złamany. Na naprawę (raczej {słuszniej}, prawie nieskuteczne jej próby) odeszło więcej niż doby. Z grzechem na pół nawiązali kontakt ze Starminskoj Szkołą, lecz ustrój tak syczał i pluło się bezładnymi urywkami myśli, że magowie pojęli tylko jeden: w Arlissie tworzy się coś niedobre.

Po upływie dwa godziny obok wyraźnie która przekrzywiła się świątyni materializowała Nauczyciel, zaktóry działał ze względu na taki wypadek główny portal Wieży Tieleportacyi. Na mojej pamięci z ich korzystali po raz pierwszy; dla jego aktywacji były potrzebnym zjednoczone starania dwu dziesiątków archimagów, spieszenie zwołanych z wszystkiego Starmina.

My krótko, jak równe, przywitaliśmy się. Nauczycielowi, podobnie, już doprowadzało się zderzać się z podobnymi kreaturami. Obejrząwszy się po bokach, a puszczy tego - priniuchawszyś, on zmarkotniał, zNika, wymamrotał: “Ach, jakże niedopatrzeliśmy-to...” - i zarzucił mnie pytaniami. Interesował go {je} tylko płynący stan spraw, przedystoriju on wiedział dobre nas.

Kamniedierzkij mag nie otworzył mi wszystkiej prawdy, przemilczawszy, że z aktywowanego w Grzebieniastych górach

Kręgu wyrwali się nie tylko zmyri. Które przybyło na miejsce zdarzenia magowie-praktyki przeczesaly okoliczne lasy i osiedla, oprócz innej nieżyty ukazawszy i zabiwszy z dziesiątek metamorfoz. Na tym Kowien policzył problem zdecydowanej i nie zaczął zdradzać sprawę szerokiemu rozgłaszaniu. “Po politycznych i ekonomicznych obserwacjach”, - zmieszanie objaśnił Nauczyciel, nie wytrzymałszy uważnego, pogardliwego spojrzenia Lona. Kowien po prostu obawiał się za swoją reputację i potem cicho zmiał błąd młodego maga, przez głupotę który wlaź w nieznanego Wied’min Krąg. Inaczej wypadłby wprowadzać stan wyjątkowy, prosić u króla pieniędzy na wzmocnienie ochrony miast i sprawdzenie mieszkańców, leśne obławy, jak również na zakup i bezpłatne rozdawanie amuletów po wszystkich bielorskim osiedlom. Narozum, miękko powiedzieć, byłby bardzo niezadowolony - do tajnej radości Wsieradietela, śpiącego i widzącego, niejako podsiedzieć Kowien.

Lecz głośno Lona nie wymówił ani słowa. Milcząco patrzył, jak Nauczyciel krząta się wokoło telepatofona, płucami kasanijami naprawiając niewidoczne związki między kryształami. Potem taki sam milcząco włożyła na głowę obręcz ustroju i oddał w Kowien szczegółową informację o wrogu. Starminskije telepaty rozpowszechni ją po wszystkich miastach i nawet sąsiednim krajom, łącznie z Woliju i jasniewyj Grad. Przede wszystkim, ma

się rozumie, następowało obrać od łożniaków Arliss, i przed wieczorem tutaj należyte byli przybyć jeszcze kilka magów, teleportirując na własną rękę.

Westchnęliśmy pospokojnieje. Lecz na razie na śmiertelnie niebezpieczne polowanie znów wypadło iść mi z przyjaciółmi...

Na następujący ranek Rołar udał się na rokowania z rusałkami, kategorycznie zrezygnowawszy od uzbrojonego towarzyszenia, a z broni wzięwszy tylko gword. Ugrzęzłam się za nim {nimi}, obiecawszy, że nie rzucę się go {je} ratować, nawet jeżeli on zacznie krzyżeć na całe gardło - mi prosto trzeba w tę zaś stronę, poszukać swojego konika. Zresztą, jeżeli Rołar tak już stanowczo sprzeciwia się sprzeciwiasz się mojej kompanii, mogę pójść i jedna, lecz wtedy mój rozszarpanego łożniakami trup będzie na jego sumieniu.

Wampir zadrżał i poddał się.

Szukać Smołku nie wypadło. Boks {kosztowałem} nam wyjść na skraj lasu, jak zobaczyłam tę poganku, pogodnie szczypiącą trawę na tym brzegu rzeki. Jak ona tam przedostała się, zostało zagadką, dlatego że krakien jak dawniej rozrabiał w mętnej wodzie i natychmiast wynurzył się nam naprzeciw, wyszczerzywszy zęby i rozczapierzywszy macki.

- Danawiel! - złożywszy dłonie głośnikiem, że jest mocze

zaczął krzyczeć Rołar, zamykając syk rozwścieczonego smoka: -
Dewieni ast, karitessa!

Odpowiedzi nie poszło za, lecz po upływie pary minut smok zatrzasnął paszczę, ze świstem wypuścił powietrze z nozdrzem dwie strumienie białawej pary, rozwinęła się do nas bokiem i wstoporszczył grzbietowa płetwa, jak uchwyt.

Rołar bez wahania wskoczył na iskrzącą się łuskę. Ja, w duchu obmiraja od strachu, poszłam za jego przykładowi.

Krakien szarpnęła z teren, jak arbaletnyj śruba. Ja konwulsyjnie uczepiłam się za płetwę, Rołar zaś ledwie zachwiał się, zręcznie sprężyniw półwygiętymi nogami - widać, nie pierwszy raz jeździł. Do zapory, która przypominała bobrową chatku z bezładnie narzuconych kłoców i kamieni, dopędziliśmy w liczone sekundy. Obok ją krakien raptownie rozwinął się i, ledwie zdążyliśmy zeskoczyć na brzeg, odszedł na głębokość.

Po tę stronę zapory powoli toczyła fale szeroka rzeka, prawie nieodróżniona od jeziora. Dzieniek wysunął się mglisty, daleki brzeg gubił się w szaroniebieskiej mgiełce. Boks {kosztował} nam podejść do brzegu wody, jak nieopodal wynurzyła się rusałka. Raczej {słuszniej}, wynurzył się. Odrzucił za ramiona długie, jasne z zielonkawym odcieniem włosy, złożył ręce na muskularnej piersi i wyżydatielno ustawił się na nas przezroczyści-srebrzystymi oczyma z rombikami źrenic.

Wampir opadł na jedno kolano, jak dawał przysięgę, i przemówił pierwszym. Danawiel poważnie wysłuchał go {je} do końca, potem krótko odpowiedział, machnąwszy ręką na bok zapory. Rołar pokiwał głową i zaczął coś objaśniać, przy sposobności wskazawszy na mnie. Rozmowa szła na jednym z dialektów elfijskiego, pojmowałam tylko niektóre słowa, a zgadnąć ogólny sens po intonacjach i wyrażeniu osób było niemożliwie, oni tak ani razu i nie zamienili się.

Nareszcie Danawiel zrobił dziwny gest, jak odpędzając która przelatowała obok osoby muchę i, zamerdawszy długim wąskim ogonem, zginął pod wodą.

Rołar został stać, obojętnie patrząc na rozchodzące się kręgi.

- No? - żarłocznie zainteresowałam się, zaglądając mu w twarz.

- Wszystko w porządku. Pokój {świat}. Powiedziałem, że magowie pomogą obrać rzekę od jadu, po czym zapora będzie zburzona. A Danawiel obiecał, że rusałki i krakiemy nas więcej niż nie jest dotknięty. Dawna umowa o handlu i polzowaniu rzeką pozostaje w sile. Jak niczego i nie było.

- Że zaś ty taki mroczny?

Wampir gorzko przykrył oczy i z trudem wymówił:

- zapytałem: "Wiele waszych zginęło?" - a on uważnie popatrzał na mnie i odpowiedział: "Ja nie mający prawo tobie zarzucać. Twoja boleść więcej niż".

- Wszystko będzie w porządku, Rołar. Razem poradzimy sobie z tą napaszczą.

- Wiem. Lecz mi od tego nie lżej...

Nam wypadło zatrzymać się w Arlissie jeszcze na tydzień - myjąc pomoc była potrzebnym rannym ludziom, Rołar i Orsana, pożyczwszy u mnie Smołku (kobyła przejęła się ważnością złożoną na nią misje i zgodziła się popracować rozysknoj psiną - pod warunkiem, że wampir i najemnica nie zaczną wspinać się nią na plecy), przeczesywali dolinę w poszukiwaniu którzy ocaleli mietamorfow, Lona i Leriejena całymi dniami przepadali w naprędcie oczyszczonej świątyni. Kamienie tymczasowo umocowały na drewnianych podstawkach. W bitwie i kolejnych potyczkach zginęli pięćdziesiąt osiem dogiewskich wampirów i dwadzieścia sześć arlisskich, lecz jedną trzecią z nich jeszcze można było ożywić.

U ludzi, niestety, drugiej szansy nie było. Orsanin ojciec stracił większą część swój oddział...

Na piąty dzień z Winiessy przybył goniec z medalem dla Orsany. Tamtejsi magowie wyłowili koło setki mietamorfow, przy czym jednego z łożniakow zdążył przyjąć wygląd królowej i następującym zachodem zbierał się chwycić ciało samego króla. Nagle owdowiały król wyrażał Orsanie swoją bezgraniczną

wdzięczność za we właściwym czasie uprzedzenie - do medalu dołączała się darowizna na zamek i setkę akrów ziemi, nie obciążanej przez podatek w ciągu dziesięciu lat. Nasz król ograniczył się chwalebłą piśmiennością "Za zasługi przed Ojczyzną", wystawnie wręczonemu mi Nauczycielem, i awansem dla Rołara. Ani to, ani inny nie boks {kosztował} naszemu oszczędnemu monarsze ani grosza. Kowien Magów pośpieszył naprawić ten brak - Nauczyciel mgliście napomknął o niejakiem gnomij banku, dokąd za nami następowało zejść po zwrocie w Starmin. O rozmiarze nagrody mag nie rozpowszechniał się; najprawdopodobniej, ją przeprowadzili przez skarb nieoficjalnie.

Więcej niż wszystkich nagrodzie ucieszył się Orsanin ojciec. On świecił, jak jasno słońeczko, każdą rozmowę sprowadzając na dytyramby swojej ładnej, mądrej i odważnej córki. Nie szło i mowy o szybkim zamążpójściu Orsany: nią czekało robić karierę, żeby nieustannie rozślawiać swojego ur. Niedostatek obrócił się wartości: teraz Orsaniny potomni mogły z dumą twierdzić, że WSZYSTKO w ich rodzie - i mężczyźni, i kobiety - sławnie popracowały mieczami w obronie ojczyzny. Sam Orsana przyjął medal z udaną obojętnością i, tylko zostawszy sam na sam z nami, z triumfującym piskiem i krzykiem: "Hura!!! Jaka zaś ja jednakże młodczina!" - zwiśla u Rołara na szyi. Wampir niczego nie miał sprzeciwiasz się i z entuzjazmem objął ją trochę poniższego talii.

Niestety, do ogromnej beczki miodu dołączała się standardowa łyżka smoły, i przypadła w udziale ona mi. My z Lonom jak dawniej nie rozmawialiśmy. Nie to by w razie palącej konieczności pisały sobie lakoniczne zapiski i milcząco wtykali w nich palcami, lecz obcowanie przeciekało wyjątkowo na rzeczowym poziomie. A to było jeszcze gorzej, odbierając ostatnią nadzieję na pojednanie. No jak tu można ugrzęznąć rozmowę szczerze, jeżeli w odpowiedzi na podkreślone-uprzejme: “Witam Was, Władca”,- dźwięczy tak zaś chłodne: “Dzień dobry, pani wiedźma. U Was do mnie jakieś pytania?” - i na odwrót.

Orsana, prawda, chichotała i twierdziła: “Chto rozumniejszy, tej pierszym w durosti i przyzna się”,- lecz mi w ten coś nie wierzyło się. Ja nie czułam się winnej, Lona, widocznie, też, i przyznawać się niezrozumiale w czym my nie zbieraliśmy się.

Przed naszym odjazdem Leriejena zarządziła urządzić uroczystą kolację na cześć gości i wybawców Arlissa. Pierwszy puchar wypili stojąc i milcząco, potem zastolje po cichu początek ożywiać się, posypywały się kpiny i zabrzmiał śmiech, zagrała cicha muzyka. Mołodieńkije arlisskije wampirszy, które roznosili półmiski i napoje, nienieskutecznie budowały oczka winieczanam, urzekniętych przez porywcze kędziory i długimi wisłymi wąsami brawych wojak. Dogiewcy, zresztą, też nie cierpieli od

nieobecności uwagi, a obok Lona dziewczicom tak i wcale jak miodem było posmarowane, oni wciąż zderzali się przyjaciół z drużkoj i złośliwie świdrowały konkurentok przekonaniem.

Za stół goście siadali na przemian, jak wypadnie. Okazałam się między Orsaninym ojcem i Kiełoj, a: Len i Orsana - naprzeciwko. Dogiewskaja Trawnica patrzyła na mnie z autentycznym zachwytem i szacunkiem. Nawet z lekkim uwielbieniem, chyba. Nie wiem, kto i że nią opowiedział, lecz moją rolę w tej historii on chyba nie pomniejszył.

Ja zaś tylko teraz dowiedziała się, kogo my jesteśmy zobowiązane tak trafnie która nadbiegła pomocą. Przywiązane nieopodal "winowajca" przekrzywił się w naszą stronę i niegłośnie zarżał, jak domyśliwszy się, że mowa zaszła o nim. Która oblepiła Wolta riebieatnia na wyścigi potczewała jego wszelkimi słodyczami, i czarny ogier z przyjemnością zbierał plon zasłużonej sławy.

- Przedstawiasz, że pomyśleliśmy, kiedy po upływie trzy dnia po twoim odjeździe na dogiewskuju plac wtargnął zakrwawiony koń Władcy! - opowiadała Kiełła, zmieniawszy się w osobie od jednych wspomnień. -- Wolt nigdy by nie rzucił gospodarza, nawet ranny. Będzie wychodzić, zdarzyło się coś okropne i nie do naprawienia, a byliśmy zapewnieni, że Stróża u Lona nie. Dogiewa wzburzyła się, Seniorzy zaczęli zbierać wojsko, a ja z dziesięć razy

tuzinami ochotników poskakałam na zwiady, jeżeli będzie
potrzebnym - bojem.

Trawnica otchlebnuła łyku wina i, niedużo uspokoiwszy się,
przedłużyła:

- Oczywiście, my ściśle nie wiedzieliśmy, że, gdzie i po czyjej
winie zdarzyło się, i rzucili się śladem która odjechała ambasady.
Oni każ w Arliss, a po upływie kilku godziny, w leśnym parowie,
ukazaliśmy zarzuconych łapnikom trupy i ostatecznie
przekonaliśmy się, że sprawa źle. Wysławszy gonca w Dogiewu, ja
z oddziałem poskakałam dalej, już nie zatrzymując się do samego
Arlissa. U wiszącego mostu jakieś typy,- teraz-ten ja wiem, co to
jest łożniaki, lecz wtedy okropnie oburzyła się podobnej
bezczelności - spróbowali nas zatrzymać, lecz my zmiel nimi
końmi.

- A dlaczego przyjechaliście na zwyczajnych koniach, a nie
kjaardach? - zdziwiłam się. -- Przecież oni o wiele rieżwieje!

- Na koni przesiedliśmy się tylko w Kuriakach, nieomal
zapędziwszy kjaardow. Biedniagi ledwie trzymali się na nogach,
zostawiliśmy ich w zastaw za świeże konie. Prócz Wolta, on
przeskoczył przez ogrodzenie i poleciał w ślad za nami. Jak
wietrzył - w lesie myjąc koń podwinął nogę i zbyteczny koń
wypadł bardzo trafnie. No, a dalej ty sam wszystko wiesz. Nam
szalenie poszcęściło się z sojusznikami-ludźmi - w pojedynczą

my nie ustalibyśmy sprzeciwiasz się łożniakow i pół godziny. Ot tylko w żaden sposób nie mogę pojąć: dlaczego za która uciekła doczurkoj gonili całym wojskiem, tak jeszcze pogranicznym, po cudzym kraju?!

Orsanin ojciec dopił swój puchar, zaciął się kromką okropnego z wyglądu sera, z czarnoczerwoną pleśnią, i chętnie włączył się w rozmowę:

- To ono jakoś samo wyszło. Była u nas zamiana garnizonowi, chłopcy w urlop pazbirałysia, a tu pryjszow piekło króla załajdak: jichaty z abozam do Starmina, jakiś duże cenny ciężar suprowodity - widac', sztaby zołotyja. A adtul wże i w urlop. No, pryjichali my do stolicy, przekazaliśmy tej ciężar u skarb i myślimy: raz my wże w Biełoryi, to czago zaś nam na tej zamak wybitny, ijlfijskij, nie podywitysia? Za dzień tudy-siudy dojrzymy.

Na nas z Orsanoj napadł szturm biezudierżnego śmiechu, skurczyliśmy się nad talerzami, przedstawiwszy, w co przekształciły się ściany po dwuchsotienno oddziału winieczan ze smacznym armiejskim leksykonem. Miłośnik raspisnoj dawnych czasów zdumienie zmarszczył brwi, lecz, ponieważ go {je} słuchaliśmy nie tylko my, przedłużyło opowiadanie:

- A na obratnu darogu, wiadoma, zajszli my do karczmy, łyk potieszyty. A tam muzyki bałakajut: molo, prichodyli dniem jakiś diwcziny durnowatyje, o womperau torturowali, to wszelka ludyna

ta gnomyna z pieralaku u wokny poskokwała, aż placeń przy korczmie z rozpędowi zniosła. Ja piersz pasmiajaws, tak tilko zaś potym wony każuc': adna diwczina ruda, a inna switła, oboju z miaczyma, pry koniach, a u switłoj szcze noży ta kolczużka. Najemnica, maju buty, z winnieskim goworkom. Ja za tych muzykou, szto tak jak... mater rodzona! Pa wtym widzieć - to Orsanka maja w karczmie szumu narobiła! Ja-to dumaw, szto wona w domu pid zamkiem sedit', bo krepka połajilisia my przed moim adjezdam, ja nią u Wiciagie i padarunaczak kupiwszy, kab nie złuwałasia... A tu chtoś baczyw, szo wona, pra wampirau pospytauszy, razem z tej ryżuchaj dy jakimst' muzykom czerniawym tak Oziernaga Krajowi padała się, a tam wże i do Orlisa niedalecze! Chłopczy, każu, walczcie! Treba córeczkę majowi wyzwałaty, poki wompery jaje zusim nie zasmoktały! No, my po koniach - usi razem, nichto nie admowiwś! - i do Orlisu tego!

Donośny głos i barwna maniera przedstawienia przyciągnęły do narratora powszechną uwagę. Jego córka siedziała czerwona jak mak, a szlochałam od śmiechu już pod stołem.

- Jakże przedostaliście się przez rzekę? - zainteresowała się Kiełła. -- Ja tak pojęłam, że most jeden, lecz my was tam nie widzieliśmy. I na plac wjechaliście z naprzeciwna.

Winieczanin pogardliwie machnął ręką:

- Ta naszto nam tej most, my wstapanie, pa ichniej sazałkie smerdiuczej!

“Sażałka”, trafnie, już nie śmierdziała. Które przybyli ze Starmina i jasniewogo Gradu magowie obrały wodę i rozebrali zaporę. Większość wartościowych na stole półmisków byli przygotowani ze świeżej ryby, wymienionej na wilgotni u rusalek. O nieobecności mięsa nikt nie żałował.

- A jakże krakien? - nie utrzymawszy się, zapytała Leriejena, która siedziała w naczelniku {rozdziale} stołu nieopodal od nas. Lona, trafnie, proponowali luksusowy fotel obok z niej, lecz on udał, że nie dosłyszał, i to miejsce zajął {pożyczył} Rołar. Togę doradcy on tak i nie włożył, lecz, z ogólnej milczącej zgody, liczył się “tymczasowo pełniącym obowiązki” onogo.

- Ta wyłaziła jakaś zmiajuka,- pogodnie odezwał się Orsanin ojciec, priwstawaja i nakładając sobie na talerz zdrowiennyj kawałek faszzerowanego szczupaka. -- My nią szmat tłuszczu rzuciliśmy, wona i widczapiłasia. -- I z autentycznym zainteresowaniem dodał: - A woś szo-to take w niebie latało ta wereszczalo, by swinnia u kuma w sadoczku?

Leriejena skrzywiła się, ktoś zachichotał, a Lona mrugnął porozumiewawczo do szczętu która zmieszała się Orsanie i niewzruszenie odpowiedział:

- To jedna z naszych żynok na pomoc rzuciła się, a wiszczała,

szob samej nie tak bojazno było.

- Od takiego zynki i womper powtikaje,- szczerze powspółczuł winieczanin, i pod stołem okazałam się nie tylko ja...

Następnego dnia goście zaczęli po cichu rozjeżdżać się, rozchodzić się i rozlatywać się. Nauczyciel jakoś ułamał Gieriedu, i ona zgodziła się odnieść go {je} z innymi magami w Starmin (przed odlotem drakonicha tak długo i zalotnie polerowała ogniem łuskę, że powzięłam podejrzenie - nią prosto był potrzebnym stosowny pretekst {przyimek} dla nagłego ukazania na szkolnym podwórzu).

Trochę popóźniej dolinę opuściło winiesskoje wojsko. Po komendzie {drużynie} “Zapie-je-jewaj!” zagrzmiała taka chwacka i skabrieznaja piosenka, że odprowadzające oblegczennie westchnęły, kiedy oddział nareszcie skrył się w lesie.

Orsana uparła się i z ojcem nie pojechała. Bezczenie oświadczyła, że tak wielkiej woitielnice rodzicielska wola nie dekret i w Winiessu ona wróci nie wcześniej, czym będzie przeprowadzać mnie. Dokąd - ja i sam do rzeczy nie wiedziałam. W Starmin nie ciągnęło doskonale, a Dogiewa... och... boję się, próbny termin na stanowisku Naczelnej Wiedźmy zakończył się jeszcze jednym zapisem “zarzutów nie miała”... Zapytać Władcę w czoło ja nie ważyłam się, a sam on ten temat nie podnosił. Może,

liczył, że tu i tak wszystko jasno?

Określić się z wyborem pomógł Rołar. Widocznie, on w kolejny raz pokłócił się z Leriejenoj i, wyskoczywszy z W domu Narad, podrażnienie ogłosił, że odjeżdża z powrotem w Witiag. Ten mnie zupełnie zadowalało. Miasto duże, hałaśliwe, dla więdźmy tam na pewno znajdzie się praca.

O czym umówiliśmy się Władcy, my tak i nie dowiedzieliśmy się, lecz w drogę Lona zaczął zbierać się razem z nami. Właśnie z nami, dogiewcy odbywali bliżej do południa, a osiodłany Wolt już rano stał u ganku obok z naszymi końmi. Co Lona wzbrnęło w głowę, niezrozumiale. W przeddzień on długo rozmawiał z Kiełłoj, odwoławszy ją w storonku; Trawnica wpierw niezadowolenie krzywiła się, lecz potem zmieniła gniew na łaskę i macierzyńskim gestem przeprowadziła dłonią po jego policzku, jak błogosławiąc. Len, sprzeciwiasz się zwyczajowi, nie uchylił się...

Smołka, priedatielnica, zdążyła zaprzyjaźnić się z Woltem i uparcie trzymała się obok go {je}. Rołar i Orsana jechali po inną stronę od czarnego ogiera.

- Objaśnij nareszcie, jaki duch leśny poniósł ciebie w Arliss? - Rołar, przed który zwracał się do Władcy z ustalonym szacunkiem, niespodzianie zmienił “wy” na “ty”. Panibratskij ton rieżanuł uszy, lecz Lona tylko uśmiechnął się i dosadliwie pokołysał głową:

- Ja nie myślałem, że wszystko tak daleko zaszło.

Ambasadorzy zakomunikowali mi, że w dolinie tworzy się coś niedobre, Powielitielnica, miękko mówiąc, wydziwia, a doradca rok w tył zginął w nieznanym kierunku. Dzieci były tak zaniepokojeni, że nawet nie zająknęli się o oficjalnym celu wizyty. Oni ślezo błagali mnie pojechać w Arliss, pozbierać w odbywającym się i pomówić z Leriejenoj. No, ja przez głupotę i zgodziłem się...

- Wy jesteście dawno znajome? - spóźniło się domyśliła się Orsana.

- Oczywiście,- jednocześnie kiwnęły wampiry. Rołar pełen szacunku przemilczał, ustępując słowo Władcy.

- zapoznaliśmy się na oficjalnej ceremonii pojęcia narzeczonego narzeczonej, jeszcze w Dogiewie, - zakomunikowała Lona, poprawiając złoty obręcz. W skarbnicy, trafnie, on okazał się dzięki pseudodoradcy. Leriejena tam prawie nie zaglądała, i uszłyj łożniak zarządzał finansami w swoją przyjemność. -- Arlisskij doradca już wtedy wyprodukował na mnie wrażenie mądrego i przenikliwego wampira, a wkrótce mi nadarzyła się okazja przekonać się w tym w praktyce.

Rołar zmieszanie kaszlnął i objaśnił:

- Historia z porwaniem od razu ukazała się szytej przez białe nitki. Ja nie zacząłem szpiegować za trollem, a prosto poprosiłem

odprowadzić mnie do “porywacza”, inaczej obiecawszy opowiedzieć wszystko jego “niepocieszonyj” narzeczonyj. U niego prosto nie było wyboru!

- Otóż kto sprzyjał zerwaniu zaręczyn! - Orsana żartobliwie wetknęła Rołara pięścią w bok.

- Nic Podobnego,- zaprotestował Rołar, próbując zwrócić tyczok, lecz dziewczyna w porę odprowadziła konia na bok, - ja prosto nie przeciwstawiłem się nieuchronnemu. I w ogóle, Lona może potwierdzić: byłem sprzeciwiasz się tego idiotycznego losowania!

- Aga,- potaknął Lona. -- Ja kilka minut dobierałem słowa i kiedy nareszcie wycisnąłem: “Wiecie, wasza siostra mi... niezbyt podoba się”,- on machnął ręką i oświadczył: “A, mi też! No i duch leśny z niej, dawajcie dobrego uzgodnimy cła”. Po czym my oszalale popatrzyliśmy przyjaciel na przyjaciela, raschochotaliś, i początek przyjaźni był położone!

Rołar cierpliwie przeczekał wybuch śmiechu i spróbował usprawiedliwić się:

- Rola obrażonego brata mi pierwotnie nie udała się, daj, myślę, choć ekonomikę podciągnę! Ja zaś doradca, mi przede wszystkim położone myśleć o pomyślności doliny, a sercowe sprawy Władców ja nie dotykają!

- Ja nie zdziwię się, jeżeli oni jeszcze i okup podzielili,-

westchnęła Orsana.

- Przepili! - uroczysto poprawił Rołar. - W "Srebrnej podkowie", razem z trołem, ten tego tam? Wal?

- Lecz jak tobie udało się skryć to od Leriejeny?

- Ona nie może czytać moje myśli. Chyba, to jedyna zdolność, odziedziczona mną od matki-Powielitelińcy. -- Wampir trochę posmutniał, lecz w tym samym miejscu zatrzęsł głową i uniósł się na striemienach, próbując dojrzeć za Lonom ja: - wolcha, a ty-to co milczysz? Zasnęła?

- Umarła,- ponuro burknęłam, nawet nie obracając się do przyjaciół, by przypadkowo nie zderzyć się spojrzeniem z Władcą Dogiewy.

- N-tak, ciężki wypadek... - westchnął Rołar, ewidentnie mając w rodzajowi nie moją nagły zgon.

- Może, pogodzicie się nareszcie? - nie wytrzymała Orsana.

- My nie kłóciliśmy się,- obojętnie sprzeciwił się Lena.

Ja zgodnie z kiwnęłam, chociaż z dokąd dużą przyjemnością pichnęła by jego pięścią w bok, tak tak, by aż z konia spadł.

Przyjaciółka wzniosła oczy do nieba i pełen wyrzutu pokołysała głową, lecz zostawiła nas w spokoju.

My pary raz puszczaaliśmy się na wyścigi, lecz, na ogół, nigdzie nie śpieszyliśmy się, tak że za dzień ledwie zdążyliśmy dotrzeć do

Brasa i przejechać jeszcze z dziesiątek wiorst. Na nocleg zatrzymaliśmy się w czystym polu, obok wąskiej bezimiennej rieczuszeki. Daleko na południu ciemniał las; jego chłodne oddychanie dolatywało nawet tutaj, przynosząc cierpki zapach igliwia i mgłą rozlewając się po łąkach.

Pomogłam rozprowadzić ognisko i, odejść w stronku, wsie na trawiastym brzegu rzeki, objąwszy rękoma kolana. Wyprężone konie w ochotku łąziły po wodzie, wyczerwlennej zachodzącym słońcem.

Nigdy w życiu ja nie czułam się takiego samotnej i zmieszanej. No i cóż mi teraz robić? Duch leśny z niej, z Naczelną Wiedźmą, lecz jak pogodzić się z Lonom? Za co on tak na mnie powstał do walki? O bogowie, czyżby zza...

Podszedł Rołar i urządził się riadyszkom, też udając, że lubuje się zachodem.

- Rołar, pytanie życia i śmierci! - szybko wyszeptałam, oglądając się na Lona. -- On pamięta, ja mu powiedziałam? Tam, po tę stronę Kręgu?

Wampir wyraźnie zdziwił się:

- A co ty takiego nagadałaś?

- Jaka różnica? Okropnego głupca ztarzała.

- Tak nie, chyba nie,- zlitowawszy się, uspokoił mnie Rołar. --

Ja, na przykład, w ogóle niczego nie pamiętam z momentu śmierci

do przebudzenia na ołtarzu.

- Co?!

Wampir natychmiast pożałował, że tak z powodzeniem odciągnął mnie od psychicznych udręk. Przypadkowo przejęszy się, on zmuszony był iść do końca, inaczej ja bym nie odwiązała się.

- W Czasie wojny z ludźmi byłem niewiele powyżej Lona, a Leriejenie tylko-tylko zrównało się dwanaście lat. Lecz ona zamknęła dla mnie Krąg. Po raz pierwszy w życiu, potajemnie od Seniorów i na przekór nimi, bez ubezpieczenia. Gdyby ona straciła przytomność przed, czym wyrwała stilet, nią byłoby komuś {nie ma kogo} pomóc. - Rołar pomilczał, roztargnienie ucząc się biegnącego po niebie obłoku, potem uśmiechnął się i przeprowadziło spojrzenie na mnie. - Dlatego będę przeprowadzać was do Witiaga, podam się do dymisji, zabiorę rzeczy i wrócę w Arliss. Nie gniewaj się na nią, wolcha. Ona to dobra dziewczynka, dobra, uczynna, prosto... nedorzeczny. I nią beze mnie bardzo źle, że by ona tam ani mówiła.

- Ja ani na kogo nie gniewam się, Rołar. Nie obracaj uwagi na moją niezmiennie kwaśną fizjonomię, wy tu doskonale ani przy czym. Prosto bardzo zmęczyłam się i zaplątałam się.

- Nie ty jedna,- chytrze mrugnąłeś porozumiewawczo wampir i, nie dając mi otworzyć usta, wstały, sięgając: - pójdziemy no do

ogniska, bo tych dwóch nam teraz nakaszewariat - dopiero co marchewkę nieczyszczenuju próbowali w kulesz pokruszyć, ledwie odebrał!

Obudziłam się pośrodku nocy. Obejrzała się, uniósłszy się na łokciu. Len siedział u ogniska, zamyślona pomieszywaja pałką węgle, pozostałe mocno opadły. Pomiedliw, odrzuciłam koc, podeszłam i opadłam na kucki po inną stronę ogniska. Posiedzieliśmy, pomilczeli, rozdzieleni przez płomień. Len rzucił pałkę w ognisko, z uogolkow wyfrunęło i roztajała w powietrzu chmurka ogoniastych iskier.

- Pomów ze mną,- cicho poprosiłam. – Albo po prostu powiedz, by parszywa wiedźma raz na zawsze zostawiła ciebie w spokoju.

On podniósł głowę i zdumienie popatrzał na mnie, jak nie wierząc swoim uszom. Poczułam, jak zalewam się farbą. Jeszcze chwila - i ja, rozwinąwszy się, na złamanie karku rzuciłabym się precz, lecz szare oczy niespodzianie ociepliły się, Lona uśmiechnął się:

- Nie powiem. -- I przeciągnął do mnie ręce: - Idź tutaj!

Ja na wszelki wypadek obejrzałam się, lecz innych kandydatek na pojednanie nie ukazałam. Nieśmiało poszła naprzód, a potem jakoś od razu znalazłam się u Lena na kolanach; objęłam za szyję,

przytuliwszy się całym ciałem, jak mała przestraszona dziewczynka. Wampir z szelestem rozwinął skrzydła, otulając mnie na swoich rękach, które zwarły się wokoło mojej talii. Od razu stało się ciepło i przytulnie, my jak zlały się w jedyną całość, niegdyś rozdzielone na dwie wiecznie dążącej przyjacieli do przyjaciela połówki.

Len cichutko dotknął się ustami do mojego tyłu głowy.

Zaszlochałam:

- Ja bardzo za ciebie niepokoiłam się.
- Wiem.
- Wtedy dlaczego ty na mnie nakrzyczałeś?
- Samego dziwię się. Z pewnością, od zmieszaności.
- Ty - i zmieszał się? - nie uwierzyłam.

- No tak.- Len miękko wycofał się, by zajrzeć mi prosto w oczy. Wampir uśmiechał się, ciepło i trochę ironicznie. Jak przed, i mi znów spodobało się rozplakać się - teraz już od szczęścia. - Ty przedstaw mój stan - przychodzę do siebie w doskonale nieznanym miejscu, obok stoi Leriejena i żarłocznie ogląda mnie wprost. Ja na nią też popatrzyłem, ukradkiem, i pomyślałem, że, chyba, nie stoi śpieszyć się ze zmianą ipostasi. Jak okazało się, nie niepotrzebnie... Tymczasem {póki} rozmawialiście, naprędce obejrzałem twoją pamięć, i u mnie sierść wstała sztorcem. Wymyślić coś z chodu nie udało się, wypadło zataić się i

oczekiwać więcej odpowiedniego momentu. To jest mniej nieodpowiedniego, dlatego że umeblowanie wszystko nakalałaś i nakalałaś. Kiedy Orsana uparła się, pojąłem, że dłużej zwlekać nie wolno, przeziściłem się, wyrwał u najbliższego łożniaka miecz i zniósł mu głowę. Wy, na szczęście, nie zmieszaliście się, i zaczęła się taka zawarucha, że, nią-nią, wiedziałyby - gchyr zmartwychwstał! A tu jeszcze zaczynasz za nic ani o co na mnie krzyżeć, w czymś oskarżać, ja i nie powstrzymałem się... A potem, kajam się, zachowywał się jak chłopak. Gniewałaś się, skrywałaś myśli, i ja nie wiedziałem, co myśleć i jak siebie z tobą prowadzić.

- A ja - z tobą,- zmieszanie przyznałam się. -- Ja zaś zmieszałam się, Lona...

- Ty - i zmieszała się? - przedrzeźnić on. -- wolcha, my idioci! A jeszcze chwalili się, że wiemy siebie, jak obłuszczonech...

- Tak już,- chmyknuła ja, ukradkiem wycierając nos. -- Ja nawet o sobie, okazuje się, licznego nie wiedziała. Na przykład, skąd u mnie takie ładne oczka.

Wampir razem spoważniał. Ciężki westchnął, spuścił się, i między nami znów przebiegł lekki chłodek wywłaszczenia.

- Co zaś... wcześniej lub późno mi wypadłoby tobie wszystko opowiedzieć. Ot już nie myślał, co to jest zdarzy się w ten sposób... że będę czuć się winnym i usprawiedliwiać się, lecz...

Wolcha, ja nie wyznaczałem ciebie Chranitelińce. I, bądź moja wola, na trybuszetnyj strzał nie podpuściłby do Kręgu.

- Że?! - spieszyłam się.

Len szybko poprawił się:

- ufam {powierzam} tobie, jak nikomu innemu, lecz sprawa wcale nie w tym. Rołar opowiadał tobie, jak stają się Stróżami?

- Wymieniają krew z Władcą?

- Słusznie,- Lona pomilczał i ciężko dodał: - a wpierv pozwalają mu zabić siebie. No, lub prawie zabić, wymiana odbywa się na ścianie życia i śmierć, i życie bynajmniej nie zawsze przeważa. Ja zobowiązany byłem uprzedzić o tym przyszłego {będącego} Stróża i zapewnić sobie jego zgodę na obrzęd.

- Dlaczego zaś ty tego nie zrobiłeś?

- Dlatego Że ty i tak umierałaś. Na zatopionej jezdni, u fontanny, śmiertelnie ranna kamiennym mieczem. Pamiętasz?

Chciałam odmownie, niedoumiennie pomotać głową, lecz przed oczyma samym sobą wynurzył się przigrieziwszajasia niegdyś obraz - noc, wyczerniona przez krew woda, rasplastannoje na kamieniach ciało... i Lona, wartościowy na kolanach, z przyłożonym do nadgarstka przez nóż.

“ - Arrless, genna! Tredd... Geriin ore guell...”

- Trzymaj się, dziewczynka! Teraz... Ja nie pozwolę tobie umrzeć...”

Będzie wychodzić, nie przegrzeziwszajasia...

- U mnie nie było wyboru,- kontynuował Lona. -- Moja krew - jedyne, że mogło ciebie uratować, i w ten moment ja najmniej myślałem o przeznaczeniu Stróża. I Wied'minogo Kręgu wtedy w Dogiewie nie było. Wyżyłaś i nawet nie powzięłaś podejrzenie, że lekka rana na boku - ślad od noża, a naniosłem ją tobie ja, tymczasem {póki} leżałaś w zapomnieniu.

- Lecz ty zaś oddałaś mi swój rieur! - Ja machinalnie chwyciłam się za kiść amuletów, chociaż jeszcze tydzień w tył zerwałam sznurek z szyi i ze złością zarzuciłam nieco dalej w krzaki.

- To wyszło przypadkowo. Żegnaliśmy się - możliwy na zawsze, - i pomyślałem: dlaczego by i nie? - wzruszył ramionami Lona. -- Dla innego Stróża ten rieur już nie nadawał się, za to prezent z niego wyszedł przepiękny. Przecież ty nieraz skarżyłaś się, że nienawidzisz bezczelnych tielepatow, a wciąż podtrzymywać magicznej obrony niemożliwie. Dokąd prostszy nosić na szyi niezawodny amulet. Lecz u mnie i w myślach nie było, że on na ciebie podziała! W liście, który ty odwiozła w Starmin, przyznałem się twojemu Nauczycielowi, w jakim stopniu byłaś bliska do śmierci, i poprosił go {je} na wszelki wypadek poobserwować za tobą, początkowo.

- To jeszcze po co?

- Pamiętasz Arlisskij świątynię?

- Takie zapomnisz!

- Jeden z przodków Leriejenu podobnie uratował życie ówczesnemu rządzącemu jasnowego Gradu, nie który doszedł do porozumienia z wściekłą kłusem, i wdzięczne elfy wybudowały wampirom nowe sanktuarium dla Kręgu. Wcześniej Arlisskije Władcy przeprowadzali obrzęd w jaskini na podobieństwo dogiewskoj, i w czasie przyborów wód jej czastieńko zapalało. Lecz elf nie stał się Strażnikiem. Jego rany pomyślnie zagoiły się, ale transformacja nie zaczęła się, i byłem twarde pewnego, że wszystko pozostali rasy niepodatnej do naszej krwi. Ona działała wszystkiego kilka minut, potem wali się, i chciałem przekonać się, że rana zdążyła całkowicie zagoić się i z czasem jej kraje nie zaczną rozchodzić się. Ty byś widziała siebie ze strony, monstr rozkręcił tobie połowę klatki piersiowej! Kiełła i Seniorzy wiedzieli, że na samej sprawie zdarzyło się tej w nocy. Oni widzieli - mojego riar zginął, lecz byli zapewnieni, że ja jego prosto wyrzuciłem. Wszystko zmuszały mnie zaopatrzyć się nowym... Przedstaw, jak zdumiałem się i zmieszałem się, kiedy przyjechałem w Starmin na strzelnicę i z progu zobaczyłem u ciebie niewątpliwe przejawy Chranitelińcy! Ja jak dawniej mogłem czytać twoje myśli, chociaż riaru zdawałoby się ich skrywać - nie bądź między nami niewidocznego związku. Lecz wtedy mi było nie do objawień, potem wszystkie jakoś nie

podworacziwałość wypadku, a w tym roku u ciebie zaczęły się egzaminy końcowe, i zdecydowałem - poniosę jeszcze parę miesięcy, niech wolcha otrzyma swój dyplom z wyróżnieniem, ona jego zasłużyła. U Władcy nie być może dwu Strażników jednocześnie; jak tylko zaprowadziłbym sobie nowy rieur, stopniowo znów stałabyś się zwyczajnym człowiekiem. I zwyczajną wiedźmą, przecież twoje magiczne zdolności też poślij by na spadek. Nie zginęli, ma się rozumieć, a wrócili w normę.

- Będzie wychodzić, popełniłam szachrajstwo na egzaminie? - zasmuciłam się, dotychczas która słuchała opowiadanie Lona z krytymi ustami.

- Wcale Nie. Wiesz wszystkie zaklęcia i umiesz ich stosować, a z jakiego źródła siły przy tym korzystasz, szczególnej roli nie bawi się. Ty zaś samego opowiadała, że nawet archimagi oszukują się na wadze artefaktami-chomikami, ponieważ dla pewnych zaklęć, choć bardzo kręć, własnych sił brak.

- M-m-m-m... - Ja, paląc się ze wstydu, wtuliłaś frontem w dłoń. -- Lona, ty ma rację - ja jestem parszywą, niewdzięczną wiedźmą... Uratowałeś mi życie, a ja duch leśny wie że sobie namyśliła się, narzuciła się na ciebie, do rzeczy nie zorientowawszy się...

- Rzuć. My już kwity. -- Lona ostrożnie rozproszdził moje ręce. -- Trafnie, Naczelną Dogiewską Wiedźmą, czym ty przede

wszystkim zajmiesz się na swojej nowej posiadzie?

- No... - Ja niewyraźnie kaszlnęłam, próbując wyrównać oddychanie i nie szmygnut' nosem. -- Chyba, złożę podanie o przeniesieniu na półetat.

- To jeszcze po co? - spieszył się Lona.

- A mi spодobało się być prosto wiedźmą. Sądzę, ty nie zaczniesz sprzeciwiać się, jeżeli kilka miesięcy w roku podbęde nabierać doświadczenia na traktach?

- I długimi zimowymi wieczorami pisać pamiętniki o swoich czynach? - roześmiał się wampir.

- Dlaczego by i nie? Nie dokonam, tak wymyślę! Na mieniestrielej i kronikarzy zdawać się nie wolno - albo zapomną, albo tak wysławiają, że dobry by zapomniął. Puść-ka... -- wyswobodziłam się z jego objęć i poszłam do rzeki, raczej {słuszniej}, do ciemniejącego nieopodal łozniakam.

- Co, udajesz się na poszukiwania czynów prosto teraz? - ironicznie zainteresowała się Lona, zbyt dobrze wiedząc mnie, a znaczy, i odpowiedź.

- Nie... w kustiki schodzę {pójdę}, raz już obudziła się,- zmieszanie przyznałam się.

- Poczekaj, ja z tobą!

Wampir dogonił mnie, i my razem wyslij na brzeg. Obok samych łozniakow Lona zjadliwie dał komendę: "Wampiry na

lewo, więdźmy na prawo!” Obróciłam się było do niego plecy, zbierając się skromnieńko odjechać we wskazanym kierunku, lecz nie wytrzymała. Zatrzymała się, zmrużyła oczy i odważyła się nareszcie zadać pytanie, który męczył mnie cały tydzień:

- Lona?

- Co? - przesadnie rześko odezwał się on.

- powiedziałaś, że nie wybrałbyś mnie Chranitelińcej...

poprawnie, ona ze mnie wyszła nikudysznaja... nawet dwu słów związać nie mogła... lecz ty jednakże wróciłaś. Dlaczego?

Cisza powlokła się na długo. On nie odpowiadał i nie odchodził, jak bałem się odpowiedzi więcej niż, czym ja - pytania.

- wolcha?

- D-tak? - trochę słychać wycisnęłam.

- Dlatego że ja też ciebie kocham.

I rozeszliśmy się w różne strony, jednakowo oszołomionych i nie znające się na, że mówić i robić dalej.

Lecz pewni, że jakkolwiek rozzabieramy się.

...I nas ani trochę nie martwiło, że nasza historia nie wejdzie w legendy...